

Nauczycielka muzyki

JANICE Y. K. LEE

Moim rodzicom

CZEŚĆ I

Maj 1952

Początek był przypadkowy. Mały króliczek z Herend po prostu wpadł do torebki Claire. Stał na pianinie i kiedy Claire po zakończonej lekcji zbierała nuty, niechcący go potrąciła. Figurka sturlała się z ozdobnej papierowej serwetki (papierowa serwetka! Na steinwayu!) i wpadła do jej dużej skórzanej torby. To, co się stało potem, wprawiło w zakłopotanie nawet ją samą. Locket, która patrzyła na klawiaturę, niczego nie zauważyła. No i Claire po prostu... wyszła. Dopiero na dole, na ulicy, kiedy czekała na autobus, dotarło do niej, co zrobiła. Ale było już za późno. Po przyjściu do domu ukryła kosztowną porcelanową figurkę pod swetrami.

Przyjechali z mężem do Hongkongu dziewięć miesięcy temu. Martin dostał pracę w Zarządzie Gospodarki Wodnej. Właśnie Churchill skończył z racjonowaniem wody i sprawy zaczęły wracać do normy, kiedy otrzymali wiadomość o delegowaniu Martina do Hongkongu. Claire nigdy dotychczas nawet nie marzyła o wyjeździe z Anglii.

Martin jako inżynier dostał stanowisko dyrektora budowy zbiornika Tai Lam Cheung, który miał zapewnić rezerwę wody na wypadek suszy nawiedzającej te tereny co kilka lat. Zaprojektowano go na dwieście milionów metrów sześciennych pojemności. Claire nie mogła sobie wyobrazić takiego ogromu wody, ale Martin powiedział, że to i tak za mało jak na ludność Hongkongu i że z pewnością, gdy tylko skończą budowę tego zbiornika, będą musieli wziąć się do następnego.

- Przynajmniej będę miał pracę - dodał wesoło. Analizował topografię wzgórz, tak żeby można było zbudować sieć kanałów na czas deszczy. Claire wiedziała, że rząd brytyjski robił dla kolonii bardzo wiele, poprawiając ludziom warunki życia, ale lokalne władze rzadko to doceniały. Zanim wyjechali, matka ostrzegła ją przed Chińczykami - mówiła, że to ludzie podstępni i pozbawieni skrupułów, że nie zawahają się przed wykorzystaniem jej naiwności i dobrej woli.

Podczas podróży zauważyła nasilającą się z dnia na dzień wilgotność powietrza, większą niż zwykle. Morskie bryzy były gwałtowniejsze, a wiązki promieni słonecznych - kiedy już przebiły się przez chmury - grubsze. Gdy wreszcie w sierpniu P&O Canton zawinął do portu w Hongkongu, poczuła się rzeczywiście jak w

tropikach: włosy miała całe w pierścionkach, twarz wiecznie wilgotną i jakby tłustą, pod pachami i kolanami mokro. Kiedy wyszła z kabiny na zewnątrz - zanim zdążyła znaleźć cień i się powachlować - upał uderzył w nią z siłą ciosu.

Podczas trwającej miesiąc podróży było siedem postojów, ale po kilku godzinach spędzonych w brudzie Algieru i Port Saidu Claire zdecydowała się nie schodzić z pokładu statku, oszczędzając sobie spotkań z kolejnymi przerażającymi ludźmi i zwyczajami. Nie wyobrażała sobie nawet, że mogą istnieć podobne widoki. W Algierze na przykład widziała, jak mężczyzna całował się z osłem, a ona nie wiedziała, czy panujący wokół smród pochodził od jednego czy od drugiego. Egipski suk z kolei przebił wszystko, co widziała dotychczas, brakiem higieny: na przykład człowiek patroszący rybę oblizywał nóż do czysta. Claire pytała, czy statek zaopatruje się w żywność na rynkach lokalnych, ale odpowiedź była, mówiąc oględnie, niesatysfakcjonująca. Jeden z jej wujów zmarł w Indiach na skutek zatrucia i od tej pory Claire stała się bardzo ostrożna. Ograniczyła więc jedzenie, poprzestając głównie na bulionie serwowanym późnym rankiem na pokładzie słonecznym. Rozdawane codziennie menu było dość monotonne: zawsze ta sama brukiew, kartofle, produkty, które można było przechowywać w ładowni; mięso i sałatki - tylko przez pierwsze kilka dni po wypłynięciu z portu. Martin zażywał ruchu, spacerując co rano po pokładzie, do czego niestety nie udawało mu się zachęcić Claire. Woląла siedzieć na leżaku w dużym kapeluszu z rondem, owinięta w szorstki wełniany koc, z twarzą zasłoniętą przed wszechobecnym słońcem.

Na statku wybuchł skandal. Pewna kobieta, jadąca do Hongkongu na spotkanie z narzeczoną, spędziła o jedną noc za dużo na skąpanym w świetle księżycy pokładzie z innym dżentelmenem, z którym wysiadła na Filipinach, zostawiając dla niedoszłego narzeczonego jedynie list. W miarę jak zbliżał się koniec rejsu, Liesel, przyjaciółka, której wiarołomna kobieta ten list powierzyła, stawała się coraz bardziej niespokojna. Mężczyźni żartowali, że powinna zająć miejsce Sarah, ale Liesel nie chciała o tym słyszeć. Była poważną młodą osobą i jechała do Hongkongu do swojej siostry i szwagra, gdzie zamierzała edukować w dziedzinie sztuki Biedne Chińskie Dziewczęta, o których Claire zawsze myślała w kategoriach dużych liter.

Przed zejściem na ląd Claire wyciągnęła wszystkie cienkie bawełniane sukienki i spódnice; nie miała wątpliwości, że w najbliższym czasie nie będzie w stanie nosić nic innego. W porcie powitał ich tłum z papierowymi chorągiewkami. Handlarze wykrzykiwali głośno, usiłując sprzedać oczekującym na podróży sok ze świeżych owoców, napoje z mleka sojowego i krzykliwe kompozycje z kwiatów. Grupki imprezowiczów poodbijały już butelki szampana i spełniały toasty za przyjazd swoich rodzin i przyjaciół.

- Otwieramy szampana zaraz, jak tylko zobaczymy statek na horyzoncie - wyjaśniał swojej dziewczynie jakiś mężczyzna, pomagając jej zejść na ląd. - Zabawa jest fantastyczna. Czekamy tu już od kilku godzin.

Claire odprowadzała wzrokiem zdenerwowaną Liesel, która właśnie schodziła po trapie, znikając w tłumie. Szli z Martinem tuż za nią, stąpając po wilgotnym drewnianym mostku, a za nimi dwóch skapo odzianych chińskich chłopców, którzy pojawili się nie wiadomo skąd, niosło ich bagaże.

Szkolny kolega Martina, John, który pracował w firmie handlowej, u Dodwella, zobowiązał się odebrać ich w porcie. Przyszedł w towarzystwie dwóch przyjaciół, oferując nowo przybyłym napoje ze świeżo wyciśniętych owoców papai. Claire udawała tylko, że popija, pomna przestróg matki na temat szerzącej się w tej części świata cholery. Mężczyźni, John, Nigel i Leslie, okazali się bardzo sympatycznymi kawalerami. Wyjaśnili, że każdy z nich mieszka w bałaganie - a było tych bałaganów tyle, ile firm: Bałagan Dodwella, Bałagan Jardine'a i tak dalej - i zapewnili, że najlepsze imprezy urządza Dodwell.

Mężczyźni zawieźli ich do uznanego przez władze hotelu w Tsim Sha Tsui, gdzie Chińczyk z długim warkoczem, w brudnym białym fartuchu i z szokująco długimi paznokciami zaprowadził ich do zarezerwowanego pokoju. Umówili się, że nazajutrz zjedzą razem drugie śniadanie, po czym mężczyźni się pożegnali, a zmęczeni podróżą Martin i Claire zostali sami, siedząc na łóżku i gapiąc się na siebie. Nie znali się zbyt dobrze. Byli małżeństwem zaledwie od czterech miesięcy.

Claire przyjęła oświadczyzny Martina, by uciec od ponurego domu, zgorzkniałej, czepiającej się wszystkiego matki, która z wiekiem stawała się coraz gorsza, i nudnej pracy urzędniczki w firmie

ubezpieczeniowej. Martin był od niej starszy, po czterdziestce, i nigdy nie miał szczęścia do kobiet. Kiedy pocałował ją po raz pierwszy, z trudem powstrzymała chęć wytarcia ust. Przypominał krowę - był powolny i solidny. A także dobry. Nie miała co do tego wątpliwości. I bardzo to sobie ceniła.

Brakowało jej doświadczenia z mężczyznami. Rodzice rzadko wychodzili z domu, więc i ona się nie ruszała. Kiedy zaczęła spotykać się z Martinem - był starszym bratem koleżanki z pracy - zaczęła jadać w restauracjach, pijać koktajle w hotelowym barze i widywać się z innymi młodymi kobietami i mężczyznami, którzy rozmawiali i śmiali się z godną pozazdrosczenia pewnością siebie. Mieli swoje zdanie w sprawach politycznych; czytali książki, o których nigdy nie słyszała, i oglądali zagraniczne filmy, o których później dyskutowali z wielkim przekonaniem. Była zachwycona i wcale nieonieśmielona. I wtedy przyszedł do niej Martin i bardzo poważnie powiedział, że jego firma wysyła go do pracy na Daleki Wschód, i zapytał, czy nie pojechałaby z nim. Martin nie podobał jej się specjalnie, ale ostatecznie kim była, żeby grymasić; wystarczyło posłuchać jej matki. Pozwoliła mu się pocałować i powiedziała tak.

Kiedy Claire weszła pod prysznic, rozległo się pukanie do drzwi, w których pojawiła się drobna Chinka, tak zwana amah, która bez słowa zaczęła rozpakowywać ich bagaże, ale Martin ją przegonił.

Tak wyglądało ich przybycie do Hongkongu, które w niczym nie przypominało wyobrażeń Claire. Przed typowymi kolonialnymi enklawami - nobliwe palmy w doniczkach i polerowane drewno pobielanych domów - było głośno, tłoczno, brudno i ruchliwie. Budynki stały jeden przy drugim, a na bambusowych prętach suszyła się często przed nimi bielizna. Na każdym z domów pionowe krzykliwe znaki reklamowały salony masażu, puby i zakłady fryzjerskie. Powiedziano Claire, że w budynkach znajdujących się w bocznych uliczkach dalej można było napotkać palarnie opium. Często na ulicach leżały odchody, czasem nawet ludzkie, a w powietrzu unosił się ostry, dziwnie lepki zapach, który przywierał do skóry, ustępując dopiero po solidnym myciu. Można tu było spotkać ludzi wszelkiego autoramentu. Tutejsze kobiety nosiły małe dzieci na plecach w czymś w rodzaju nosidełek. Sikhowie na przykład służyli jako umundurowani ochroniarze - drzemali na drewnianych stołkach przed bankami - głowy w turbanach zwiślały im na piersi, strzelby

tkwiły luźno między kolanami. Hindusów naturalnie przywieźli tu Brytyjczycy. Pakistańczycy mieli sklepy z dywanami, Portugalczycy byli lekarzami, Żydzi prowadzili ферmy mleczne i zajmowali się innymi dużymi interesami. Nie brakowało tu także angielskich biznesmenów i amerykańskich bankierów, białych rosyjskich arystokratów i peruwiańskich przedsiębiorców - bywały w świecie i inteligentnych ludzi - no i oczywiście Chińczyków, zupełnie innych, jak jej powiedziano, niż ci z Chin.

Ku swojemu zdziwieniu - wbrew temu, co jej przepowiadała matka - Claire nie znienawidziła Hongkongu. Ruchliwe ulice wydały jej się ciekawe, całkowicie różne od tego, co zapamiętała z domu, pełne ludzi, sklepów i towarów, jakich nigdy wcześniej nie widziała. Lubiła próbować lokalnych wypieków, bułeczek z mango i żółtych tart jajecznych, a czasem nawet wypuszczała się poza centrum, gdzie szybko znajdowała się w zupełnie obcym otoczeniu jako często jedyna nie - Chinka. Na straganach piętrzyły się owoce, nie tylko pomarańcze i banany, w dalszym ciągu uważane za artykuły luksusowe w powojennej Anglii, ale także różne inne dziwne gatunki, które z czasem polubiła, takie jak karambole, duriany i liczi. Potrafiła kupić owoców za dolara i spacerując wolno wśród straganów, jeść je prosto z brązowej papierowej woskowanej torebki. Były też sklepiki z różnościami, zbite z byle jakiego drewna i pokryte blachą falistą: tu sprzedawano stemple, czyli gumowe pieczątki, jakich Chińczycy używali zamiast podpisów, tam dorabiano klucze, gdzie indziej znów wypożyczano krzesło - na pół dnia ulicznemu dentyście, na drugie pół golibrodzie. Miejscowi ludzie jadali w małych ulicznych restauracyjkach zwanych daipaidong - Claire widziała, jak trzech robotników w brudnych podkoszulkach i spodniach przykucnęło nad talerzem, na którym leżała cała ryba, i raczyło się nią, plując ośmi dokoła. Jeden z nich, widząc, że ich obserwuje, demonstracyjnie wydlubał rybnie oko, uniósł je z uśmiechem w jej stronę i zjadł.

Do tej pory Claire rzadko miała do czynienia z Chińczykami - spotykała ich zwykle w dużych angielskich miastach, gdzie przeważnie usługiwali w restauracjach albo zajmowali się prasowaniem odzieży. Tego typu ludzi w Hongkongu naturalnie nie brakowało, ale tym, co dziwiło tu Claire najbardziej, był widok zamożnych Chińczyków, którzy nie różnili się od Anglików niczym poza kolorem skóry. Prawdziwe wrażenie zrobił na niej Chińczyk,

który wysiadał z rolls - royce'a, kiedy czekała na stopniach hotelu Gloucester, a także widok skośnookich mężczyzn w garniturach jedzących lunch z Anglikami i rozmawiających z nimi jak równy z równym. Nie wiedziała dotychczas o istnieniu takich światów. I nagle, za sprawą Locket, została rzucona w jeden z nich.

Po upływie kilku miesięcy niezbędnych do zaaklimatyzowania się w nowym środowisku, znalezienia odpowiedniego mieszkania i urządzenia się w nim Claire rozpuściła wieści, że poszukuje pracy jako nauczycielka gry na pianinie - trochę dla zabicia czasu, jak to ujęła, ale w gruncie rzeczy dodatkowe pieniądze były im bardzo potrzebne. Na pianinie grała prawie całe życie, głównie jako samouk, ale nie sądziła, żeby to miało jakiegokolwiek znaczenie. Amelia, znajoma z kółka prowadzącego zajęcia z szycia, obiecała, że popyta.

Zadzwoiła kilka dni później.

- Jest taka chińska rodzina, Chenowie. Praktycznie wszystko w mieście należy do nich. Podobno szukają nauczycielki muzyki dla swojej córki i wolą, żeby to była Angielka. Co o tym sądzisz?

- Chińska rodzina? - zdziwiła się Claire. - Nie brałam tego pod uwagę. A czy nie wiesz o jakichś Anglikach?

- Nie - odparła Amelia. - O nikim takim nie słyszałam.

- Bo ja wiem... - Claire była niezdecydowana. - Czy nie uważasz, że to głupia sytuacja? - Nie wyobrażała sobie, że mogłaby uczyć muzyki Chinę. - A czy ona mówi po angielsku?

- Prawdopodobnie lepiej niż ty i ja - odparła zniecierpliwiona Amelia. - W każdym razie płacą bardzo przyzwoicie. - Wymieniła wysoką sumę.

- No cóż - odpowiedziała wolno Claire - nic nie szkodzi spróbować.

Victor i Melody Chenowie mieszkali na tak zwanych MidLevels w ogromnym białym piętrowym domu przy May Road. Prowadził do niego podjazd, wzdłuż którego stały po obu stronach donice z ozdobnymi roślinami. Wewnątrz panował cichy szum charakterystyczny dla dobrze zorganizowanego domu z liczną służbą. Claire przyjechała minibusem, ale po krótkim spacerze od przystanku była już zlane potem. Amah zaprowadziła ją do salonu, gdzie owiał ją strumień rozkosznie chłodnego powietrza od wentylatora. Służąca poprawiła zasłony, żeby zapewnić gościowi cień. Niebieska lniana spódnica Claire, dopiero co wyprasowana przez krawca, była

wymięta, a przezroczysta biała bluzka cała w plamach od potu. Claire poruszyła się, czując ściekający wzdłuż uda ciepły strumyk. Miała nadzieję, że Chenowie dadzą jej czas na doprowadzenie się do porządku.

Niestety. Nagle wyrosła w drzwiach pani Chen: nieduża elegancka kobieta z tacą drinków i przyciętymi równo włosami, tak że kołysały się w precyzyjnych geometrycznych ruchach.

Suknia bez rękawów w kolorze chłodnego różu ukazywała drobne ramiona; zwracał uwagę owal szczupłej twarzy.

- Dzień dobry! - zaszczębiotała pani domu. - Miło panią poznać. Locket już idzie.

- Locket? - zapytała niepewnie Claire.

- To moja córka. Właśnie wróciła ze szkoły i poszła się przebrać w coś lżejszego. Straszny upał, prawda? - Pani Chen postawiła na stole tacę z mrożoną herbatą w wysokich szklankach. - Proszę bardzo, może coś chłodnego do picia.

- Pani angielski jest wspaniały - powiedziała Claire, sięgając po napój.

- Naprawdę? - spytała Melody od niechcienia. - Cztery lata Wellesley zrobiło swoje.

- Pani była na uniwersytecie w Ameryce? - zdziwiła się Claire. Nie wiedziała, że Chińczycy jeżdżą na studia do Stanów.

- Bardzo mile wspominam ten pobyt - odparła Melody. - Z wyjątkiem koszmarnego, naprawdę koszmarnego jedzenia. Amerykanie uważają, że grillowana kanapka z serem to już posiłek. A my, Chińczycy, jak pani z pewnością zauważyła, traktujemy jedzenie bardzo poważnie.

- Czy Locket też będzie się kształciła w Ameryce?

- Jeszcze się z mężem nie zdecydowaliśmy, ale chciałabym z panią porozmawiać o pani wykształceniu - powiedziała Melody Chen.

- O - Claire była wyraźnie zaskoczona.

- Chodzi mi o to - ciągnęła uprzejmie pani domu - gdzie uczyła się pani muzyki i w ogóle.

Claire oparła się wygodnie.

- Przez wiele lat byłam pilną uczennicą pani Eloise Pollock w Susseksie i właśnie zamierzałam ubiegać się o przyjęcie do Konserwatorium Królewskiego, kiedy moja sytuacja rodzinna się zmieniła.

Pani Chen usiadła w pozie wyczekującej, z głową przechyloną na bok, z nogami skrzyżowanymi w cienkich pęcinach i kolanami skierowanymi w jedną stronę.

- I dlatego nie mogłam kontynuować nauki - wyjaśniła Claire. Czy miała się przed tą obcą osobą ze wszystkiego tłumaczyć? Ojca zwolniono z drukarni i przez koszarne dwa miesiące nie mógł znaleźć pracy, a potem został agentem ubezpieczeniowym. Jego zarobki były początkowo w najlepszym razie niesatysfakcjonujące - ojciec nie miał do tego talentu - więc o luksusach w rodzaju lekcji muzyki nie mogło być mowy. Pani Pollock - osoba bardzo życzliwa - ofiarowała się, że będzie dalej uczyła Claire za znacznie niższe honorarium, ale matka, wrażliwa i nadmiernie ambitna, nie chciała o tym nawet słyszeć.

- A jaki poziom nauki pani osiągnęła?

- Przygotowywałam się do egzaminów do siódmej klasy.

- Locket jest początkująca, ale traktujemy jej naukę bardzo poważnie i chcemy, żeby uczył ją poważny muzyk - oświadczyła pani Chen. - Moja córka powinna zdać wszystkie egzaminy z wyróżnieniem.

- Jeśli o mnie chodzi, to traktuję muzykę bardzo poważnie, a co do egzaminów Locket, to ich wyniki będą zależały od niej samej. Ja swoje zdawałam bardzo dobrze.

W tym momencie weszła czy raczej wpadła do salonu Locket. Przy małej, drobnej matce wydawała się korpulentna i pucołowata. Już teraz była tęższa od matki, a lśniące włosy nosiła związane w gruby koński ogon.

- Hej - powiedziała z wyraźnie brytyjskim akcentem.

- Locket, to jest pani Pendleton - wyjaśniła Melody, głaszcząc córką po policzku. - Może będzie cię uczyła muzyki. Musisz być bardzo grzeczna.

- Lubisz grę na fortepianie, Locket? - zapytała Claire zbyt wolno jak na rozmowę z dziesięcioletnią dziewczynką. Nie bardzo wiedziała, jak się obchodzić z dziećmi.

- Nie wiem... - odparła Locket. - Chyba tak.

- Locket! - wykrzyknęła matka. - Przecież mówiłaś, że chcesz się uczyć. Dlatego kupiliśmy ci nowego steinwaya.

- Locket to bardzo ładne imię - zauważyła Claire. - Skąd się ono wzięło?

- Nie wiem. - Locket sięgnęła po szklanę mrożonej herbaty. Strumyczek napoju pociekł jej po brodzie. Matka wzięła serwetkę ze srebrnej tacy i wytarła córce buzię.

- Czy pan Chen jest spodziewany wkrótce w domu? - zapytała Claire.

- Victor!?! - roześmiała się Melody. - On jest zbyt zapracowany, żeby zajmować się takimi domowymi sprawami. Wiecznie zaharowany.

- Rozumiem - odparła Claire, nie bardzo wiedząc, co dalej.

- A może by nam pani coś zagrała? - zaproponowała Melody. - Kupiliśmy instrument i byłoby miło posłuchać, jak ktoś gra na nim profesjonalnie.

- Oczywiście - zgodziła się Claire, nie znajdując innych słów. W tonie Melody było coś, co sprawiło, że poczuła się potraktowana jak zwykła artystka estradowa, ale nie wiedziała, jak się grzecznie wykręcić.

Zagrała prostą etiudę, która Melody wyraźnie się spodobała, a przez którą Locket jakoś się przemęczyła.

- Myślę, że będzie dobrze - orzekła pani Chen. - Czy jest pani wolna w czwartki?

Claire się zawahała. Nie była zdecydowana, czy przyjąć tę posadę.

- Mówię o czwartku - wyjaśniła Melody - bo w inne dni Locket ma lekcje.

- W porządku - odparła Claire. - Niech będzie czwartek.

Matka Locket, pani Chen, była typową kobietą z Hongkongu. Claire widywała takie kobiety, roześmiane i plotkujące podczas lunchu w Chez Henri. Nazywano je taitai i można je było zobaczyć, jak przymierzały modne ciuchy w eleganckich butikach lub wsiadały do swoich limuzyn z szoferami. Czasem pani Chen przychodziła do domu, kładła na ramieniu swojej córki szczupłą uperfumowaną dłoń i śpiewnym głosem komentowała jej grę. I wtedy Claire, żeby nie wiadomo jak chciała, nie mogła się oprzeć myśli: Wy, Chińczycy, topicie swoje córki! Była to jedna z prawd o Chińczykach, jakiej dowiedziała się od matki: że ci ludzie to prawie zwierzęta i że topią swoje córki, ponieważ wolą synów. Kiedyś pani Chen wspomniała o przyjęciu w Jockey Clubie, na które wybierali się z mężem. Była wystrojona w zwiewną czarną suknię i miała usta umalowane bardzo

czerwoną szminką. Zupełnie nie przypominała zwierzęcia. Bruce Comstock, szef Zarządu Gospodarki Wodnej, wraz z żoną zabrali kiedyś do klubu Martina i Claire. Pili różowy gin i oglądali wyścigi konne, podczas których trybuny były pełne krzyczących graczy.

A oto co się wydarzyło w tygodniu poprzedzającym historię z króliczkiem z Herend: kiedy po skończonej lekcji Claire zabierała się do wyjścia, a na mahoniowym zegarze szafkowym, ozdobionym obficie chińskimi inkrustacjami z macicy perłowej, wybiła piąta, do pokoju weszli Melody i Victor Chenowie. Byli drobni i ze swoją lśniąca skórą i czarnymi jak węgle oczami przypominali porcelanowe figurynki.

- O, już do domu? - zapytał cierpko pan Chen. Był ubrany szykownie, w granatowy garnitur w prążki, z ledwie wystającą bordową chusteczką w kłapie. - Dopiero teraz jest punkt piąta! - Jego angielszczyzna była naznaczona leciutkim chińskim akcentem.

Claire się zaczerwieniła.

- Przyszłam dziś wcześniej. Chyba za dziesięć czwarta - broniła się. Była dumna ze swojej punktualności.

- Niech się pani nie przejmuję - wtrąciła pani Chen - Victor się po prostu z panią droczy. Daj spokój! - Trzepnęła męża drobną rączką.

- W każdym razie - tłumaczyła się Claire - spędziłyśmy z Locket tę godzinę bardzo produktywnie. - Dziewczynka wysunęła się zza fortepianu i przytuliła do ojca.

- Cześć, tato - powiedziała speszona. Wyglądała dziecinnie jak na swoje dziesięć lat.

Ojciec poklepał ją po ramieniu.

- Jak się miewa mój mały Rachmaninow? - Uszczęśliwiona Locket zachichotała.

Pani Chen postukiwała wysokimi obcasami, kręcąc się po pokoju.

- Pani Pendleton - zwróciła się do Claire - czy nie zechciałaby pani przyłączyć się do nas na drinka? - Miała na sobie kostium jak z żurnala. Niemal z całą pewnością był to oryginał z Paryża. Żakiet ze złocistego jedwabiu zapięty z przodu elegancko na guziki, a do tego żółta mieniąca się, zwiewna spódnica.

- Och, nie, dziękuję - odparła Claire. - To bardzo miło z pani strony, ale muszę wracać do domu i przygotować kolację.

- Ale naprawdę bardzo prosimy - nalegał pan Chen. - Musi mi pani coś powiedzieć o moim małym geniuszu muzycznym. - Ton jego głosu nie dopuszczał sprzeciwu.

W living roomie stała duża pluszowa kanapa, kilka tapicerowanych krzeseł krytych czerwonym jedwabiem i dwa czarne lakierowane stoliki do kompletu. Claire usiadła w fotelu, który okazał się dużo bardziej śliski, niż na to wyglądał. Zapadła się w nim zbyt głęboko i musiała niezdarnie wydobywać się z dołka, by w efekcie niezbyt pewnie przysiąść na samym brzegu. Na wszelki wypadek podparła się rękami.

- Jak się pani podoba Hongkong? - zapytał pan Chen. Melody poszła do kuchni powiedzieć amah, żeby przyniosła drinki.

- Podoba mi się, owszem, mimo całej swojej odmienności to wielka przygoda. - Uśmiechnęła się do niego. Pan domu był zadbanym mężczyzną, miał na sobie nienagannie wyprasowany garnitur i czarno - czerwony jedwabny krawat. Nad nim na ścianie wisiał olejny obraz przedstawiający Chińczyka w narodowym stroju i czarnej czapeczce na głowie. - Co za ciekawy obraz - zauważyła.

Pan Chen spojrział w górę.

- A, ten. To dziadek Melody. Miał w Szanghaju wielką fabrykę farb, był znanym człowiekiem.

- Farb? - zdziwiła się Claire. - To bardzo interesujące.

- Tak, a jej ojciec założył Pierwszy Bank Szanghaju i odniósł wielki sukces. Melody pochodzi z rodziny przedsiębiorców. Byli to ludzie dobrze wykształceni na Zachodzie, w Anglii i w Ameryce.

Wróciła pani Chen. Zdjęła żakiet i została w perłowej bluzce.

- Co będziesz piła, Claire? - zapytała.

- Poproszę tylko wodę sodową, jeśli można - odparła Claire.

- A ja sherry - powiedział pan Chen.

- Wiem, wiem - zapewniła męża Melody i znów wyszła.

- A pani mąż? - zagadnął gospodarz. - Pracuje w banku?

- Mój mąż pracuje w Zarządzie Gospodarki Wodnej - odparła. - Jako dyrektor budowy nowego zbiornika.

- O, to bardzo dobrze. Woda jest ważna - skomentował tę informację od niechcienia pan Chen. - Anglicy szczęśliwie dbają o to, żebyśmy ją mieli w kranach, kiedy zajdzie potrzeba. - Usiadł wygodnie i założył nogę na nogę. - Tęsknię za Anglią - wyznał nagle.

- Długo pan tam był? - spytała grzecznie Claire.

- Studiowałem w Balliol - odparł, powiewając krawatem w jej stronę. Najwyraźniej był to krawat jego college'u. Claire odniosła wrażenie, że pan Chen tylko czekał na stosowny moment, żeby móc jej to zakomunikować. - Melody z kolei kończyła Wellesley, jesteśmy więc produktami dwóch różnych systemów. Ja bronię Anglii; Melody jest wielbicieleką Stanów.

- Rozumiem - bąknęła pod nosem Claire.

Wróciła pani Chen i usiadła koło męża. Po chwili weszła amah i wręczyła Claire serwetkę w niebieskie chabry.

- Jaka śliczna! - Claire zachwyciła się haftem.

- To z Irlandii - wyjaśniła pani Chen. - Właśnie je dostałam.

- A ja kupiłam piękne chińskie serwetki w China Emporium - powiedziała Claire. - Śliczne ręcznie robione koronki.

- W porównaniu z irlandzkim haftem to prymityw - obruszyła się pani Chen.

Pan Chen spojrzał na żonę rozbawiony.

- Oj, kobiety, kobiety! - zwrócił się do nauczycielki muzyki. Pokojówka wniosła tacę z drinkami. Claire popijała wodę, czując w ustach bąbelki gazu.

- Komuniści to wielkie zagrożenie - powiedziała. Często słyszała to na różnego rodzaju zebraniach towarzyskich.

Pan Chen się roześmiał.

- Oczywiście! Ale co pani i Melody możecie w tej sprawie zrobić?

- Daj spokój, kochanie. Przestań prowokować - zwróciła mu uwagę żona, popijając drinka.

- A ty co pijesz, kochanie?

- Taki tam koktajl. Miałam dziś ciężki dzień. - Ton pani Chen wydawał się lekko agresywny.

Zaległa cisza.

- Locket jest pilną uczennicą - przerwała jej Claire - ale musi więcej ćwiczyć.

- To nie jej wina - ujęła się za córką pani Chen. - Za mało jestem w domu, żeby jej dopilnować.

- Och, wszystko będzie w porządku - roześmiał się pan Chen. - Jestem przekonany, że Locket wie, co robi.

Claire skinęła głową. Wszyscy rodzice są tacy sami. Kiedy będzie miała swoje dzieci, na pewno dołoży wszelkich starań, żeby ich nie rozpieszczać. Odstawiła szklanę.

- Muszę już iść - powiedziała. - Po piątej trudno o miejsce siedzące w autobusie.

- Koniecznie musi pani iść? - zapytała pani Chen. - Pai zaraz przyniesie ciasteczka.

- Och, nie, dziękuję. Na mnie już czas.

- Truesdale odwiezie panią do domu - zaproponował pan Chen.

- Dziękuję bardzo, nie chcę sprawiać kłopotu.

- Zna go pani? - zapytał Victor Chen. - To Anglik.

- Nie miałam przyjemności go poznać.

- Hongkong jest bardzo mały - powiedział pan Chen - co bywa czasem męczące.

- Dla Truesdale'a to żaden kłopot - wtrąciła się Melody. - I tak będzie jechał do domu. Gdzie pani mieszka?

- Przy Happy Valley. - Claire poczuła się przyciśnięta do muru.

- O, to po drodze! - wykrzyknęła pani Chen zachwycona zbiegiem okoliczności. - Sprawa załatwiona. - Wezwała Pai w języku kantońskim i poleciła jej poprosić szofera.

- Chiński to bardzo intrygujący język - zauważyła Claire. - Mam nadzieję, że podczas naszego pobytu tutaj uda mi się trochę go liznąć.

Pan Chen uniósł brew.

- Kantoński - powiedział - jest bardzo trudny. Na jeden dźwięk przypada dziewięć różnych tonów. Jest znacznie trudniejszy od angielskiego. Angielskiego na poziomie podstawowym nauczyłem się w rok, ale jestem przekonany, że ani kantońskiego, ani mandaryńskiego, ani szanghajskiego nie nauczyłbym się i w dwa lata.

- No cóż - odparła rezolutnie Claire. - Człowiek ma zawsze nadzieję.

Weszła Pai i powiedziała coś po kantońsku. Pani Chen skinęła głową.

- Przykro mi, ale kierowca już wyszedł.

- Nic się nie stało, pojedę autobusem.

Widząc, że Claire zbiera się do wyjścia, pan Chen wstał.

- Miło było panią poznać.

- Mnie też było miło. - Wychodząc, Claire czuła na plecach spojrzenia gospodarzy.

W domu zastała Martina, który zdążył wrócić przed nią.

- Hej - powitał ją. - Co tak późno? - Miał na sobie podkoszulek i weekendowe spodnie poplamione i wyświecone na kolanach. W ręku trzymał drinka.

Claire zdjęła zakiet i nastawiła wodę w czajniku.

- Byłam dziś u Chenów - wyjaśniła. - Rodzice Locket zaprosili mnie na drinka.

- Victor Chen? - Ta informacja najwyraźniej zaskoczyła Martina.
- To gruba ryba.

- Też odniosłam takie wrażenie - odparła Claire - że to jest ktoś. Zupełnie nie jak Chińczyk.

- Nie powinnaś się tak wyrażać, Claire - zwrócił jej uwagę mąż. - To staroświeckie i trochę obraźliwe.

Claire się zaczerwieniła.

- Ja nigdy... - urwała - nigdy dotychczas nie znałam takich Chińczyków.

- Jesteś w Hongkongu - podkreślił, starając się nie być nieuprzejmy. - Tu możesz spotkać różnych Chińczyków.

- Gdzie jest amah? - zapytała Claire, zmieniając temat, po czym zawołała służącą.

Z głębi mieszkania wyłoniła się Yu Ling.

- Czy mogłabyś zająć się obiadem? - spytała Claire. - Kupiłam na targu mięso.

Yu Ling patrzyła na swoją panią beznamiętnie. Peszyło to Claire, jednakże nie potrafiła zdobyć się na to, żeby ją wyrzucić. Zastanawiała się, jak sobie z tym radzą inne kobiety - miała wrażenie, że odnoszą się do służby z niewymuszoną swobodą, która jej wydawała się czymś niezwykłym i nieosiągalnym. Niektóre z nich nawet żartowały ze swoimi pokojówkami, traktując je jak członków rodziny, co wskazywało na wpływy amerykańskie. Na przykład Cecilia, przyjaciółka Claire, kazała swojej amah czesać sobie na noc włosy, podczas gdy sama, siedząc przed toaletką, nakładała krem na twarz. Claire wręczyła Yu Ling mięso, które kupiła, wracając do domu.

Po wydaniu dyspozycji służącej położyła się na łóżku z zimnym kompresem na czole. W jaki sposób znalazła się w tym małym mieszkanku na drugim końcu świata? Przypomniało jej się własne spokojne dzieciństwo angielskiej jedynaczki, kiedy to siadywała u

boku matki, która pracowicie reperowała garderobę, i słuchała jej opowieści. Matka była rozgoryczona losem, jaki jej przypadł w udziale, skromną egzystencją i mężem, który za dużo popijał, być może właśnie z tego powodu. Claire nie wyobrażała sobie innego życia. Ale ślub z Martinem przewrócił wszystko do góry nogami, wszystko zmienił.

Jednakże chodzi o to, że w Hongkongu ona się zmieniła. Coś w tropikalnym klimacie tego miasta sprawiło, że jakby dojrzała, że w jej wyglądzie zapanowała harmonia. Podczas gdy inne Angielki więdły w upale, ona rozkwitała jak kwiat cieplarniany. Włosy, wyblakłe w słońcu, nabrały prawdziwie złocistej barwy, a że Claire pocila się z lekka, jej skóra nie robiła wrażenia wysuszonej - przeciwnie, była jakby soczysta od rosy. Zeszczupiała, jej ciało zrobiło się jędrne i zwarte, a oczy, błękitne jak bławatki, nabrały blasku. Nawet Martin zwrócił uwagę, że upał żonie służy. Stwierdziła, że kiedy jest u Gripessa czy na przyjęciu, mężczyźni gapią się na nią dłużej, niż wypada, że podchodzą, żeby porozmawiać, a czasem niby od niechcenia dotykają jej pleców. Nauczyła się prowadzić rozmowy na przyjęciach i bez tremy zamawiać dania w restauracjach. Poczula się wreszcie kobietą, a nie dziewczyną, którą była, wyjeżdżając z Anglii. Cieszyła się swoją kobiecością.

I nagle, w następnym tygodniu, po lekcji z Locket, porcelanowy królik wpadł jej do torebki.

A tydzień po króliku zadzwonił podczas lekcji telefon i Locket, rada z każdego pretekstu, żeby przerwać preludium, które właśnie mordowała, pobiegła go odebrać. Kiedy gadała z przyjaciółką, wzrok Claire padł na leżący na krześle jedwabny szalik. Był piękny, we wzory, do wiązania na szyi. Włożyła go do torebki i zaraz potem spłynął na nią jakiś cudowny spokój. Kiedy Locket wróciła, burknąwszy jedynie pod nosem: „Przepraszam, pani Pendleton”, Claire zamiast dać jej reprimendę, uśmiechnęła się rozanielona. Po powrocie do domu zamknęła się w sypialni i wyjęła swoją zdobycz. Szalik był od Hermesa, z Paryża, w zebry i lwy w żywych pomarańczowo - brązowych kolorach. Zaczęła go przymierzać, wiążąc na szyi i na głowie jak pełna fantazji bogaczka. Poczula się kimś bardzo wytwornym.

W następnym miesiącu, po rozmowie z panią Chen, która powiedziała, że wszystkie co cenniejsze rzeczy posyła do prania do

Singapuru, bo „tutejsze dziewczyny nie potrafią tego dobrze robić, co oczywiście oznacza, że muszę mieć trzy razy więcej bielizny, ale to żaden problem”, Claire wyniosła w kieszeni spódnicy dwie śliczne irlandzkie serwetki. Kazała Yu Ling wyprać je ręcznie i uprasować, tak żeby mogły służyć jej i Martinowi do obiadu. Po serwetkach w tej samej kieszeni znalazły się trzy francuskie żółwie cloisonne - kiedy Locket nagle wyszła do łazienki, tak jakby nie mogła tej sprawy załatwić przed jej przyjściem! A kiedy Claire przechodziła przez jadalnię, wskoczyły do jej torebki srebrne solniczka i pieprzniczka. Do tego jeszcze pozostawiony w living roomie wytworny flakonik perfum z Murano - pewnie Melody po drodze na jakąś wieczorną galę chciała się jeszcze w ostatniej chwili spryskać - w dyskretny sposób trafił do kieszeni płaszcza Claire.

Pewnego popołudnia, wychodząc od Chenów, usłyszała, że Victor rozmawia głośno w swoim gabinecie przez telefon. Drzwi były uchylone.

- To cholerni Anglicy - powiedział, po czym przeszedł na kantoński. I dalej: „nie możemy im pozwolić”. - Po tych słowach rzucił chyba przekleństwa w jakimś niezrozumiałym języku. - Chcą dla swoich celów wywołać niepokoje, wyciągając trupy z szafy, gdzie jest ich miejsce. Ale przede wszystkim Kolekcja Korony wcale do nich nie należy. To nasza historia, nasze dziedzictwo, które sobie po prostu przywłaszczyli. Ciekaw jestem, co by powiedzieli, gdyby tak chińscy archeologowie przyjechali dawno temu do ich kraju i powywozili ich skarby kultury? To naprawdę oburzające. Zapewniam cię, że za tym wszystkim stoi Downing Street. W tej chwili nie ma takiej potrzeby. - Victor Chen był bardzo podniecony i Claire przystanąła pod drzwiami, wstrzymując oddech, w oczekiwaniu na dalszy ciąg. Stała tak długo, aż nadeszła Pai, obrzucając ją pytającym spojrzeniem. Claire udawała wprawdzie, że przygląda się wiszącemu w korytarzu obrazowi, ale idąc do wyjścia, czuła na plecach wzrok służącej.

Kiedy dwa tygodnie później Claire przyszła na lekcję, zamiast Pai otworzyła jej jakąś inna dziewczyna.

- To jest Su Mei - przedstawiła ją Locket. - Pochodzi z Chin, ze wsi. Nie ma żadnej rodziny. Czy pani się czegoś napije?

Nowa dziewczyna była drobna i ciemna i byłaby nawet ładna, gdyby nie wielkie czarne znamię na prawym policzku. Cały czas miała wzrok wbity w ziemię.

- Rodzina jej nie chciała, bo z powodu tego znamienia nie wydaliby jej za mąż. To bardzo zły znak.

- Mama ci to powiedziała? - zapytała Claire.

- Tak. - Locket się zawahała. - Słyszałam, jak mówiła to komuś przez telefon. Powiedziała, że dostała ją z tego powodu bardzo tanio. Su Mei nie ma o niczym pojęcia! Chciała iść się załatwić w krzaki, więc Ah Wing ją zbiła i powiedziała jej, że jest jak zwierzę. Su Mei nie wie, co to kran. Nigdy nie miała bieżącej wody!

- Poproszę o sok z lemonki, jeśli jest. - Claire próbowała zmienić temat.

Locket powiedziała coś szybko do dziewczyny, która bez słowa wyszła z pokoju.

- Pai nas okradała - oznajmiła z szeroko otwartymi oczami, w poczuciu wielkiego skandalu. - Dlatego mama ją wyrzuciła. Pai bardzo płakała i waliła pięściami w podłogę, ale mama powiedziała, że jest histeryczką. Dała jej w twarz, żeby się uspokoiła. Pan Wong musiał ją wynieść. Przerzucił ją sobie przez ramię jak worek kartofli, a ona waliła go pięściami po plecach

- Och! - Claire nie zdążyła stłumić okrzyku. Locket spojrzała na nią z zaciekawioną.

- Mama mówi, że cała służba kradnie.

- Tak mówi? To okropne, Locket, ale nie jestem pewna, czy to prawda. - Przypomniało jej się, jak Pai na nią patrzyła, kiedy się spotkały w korytarzu. Poczowała ucisk w piersi. - Dokąd poszła, nie wiesz? - zapytała.

- Nie mam pojęcia - odparła wesoło Locket. - Mała szkoda.

Claire wpatrywała się w spokojną twarz dziewczynki, nienaznaczoną wyrzutami sumienia.

- Muszą być jakieś schroniska dla takich ludzi jak ona, jakieś miejsca... - Głos Claire się załamał. - Chyba nie poszła na ulicę? Czy ma w Hongkongu jakąś rodzinę?

- A skąd ja mogę wiedzieć?

- Jak to skąd? Przecież u was mieszkała!

- Była służącą, pani Pendleton. - Locket przyglądała jej się z zaciekawieniem. - A pani coś wie o swojej służbie?

Claire zamilkła ze wstydu. Zrobiła się czerwona.

- Dość już tego - powiedziała. - Ćwiczyłaś gamy? Locket zaczęła bębnić w klawisze. Claire wpatrywała się w jej grube palce, starając się nie mrugać, żeby powstrzymać cisnące jej się do oczu łzy.

Czerwiec 1941

Zaczyna się mniej więcej tak. Jej melodyjny śmiech na przyjęciu dyplomatycznym. Rozlany drink. Zmoczona sukienka i spiesznie zaoferowana chusteczka. Jest smukłym chartem wśród nich - tłustych wrzaskliwych kobiet pewnej klasy. Nie ma ochoty jej bliżej poznawać, jest podejrzliwy w stosunku do takich jak ona - z wierzchu szyfony i szampan, a pod spodem pustka - ale potrafiła jego kieliszek, oblewając sobie jedwabną sukienkę („O, proszę, znów. Jestem największą niezdara w całym Hongkongu”), w wyniku czego anektuje go, kazując się odprowadzić do łazienki i bombardując po drodze pytaniami.

Jest sławna; jej rodzice to znana para: matka - portugalska piękność, ojciec - szanghajski milioner, który zrobił majątek na handlu i pożyczaniu pieniędzy.

- Wreszcie ktoś nowy! Od razu widać. Od lat nic tylko te stare babska. My, w naszej maleńkiej społeczności, jesteśmy sobą tak śmiertelnie znudzeni, że bezbłędnie wyczuwamy świeżą krew. Można powiedzieć, że wyczekujemy w porcie i dosłownie wyciągamy ze statków nowych ludzi. Pan dopiero co przyjechał, tak? Ma pan już pracę? - pyta, sadzając go na brzegu wanny i poprawiając sobie szminkę. - Dla przyjemności czy dla pieniędzy?

- Pracuję w Asiatic Petrol - wyjaśnia mężczyzna, obawiając się, że zostanie zaszeregowany jako zabawowy przybysz. - A tam oczywiście chodzi o pieniądze. - Chociaż nie jest to tak całkiem prawda. Ma bogatą matkę.

- Wspaniale! - mówi kobieta. - Mam już serdecznie dość tych wszystkich nadętych facetów. Nie mają ani wiedzy, ani ambicji.

- To oczywiste, że ludziom bez jakichkolwiek oczekiwań brak jednego i drugiego.

- Czy nie jest pan gburowatym gburem? W każdym razie głupotę łatwiej wybaczyć biednemu, nie uważa pan? - Przerywa, jakby chciała mu dać chwilę do namysłu. - Pana nazwisko? Ciekawe skąd pan zna Trotterów?

- Jestem Will Truesdale i gram z Hugh w krykieta. Hugh zna część mojej rodziny ze strony matki - wyjaśnia. - Jestem nowy w Hongkongu, a on zachował się wobec mnie bardzo przyzwoicie.

- Hmm. Znam Hugh od dziesięciu lat, ale nigdy nie posądzałam go o to, że może być przyzwoity. Podoba się panu Hongkong?

- Na razie może być. Zszedłem ze statku, zdecydowałem się zostać i załatwiłem sobie pracę. Wydaje się tu całkiem przyjemnie.

- O, poszukiwacz przygód, to fascynujące - stwierdza bez odrobiny zainteresowania, a następnie kończy swoje ablucje, zamyka wieczorową torebkę i ujmując go mocno za nadgarstek, „wytańcowuje” z nim - trudno to nazwać inaczej, muzyka wydaje się towarzyszyć jej wszędzie - z łazienki.

Mając świadomość, że obnosi się z nim po sali jak z ulubionym pudelkiem, Will Truesdale przeprosza i oznajmia, że idzie do ogrodu zapalić. Ale spokój nie jest mu sądzony, nowa znajoma znajduje go tam, prosi o ogień i nachyla się do niego konfidencjonalnie.

- Niech pan mi powie - mówi - dlaczego wasze kobiety robią się po ślubie takie grube? Gdybym była Anglikiem i młoda ładna dziewczyna, której się oświadczyłam, roztyłaby się po kilku miesiącach małżeństwa albo po urodzeniu dziecka, czułabym się bardzo zawiedziona. Wie pan, o czym mówię? - Wydmuchuje dym w kierunku pociemniałego nieba.

- Nie mam pojęcia - odpowiada ubawiony wbrew woli.

- Nie jestem taka kapryśna, jak myślisz. Bardzo mi się podobasz. Zadzwoń do ciebie jutro i coś wspólnie zaplanujemy. - Z tymi słowami - ciągnąc za sobą smugę dymu i powabu - znika w domu zdecydowanie przeciwnych paleniu gospodarzy przyjęcia. Hugh nienawidzi zapachu papierosów.

W ciągu następnej godziny Will widzi ją, jak rozplotkowana przechodzi od grupki do grupki gości. Przyćmiewa kobiety, olśniewa mężczyzn.

Następnego dnia w jego gabinecie dzwoni telefon. Właśnie opowiadał Simondsowi o przyjęciu.

- Ona jest Eurazjatką, wiesz? - mówi Simonds. - To może nie jest tak źle widziane jak spotykanie się z Chinkami, ale uważaj, bo szefowie nie lubią, żeby się zbyt bratać z miejscowymi.

- To oburzające - rzuca Will. Do tej pory lubił Simondsa.

- Wiesz, jak to jest - ciągnie Simonds. - Z Banku Hongkongu każą ci odejść, jeśli się ożenisz z Chinką. Ale ta wygląda na coś lepszego niż taka zwykła miejscowa dziewczyna, co prowadzi sklepik z makaronem.

- Bo ona jest inna - oznajmiła Will. - Ale to nie ma żadnego znaczenia - dodaje, odbierając telefon. - Nie zamierzam się z nią żenić.

- Cześć, kochanie, tu Trudy Liang. Z kim nie zamierzasz się żenić?

- Z nikim - śmieje się Will.

- To byłaby szybka sprawa.

- Nawet dla ciebie?

- Czy to nie szokujące, że na wczorajszym przyjęciu było tyle kobiet? - mówi Trudy, ignorując go całkowicie. Kobiet z kolonii miało nie być, gdyż wobec szykującej się wojny w tym małym zakątku świata postanowiono ewakuować je w bezpieczne miejsca. - Ja jestem niezbędna... jako pielęgniarzka z Pomocniczej Służby Pielęgniarskiej! - Jedynym warunkiem, pod jakim kobiety mogły zostać, było zaciągnięcie się do jednej z takich niezbędnych służb.

- Żadna z pielęgniarek, jakie do tej pory widziałem, nie przypominała ciebie.

- Gdybyś został ranny, nie chciałbyś mnie jako pielęgniarzki, możesz mi wierzyć. - Trudy robi pauzę. - Po południu będę na wyścigach, w łoży Wongów. Może byś do nas dołączył?

- Wongów? - pyta Will.

- Tak, to moi chrzestni rodzice - wyjaśnia lekko zniecierpliwiona Trudy. - Będiesz czy nie?

- Będę - odpowiada Will. Jest to pierwsza z długiej listy jego kapitulacji.

Will toruje sobie drogę przez zatłoczony klub, kierując się na koronę trybun, gdzie znajdują się łoże pełne rozgadanych ludzi w żakietach i jedwabnych sukniach. Wchodzi do łoży numer dwadzieścia osiem i Trudy natychmiast go zauważa, rzuca się do niego i wszystkim go przedstawia. Są Chińczycy z Peru, Polacy z Tokio, Francuz ożeniony z Rosjanką z carskiej rodziny. Mówi się po angielsku. Trudy ciągnie go na stronę.

- Och, jesteś tak przystojny, jak cię zapamiętałam - mówi. - Boję się, że mogę mieć kłopoty. Założę się, że nigdy nie miałeś problemów z kobietami. A może, przeciwnie, zbyt wiele. - Robi pauzę i w teatralny sposób wciąga powietrze. - Zaraz ci naszkicuję plan sytuacyjny. To jest mój kuzyn Dommie. - Wskazuje na szczupłego eleganckiego Chińczyka ze złotym zegarkiem kieszonkowym w ręce.

- I zarazem mój najlepszy przyjaciel. Jest bardzo zaborczy, więc radzę ci uważać. A jej unikaj jak ognia - dodaje, wskazując na drobną Europejkę w okularach. - To koszmarna baba. Ze dwadzieścia minut zanudzała mnie jakąś niesamowitą opowieścią o szczekającym jeleniu na Lamma Island.

- Naprawdę? - Will patrzy na owal jej twarzy i na wielkie złocistozielone oczy.

- A ten - ciągnie Trudy, wskazując na eleganckiego Anglika - to też koszmarny nudziarz, podobno jakiś historyk sztuki. W kółko opowiada o Kolekcji Korony; podobno większość kolonii ją ma. Albo pozyskuj ą eksponaty lokalnie, albo przywożą z Anglii do różnych budynków publicznych... chodzi o dzieła sztuki, rzeźby i tym podobne. Wygląda na to, że kolekcja Hongkongu jest szczególnie cenna i facet się martwi, co będzie, jak wybuchnie wojna. - Trudy robi minę. - A do tego to jeszcze bigot.

Szuka wzrokiem innych gości; jej oczy się zwężają.

- A to mój drugi kuzyn, to znaczy kuzyn przez małżeństwo. - Trudy wskazuje krępego Chińczyka w dwurzędowym garniturze. - To Victor Chen. Uważa się za kogoś bardzo ważnego. Ale dla mnie jest okropny. Ożenił się z moją kuzynką Melody, która była bardzo miła, dopóki go nie poznała. Bo teraz... - Trudy zawiesza głos i nie kończy. - A zresztą, co za plotkara ze mnie - dodaje. - Ciągnie Willa do pierwszego rzędu łoży, gdzie zarezerwowała dwa najlepsze miejsca. Obserwują wyścigi. Trudy wygrywa tysiąc dolarów i piszczy z radości. Upiera się, że rozda wszystko kelnerom, służbie łazienkowej, małej dziewczynce, którą spotykają, wychodząc. - To w żadnym razie nie jest miejsce dla dzieci, nie uważasz? - mówi z dezaprobatą. Później dopiero wyznaje, że praktycznie wychowała się na torach wyścigowych.

Jej prawdziwe imię brzmi Prudence (Prudence - ang. rozwaga.). Trudy pojawiło się później, kiedy się okazało, że imię, jakie jej nadano, jest zupełnie niestosowne dla małego szprynca, który terroryzował służbę i czarował kelnerów, żeby mu dawali zakazane napoje gazowane i kostki cukru.

- Możesz mnie nazywać Prudence - proponuje Trudy. Długimi rękami oplata jego ramiona; zewsząd dochodzi jej jaśminowy zapach.

- Chyba jednak z tej możliwości nie skorzystam - odpowiada Will.

- Jestem piekielnie silna - szepcze Trudy. - Mam nadzieję, że cię nie zniszczę.

Will kwituje to śmiechem.

- O to się nie martw - odpowiada. Ale później zaczyna się nad tym zastanawiać.

Większość weekendów spędzają w dużym domu jej ojca w Shek O, gdzie zasuszeni służący przynoszą im wiadra lodu i lemoniadę, którą mieszają z ginem Plymouth, a także talerze słonych krewetkowych krakersów. Trudy leży na słońcu w ogromnym miękkim kapeluszu, twierdząc, że opalenizna jest wulgarna, niezależnie od tego, co na ten temat sądzi Coco Chanel.

- Ale lubię czuć na sobie słońce - mówi, nadstawiając się do pocałunku.

Dom Liangów leży na cyplu, z widokiem na spokojne morze. Służba trzyma kury, żeby nie zabrakło świeżych jajek - naturalnie daleko od domu, ze względu na smród - i trochę przełyśnialego, ale w dalszym ciągu wojowniczego pawia, który przechadza się po ogrodzie, podkreślając swoje prawa wobec wszystkich intruzów, z wyjątkiem należącego do dozorczy doga, z którym zawarł pakt dwustronny. Ojca Trudy nigdy nie ma; przebywa głównie w Makao, gdzie ma podobno największy dom przy Praia Grande i chińską kochankę. Dlaczego się z nią nie ożeni, nie wie nikt. Matka Trudy zniknęła, kiedy córka miała osiem lat - była to słynna sprawa, która nigdy nie została rozwiązana. Ostatni raz widziano ją, jak wsiadała do samochodu przed hotelem Gloucester. I to się Willowi w Trudy najbardziej podoba: że mając życie pełne znaków zapytania, nigdy nie pyta o jego przeszłość.

Trudy ma budowę dziecka - wąskie biodra i małe stópki. Jest płaska jak deska, a jej piersi nie przypominają nawet pączków.

Ramiona ma szczupłe jak ręce w nadgarstkach, włosy błyszczące w kolorze przydymionego brązu, proste, do ramion, ciemne oczy szeroko rozstawione, zachodnie, z fałdą na powiece, podkreślone czarną kreską. Nosi obcisłe sukienki, czasem qipao, dopasowane tuniki, wąskie spodnie i zawsze płaskie jedwabne pantofelki. Używa złotej albo brązowej szminki i nie przypomina innych kobiet bywających na przyjęciach - z ich kwiecistymi zwiewnymi spódnicami, starannie uczesanymi, skręconymi trwałą włosami i czerwoną pomadką. Nienawidzi komplementów; kiedy jej mówią, że

jest piękna, odpowiada natychmiast: „Ale mam wąsy!”. I rzeczywiście ma - delikatny złoty puch widoczny tylko w słońcu. Pełno jest o niej w gazetach, chociaż, jak twierdzi, bardziej z powodu ojca niż jej urody.

- W tych sprawach Hongkong jest bardzo praktyczny. Bogactwo potrafi uczynić kobietę piękną - utrzymuje. Często bywa jedyną Chinką na przyjęciach, chociaż zapewnia, że nie jest prawdziwą Chinką... że nie jest niczym prawdziwym. Będąc jednak zarazem wszystkim, bywa przez wszystkich zapraszana. Cercle Sportif Française, American Country Club, Deutsche Garten Club... wszędzie tam jest mile widzianym gościem, a nawet honorowym członkiem.

Najlepszy przyjaciel Trudy to jej kuzyn Dommie, Dominick Wong, ten od wyścigów konnych. Spotykają się co niedziela wieczorem na kolacji w restauracji Gripps i plotkują na temat tego, co się wydarzyło na różnych przyjęciach podczas weekendu. Razem się wychowywali. Jej ojciec i jego matka byli kuzynami. Do Willa zaczyna docierać, że wszyscy w Hongkongu są jakoś ze sobą w ten czy inny sposób spowinowaceni, to znaczy wszyscy, którzy się liczą. Victora Chena, drugiego kuzyna Trudy, ciągle jest pełno w gazetach z powodu jego poczynań biznesowych, to znów on i jego żona Melody uśmiechają się na fotografiach w rubrykach towarzyskich.

Dominick jest chłopcem - mężczyzną o delikatnych rysach, trochę zniewieściałym, i zawsze ciągnie się za nim długi sznur smukłych, niezadowolonych dziewcząt. Will nigdy nie jest zapraszany na niedzielne kolacje z Dominikiem.

- Nie złość się. I tak nie miałbyś z tego żadnej frajdy - mówi Trudy, wiodąc chłodnym palcem wzdłuż jego policzka. - Cały czas paplamy po Szanghajsku, a tłumaczenie ci tego wszystkiego byłoby koszmarem. Poza tym Dommie to i tak prawie dziewczyna.

- Mnie te wasze spotkania nie interesują. - Will próbował ratować w ten sposób resztki godności.

- Oczywiście, że cię nie interesują, kochanie - śmieje się Trudy i przyciąga go do siebie. - Zdradzę ci pewien sekret.

- Mianowicie? - Jej jaśminowy zapach przywodzi na myśl delikatny żółtawy kwiatek; skóra Trudy jest tak gładka, jakby była woskowana.

- Dommie urodził się z jedenastoma palcami. U lewej dłoni miał sześć palców. Usunęli mu ten szósty, kiedy był jeszcze

niemowlęciem, ale on odrasta! Czy to nie jest niesamowite? Mówię mu, że tam siedzi diabeł. Możesz ten palec obcinać, a on się i tak odrodzi. Tylko nikomu o tym nie opowiadaj - szepcze. - Jesteś pierwszą osobą, której powiedziałam. Gdyby Dominick się dowiedział, uciąłby mi głowę. On się tego okropnie wstydzi!

Hongkong to mała wioska. Na balu RAF - u w Gloucester nakryli doktora Richardsa z pokojówką w magazynku bielizny na przyjęciu u Sewellów Blanca Morehouse wypłała za dużo i zaczęła zdejmować bluzkę - znasz jej przeszłość, prawda? Trudy, zadufany w sobie i pełen uprzedzeń przewodnik Willa po towarzystwie, uważa Anglików za nadętych, Amerykanów za męczących z powodu braku poczucia humoru, Francuzów za nudnych i nadmiernie zadowolonych z siebie, Japończyków za dziwacznych. Will zastanawia się głośno, jak Trudy znosi jego.

- Jesteś czymś w rodzaju mieszańca, nie należysz do żadnej kategorii - mówi - mniej więcej jak ja.

Przyjechał do Hongkongu jedynie z listem polecającym do starego przyjaciela rodziny i został określony, zanim zdążył zrobić cokolwiek, żeby samemu się określić, a to za sprawą przypadkowego spotkania z kobietą, która nie chciała od niego nic więcej poza tym, żeby z nią był.

Ludzie mówią o Trudy nieustannie - zawsze ktoś czuje się zgorzchniony. Mówią o niej przy nim albo do niego, jakby go prowokowali, żeby coś powiedział. Ale on milczy na jej temat. Przyjechała z Szanghaju, gdzie spędziła swoje wczesne lata dwudzieste w starym apartamencie Noela Cowarda w Cathayu i gdzie urządziła huczne przyjęcia na tarasie na dachu. Podobno uciekła stamtąd z powodu romansu z głośnym gangsterem, który miał na jej punkcie obsesję, podobno spędzała o wiele za dużo czasu w kasynach, podobno przyjaźniła się z dziewczynami lekkich obyczajów, podobno potrafiła się dla zabawy sprzedać na jedną noc, podobno była uzależniona od opium. Jest lesbijką. Ma radykalne poglądy. Zapewnia go, że prawie żadna z tych plotek nie ma nic wspólnego z prawdą. Twierdzi, że to Szanghaj jest miejscem do życia, a Hongkong zaściankiem.

Mówi płynnie po szanghajsku, kantońsku, mandaryńsku i angielsku, porozumiewa się po francusku, liznęła trochę portugalskiego. W Szanghaju, jak twierdzi, dzień zaczyna się o

czwartej po południu herbatą, potem są drinki w Cathayu albo jakieś przyjęcie, potem obiad - kraby i wino ryżowe, jeśli ktoś lubi lokalne przysmaki - potem znów drinki i tańce, i tak dalej, i dalej, noc jest bardzo długa, aż nadchodzi czas na śniadanie - jajka i smażone pomidory w Del Monte. Śpi się do trzeciej po południu, a po przebudzeniu obowiązkowy rosół z makaronem na kaca i znów się ubierasz, i wszystko zaczyna się od nowa. I znów jest bardzo wesoło. Twierdzi, że któregoś dnia musi tam koniecznie pojechać, jeśli jej tylko ojciec pozwoli.

Biddle'owie wynajmują domek na Lido w Repulse Bay i zapraszają ich, żeby spędzili z nimi dzień na plaży. A tam wszyscy palą jak szaleni, popijają koktajle z ginu, wódki i soku z limonki, podczas gdy Angeline narzeka na życie. Angeline Biddle, mała, nieatrakcyjna fizycznie Chinka, jest przyjaciółką Trudy jeszcze z czasów szkoły podstawowej. Wyszła za mąż za bardzo inteligentnego angielskiego biznesmena, którego trzyma żelazną ręką. Mają syna, który kształci się poza domem. Mieszkają luksusowo na Peaku, gdzie obecność Angeline wywołuje pewną konsternację, jako że Chińczycy - z wyjątkiem jednej bardzo bogatej rodziny, której nie obowiązują żadne reguły - muszą mieć pozwolenie, żeby tam zamieszkać. Uważa się, wyjaśniła później Willowi Trudy, że Angeline zdołała jakoś wyprowadzić Brytyjczyków w pole, za co jest nielubiana, choć - jak sama Trudy przyznaje - rzeczywiście nie należy do osób budzących sympatię. Na słońcu Trudy zdejmuje stanik i opala się topless, a jej małe piersi w porównaniu z resztą ciała aż się jarzą bielą.

- Myślałem, że uważasz opaleniznę za wulgarną - rzuca Will.
- Zamknij się - ucina Trudy. Will słyszy, jak mówi do Angeline:
- Mam na jego punkcie kompletnego bzika. To najpoważniejszy i najsolidniejszy facet, jakiego w życiu spotkałam.

Will domyśla się, że Trudy mówi o nim. A jednak nie jest taką skandalistką, jakby się mogło wydawać. Simonds na przykład przyznaje, że się co do niej mylił. Chociaż tutejsze Angielki są rozczarowane: jeszcze jeden kawaler sprzątnięty sprzed nosa. „Złapała go, zanim się ktokolwiek zorientował, że ten facet jest w mieście”.

Miał naturalnie inne możliwości, jak na przykład córka misjonarza z New Delhi, wiecznie chora i mizerna, chociaż ładna, lub mądra, pełna nadziei stara panna, którą poznał na promie z Penang. Wszystkie panie twierdziły, że szukają przygód, a w rzeczywistości

szukały męża. Przez dłuższy czas udawało mu się unikać kłopotów związanych z miłością, ale wszystko wskazywało na to, że go wreszcie dopadła w tym nieprawdopodobnym miejscu.

Kobiety nie lubią Trudy.

- Czy to cię dziwi, kochanie? - odpowiada, kiedy Will pyta ją o to wprost. - Bo mnie dziwi, że o to pytasz. - Bierze go pod brodę, nie przerywając przygotowywania ginu z lemoniadą. - Nikt mnie nie lubi - mówi. - Chińczycy, bo jestem za mało chińska; Europejczycy, bo nie wyglądam jak Europejka; ojciec, bo nie jestem typową córką. A ty... lubisz mnie?

Will zapewnia, że ją lubi.

- Zastanawiam się - kontynuuje Trudy - ale właściwie to wiem, dlaczego ludzie lubią ciebie. Naturalnie pomijając to, że jesteś przystojnym kawalerem o tajemniczych perspektywach. Po prostu przypisują ci wszystko to, co chcieliby w tobie widzieć. A mnie wszystko to, co najgorsze. - Macza palec w szklance, próbuje i krzywi się. - Idealny - oświadcza. Lubi kwaśny smak.

Trudy zaczyna zdradzać różne drobne tajemnice. Wróżka ze świątyni powiedziała, że znamię na jej czole oznacza śmierć dla jej przyszłego męża. Była już kiedyś zaręczona, ale sprawa zakończyła się w tajemniczy sposób. Odmawia jednak podawania szczegółów, boi się, jak twierdzi, że Will od niej odejdzie. Wydaje się, że mówi poważnie.

Trudy ma dwie amah, które „związały się włosami”. Co oznacza, że postanowiły nie wychodzić za mąż i na łamach prasy zadeklarowały, że do końca życia będą mieszkały razem. Ah Lok i Mei Sing są teraz stare, mają pod sześćdziesiątkę, ale dalej mieszkają razem w małym pokoiku z dwoma pojedynczymi łóżkami („o tym możesz w tej chwili zapomnieć, mówi leniwie Trudy, chociaż Chińczycy są w tych sprawach bardzo zblazowani, a zresztą, kogo to obchodzi”) i stanowią szczęśliwą parę, tyle że obie są kobietami.

- To najlepsze, co mogły zrobić - twierdzi Trudy. - Bardzo wiele kobiet wie, że nie wyjdzie za mąż, więc o co chodzi. To znak cywilizacji, nie uważasz? Człowiek potrzebuje właściwie tylko towarzysza. Seks po jakimś czasie zaczyna przeszkadzać. Chodzi o braterstwo. Sama o tym myślę.

Trudy płaci swoim służącym po dwadzieścia pięć centów tygodniowo, a one gotowe są zrobić dla niej wszystko. Kiedyś Will

wszedł do living roomu i zobaczył, jak Mei Sing wciera balsam w dłonie drzemiącej na kanapie Trudy.

Will nie może się do nich przyzwyczaić. Całkowicie go ignorują, dzieląc się z Trudy przy nim swoimi uwagami na jego temat. Mówią na przykład, że ma duży nos, że dziwnie pachnie i że jego dłonie i stopy są groteskowe. Zaczyna je powoli rozumieć, ale ich pełna dezaprobaty intonacja i tak nie wymaga tłumaczenia. Ah Lok gotuje słone, skąpane w oleju potrawy, które Will uważa za niezdrowe i niesmaczne. Trudy zjada je z apetytem - do takiego jedzenia jest przyzwyczajona od dzieciństwa. Twierdzi, że Mei Sing sprząta, ale Will wszędzie znajduje koty kurzu. Ta stara kobieta zbiera też wszelkie możliwe rupiecie - puste butelki po piwie, słoiczki po kremie, zużyte szczotki do zębów - i magazynuje pod łóżkiem, jakby się obawiała jakiegoś kataklizmu. Wszystkie trzy są nieporządne. Trudy zdradza całkowitą obojętność wobec swojego otoczenia, typową dla osób, które od urodzenia mają służbę. Nigdy nie sprząta, nawet nie ruszy palcem, tak samo zresztą jak obie amah. Przejęły od niej zwyczaje i żyją we trójkę w szczególnej symbiozie. Trudy broni ich z taką samą zaciekłością, z jaką dzieci potrafią bronić rodziców.

- Są stare - mówi - daj im święty spokój. Nie znoszę ludzi, którzy czepiają się służby.

Jednakże sama się czepia. Kłóci się z nimi na przykład, kiedy przychodzi kwiaciarz i Ah Lok chce mu dać pięćdziesiąt centów. Trudy każe zapłacić tyle, ile mężczyzna zażąda. Kwiaciarz Fa Wong, czyli Król Kwiatów, odwiedza ich sąsiedztwo raz na tydzień obwieszony gigantycznymi koszami kwiatów, wykrzykując niskim monotonnym głosem fa yuen, fa yuen, w odpowiedzi na co ludzie zapraszają go gestami do swoich mieszkań. Kwiaciarz uwielbia przekomarzać się z amah - ta gra między nimi trwa od lat - dopóki nie przyjdzie Trudy i mu nie zapłaci. Ah Lok złości się na nią wtedy i beszta za to, że zbyt łatwo ulega mężczyźnie. A potem kobiety, ta stara i ta urocza, młoda, idą z naręczami kwiatów do kuchni, żeby je powkładać do wazonów, które następnie ustawiają w całym domu. Will siedzi na fotelu, z książką rozłożoną na kolanach i półprzymkniętymi oczami, jakby drzemał, i obserwuje tę scenę. Obserwuje Trudy.

Ostatnio prawie nigdy nie jest sam; zawsze z nią. Dla niego to nowość. Kiedyś lubił odosobnienie, samotność, ale teraz przez cały

czas pragnie jej obecności. Tak długo obywatel się bez tego narkotyku, że zapomniał, jak bardzo potrafi uzależnić. Nawet kiedy siedzi w biurze, stukając na maszynie, widzi ją roześmianą, jak popija herbatę, jak pali, wypuszczając przed siebie kółka dymu.

- Dlaczego pracujesz? - pyta go czasem. - Przecież to jest takie nudne.

Dyscyplina, myśli Will, tylko nie wpadnij w tę pułapkę. Ale to bezcelowe. Bo Trudy jest zawsze obecna, zawsze dzwoni z gotowymi planami na wieczór. Kiedy na nią patrzy, czuje się słaby i szczęśliwy. Czy to taki grzech?

Podczas brunchu w Repulse Bay Trudy nagle podnosi głowę znad niedzielnej gazety.

- Kto pozwala tym okropnym firmom zamieszczać ogłoszenia? - pyta. - Posłuchaj na przykład tego: „Dlaczego cierpieć z powodu koszmarnych hemoroidów?”. Po co wypisują takie rzeczy? Czy nie mogą wyrazić tego w jakiś bardziej zawoalowany sposób? - Potrząsa gazetą w jego stronę. - A na obrazku mężczyzna cierpiący na hemoroidy! Czy to jest potrzebne?

- Nie wiem, kochanie - odpowiada Will. - Naprawdę nie wiem. - Za jego plecami rosyjski uchodźca w smokingu gra na fortepianie.

- Och - Trudy jakby sobie nagle coś przypomniała. - Mój ojciec chce cię poznać. Chce poznać mężczyznę, z którym spędzam tyle czasu. - Jest nonszalancka, może nawet za bardzo. - Masz dziś wolny wieczór?

- Oczywiście - odpowiada Will.

Idą na obiad do Gloucester i kiedy czekają przy barze, Trudy opowiada mu, jak poznali się jej rodzice. Popija brandy, co jest dla niej nietypowe i z czego Will wnioskuje, że jest bardziej zdenerwowana, niż się do tego przyznaje. Kręci koniakówką, zaciąga się delikatnie aromatem trunku, popija.

- Moja matka była wielką portugalską piękną, jej rodzina od wieków żyła w Makao. Tam się moi rodzice poznali. Ojciec stawiał dopiero pierwsze kroki w biznesie, chociaż pochodził z zamożnej rodziny. Zaczynał od handlu różnymi gadżetami i takimi tam. Jest bardzo inteligentny, ten mój ojciec. Nie mogę się nadziwić, dlaczego wyrosłam na taką ciemną masę. - Twarz Trudy rozjaśnia się nagle. - O, jest! - Zeskakuje ze stołka i biegnie ucałować ojca.

Will spodziewał się zobaczyć potężnego, pewnego siebie mężczyznę w aurze sukcesu. Pan Liang, przeciwnie, okazał się małym, pełnym słodyczy nieśmiałym człowieczkiem w źle skrojonym garniturze. Robi wrażenie przytłoczonego witalnością swojej córki. Poddaje się jej jak żywiołowi, jak prawie wszyscy w Hongkongu, myśli Will. Kierownik sali sadza ich, cały w lansadach, wymachując rękami, czego ani Trudy, ani jej ojciec zdają się nie zauważać. Rozmawiają ze sobą po kantońsku, co zmienia Trudy w zupełnie inną osobę.

Nic nie zamawiają. Przynoszą im jedzenie, jakby z góry dla nich przygotowane.

- Może powinniśmy coś zamówić? - pyta Will, co wywołuje wyraz zdziwienia na ich twarzach.

- Tutaj jada się tylko pewne określone dania - wyjaśniają. Trudy zamawia szampana. - To jest szczególna okazja - oświadcza. - Ojcu udało się poznać niewielu spośród moich wielbicieli. Przeszedłeś pierwszą próbę.

Wan Kee Liang nie pyta Willa o jego życie ani o pracę. Panowie wymieniają uprzejmości, rozmawiają o wyścigach konnych i o wojnie. Kiedy Trudy przeprosza i wychodzi do toalety, jej ojciec gestem przyzywa Willa do siebie.

- Nie jesteś bogaty - mówi.

- Nie tak jak pan, ale sobie radzę. - Jak to dziwnie brzmi.

- Trudy to bardzo rozpieszczona dziewczyna, ma wielkie wymagania. - Twarz mężczyzny niczego nie zdradza.

- Wiem - oświadcza Will.

- Kobieta nie powinna za nic płacić. Ojciec Trudy wręcza mu kopertę.

- Tu masz pieniądze, żebyś mógł ją zapraszać. To ci starczy na dłuższy czas. Nie przystoi, żeby Trudy cały czas płaciła.

Will jest zakłopotany.

- Nie mogę tego wziąć. Nie będę brał od pana pieniędzy. Jeszcze nigdy nie pozwoliłem Trudy zapłacić w restauracji.

- Nieważne. - Mężczyzna macha ręką. - To dobrze wpłynie na waszą wzajemną relację.

Will odmawia i kładzie kopertę na stole. Na widok Trudy Wan Kee Liang chowa ją z powrotem do kieszeni marynarki.

- Nie zamierzałem cię obrazić - wyjaśnia. - Chcę dobrze dla Trudy. A dobrze dla niej to dobrze dla ciebie. Dla mnie to nic nie znaczy, a wam może się przydać.

- Doceniam pana troskę, ale nie mogę wziąć tych pieniędzy - odpowiada Will i na razie na tym kończy.

Tydzień później Will dostaje pocztą listy z różnych restauracji i klubów w całym mieście informujące go, że ma w nich otwarte konta, z których może korzystać do woli. Na marginesie jednego z listów ktoś ręcznie dopisał: „Proszę tylko przyjść, nie będzie pan musiał nawet nic podpisywać. Oczekujemy z niecierpliwością”. Ton: grzeczny wobec dobrych klientów; uniżony wobec najlepszych.

Will jest trochę zirytowany, ale nie bardzo, raczej zakłopotany. Chowa listy do szuflady. Przypuszcza, że dla Wan Kee Lianga wszyscy są biedakami czekającymi na datki. Chińczycy są mądrzy, myśli. A może tylko rodzina Trudy.

Trudy uwielbia Paryski Grill, jest zaprzyjaźniona z właścicielem, Grekiem ożenionym z tutejszą Portugalką, która nie widzi żadnej ironii w tym, że jej mąż serwuje najbardziej żabie ze wszystkich dań. Trudy stanowczo odmawia chodzenia z Willem do chińskiej restauracji, zgadza się tylko wtedy, kiedy towarzyszą im Chińczycy, jedyni, którzy według niej wiedzą, jak powinno smakować prawdziwe chińskie jedzenie.

Greki, właściciel Paryskiego Grilla - obecnie Henri, poprzednio Bóg raczy wiedzieć kto - kocha Trudy jak córkę, a jego żona Elsbietta traktuje ją jak siostrę. Trudy wpada tam na pierwszego drinka prawie co wieczór, często też kończy tam dzień. Henri i Elsbietta są dla Willa grzeczni, ale traktują go z pewną rezerwą. Przypuszcza, że widzieli zbyt wielu wielbicieli Trudy. Ma ochotę zaprotestować, że to nie on jest w niebezpieczeństwie, zaprotestować przeciwko wyściełanym czerwonym winylem ławom i dymiącym białym świecom, wypalanym aż do okopconego ogryzka stearyny, ale jakoś nigdy tego nie robi.

W Paryskim Grillu można spotkać dosłownie każdego. Chodzą tam zarówno nowi przybysze w mieście, jak i starzy albo znudzeni. Hongkong jest mały i w końcu wszyscy tam lądują. Pewnego wieczoru popijali przy barze z grupą Amerykanów, którzy ich potem zaprosili na obiad.

Trudy zapewnia nowych przyjaciół, że uwielbia Amerykanów za ich ekstrawagancką szczodrość, za głośne mówienie i hałaśliwą pewnością siebie. Kiedy ktoś porusza temat wojny, udaje, że nie słyszy, ignorując go i dalej opowiadając o cechach w jej pojęciu typowych dla Amerykanów. Takich jak przekonanie, że świat jest nieograniczony i że są w stanie nie tyle go skolonizować, ile rozprzestrzenić się po wszystkich krajach, dosłownie wyrzucając pieniądze na prawo i lewo bez poczucia winy czy choćby świadomości tego, co robią. Trudy to uwielbia. Mężczyźni są wysocy i smukli, mają pociągłe twarze i podejmują szybkie decyzje, a kobiety się do nich nie wtrącają - czy to nie cudowne? - tak są zajęte swoimi komitetami i planami. Zapraszają na swoje imprezy wszystkich bez wyjątku, serwując różne wspaniałe rzeczy, jak sałatka z kartofli czy kanapki z szynką i serem. I - chyba że jest obecny pewien szczególny typ Anglika (Trudy ruchem głowy wskazuje na Willa) - starają się umniejszać innych mężczyzn. To bardzo dziwne, ale ona już takie rzeczy widziała. Nie zauważyliście tego? Gdyby miała się urodzić po raz drugi, oznajmia, przysłaby na świat jako Amerykanka. No, chyba że wyjdzie za Amerykanina. Albo - gdyby ktoś miał coś przeciwko temu - po prostu się tam przenieść, dodaje, skromnie spuszczaając oczy. Że to niby taki żart. Will przypomina sobie, jak narzekała, że Amerykanie nie mają poczucia humoru, i tylko się uśmiecha. Ma przecież wolną wolę, mówi po prostu. Nigdy by nie stanął jej na przeszkodzie w zrobieniu tego, na co ma ochotę. Amerykanie mu przyklaskują. Co za światły człowiek - mówi kobieta o czerwonych ustach i w pomarańczowej sukience.

Życie jest proste. Do biura idzie na dziewiątą trzydzieści, potem dwugodzinny lunch, który nie należy do rzadkości, i o piątej kończą drinkami. Co wieczór może gdzieś iść, może bawić się przez cały weekend - praktycznie robi, co chce. Para przyjaciół Trudy wyjeżdża do Londynu i szuka odpowiedzialnej osoby, która zaopiekuje się ich mieszkaniem. Will przenosi się więc na May Road, płacąc śmieszne pieniądze - dwieście miejscowych dolarów - a i to po walce stoczonej z Sudie i Frankiem Chenami, żeby w ogóle zechcieli cokolwiek od niego wziąć. Wszyscy razem idą na obiad i jest bardzo miło.

- Robisz nam wielką uprzejmość! - wykrzykują, dolewając szampana.

- Naprawdę, Will - potwierdza Trudy. - Nikt w całym Hongkongu nie wyświadczyłby Chenom takiej przysługi. Mają tu fatalną opinię i właśnie dlatego się wynoszą.

- Coś jednak muszę płacić - obstaje przy swoim Will.

- Później o tym porozmawiamy - mówią Chenowie, ale już do tej sprawy nie wracają. Zamiast tego, po czterech kolejkach szampana, wszyscy idą o północy na plażę polować przy świeczce na kraby.

May Road to nie to samo co jego dawna Happy Valley. Pełna emigrantów, gospodyń domowych i ich służby przypomina bogate angielskie przedmieście, przynajmniej takie, jak je sobie Will zawsze wyobrażał. Dzieci chodzą posłusznie pod opieką swoich amah, starsze panie jeżdżą limuzynami prowadzonymi przez szoferów i ogólnie rzecz biorąc, jest znacznie ciszej niż w jego dawnej dzielnicy. Jednakże Willowi brak Happy Valley, z jej zgiełkiem, głośnymi, często ordynarnymi mieszkańcami, pełnymi życia sklepami.

Ale jest przecież Trudy. Ma wielkie mieszkanie niecałe pięć minut spacerem od niego. Codziennie po pracy Will przebiera się i idzie do niej krętą drogą.

- Czy to nie cudowne? - mówi Trudy, obsypując go na powitanie pocałunkami. - Czy to nie wspaniałe, że jesteś tak blisko, a nie na tej koszarnej Happy Valley? Przed twoim przyjazdem byłam tam chyba tylko raz, kiedy potrzebowałam tenisówek na plażę. Tam jest taki fantastyczny sklep...

Już po chwili zmienia temat - krzyczy do Ah Lok, że kwiaty schną albo że w przedpokoju na podłodze jest kałuża. U Trudy nie ma mowy o żadnej wojnie, tu nikt nie walczy; poza użeraniem się ze służbą nie ma tu żadnych prawdziwych problemów. Jest tylko spokój i słodki, perlisty śmiech pani domu. Will ochoczo zanurza się w jej świecie.

Czerwiec 1952

Claire co noc budziła się o tej samej godzinie. Dwadzieścia dwie minuty po trzeciej. Teraz wiedziała to już bez patrzenia na zegarek. Za każdym razem łagodziła szok przebudzenia, spoglądając na potężną sylwetkę śpiącego obok niej męża. To ją uspokajało. Jego pierś unosiła się miarowo, nos wibrował od lekkiego chrapania. Martin zawsze spał mocno po kilku piwach, które wypijał co wieczór. Claire usiadła i dwukrotnie głośno klasnęła w dłonie. Ręce miała sztywne i te klaśnięcia przypominały dwa strzały w nocnej ciszy. Martin poruszył się pod wpływem hałasu, a potem zaczął oddychać swobodnie. Był to jeden z nielicznych przydatnych w życiu małżeńskim sposobów, jakich nauczyła ją matka. Zegar pokazywał teraz trzecią dwadzieścia trzy.

Próbowała zasnąć. Raz czy dwa jej się to nawet udało, zanim rozbudziła się na dobre. Oddychała delikatnie, leżąc na wznak i czując pod sobą wilgotne prześcieradło, a na sobie lekką bawełnianą kołdrę. Wilgotność powietrza była tak wielka, że Claire spała tylko w cieniutkiej bawełnianej koszulce, a i ta po jednej czy dwóch nocach robiła się lepka. Musi koniecznie kupić nowy wentylator, bo stary zadławił się jakąś przypominającą mech pleśnią i odmówił posłuszeństwa. Tak, wentylator oraz nowy przewód elektryczny. No i żarówki. Koniecznie musi pamiętać o żarówkach. Oddychała lekko, słysząc ciche na razie pomruki Martina, który znów zaczynał chrapać. Czy powinna sobie to wszystko zapisać? Nie, zapamięta, próbowała sobie wmówić. Ale wiedziała, że w końcu i tak wstanie i sporządzi listę sprawunków, żeby nie zapomnieć, żeby obsesyjnie o tym nie myśleć, i w ten sposób się rozbudzi i już nie zaśnie. Sprawa była przesadzona. Wstała cichutko, wy dostała się spod moskitiery, płosząc komara, który zabzyczał jej ze złością koło ucha i odleciał. Blok leżał na stoliku koło łóżka, więc spisała ołówkiem rzeczy do kupienia.

A teraz powód rzeczywisty. Sięgnęła w głąb komody i namacała worek z materiału; dostała go kiedyś na bazarze, był duży i w tej chwili wypełniony. Wyjęła worek, starając się zachowywać bardzo cicho.

Wchodząc do łazienki, zapaliła światło. Wanna była pełna. Od kilku miesięcy nie padało i zaczęło się racjonowanie wody. Codziennie między piątą a siódmą, kiedy była woda w kranach, Yu Ling napełniała wannę, robiąc zapas na cały dzień. Wodę pitną

trzymali w pustych butelkach po ginie Gordona, które stały w spiżarni.

Claire położyła worek na podłodze, zaczerpnęła wody do wiadra, zmoczyła myjkę i przetarła twarz. Następnie usiadła na chłodnych płytkach, zadarła koszulę nocną i opróżniła worek, wysypując jego zawartość między nogi.

Z podłogi spoglądało na nią ponad trzydzieści różnych mieniących się przedmiotów. Ponad trzydzieści kosztownych naszyjników, chustek, ozdób, flakonów perfum. Zmieszane razem na białych płytkach wyglądały niemal tandetnie w ostrym świetle łazienki, dlatego Claire rozpostarła ręcznik i zaczęła układać swoje zdobycze pojedynczo, w odstępach kilkucentymetrowych, tak że wyglądały, jakby leżały na poduszkach. Dopiero teraz zaczęły przypominać cenne przedmioty, jakimi w istocie były. Na przykład gruby złoty pierścionek, piękna robota, z oczkiem, które wyglądało na turkus. Wsunęła go na palec. Albo chusteczka tak cieniutka, że Claire mogła przez nią zobaczyć lekko różową skórę własnej dłoni. Spryskała chusteczkę perfumami z małego okrągłego flakonika z napisem „Jazz”. Na flakoniku był obrazek przedstawiający dwie tańczące kobiety w sukienkach z lat dwudziestych. Pomachała uperfumowaną chusteczką. Jaśmin. Zbyt ciężki zapach. Uczesała włosy szylkretowym grzebieniem, wmasowała w palce francuską emulsję, a następnie starannie umalowała usta szminką. Na koniec przypięła ciężkie złote kolczyki i owiązała szalikiem włosy. Kiedy stanęła przed lustrem, zobaczyła w nim kobietę wyrobioną życiowo i zadbaną, bywałą w świecie, znającą się na sztuce, książkach i jachtach.

Zapra gnęła być kimś innym. Dawna Claire wydawała jej się głupia i prowincjonalna. Była na przyjęciu w rezydencji gubernatora, popijała szampana w Grippe, podczas gdy inne kobiety, które znała, wirowały w jedwabnych sukienkach. Z nosem przyklejonym do szyby obserwowała inny świat, o którego istnieniu nawet nie wiedziała. Nie potrafiła tego wytłumaczyć, ale czuła, że wreszcie zostanie odkryta, że jest w niej jakaś inna Claire, która domaga się ujawnienia. W tych kilku porannych godzinach, wystrojona w cudze kosztowności, mogła udawać, że jest częścią tamtego świata - że mieszka w Colombo, jada we Francji żabie udka i jeździ w Delhi na słoniem z maharadzą u boku.

O siódmej rano poszła do sypialni. Nachyliła się nad śpiącym mężem.

- Czas wstawać - szepnęła. Poruszył się i obrócił twarzą do niej.

- A kuku - powiedziała trochę głośniej.

- Wszystkiego najlepszego z okazji urodzin, kochanie - odparł sennie Martin. Podparł się na łokciu, wyciągając usta do pocałunku. Jego oddech pachniał nieświeżo, ale nie był nieprzyjemny.

Claire kończyła tego dnia dwadzieścia osiem lat.

Była sobota, początek lata. Jeszcze niezbyt gorąco, poranna bryza mile chłodziła, zanim nadszedł żar popołudnia i w ruch poszły kapelusze i wentylatory. W soboty Martin pracował krócej, ale szykowało się przyjęcie u Arbogastów na Peak. Reginald Arbogast był prosperującym biznesmenem i na przyjęcia słynące ze szczodrości gospodarza i obfitości dań zapraszał wszystkich Anglików z całej kolonii.

- Spotkamy się o pierwszej na stacji kolejki linowej - powiedział Martin.

O pierwszej Claire była na umówionym miejscu. Miała na sobie nową sukienkę, poprzedniego dnia dostarczoną do domu przez krawca - biała popelina wzorowana na paryskim oryginale. Znalazła niedrogi krawca, niejakiego pana Hao z Causeway Bay, który zgodził się przyjść do domu zdjąć miarę i uszyć sukienkę, a to wszystko za osiem miejscowych dolarów. Wyszło całkiem nieźle. Claire rozpyliła trochę jazzu, ale zapach wydał jej się zbyt intensywny. Delikatnie dotknęła więc w paru miejscach sukienki zwilżoną perfumami chusteczką, po czym przetarła je wodą, żeby osłabić zapach. Dziesięć po pierwszej pojawił się Martin i dał jej buzi.

- Ładnie wyglądasz - powiedział. - To nowa sukienka?

- Mhm - odparła.

Wsiedli do wagonika, który ruszył stromo pod górę, chwilami niemal pionowo. Trzymając się poręczy, wychyleni do przodu, na MidLevels zaglądali przez okna ludziom do domów. Przez odsłonięte do połowy firanki widzieli na stołach rozrzucone gazety i brudne szklanki.

- Gdybym wiedziała - odezwała się Claire - że ludzie przez cały dzień będą mi zaglądali do domu, tobym się przynajmniej starała utrzymywać w mieszkaniu porządek, a ty?

Na szczycie okazało się, że Arbogastowie wynajęli riksze, żeby przywieźć gości ze stacji. Claire wsiadła do jednej z nich.

- Zawsze mi żal tych ludzi - powiedziała cicho do Martina. - Przecież chyba po to są muły i konie. To jeden z dziwnych zwyczajów.

- Ludzka praca bywa często tańsza - wyjaśnił Martin. Claire opanowała irytację. Martin był zawsze taki dosłowny.

Riksarz z jękiem szarpnął uprzężą. Kiedy ruszyli, Claire zdołała się jakoś usadowić na niewygodnym siedzeniu. Dokoła nich szalała zieleń, tropikalne drzewa kipiały od liści, które, lekko draśnięte, puszczały sok, wszędzie na zboczach wzgórza kwitły bugenwille i inne ozdobne krzewy. Chwilami Claire miała wrażenie, że Hongkong cierpi na nadmiar życia. Jakby nie mógł się pohamować: wszędzie było pełno pełzającego robactwa, po wzgórzach buszowały dzikie psy, moskity rozmnażały się bez opamiętania. Zbocza wzgórz przecinały drogi, z ziemi wyrastały domy, ale natura nie dawała za wygraną i zawsze półnaczy, spoceni robotnicy mieli co karczować: zieleń zdawała się odrastać z dnia na dzień. Nie były to Indie, ale z pewnością i nie Anglia. Ciągający riksę mężczyzna pocił się i męczył. Jego cienka koszula była szara.

- Arbogastowie musieli zrobić tu po wojnie gruntowne sprzątnięcie - powiedział Martin. - Mówił mi Smythson, że Japończycy wszystko tu zdewastowali, podobno zostały dosłownie same mury, a i to nie wszystkie. Ta siedziba należała do przedstawiciela Bayera, niejakiego Thorpe'a. Po wojnie został repatriowany i już nigdy tu nie wrócił. Sprzedał to za bezcen. Miał dość.

- I pomyśleć, jak ludzie żyli tu przed wojną - powiedziała Claire. - Wytwornie.

- Arbogast stracił w czasie wojny rękę. Nosi teraz hak. Podobno jest na tym punkcie bardzo wrażliwy, więc staraj mu się nie przyglądać.

- Oczywiście - odparła Claire.

Kiedy przyszli, zabawa trwała już w najlepsze. Zaraz na początku znaleźli się w wielkim pokoju recepcyjnym prowadzącym do dużego salonu, którego oszklone drzwi otwierały się na trawnik z oszołamiącym widokiem na port. Salon był urządzony w sposób typowy dla Anglików na Dalekim Wschodzie: tu i ówdzie perski dywan, to znów jakiś chiński stolik z drewna zastawiony birmańskimi

srebrnymi misami i innymi egzotycznymi ciekawostkami. Kobiety w lekkich bawełnianych sukienkach nachylały się ku sobie, a mężczyźni w garniturach safari albo blezerach stali z rękami w kieszeniach. Zręcznie lawirująca wśród gości służba roznosiła na tacach pimm's i szampana.

- Po co on to robi? - zapytała Claire. - To znaczy, dlaczego sprasza wszystkich?

- Powiodło mu się, a przedtem miał niewiele. Chce coś zrobić dla lokalnej społeczności. Przynajmniej tak słyszałem.

- Witajcie! - zawołała pani Arbogast z foyer. Była to szczupła, elegancka kobieta o ostrych rysach, podzwaniająca kolczykami.

- To miło, że nas państwo zaprosili - powiedział Martin. - Prawdziwy dla nas zaszczyt.

- Na razie się nie znamy, ale może później będziemy mieli przyjemność się poznać. - Pani Arbogast odwróciła się, by powitać następnego gościa. Chwilowo na więcej nie mogli liczyć.

- Może drinka? - zapytał Martin.

- Poproszę - odparła Claire.

W tym momencie zobaczyła znajomą, Amelię, i podeszła do niej. Trochę za późno zauważyła też w tym samym kręgu gości panią Pinter, którą częściowo zasłaniała roślina doniczkowa. Wszyscy unikali pani Pinter. Kiedyś udało jej się dopaść Claire, którą przez koszmarnie pół godziny zadręczała opowieściami o koloniach mrówek. Claire starała się być uprzejma dla starszych ludzi, ale wszystko miało swoje granice. Ostatnią obsesją pani Pinter stało się założenie towarzystwa esperanto i właśnie próbowała nieświadomych niczego nowych gości wkręcać w swoje coraz to bardziej idiotyczne i skomplikowane plany. Była przekonana, że język uniwersalny uratuje ludzi przed wojną.

- Myślałam o tym, żeby zaangażować kamerdynera - mówiła właśnie. - Po przeszkoleniu jeden z Chińczyków z pewnością się do tej roli nada.

- Czy zamierza go pani uczyć esperanto? - zapytała złośliwie Amelia.

- Należy uczyć wszystkich, z wyjątkiem komunistów - odpowiedziała łagodnie pani Pinter.

- Czy problem uchodźców nie jest bardziej alarmujący? - Marjorie Winter próbowała się przebić, ignorując wszystkich.

Wachlowała się przy tym serwetką. Była dobrotliwą tłustą kobietą z małymi, przypominającymi kielbaski, loczkami wokół twarzy.

- Podobno napływają tysiącami - powiedziała Claire.

- Zakładam nową ligę - rzuciła Marjorie - pomocy uchodźcom. Biedni Chińczycy masowo uciekają przez granicę, jak zwierzęta, byle dalej od tego koszmarnego rządu. Żyją w strasznych warunkach. Potrzebujemy wolontariuszy! Wynajęłam już lokal na biuro i w ogóle.

- Pamiętasz, jak w tysiąc dziewięćset pięćdziesiątym roku - powiedziała Amelia - wielu miejscowych prowadziło dosłownie hotele, przygarniając rodzinę i przyjaciół. A przecież mówimy o ludziach dobrze sytuowanych, którzy mieli pieniądze na pokrycie kosztów podróży. To było naprawdę coś.

- Ale dlaczego oni uciekają? - zapytała Claire. - I dokąd zamierzają uciekać?

- W tym właśnie problem, moja droga - odparła Marjorie. - Że nie mają dokąd iść, wyobraź sobie coś takiego. Dlatego moja liga jest taka ważna.

Amelia usiadła.

- Chińczycy napływają podczas wojny, a potem wracają. To oszołamiające. Tworzą wielkie fale migracji. I te ich różne dialekty. Uważam, że najbrzydszy jest mandaryński, z tymi „wer” i „er”, nie mówiąc o dziwnych dźwiękach. - Zaczęła się energicznie wachlować. - Jest o wiele za gorąco na to, żeby rozmawiać o lidze. Zdumiewa mnie twoja energia, Marjorie.

- Amelio - powiedziała niezbyt sympatycznie Marjorie - tobie jest zawsze gorąco.

I rzeczywiście, Amelii zawsze było gorąco albo zimno, albo nijako. Fizycznie nie nadawała się do tego, żeby żyć poza Anglią, w czym była pewna ironia, jako że nie mieszkała tam od jakichś trzydziestu lat. Ceniła sobie różne wygody i bez nich cierpiała bardzo, choć nie w milczeniu. Mieszkała w Hongkongu już przed wojną. Jej mąż Angus przywiózł ją do Hongkongu z Indii, których nie cierpiała, w 1938 roku, kiedy został podsekretarzem stanu w Ministerstwie Finansów. Była zadufana w sobie i pomstowała na nieznośne - jak uważała - Angielki, które koniecznie chciały zostać Chinkami. Z tego powodu czesały się w koki spinane szpilkami z kości słoniowej, na każdą okazję wbijały się w zbyt obcisłe cheongsam i zatrudniały miejscowych nauczycieli, żeby móc rozmawiać ze służbą w jej

okrutnym języku kantońskim. Nie rozumiała tych kobiet i nieustannie przestrzegała Claire przed staniem się jedną z nich.

Amelia wzięła Claire pod swoje skrzydła - przedstawiała ją różnym ludziom i zapraszała na lunche, ale Claire często źle się czuła w jej towarzystwie - peszyły ją ostre uwagi i często kąśliwe insynuacje Amelii. Trzymała się jej jednak, widząc w niej kogoś, kto mógł jej pomóc w poruszaniu się po dziwnym nowym świecie, w jakim się znalazła. Wiedziała, że jej matka zaaprobowałaby Amelię, a nawet byłaby dumna z tej znajomości córki.

A na zewnątrz przez szmer rozmów i brzęk koktajlowych szklanek przebiło się uderzenie piłki tenisowej. Grupa Claire przemieściła się w stronę wielkiego namiotu rozbitego obok dziedzińca.

- I ludzie przychodzą tu na tenisa? - zapytała Claire.

- Tak, i to w taką pogodę, możesz w to uwierzyć?

- Nie mogę uwierzyć, że mają tu kort tenisowy - odparła Claire z podziwem.

- A ja nie mogę uwierzyć, że ty nie możesz uwierzyć - powiedziała figlarnie Amelia.

Claire się zaczerwieniła.

- Ja po prostu nigdy...

- Wiem, kochanie. Po prostu dziewczę z prowincji. - Mrugnęła, żeby stępić ostrze złośliwości.

- Wiesz, co zrobiła któregoś dnia Penelope Davies? - wtrąciła się Marjorie. - Poszła do świątyni w Wong Tai Sin z tłumaczem i kazała sobie przepowiedzieć przyszłość. Twierdzi, że to niesamowite, jak wiele wiedziała ta stara kobieta!

- To ciekawe - zapaliła się Amelia. - Przyprowadzę Wing i też spróbuję. - Koniecznie musimy tam iść, Claire.

- Rzeczywiście to brzmi interesująco - potwierdziła Claire.

- Czy słyszałeś o pewnym dziecku na Malajach, które przez trzy miesiące bez przerwy miało czkawkę? - Marjorie zwróciła się do Martina, który właśnie podszedł do nich z drinkami w ręce. - Chodzi o dziecko Briggsów. Briggs jest tam szefem od elektryczności. Matka mało nie zwariowała. Wezwali na pomoc znachora, ale nie pomógł. Nie wiedzieli, czy wywieźć dzieciaka do Anglii, czy zaufać szczęściu.

- Możecie sobie wyobrazić czkawkę trwającą dłużej niż godzinę?

- powiedziała Claire. - Ja bym oszalała! Biedne maleństwo!

Martin ukląkł i wdał się w rozmowę z chłopcem, który właśnie wszedł do pokoju.

- Jak się masz? - zagadnął malca. - Jak się nazywasz?

- Marzy o dzieciach - powiedziała Claire ściszym głosem do Amelii. Zauważyła, że często mimo woli jej się zwierza. Nie miała nikogo, z kim mogłaby porozmawiać.

- Wszyscy mężczyźni chcą dzieci, kochanie. Trzeba z góry uzgadniać z nimi ich liczbę, zanim się zaczną rodzić, w przeciwnym razie nie będzie końca. Ja się umówiłam z Angusem na dwójkę.

- O... - Claire była wyraźnie zaskoczona. - To takie... nieromantyczne.

- A co ty sobie wyobrażasz... że jakie jest życie w małżeństwie? - Amelia uniosła brew.

Claire zarumieniała się i przeprosiła, że musi iść do toalety.

Kiedy wróciła, Amelia zdążyła już odpłynąć i rozmawiała teraz z wysokim mężczyzną, którego Claire jeszcze nigdy dotychczas nie widziała. Amelia przyzwała ją gestem ręki. Nieznajomy, człowiek około czterdziestki, posługiwał się prymitywną laską, która wyglądała, jakby ją dziecko wystrugało z kija. Miał ładną twarz o ostrych rysach i szopę czarnych nieostrzyżonych włosów tu i ówdzie przyprószonych siwizną.

- Znasz Willa Truesdale'a? - zapytała Amelia.

- Nie mam przyjemności - odparła Claire, wyciągając rękę.

- Miło mi panią poznać. - Dłoń Willa była sucha i chłodna, jakby została zrobiona z papieru.

- Will jest w Hongkongu od wieków, to weteran jak my.

- Możemy być ekspertami. Nagle mężczyzna stał się czujny.

- Podoba mi się pani zapach - powiedział. - To jaśmin, prawda?

- Tak, dziękuję.

- Pani dopiero przyjechała?

- Miesiąc temu.

- I jak się pani podoba w Hongkongu?

- Nigdy sobie nie wyobrażałam życia na Dalekim Wschodzie, ale stało się.

- Och, Claire, powinnaś mieć więcej wyobraźni - powiedziała Amelia, dając gestem znak kelnerowi, żeby przyniósł kolejnego drinka.

Claire znów się zarumieniła. Amelia była dziś w wyjątkowej formie.

- Jak to miło spotkać kogoś niezblazowanego - oświadczył Will.
- Wszystkie panie jesteście tak światowe, że mam już tego naprawdę dość.

Amelia akurat odwróciła się do kelnera i nie słyszała ostatnich słów Willa. Zaległa cisza, ale Claire to nie przeszkadzało.

- Dziś są urodziny Claire - poinformowała Amelia, z powrotem odwracając się do nich. Kiedy się uśmiechnęła, widać było ślad kiepskiej czerwonej pomadki na jej przednim zębie. - To jeszcze dzieciak.

- Bardzo dobrze, potrzebujemy tu więcej dzieci - oznajmił Will.

Nagle sięgnął ręką i powolnym ruchem odgarnął za ucho kosmyk włosów Claire. Był to gest zaborczy, jakby się znali od bardzo dawna.

- Przepraszam - powiedział.

Amelia, zajęta obserwowaniem tłumu gości, przegapiła tę scenę.

- Przepraszasz za co? - zainteresowała się roztargniona.

- Za nic - odpowiedzieli oboje.

Claire patrzyła w podłogę. Ta zmowa w zaprzeczeniu jakby ich połączyła; nagle poczuli dziwną bliskość.

- No więc, o co chodzi? - drażyła zniecierpliwiona Amelia. - Nic nie słyhać przez ten piekielny hałas.

- Dziś kończę dwadzieścia osiem lat - oznajmiła Claire, sama nie wiedząc dlaczego.

- A ja mam czterdzieści trzy. - Will skinął głową. - Starość nie radość.

Claire nie bardzo wiedziała, czy żartuje, czy mówi serio.

- Pamiętam, jak uroczyście obchodziliśmy twoje urodziny w obozie Stanley - zwróciła się do Willa Amelia. - To była wielka feta.

- Prawda?

- W dalszym ciągu pracujesz u Victora i Melody? - zapytała.

- Tak, na razie mi to odpowiada.

- Victorowi pewnie też odpowiada szofer Anglik, który go wszędzie obwozi - odparła chytrze.

- Wygląda na to, że wszyscy zainteresowani są zadowoleni. - Will nie chwycił przynęty.

Amelia nachyliła się do niego konfidencjonalnie.

- Podobno mówi się o Kolekcji Korony i jej zniknięciu podczas wojny. Angus twierdzi, że sprawa zrobiła się gorąca. Ludzie zauważyli. Słyszałeś może coś na ten temat?

- Słyszałem - przyznał Will.

- Szukają kolaborantów.

- Trochę późno, nie uważasz?

Po chwili, kiedy stało się jasne, że nic więcej od Willa nie wyciągnie, Amelia powiedziała:

- Mam nadzieję, że Chenowie dobrze cię traktują?

- Nie narzekam.

- Trochę to dziwne, że u nich pracujesz, nie sądzisz?

- Amelio, nudzisz Claire.

- Ależ skąd - zaprotestowała Claire. - Ja tylko...

- No to nudzisz mnie. A życie jest za krótkie, żeby się nudzić. Claire, bywałaś w różnych miejscach naszej obszernej kolonii? Co ci się najbardziej podobało?

- Muszę przyznać, że to i owo widziałam. Sheung Wan jest urocze... lubię targowiska... byłam w Koulun, Tsim Sha Tsui, oczywiście na przystani Star Ferry, gdzie zwiedziłam wszystkie sklepy. Ależ tam jest ruch, prawda?

- Popatrz, Amelio - zwrócił się do niej Will - Angielka, która nie boi się wytknąć nosa poza centrum i Peak. Trzeba brać z niej przykład.

Amelia przewróciła oczami.

- Szybko jej się to znudzi. Widziałam już tyle nowych z zachwytem w oczach i wszystkie potem lądowały ze mną na herbacie u Heleny May, narzekając na swoje amah.

- Nie poddawaj się zbyt tym „różowym” prognozom Amelii, Claire - powiedział Will. - W każdym razie miło było cię poznać. Wszystkiego najlepszego w Hongkongu. - Skinął im grzecznie głową i odszedł. Kiedy ją mijał, Claire poczuła ciepło jego ciała.

Jakoś niespodziewanie zrobiło jej się żal. Jakby Will dawał jej do zrozumienia, że się już nigdy więcej nie zobaczą.

- Dziwny człowiek... - powiedziała. Było to bardziej stwierdzenie niż pytanie.

- I to bardzo - odparła Amelia.

Claire spoglądała przez jakiś czas za Willem, który, lekko utykając, podszedł do kortu tenisowego, żeby popatrzeć, jak Peter Wickham i jego syn odbijają do siebie piłeczkę.

- Zrobił się też niesamowicie poważny - dodała Amelia. - Nawet trudno z nim normalnie rozmawiać. Przed wojną był bardzo towarzyski, bywał na wszystkich przyjęciach, miał najpiękniejszą dziewczynę w całym mieście i nawet dość wysoką pozycję w Asiatic Petrol, ale jakoś po wojnie nigdy się na dobre nie pozbierał. Pracuje teraz jako szofer. - Ściszyła głos. - W tej chwili akurat u Chenów, wiesz, kto to jest?

- Amelia! - wykrzyknęła Claire. - Przecież ja uczę ich córkę muzyki. Sama mi pomagałaś znaleźć tę pracę.

- Och, rzeczywiście, mówią, że pamięć wysiada pierwsza. I nigdy się tam na niego nie natknęłaś?

- Nigdy - odparła Claire - chociaż kiedyś Chenowie zaproponowali, że mnie odwiezie do domu, ale wtedy do tego nie doszło.

- Biedna Melody - westchnęła Amelia - jest taka krucha. - Wymówiła to słowo w sposób szczególny.

- To prawda - zgodziła się z nią Claire, której stanęła przed oczami Melody pijąca drinka, szybko, jakby zachłannie.

- Z Willem jest taka sprawa... - Amelia wyraźnie się zawahała. - Według mnie on w ogóle nie musi pracować.

- Jak to? - zdziwiła się Claire.

- Wiem pewne rzeczy... - Amelia była tajemnicza. Jednakże Claire o nic więcej nie pytała. Nie chciała dawać jej satysfakcji.

Wrzesień 1941

Trudy ubiera się do kolacji, a on obserwuje ją z łóżka. Zakończyła już swój tajemniczy rytuał kąpielowy z olejkami i balsamami, w wyniku czego pachnie zachwycająco, jak dolina wiosną. Siedzi przed toaletką w długiej atlasowej podomce koloru brzoskwini otulającej jedwabście jej talię i smaruje twarz różnymi kremami.

- Podoba ci się? - Wstaje, trzymając przed sobą długą czarną sukienkę.

- Bardzo ładna. - Nie może się skoncentrować na stroju, widząc nad nim jej twarz tak olśniewającą.

- A może ta? - Tym razem jest to sukienka do kolan w kolorze sorbetti pomarańczowego.

- Też ładna.

Trudy krzywi się. Jej skóra lśni.

- Nie mam z ciebie żadnego pożytku.

Mówi mu, że Manley Haverford wydaje w weekend w swoim wiejskim domu przyjęcie na zakończenie sezonu letniego i że ma ochotę iść. Manley to stary fanatyk, który - zanim się ożenił z bogatą, ale brzydką Portugalką - prowadził w radiu talk - show. Żona jednak była na tyle uprzejma, że dwa lata po ślubie umarła, a on przeszedł na emeryturę, prowadząc w Saikung życie ziemianina.

- Mam niesamowitą ochotę - mówi Trudy - dosłownie niesamowitą tam iść.

- Przecież nie cierpisz Manleya - przypomina jej Will. - Sama mi to powiedziałaś w ubiegłym tygodniu.

- Wiem, ale jego przyjęcia są bardzo przyjemne, a poza tym Manley nie żałuje drinków. Chodźmy, będziemy przy nim mówić, jaki jest okropny. Pójdziemy? Powiedz, że pójdziemy! Pójdziemy! - Trudy wymusza na nim zgodę. Pójdą.

W piątek po południu Will urywa się z pracy i spędzają dzień, pływając się w oceanie koło domu Manleya. Jadą tam wąskimi krętymi drogami wyrzeźbionymi w zielonych zboczach - po prawej stronie mają błękitną wodę, po lewej soczystą zieleń wzgórz. Na teren posesji wjeżdża się przez zdezelowaną drewnianą bramę, potem jest długi podjazd i tuż nad samym morzem dom z gankiem wychodzącym na plażę, do której prowadzą prymitywne kamienne stopnie. Przy piaszczystej zatoczce stoją chłodnie z lodem, drinkami i kanapkami.

Słońce i woda wzmagają apetyt, więc wszyscy jedzą, jedzą i jedzą, przeklinając gospodarza, że nie nadała z zaopatrzeniem.

- Do mnie macie pretensje? - broni się. - Uważałem, że zaprosiłem ludzi cywilizowanych, którzy jedzą trzy posiłki dziennie.

Z domu, gdzie wypoczywali, nadchodzą kuzynostwo Trudy, Melody i Victor Chenowie.

- Co robimy? - pyta Melody.

Will ją lubi, uważa, że jest miła, kiedy nie ma w pobliżu męża.

Jakaś kobieta, która niedawno przyjechała z Singapuru i której nie znają, proponuje grę w zgadywanki. Jęczą, ale przystają na jej propozycję.

Trudy staje na czele jednej drużyny; kobieta z Singapuru - drugiej. Grupy zbliżają się do siebie, piszą słowa na wilgotnych papierkach, które wrzucają do pustego kosza po kanapkach.

Trudy jest pierwsza. Patrzy na słowo i uśmiecha się.

- Proste jak drut - mówi zachęcająco do swojej drużyny. Udaje, że coś filmuje; jedną ręką wykonuje ruch rotacyjny, jakby obsługiwała dźwignię kamery.

- Film! - wykrzykuje jakaś Amerykanka. Wystawia cztery palce do góry, a potem nagle uchyla głowę, wysuwa ramiona do przodu i - ziuuu - śmiga przed siebie.

- Przemieńło z wiatrem! - woła Will, a Trudy składa przed nim ukłon.

- To nie fair - protestuje ktoś z drugiej drużyny. - Pupilek korzysta z przywilejów.

Trudy podchodzi do Willa i całuje go w czoło.

- Bystry z ciebie chłopak - mówi i siada obok niego. Kobieta z Singapuru wstaje.

- Twoja nemezis - zwraca się do Trudy Will.

- Nie przejmuj się. To idiotka.

Popołudnie upływa miło na wykrzykiwaniu obraźliwych epitetów, popijaniu i ogólnie rzecz biorąc, na wygłupianiu się. Niektórzy rozmawiają o rządzie i o tym, że organizuje różne korpusy wolontariuszy.

- To nie są wolontariusze, tylko służba obowiązkowa - prostuje Will. - Ustawa o Służbie Obowiązkowej, na miłość boską. Czyli coś dokładnie odwrotnego. Dlaczego nie nazywać rzeczy po imieniu? Dowbiggin tylko się ośmiesza.

- Nie bądź takim gburem - mówi Trudy. - Rób, co do ciebie należy.

- No właśnie. Chyba muszę walczyć. - Uważa, że organizacja jest kierowana w beznadziejny sposób.

- Czy ktoś ma ochotę zagrać w krykieta? - pyta jeden z gości, jakby na potwierdzenie jego słów.

- Dlaczego nie? - odpowiada ktoś inny. - Zawsze ktoś się znajdzie.

- Niekoniecznie - mówi Manley - ale zamierzam trenować w weekendy na terenie klubu. Na przykład z policjantami, chociaż oni mogą być zajęci w razie jakiegoś ataku.

- Czy nie sądzisz, że jesteś na to za stary, Manley? - pyta Trudy. - Stary i niedołężny.

- Wspaniale w tym wszystkim jest to - odpowiada Manley z wymuszonym uśmiechem - że wolontariusza nie można wyrzucić. A w każdym razie ten tutaj w klubie jest wygodny.

- Wysłałam Melody do Ameryki - oznajmia nagle Victor Chen. - Nie chciałbym, żeby była narażona na jakiegokolwiek niebezpieczeństwo.

Melody uśmiecha się niepewnie, w milczeniu.

- Władze się przygotowują - mówi Jamie Biggs. - Gromadzą żywność w magazynach w Tin Hau i zabezpieczają własność brytyjską.

- Jak Kolekcja Korony, tak? - pyta Victor. - Ciekawe, co z tym zamierzają zrobić. To przecież należy do dziedzictwa angielskiego.

- Jestem przekonany, że wszystko już zostało załatwione - uspokaja Biggs.

- Te zapasy się zepsują, zanim ktokolwiek z nich skorzysta - wyrywa się ktoś inny.

- Cynik - kwituje Trudy.

Wstaje z wdziękiem i idzie w kierunku oceanu. Całe to gadanie o wojnie ją męczy. Uważa, że nie ma takiego zagrożenia. Wszyscy patrzą oczarowani, jak znika wśród fal, a następnie się wynurza ociekająca wodą, lśniąca, a jej szczupłe ciało stanowi wyzwanie wobec poziomej linii horyzontu oddzielającej niebo od morza. Po chwili wraca i otrząsa mokre włosy na Willa. Spadające krople wody mieniają się jak brylanty. I wtedy ktoś pyta, gdzie są rakiety tenisowe. Czar pryska.

Przy obiedzie Trudy deklaruje, że zajmie się mundurami dla wolontariuszy.

- Will będzie idealnym modelem - oznajmia. - Bo to doskonały okaz męczyzny.

Martin Thorpe, dyrektor amerykańskiej filii wielkiej farmaceutycznej firmy, spogląda na niego z powątpiewaniem.

- Taki mały i brzydki? - dziwi się, chociaż ta charakterystyka bardziej pasuje do niego niż do Willa.

- Will! - krzyczy Trudy. - Zostałeś obrażony! Broń swojego honoru!

- Mam ważniejsze rzeczy do obrony - mówi i wszyscy milkną. Will ma talent do nietrafionych, budzących wesołość odzywek. - Przepraszam - brnie dalej, ale nikt go już nie słucha.

Trudy opowiada o krawcu, który będzie szył mundur:

- Jest od wieków naszym rodzinnym krawcem i potrafi wykonać wierną kopię francuskiego modelu sukienki w dwa dni, a jak się go bardzo poprosi, to i w jeden.

- A jak się nazywa?

- Nie mam zielonego pojęcia - odpowiada z całą swobodą Trudy.

- Po prostu Krawiec. Wiem, gdzie ma pracownię, a w każdym razie wie mój kierowca. Zresztą jesteśmy zaprzyjaźnieni. Jak tam u was, przyjaciele, z kolorami: wolicie pomarańczowy czy różowy?

Decydują się na oliwkowozielony z pomarańczowymi paskami („Beznadzieja” - wzdychają kobiety, więc pomarańczowy ma być ustępstwem). Trudy pyta, kto będzie zdejmował miarę z męczyzn.

Wybierają ją.

Wyraża zgodę („Lewa nogawka szersza, tak?”, pyta niewinnie). A następnie ceduje ten zaszczyt na Willa. Jej frywolność ma jednak granice, zauważa Will.

Sophie Biggs usiłuje zainteresować gości piknikami przy księżycu.

- Są fantastyczne - zachwala. - Płyniemy parowcem z łodziami wiosłowymi i po dopłynięciu do wysp wszystkich dowozimy na brzeg, z żywnością, gitarą, akordeonem czy jakimś jeszcze innym instrumentem. - Sophie jest tęga i Will się zastanawia, czy łasuje po kryjomu, bo będąc z wizytą, je niewiele. Właśnie w tej chwili grzebie łyżką w kremie z porów.

Trudy wzdycha.

- Po co tyle roboty? Czy nie lepszy piknik w Repulse Bay? Sophie spogląda na nią z wyrzutem.

- Ale to nie to samo. Chodzi o wyprawę.

Mąż Sophie twierdzi, że pracuje w transporcie morskim, lecz Will podejrzewa, że w wywiadzie. Kiedy później dzieli się z Trudy tymi podejrzeniami, Trudy wykrzykuje:

- Co? Ten gruby cham? On by nie wytropił własnego cienia!

Jamie Biggs tylko słucha; nic nie mówi i robi wrażenie wiecznie czujnego. Jeśli jego zachowanie jest takie ostentacyjne, to Will ma poważne wątpliwości, czy Biggs się nadaje do tej roboty. Kiedy w ubiegłym roku wyjechał Milton Pottinger, ktoś powiedział, że pracuje w wywiadzie. Will nie mógł w to uwierzyć. Milton był potężnym, jowialnym mężczyzną, który dużo pił i robił wrażenie typowego plotkarza.

Edwina Storch, postawna Angielka i dyrektorka dobrej szkoły w mieście, przysłała ze swoją stałą partnerką Mary Winkle. Siedzą na końcu stołu, jedząc w ciszy i rozmawiając tylko między sobą. Will widywał je już wcześniej. Zawsze są obecne i nigdy nic nie mówią.

Przy deserze - biszkopt z owocami i bitą śmietaną - Victor oznajmia, że rząd gromadzi zapasy żywności w wielkich magazynach na Nowych Terytoriach. Ktoś inny mówi, że wszyscy Japończycy dostali tajne listy z instrukcją, co robić w razie inwazji, i że fryzjer z hotelu Gloucester okazał się szpiegiem. Władze zamierzają wydać nowe zarządzenie, na mocy którego wszystkie żony i dzieci, bez wyjątku, mają być wysłane z miasta, ale tylko biali Brytyjczycy pochodzenia czysto europejskiego będą mieli zapewniony transport statkami.

- Mnie to nie dotyczy - wzrusza ramionami Trudy, chociaż ma brytyjski paszport. Will wie, że gdyby tylko chciała, dostałaby się z pewnością na statek... jej ojciec wszędzie ma znajomości. - Zresztą, co bym robiła w Australii? Nikogo tam nie lubię. A poza tym to jest tylko dla czystych Brytyjczyków. Czy spotkaliście się kiedyś z czymś równie obraźliwym? - Zmienia temat. - Co by się stało - pyta - gdyby skierować przeciwko sobie dwa pistolety, a następnie w tym samym momencie pociągnąć za spusty? Jak myślicie: czy dwie osoby zostałyby ranne, czy kule zniszczyłyby się nawzajem?

Wybucho ożywiona dyskusja, która jednak bardzo szybko nudzi Trudy.

- Na miłość boską! - krzyczy. - Nie macie jakiegoś ciekawszego tematu rozmowy?

Grupka gości, przywołana w ten sposób do porządku, zwraca się ku innym tematom. Trudy jest towarzyskim dyktatorem, i to bynajmniej nie dobrotliwym. Potrafi na przykład komuś, kto właśnie przyjechał z Konga, powiedzieć, że nie rozumie, jak można jeździć w takie zakazane miejsca, skoro są tak wspaniałe miasta jak Londyn czy Rzym. Skarcony podróżnik spuszcza nos na kwintę. Zaraz potem Trudy mówi mężowi Sophie Biggs, że nie docenia swojej żony, a na koniec zwierza się Manleyowi, że nie cierpi deseru biszkoptowego. Mimo to nikt się nie obraża; każdy się z nią zgadza. Jest najsympatyczniejszą bezczelną osobą na świecie. Wszyscy zabiegają o jej względy.

Na koniec obiadu, już po kawie i likierach, służący Manleya wnosi wielką misę orzechów i rodzynek. Gospodarz ceremonialnym ruchem oblewa to wszystko koniakiem, a Trudy zapala zapałkę i wrzuca do środka. Miska staje natychmiast w niebieskobiałych płomieniach. Wszyscy starają się wyciągać smakołyki palcami, próbując uniknąć poparzenia. Zabawa nazywa się Lwia Paszcza.

Idąc później do toalety, Will dostrzega kątem oka w salonie dyskutujących z podnieceniem po kantońsku Trudy i Victora. Waha się przez chwilę, ale idzie dalej. Kiedy wraca, Trudy siedzi już z powrotem przy stole pogrążona w ożywionej rozmowie.

Wreszcie kładą się do łóżka. Manley przydzielił im pokój obok swojego, więc kochają się po cichu. Trudy zawsze w tych chwilach zachowuje się, jakby tonęła - chwyta się go kurczowo, wtulając twarz w jego ramię z żarliwością, z której na pewno by się śmiała, gdyby mogła na tę scenę spojrzeć z boku. Czasem jej palce na wiele godzin pozostawiają ślady na jego skórze. Nieco później budzą Willa jej szlochy. Twarz Trudy jest opuchnięta, widać na niej strach, po jej policzkach płyną łzy.

- Co się stało? - pyta Will.

- Nic. - To odruch.

- Victor cię zdenerwował?

- Nie, nie, on chce... - Trudy jest półprzytomna. - Mój ojciec... - zasypia z powrotem. Kiedy Will nakrywa ją kocem, jej ramiona są zimne i bezwładne. Rano nie pamięta nic i wyśmiewa jego niepokój.

W ciągu najbliższych tygodni nadciąga wojna. Żony i dzieci, które do tej pory uniknęły ewakuacji, wsiadają na statki i odpływają do Australii i Singapuru. Trudy jest zobowiązana pokazywać się w szpitalach, aby udowodnić, że jest pielęgniarką. Przechodzi szkolenie, oświadcza, że jest beznadziejna, i postanawia zająć się zaopatrzeniem. Rząd gromadzi zapasy w wielkich magazynach na Nowych Terytoriach, co Trudy uważa za śmieszne.

- Gdybym miała jeść tę żywność, palnęłabym sobie w łeb - oświadcza. - Same puszki wegetariańskie, konserwy wołowe i tym podobne świństwa.

Kolonia jest pełna osamotnionych, nagle opuszczonych przez żony mężczyzn, którzy spotykają się w Grippsie i w Paryskim Grillu i domagają się, żeby ich zapraszać na przyjęcia w tych nielicznych domach, w których pozostały kobiety. Zakładają Klub Kawalerów („Dlaczego Anglicy tak lubią zakładać kluby i towarzystwa? - pyta Trudy. - Nie, poczekaj, nie mów, to jest zbyt ponure”) i piszą petycje do gubernatora, żeby odesłał im z powrotem żony. Inni, odważniejsi, zaczynają się pojawiać z adoptowanymi chińskimi „córkami” albo „wychowanicami”, z którymi jedzą kolacje i piją szampana, wygłupiają się i flirtują, a potem znikają w ciemnościach nocy. Willa to bawi. Trudy mniej.

- Już ja się im dobiore do skóry! - wykrzykuje, kiedy Will zastanawia się głośno, która z hostess ma na niego chrapkę. - Jesteś jak trędowaty, kochanie - ripostuje. - Wy, angielscy mężczyźni, wychodzicie z mody. Muszę sobie poszukać nowego wielbiciela wśród Japończyków albo Niemców.

Will bardzo dobrze pamięta te czasy, kiedy wszystko było takie przyjemne, wojna wydawała się czymś bardzo odległym, o czym codziennie się rozmawiało, ale czego w gruncie rzeczy nie brało się poważnie.

Wrzesień 1952

Kiedy po skończonej lekcji Claire czekała na minibus, podjechał do niej nagle Will Truesdale.

- Może panią podwieźć? - zapytał. - Wracam z pracy.

- Dziękuję bardzo, nie chciałabym pana fatygować - odparła.

- To drobiazg. Chenowie nie mają nic przeciwko temu, żebym brał samochód na noc do domu. Większość pracodawców woli, aby szofer zostawiał wóz i wracał publicznym środkiem lokomocji, więc to jest dla mnie bardzo wygodne.

Claire zawahała się, ale w końcu wsiadła do samochodu. W środku pachniało papierosami i zniszczoną skórą.

- To miło z pana strony.

- Dobrze się pani bawiła wtedy u Arbogastów? - zapytał.

- Przyjęcie było bardzo przyjemne - odparła. Postanowiła być mniej wylewna, żeby nie wyjść na prostytutkę.

- Reggie to przyzwoity człowiek. No i miło było panią tam spotkać. Szkoda tylko, że przyszło tyle kobiet, które do towarzystwa nie wnoszą nic poza hałasem. Nie powinna pani utracić tej wielkiej zalety, jaką jest widzenie tego, co nowe, takim, jakie ono w istocie jest. Wszystkie tutejsze kobiety... - nie dokończył.

Dobrze prowadzi, pomyślała, bardzo spokojnie i pewnie, bez zbędnej brawury.

- Już pani nie używa tamtych perfum co wtedy?

- Nie - odparła nieufnie. - Używam ich tylko na specjalne okazje.

- Byłem zdziwiony, kiedy poczułem od pani ten zapach. Angielki rzadko go używają. Jest modny raczej wśród Chinek. One lubią ciężkie zapachy. Angielki wolą lżejsze, bardziej kwietne.

- Och, nawet nie wiedziałam. - Dłoń Claire odruchowo powędrowała do szyi, tam gdzie zwykle przykładała flakonik.

- Ale to miło, że pani używa tego zapachu - dodał.

- Widzę, że sporo pan wie na temat kobiecych perfum.

- O, nie. - Spojrzał w jej stronę. - Po prostu znałem kogoś, kto używał jaśminu.

Jechali w milczeniu, aż do jej domu.

- Pani uczy ich córkę - powiedział, kiedy sięgała do drzwi; nagle w jego głosie wyczuła napięcie.

- Tak, Locket - odparła zaskoczona.

- Czy Locket jest dobrą uczennicą? Pilną?

- Trudno powiedzieć - odparła. - Rodzice nie motywują jej specjalnie do tego, żeby się starała, więc robi niewiele. To typowe w tym wieku. Ale to miła dziewczyna.

Skinał głową; twarz miał nieodgadnioną, ukrytą w ciemnym wnętrzu samochodu.

- Dziękuję bardzo za podwiezienie - powiedziała Claire. - Jestem ogromnie zobowiązana.

Znowu skinął głową i odjechał w zapadającym zmroku.

A potem była bułeczka. Bułeczka ze słodką pastą kasztanową. Tak się spotkali ponownie. Szła Elgin Street do przystanku minibusu, kiedy zaczęło lać. Wielkie, niesamowite krople wody padały z góry i w ciągu kilku sekund Claire przemokła do suchej nitki. Spojrzała w niebo i stwierdziła, że zrobiło się groźnie szare. Dała nurka do chińskiej piekarni, żeby przeczekać burzę. Zamówiła herbatę i bułkę kasztanową, i kiedy się odwracała, żeby usiąść przy jednym z okrągłych stolików, zauważyła Willa Truesdale'a, który przyglądał jej się, jedząc wolno ciasto z czerwonej fasoli.

- Witam - powiedziała. - Widzę, że i pana złapał deszcz.

- Zechce pani usiąść?

Usiadła. W wilgotnym powietrzu pachniało od niego herbatą i papierosami. Przed nim leżała gazeta otwarta na niedokończony krzyżówce. Wiatr podwiewał kartki do góry.

- Lunęło jak z cebra. I to tak nagle.

- Jak się pani miewa, jeśli wolno spytać?

- Całkiem dobrze, dziękuję. Właśnie wracam od Liggettów, od których pożyczałam wykroje. Zna pan Jaspera i Helen? On pracuje w policji.

- Ligget bigot? - zmarszczył czoło.

Roześmiała się zmieszana. Will bębnił palcami po stole, mimo że robił wrażenie zrelaksowanego.

- Tak go nazywacie? - spytała.

- Dlaczego nie?

Will ponownie zajął się krzyżówką, podczas gdy Claire jadła bułkę i popijała herbatę. Miała krępującą świadomość własnego przeżuwania i przelknięcia. Wyprostowała się na krześle.

Will podniósł wzrok, nucąc jakąś melodię.

- Hongkong pani służy - powiedział.

Zarumieniła się, zaczęła coś mówić o impertynencji, ale słowa jej się poplątały.

- Nie ma się czego wstydzić - ciągnął. - Myślę... - zaczął tak, jakby opowiadał historię jej życia. - Wyobrażam sobie, że pani zawsze musiała być ładna, ale nigdy pani się do tego sama przed sobą nie przyznała i tego nie wykorzystwała. Nie wiedziała pani, co z tym fantem zrobić, a matka pani w tym nie pomogła. Może przez zazdrość? Może i ona w młodości była ładna i nie mogła się pogodzić z tym, że uroda przemija.

- Nie mam pojęcia, o czym pan mówi.

- Od lat stykam się z takimi dziewczynami jak pani. Przyjeżdżacie z Anglii i nie wiecie, co ze sobą zrobić. Nie mam pojęcia, dlaczego tak wiele z was nie wykorzystuje tego, że jest tutaj. Z dala od domu. Tu macie szansę na zmianę. Powinnyście wykorzystywać tę okazję, żeby stać się kimś innym.

Gapiała się na niego przez chwilę, po czym zaczęła popychać papierek po bułce dokoła stolika. Papier był lekko wilgotny i przylepiał się do blatu. Czowała na twarzy wzrok Willa.

- No cóż - przerwał milczenie - musi być pani bardzo nieprzyjemnie. Mieszkam niedaleko, gdyby pani chciała się przebrać w suche rzeczy...

- Nie, dziękuję, ja bym...

- Dać pani może moją marynarkę? - Patrzył na nią tak intensywnie, że poczuła się jak rozebrana. Czy jest coś bardziej intymnego niż bycie widzianym właśnie w taki sposób? Odwróciła wzrok.

- Nie, ja...

- Proszę się nie krepować - powiedział szybko. - Idziemy.

I poszła całkowicie bezwolna wobec jego propozycji.

Wchodzili po schodach, mokrych teraz i błyszczących, chociaż pod wpływem upału wilgoć zaczynała powoli parować. Ubranie przylgnęło do niej, przemoczona bluzka lepiała się nieprzyjemnie do łopatek. W ciszy, jaka nastąpiła po deszczu, słyszała jego oddech, powolny i regularny. Posługiwał się laską fachowo, podpierając się przy pokonywaniu stopni i pogwizdując cicho pod nosem.

- Jak jest ładnie, to przychodzi tutaj człowiek, który sprzedaje świeższe wykonane ze źdźbeł trawy. - Gestem wskazał róg ulicy. -

Kupiłem ich masę. Są fantastyczne, ale po wyschnięciu się kruszą, a wysychają, nawet kiedy w powietrzu jest wilgoć.

- To brzmi interesująco - rzuciła Claire. - Chciałabym je zobaczyć.

Dotarli do domu, w którym mieszkał, i zaczęli wchodzić po brudnych, prymitywnych schodach. Will zatrzymał się przed drzwiami.

- Nigdy nie zamykam mieszkania - oznajmił nagle.

- Myślę, że w tej okolicy jest dość bezpiecznie - powiedziała.

W mieszkaniu było niewiele sprzętów. Na gołej podłodze stały tylko kanapa, krzesło i stół. Kiedy weszli, Will zdjął przemoczone buty.

- Szefowa nie pozwala mi chodzić w butach po mieszkaniu.

W tym momencie weszła do przedpokoju mała chuda kobieta około czterdziestki. Miała na sobie typowy uniform amah: spodnie, a na nich czarną tunikę.

- To jest właśnie szefowa, Ah Yik. Ah Yik, to jest pani Pendleton.

- Tak mokro! - wykrzyknęła amah. - Duży deszcz.

- Tak - potwierdził Will. - Duży, duży deszcz. - Po czym szybko zaczął do niej mówić po kantońsku.

- Herbata dla tej pani? - zapytała Ah Yik.

- Tak, proszę - odparł Will. Amah poszła do kuchni.

Spojrzeli po sobie niepewnie; w mokrej szybko stygnącej odzieży czuli się nieswojo.

- Pan biegle włada miejscowym językiem. - Było to raczej stwierdzenie niż pytanie.

- Jestem tu od dziesięciu lat. Muszę znać ich język choćby w takim stopniu, żeby móc się z nimi porozumiewać, nie sądzi pani? - Zdjął z haczyka ściereczkę i wytarł głowę. - Pewnie chciałaby pani zrobić to samo, prawda?

- Tak, owszem.

Usiadła, kiedy Will wyszedł. Było coś dziwnego w pokoju, do którego ją zaprosił. Przez jakiś czas nie potrafiła tego nazwać, dopiero po chwili się zorientowała, że nie ma w nim nic, co by pełniło funkcję dekoracyjną. Żadnych obrazów, wazonów, żadnych bibelotów. Wnętrze było surowe jak cela klasztorna.

Will pojawił się z ręcznikiem i prostą różową bawełnianą sukienką.

- Czy to będzie odpowiednie? - zapytał. - Mam jeszcze kilka innych rzeczy.

- Nie muszę się przebierać - odparła. - Wystarczy, że trochę wyschnę i ruszam w drogę.

- Myślę jednak, że powinna się pani przebrać. Będzie się pani źle czuła.

- Dziękuję, wszystko jest w porządku. Odwrócił się, żeby odnieść sukienkę.

- No więc dobrze... - namyśliła się Claire. - Gdzie mogłabym...?

- Och, wszędzie. To znaczy wszędzie tam, gdzie nie zgorszy pani szefowej.

- Oczywiście. - Wzięła od niego sukienkę. - To chyba nawet mój rozmiar.

- A tu jest telefon, gdyby pani chciała zadzwonić do męża.

- Dziękuję, ale Martin przebywa w tej chwili w Szanghaju - powiedziała i poszła do łazienki.

Łazienka była mała, ale czysta, z matową szybą w oknie umieszczonym wysoko nad toaletą. Faliste, granulowane szkło zwracało uwagę zatopionym w środku drutem. Obok w ścianie tkwił mały wentylator, z którego zwisał sznurek od wyłącznika. Czuło się tu, zwłaszcza w czasie deszczu, zaduch stęchlizny świadczący o tym, że po kąpieli nie wietrzono pomieszczenia należycie. Koło wanny stał niski drewniany stołek, a na nim porcelanowa miska. Claire nachyliła się do lustra. Włosy miała w nieładzie - cienkie jasne kosmyki sterczały tu i ówdzie - a twarz ciągle jeszcze zaróżowioną od wysiłku wspinania się. Wyglądała na dziwnie ożywioną; wskazywały na to pełne, czerwone, wilgotne usta, nawilżona, lśniąca skóra. Rozebrała się, upuszczając mokrą bluzkę na podłogę, która opadała z lekka ku umieszczonej pośrodku kratce odpływowej. Wylała się i zaczęła wciągać przez biodra sukienkę, która okazała się dość obcisła, ale nie za ciasna. Skąd Will miał pod ręką sukienkę? I to elegancką, w dobrym gatunku, ze starannie wykończonymi szwami? Po powrocie zastała Willa popijającego herbatę z termosu.

- Pasuje jak ulał - zauważył.

- Dziękuję - odparła.

Nagle poczuła, że już dłużej nie wytrzyma. Że ma dość tego mężczyzny z jego lekko ironicznym tonem i dziwnymi pauzami w rozmowie.

- Może coś do jedzenia? - zaproponował. - Ah Yik robi wspaniały smażony ryż.

- Dziękuję, jednak już pójdę - oświadczyła Claire.

- Och - Will wydawał się zaskoczony. Odczuła satysfakcję z powodu jego zdziwienia, jakby coś wygrała. - Oczywiście, jeśli pani musi...

Wstała i wyszła z pokoju, przy drzwiach włożyła buty; Will się nie ruszył. Kiedy się odwróciła, żeby powiedzieć do widzenia, zobaczyła, że gospodarz czyta książkę. Ogarnęła ją wściekłość.

- Wobec tego do widzenia - powiedziała. - Sukienkę odeślę przez swoją amah. Dziękuję za gościnę.

- Do widzenia. - Will nawet nie podniósł wzroku znad książki.

Wieczorem po kolacji jakoś nie mogła się odprężyć. Miała dziwne uczucie, jakby jej wnętrze było za duże w stosunku do zewnętrznej powłoki, jakby tego wszystkiego, co czuje, nie mogła w sobie pomieścić. Martin jeszcze nie wrócił, więc się ubrała, wyszła i wsiadła do autobusu jadącego w kierunku miasta. Autobus podskakiwał na wyboistych drogach, a ona siedziała z łokciem wystawionym przez okno otwarte na ciepłe nocne powietrze. Wsiadła w Wanchai, miejscu najruchliwszym, ponieważ zmęczona samotnością chciała się znaleźć wśród ludzi. Targ był jeszcze czynny, Chińczycy kupowali kapustę i ryby, z haków zwisały świńskie tusze z czerwonymi łbami, z których ściekała na chodnik krew. Była to osobliwość Hongkongu. Dziesięć minut spaceru w stronę centrum i wszystkie budynki są cywilizowane, duże, w klasycznym europejskim stylu, ulice szerokie i puste, podczas gdy tu, wśród wąskich zaułków i zadymionych straganów, w chaosie gorączkowego ruchu, otwierał się inny świat. Dokoła niej ludzie wykrzykiwali głośno, zachwalając swoje towary, umorusane dziecko bawiło się na ulicy brudnym wiadrem. Ciężarna kobieta niosąca pod pachą warzywa potrafiła Claire, a następnie przeprosiła za swoje niezdarne ruchy. Claire patrzyła za nią przez chwilę, zastanawiając się, jakie to uczucie mieć w sobie żywe, poruszające się dziecko. Jakaś młoda para usiadła w ulicznej jadłodajni makaronowej, wybuchając głośnym śmiechem.

Claire poczuła, że ktoś ją ciągnie za rękę. Była to pomarszczona staruszka ubrana jak większość tutejszych starych kobiet w szarą bawełnianą tunikę i spodnie. Na ramieniu miała mały koszyk z mandarynkami.

- Pani kupi - powiedziała. Pachniała białą kwiatową maścią, jakiej miejscowi używają praktycznie na wszystko, od zwykłego przeziębienia do cholery. Jeden z jej zębów był szary i wyszczerbiony; reszta w żółtym kolorze staroci. Brunatna twarz kobiety przypominała pajęczą sieć głębokich zmarszczek.

- Nie, dziękuję bardzo - odparła Claire. Jej obcy głos zadźwięczał jak dzwon. Wydawało się, że na chwilę ustanowił wokół niej strefę ciszy.

Kobieta jednak stała się bardziej natarczywa.

- Pani kupi! Bardzo dobre. Świeże, dzisiejsze. - Znów pociągnęła Claire za rękę, a potem sięgnęła do jej włosów. Tutejsi Chińczycy czasem sobie na to pozwalali i chociaż za pierwszym razem Claire się przestraszyła, to teraz już zdążyła do tego przywyknąć. - Piękne - powiedziała kobieta. - Kolor złota.

- Dziękuję - odparła Claire.

- Pani kupi! - powtórzyła stara.

- Dziś nie zamierzam nic kupować, ale dziękuję. - Szum powrócił. Claire ruszyła przed siebie. Kobieta szła za nią jeszcze kilka metrów, po czym zrezygnowała, wypatrując bardziej obiecujących klientów.

Dlaczego właściwie nie miałabym kupić od niej mandarynek? - pomyślała nagle Claire. Dlaczego? Co by się takiego stało? Nie rozumiała, dlaczego odmówiła, jakby nagle stara angielska mentalność, ze wszystkimi jej ograniczeniami i uprzedzeniami, rozplynęła się w wilgotnym, cuchnącym powietrzu.

Odwróciła się, ale kobieta zdążyła już zniknąć. Odetchnęła głęboko, wciągając przy tym zapachy targu, intensywne, pierwotne. Dokoła niej tętnił życiem Hongkong.

I nagle okazało się, że Will Truesdale jest wszędzie. Widziała go na przystanku autobusowym, w Kayamally's, w kolejce do kina. I chociaż on jej nie widział, to na wszelki wypadek spuszczała głowę tak, żeby jej nie mógł zobaczyć. A potem zerknęła w nadziei, że może ją jednak zauważy. Ale on robił wrażenie całkowicie zamkniętego w sobie, nawet kiedy przebywał w tłumie. Nigdy nie rozglądał się na

boki, nigdy nie patrzył na zegarek. Wyglądało na to, że jej nie dostrzega.

W czwartki, w dniach lekcji z Locket, łapała się na tym, że go szuka. Słyszała, jak służba śmieje się w kuchni z jego żartów (musiał naprawdę biegle władać kantońskim), widziała jego marynarkę wiszącą w przedpokoju, ale fizyczna obecność Willa zawsze jej umykała, jakby chyłkiem wchodził i wychodził, celowo jej unikając. Nieraz specjalnie przeciągała lekcję, ale nigdy nie natknęła się ani na niego, ani na jego samochód.

Ni z tego, ni z owego w następny weekend znaleźli się na plaży. Nawet nie bardzo wiedziała, jak to się stało. Przyszła do domu. Zadzwoił telefon. Odebrała.

- Jeden z moich przyjaciół ma do dyspozycji domek na plaży - powiedział. - Może byś miała ochotę na kąpiel? - Jakby nigdy nic. Jakby było oczywiste, że go pozna po głosie.

- Na kąpiel? - zapytała. - A gdzie?

- W Big Wave Bay. To jest bezpłatne świadczenie na rzecz miejscowych, ale nie będą mieli nic przeciwko temu, jeśli z tego skorzystamy. To działa na zasadzie loterii - dostaje się domek na sezon. Zwykle dobieramy się grupami znajomych i dzielimy weekendami. Jest całkiem przyjemnie.

Zamknęła oczy: Will, niedostępny mężczyzna o szczupłych ramionach, szarych oczach i niesfornych ciemnych włosach, które spadały mu na czoło, człowiek, który patrzył na nią z taką intensywnością, że czuła się przezroczyście, i który jej właśnie zaproponował kąpiel w morzu, sam na sam. Otworzyła oczy i powiedziała, że tak, że pójdzie z nim w niedzielę na plażę. Martin wyjechał na trzy tygodnie i depeszował z Szanghaju, że jego nieobecność może się przedłużyć. Objeżdżał główne chińskie miasta, sprawdzając urządzenia wodne, które, jak podejrzewał, były bardzo prymitywne.

A więc woda. Ciekawe, że nie pomyślała o tym wcześniej. Jak bardzo wszystko potrafiła zmienić. Claire była inną kobietą w innym świecie. A Will! Jak nurkował bez chwili wahania - co się stało z jego utykaniem? Płynął z nurtem jak ryba, śmigając to tu, to tam, aż po horyzont, dalej niż ona by się kiedykolwiek odważyła popłynąć.

Byli jedynymi nie - Chińczykami na plaży. Woda po lecie wydawała się w dalszym ciągu ciepła; w powietrzu ledwie wyczuwali

rzeźkość. Komunalny domek okazał się prosty, z drewnianymi szafkami i plecionymi matami w środku. Piasek był bardzo drobny, zaśmiecony czarnymi suchymi listkami. Dokoła nich piknikowały, gadając głośno, całe rodziny; dzieciaki grzebały się w piasku. Will miał ochotę dostać się aż do pływających doków jakieś dwieście metrów od brzegu, a kiedy Claire powiedziała, że nie dopłynie, że to dla niej za daleko, przekonał ją, że z pewnością da radę, i dała. Tam wdrapali się na pływający pokład i pławili w słońcu jak foki. Will leżał z zamkniętymi oczami, a Claire ukradkiem obserwowała jego wystające żebra i ciało poznaczone bliznami nieznanego pochodzenia. Miał na sobie krótkie bawełniane spodenki, ciężkie teraz od wody. Strój kąpielowy był nie w jego stylu.

Panował upał, wielki upał. Słońce na krótkie chwile chowało się za chmurami, po czym wyłaniało się znowu, piekąc niemiłosiernie. Nie było gdzie się schować. Claire marzyła o czymś zimnym do picia, o drzewie, które dawałoby cień, ale obie te rzeczy wydawały się niewyobrażalnie odległe - jak brzeg.

- Powinniśmy byli zabrać ze sobą termos z wodą - powiedziała.

- Następnym razem - odparł, nie otwierając oczu.

- Powiedz mi coś o sobie - poprosiła, zanim dotarł do niej sens jej własnych słów. W dalszym ciągu była wewnętrznie rozedrgana: sama na plaży z mężczyzną, którego intencji właściwie nie знаła.

- Urodziłem się na Tasmanii, ale pochodzę ze szkockiej rodziny - zaczął z lekką kpina w głosie, jakby przymierzał się do autobiografii. Usiadł i skrzyżował nogi jak hinduski swamin.

- Dlaczego na Tasmanii? - spytała.

- Mój ojciec był misjonarzem i przenosiliśmy się z miejsca na miejsce - odparł. - Anglię odwiedziłem tylko raz i bardzo mi się nie podobała. Moja matka była taką artystyczną duszą i miała od rodziny trochę pieniędzy, które pozwoliły nam się jakoś urządzać.

W Hongkongu roilo się od takich ludzi jak Will, globtroterów, którzy nigdy nie widzieli Piccadilly. Claire była tam tylko raz i zapamiętała starca w łachmanach, który do każdego przechodnia wykrzykiwał: „Cudzołźnicy!”.

- A jak się uczyłeś?

- Chodzi ci o szkołę? Uczyłem się w domu na Biblii i klasykach.

- Uniósł ręce tak, że zasłaniały niebo. - Odebrałem dobre podstawowe

wykształcenie. I nic więcej nie potrzeba. - Jego ton był sarkastyczny. - Solidne fundamenty wystarczą na całe życie.

- A jak to się stało, że zostałeś szoferem?

- Poznałem przed wojną pewne małżeństwo. Mieszkałem u nich, kiedy byli za granicą. A potem, po powrocie, znaleźli mi pracę u swoich kuzynów. Nie bardzo wiedziałem, co robić. Miałem dosyć biura. A poza tym niewiele umiem. Ale znam Hongkong jak własną kieszeń.

- A skąd się wziąłeś w Hongkongu?

- Moi rodzice byli najpierw w Afryce, a potem w Indiach. Kiedy po przejściu na emeryturę wrócili do Anglii, zostałem jako zastępca kierownika plantacji, ale po trzech latach miałem tego dosyć, więc wsiadłem na statek i próbowałem różnych miejsc, aż wreszcie zdecydowałem się na Hongkong. Decyzja ot tak, z kapelusza. Po prostu przyjechałem tu jak wszyscy inni, nie wiedząc nic o tym miejscu i zwyczajnie mu zawierzyłem. - Will przerwał. - Oczywiście to jest historia, którą opowiadam wszystkim paniom.

Nie wiedziała, czy żartuje, czy mówi serio.

- O?

W dalszym ciągu leżeli na zbyt nasłonecznionym pływającym pokładzie, kołysani przez fale, z ulotnym błękitem nieba w górze.

- A jak było w Indiach?

- To skomplikowana historia.

- A co z podziałem?

- Nastąpił po moim wyjeździe oczywiście. Chcieli, żebyśmy się wynieśli. Wewnątrz działy się straszne rzeczy. Pociągi przewoziły dziesiątki tysięcy trupów w obie strony. Ludzie są zdolni do najgorszego okrucieństwa wobec siebie.

Claire się skrzywiła.

- Dlaczego? - Jeszcze nigdy nie słyszała, żeby ktoś mówił o wydarzeniach historycznych w tak osobisty sposób.

- Kto wie?

- A jak się żyło przedtem?

- Może to dziwne, ale udało nam się mimo wszystko wykroić jakoś dla siebie całkiem niezły kawałek świata. Siłą rzeczy społeczeństwo było niepełne. Brakowało kobiet... naszych kobiet.

- Nie ożeniłeś się?

- Nie, nigdy nie byłem żonaty. Zaległa cisza.

- Czy to już koniec wielkiej inkwizycji? - przerwał milczenie.

- Jeszcze nie wiem.

Ani razu nie zapytał o jej życie. Leżeli w milczeniu pod palącymi promieniami słońca.

Po pewnym czasie poszli coś zjeść. Zdecydowali się na gorące słone udka kurczaka od chińskiego handlarza, który sprzedał im też mleko sojowe w butelkach. Małą wioskę otaczał pierścień straganów, gdzie można było kupić maty do leżenia na piasku, kostiumy kąpielowe i zimne napoje. Will obserwował jedzącą Claire. Jakiś wynędzniały kundel snuł się między stolikami.

- Nie mogę wiele jeść. Od czasów wojny mam w środku straszny bałagan - wyznał. - Kiedyś był ze mnie kawał chłopca, chociaż dziś trudno w to uwierzyć.

Will przybliżył się do niej, a jej mocniej zabiło serce. Przyciągnął jej rękę do swoich ust i ugryzł mały kęs kurczaka. Uchwyt miał mocny, palce zapiaszczone.

- Do tej pory odbija mi się to jak żółć. - Skrzywił się, żując powoli.

Po posiłku wrócili do samochodu. Sięgnął do drzwi, żeby je otworzyć. Jego utykanie było widoczne. Znów stał się ludzki. Zwróciła się twarzą do niego, plecami oparta o drzwi samochodu. Przycisnął jej ramię i pocałował w usta. Był to płynny ruch, który wydawał się nieunikniony. Objął ją ramionami, opierając się dłońmi o samochód. Jego pocałunek, fizyczny, mocny nacisk ust na usta, odczuła bardzo intensywnie, jakby tonęła. Powiedziała sobie: To jest Hongkong, a ja jestem wygnańcem, kobietą, którą dzieli od kogoś, kim mam być, świat drogi. Wyprostował się i spojrzał na nią. Obwiodł palcem jej profil.

- Jedziemy? - spytał.

- Lubisz mnie? - Zadała to pytanie, kiedy wracali. Miała burzę włosów gęstych od morskiej soli. Nie wiedziała, dokąd jada.

- Jeszcze nie wiem.

- Bądź dla mnie dobry - powiedziała. Zabrzmiało to jak ostrzeżenie. Chciała oszczędzić siebie.

- Oczywiście - odparł, ale jakby bez przekonania.

- Jak długo jeszcze będziesz uczyła tę dziewczynkę? - spytał po chwili.

- Nie mam pojęcia. Ona nie przejawia specjalnego entuzjazmu, ale rodzicom zdaje się bardzo zależy na tym, żeby się nauczyła.

- Lubisz ją?

- Dosyć. Chociaż w ogóle nie przepadam za dziećmi. - Powiedziała to automatycznie, jak zawsze mówiła jej matka.

- Jesteś jeszcze za młoda. Sama jeszcze jesteś dzieckiem.

- A ty lubisz dzieci?

- Niektóre - odparł.

Kilka tygodni później zapytała:

- Dlaczego ja?

- A dlaczego ktokolwiek? Dlaczego w ogóle ludzie są ze sobą?

Pożądanie, bliskość, przyzwyczajenie, przypadek. Wszystko to przemknęło jej przez głowę, ale nie odezwała się słowem. A potem to najokrutniejsze.

- Nie lubię kochać - oznajmił. - Muszę cię uprzedzić. Nie wierzę w miłość. I ty też nie powinnaś wierzyć.

Wpatrywała się w niego, czując bolesne ukłucie, ale nie dała tego po sobie poznać. Schyliła się po ubranie, a następnie poszła do łazienki się ubrać. Claire często nie odzywała się przy Willu; nigdy nie wiedziała, co powiedzieć. Nie chciała dawać z siebie zbyt wiele, dostając od niego tak niewiele, lecz kiedy leżeli razem w łóżku, czuła się strasznie, dzieląc tę intymność z kimś, komu wyraźnie nie zależało. I potem te powroty do Martina. I prywatność z nim - taka przyziemna. Codzienne domowe obowiązki, trochę zadyszki, trochę popychania, nic specjalnie przyjemnego ani romantycznego. Z Willem było zupełnie inaczej - element niebezpieczeństwa, zaskoczenia i udręki. Wszystko to razem działało jak narkotyk. Nie sądziła, że może tak być. Zamknęła oczy i próbowała nie myśleć o tym, co by powiedziała jej matka, gdyby wiedziała.

W czwartki, po lekcji, odwoził ją do domu. Służba zaczęła gadać, Claire poznała to po spojrzeniach i uśmiezkach amah. Ignorowała je całkowicie, poza tym, że od czasu do czasu prosiła o filiżanką herbaty, którą najpierw próbowała, a potem żądała dodatkowego cukru albo mleka po to tylko, żeby musiały parzyć herbatę od nowa. Wiedziała, że to małostkowe z jej strony, ale tylko w ten sposób mogła sobie powetować ich ukradkowe spojrzenia.

Tego dnia Will otworzył drzwi samochodu z ceremonialnym gestem.

- Dokąd pani sobie życzy?
- Zamknij się - ucieła. - Jedźmy do ciebie.
- Może byśmy gdzieś poszli, coś zrobili - zaproponował. - Może byśmy zjedli obiad nad wodą? Jest taka restauracja na łodzi sampan, do której czasem chodzę. Wypływają na wodę, gotują rybę.
- Na obiedzie muszę być w domu. Dziś wraca Martin. Mam niewiele czasu.
- To jedźmy na Peak popatrzeć na gwiazdy.
- Czy ty słuchasz tego, co do ciebie mówię? - zapytała rozdrażniona. - Nie jestem pewna, czy dzisiaj zdążyłabym iść nawet do ciebie.
- Jak sobie życzysz, kochanie. Najlepiej wobec tego odwiozę cię od razu do domu. W ten sposób zdążysz przygotować Martinowi wspaniały obiad.
- Zatrzymaj się - zażądała. Zjechał na bok i wyłączył silnik.
- Wedle rozkazu.
- Dlaczego... - ogarnęła ją nagła wściekłość - zawsze robisz to, co ci mówię, a potem się okazuje, że tak naprawdę robisz to, co ty chcesz?

Spojrzał na nią rozbawiony.

- Nie mam zielonego pojęcia, o czym mówisz.
- Owszem, masz. Doskonale wiesz, o czym mówię, tylko udajesz. A zresztą nieważne. - Uniosła ręce w geście poddania. - Odwieź mnie do domu. Wszystko potrafisz zepsuć.

Były takie chwile, kiedy Claire wydawało się, że może stać się inną osobą. Czuła to w sobie, kiedy na przykład ktoś przy obiedzie zrobił jakąś uwagę. Miała wtedy na końcu języka kąśliwą ripostę czy nawet coś pikantnego i już otwierała usta, i nabierała tchu, żeby to powiedzieć, ale ostatecznie słowa więzły jej w gardle. Połykała je więc i osoba, którą miała się stać, chowała się przytłoczona przez dawną Claire, aż nadto dobrze znaną w swoim środowisku. Czuła to podczas przyjęć, kiedy trzymając szklankę z koktajlem, miała nagle chęć zgnieść ją w dłoni. Nigdy tego jednak nie zrobiła. Ukryta w niej osoba tak wiele razy unosiła się jak balon, z którego zaraz potem uchodziło powietrze, że jej możliwości z czasem kurczyły się coraz bardziej.

I wtedy pojawił się Will. Mogła mu się zwierzać ze wszystkich swoich myśli i dopóki nie miały nic wspólnego z nimi dwojgiem,

dopóty nie widział w nich nic dziwnego. Nie miał żadnej koncepcji, jaka powinna być Claire. Dla niego była kimś nowym, wyjętym z kontekstu, kto mógł mieć romans, mógł być inteligentny, ironiczny czy nawet sprośny - jego nie dziwiło nic. Czasami wydawało jej się, że jest zakochana właśnie w tej nowej osobie, że jej romans to romans z nową Claire, a Will jedynie go umożliwił.

Grudzień 1941

Nadchodzą święta. Mimo pomruków wojny Hongkong zakłada świąteczną szatę. Lane Crawford, świat miliona podarunków, reklamuje swoje autentyczne angielskie kryształy jako idealne upominki; planuje się bale kostiumowe; Klub Dramatyczny wystawia Herbatkę we troje. Powietrze jest rześkie, chłód wyssał z niego całą wilgoć, ludzie poruszają się żwawo po ulicach. Wongowie, znana kupiecka rodzina, obchodzą hucznie w Grippsie złote gody dla uczczenia pięćdziesiątej rocznicy małżeństwa.

- Będzie nowy gubernator, ten Young - oznajmia Trudy. - I gubernator Makao, wielki przyjaciel ojca. Spodziewam się dziś trzech nowych sukienek! Jedna z jedwabnego żółtego szyfonu... cudo! A szara krepdeszynowa... szalenie elegancka. Nie będziesz miał nic przeciwko temu, żebym zamiast z tobą poszła z Dommiem? Ty zresztą nie znosisz takich uroczystości, prawda?

Will wzrusza ramionami.

- W porządku. Nie ma znaczenia. Trudy mruży oczy.

- Wygląda na to, że nic nie jest w stanie wytrącić cię z równowagi. Kiedyś mi się to nawet podobało, ale teraz już nie jestem pewna. Chcę ci powiedzieć, że dostałam dzisiaj coś od ojca. Coś szczególnego. Przyzywa go do sypialni.

- Twierdzi, że zamierzał dać to matce na ich dziesiątą rocznicę, no ale wiesz... - Trudy urywa. Zwykle mówiąc o zniknięciu matki, była mało sentymentalna, lecz dziś głos jej się łamie.

- Trudy, kochanie - mówi Will i przyciąga ją do siebie.

- Nie, chcę ci coś pokazać. Nie ma czasu na bara - bara. Otwiera szufladę i wyjmuje małą czarną aksamitną szkatułkę.

- Ożenisz się ze mną? - pyta żartobliwie, otwierając szkatułkę.

Wewnątrz jest ogromny szmaragd. Prawie nie widać, że to pierścionek. Lśni wspaniałym blaskiem.

- Jasny gwint - rzuca Will. - Kawał kamienia.

- Uwielbiam szmaragdy, chociaż jako Chinka powinnam lubić nefryt - oznajmia Trudy. - Szmaragdy są takie piękne i takie kruche. A nefryt jest taki twardy. Gdybym uderzyła szmaragdem o stół... wiesz, jaka jestem niezdarna... mógłby popękać. Nie są tak trwałe jak brylanty. - Wyjmuje pierścionek ze szkatułki i nagle ciska go w powietrze. Serce skacze w piersi Willa jak mały ptak. Wyciąga ręce i łapie spadający na ziemię pierścionek. Patrzy na zielony klejnot

leżący na jego dłoni niczym chłodny insekt. Krew krąży mu w żyłach jak szalona.

- Wiedziałam, że go złapiesz - oświadcza beznamietnie Trudy. - I to jest twoja mocna strona. Bo tak naprawdę... nie można na tobie polegać, jesteś dobry chyba tylko w sytuacjach kryzysowych.

Will, wściekły, wręcza jej pierścionek i patrzy, jak Trudy wsuwa go na szczupły palec.

- Piękny, prawda? - mówi. - To najpiękniejsza rzecz, jaką mam.

Will wychodzi z pokoju.

W sobotę jest kolejne przyjęcie - Bal Hełmu. Celem balu jest zebranie stu sześćdziesięciu tysięcy funtów na ufundowanie przez społeczność Hongkongu eskadry bombowców dla Anglii. Trudy błaga Willa, żeby z nią poszedł, twierdząc, że na ostatnim balu jedynymi interesującymi mężczyznami okazali się Amerykanie, co „nie było w porządku”.

- Jesteś kapryśna - mówi Will, ale ona go ignoruje. Na sali balowej Peninsuli Trudy jest jak zwykle rozrywana.

Trzy razy z rzędu prosi ją do tańca kanadyjski major. Will popija w Długim Barze, zajęty pogawędką z Angeline Biddle, kiedy nagle pojawia się za nim Trudy i zakrywa mu dłońmi oczy.

- Tęskniłeś za mną? - pyta.

- A to ciebie nie było? - Will wie, jak z nią rozmawiać.

- Co pijesz? - Trudy zwraca się do Angeline.

- Byczą krew - odpowiada Angeline. - To jest szampan zmieszany z musującym burgundem i odrobiną brandy.

- Brzmi koszmarnie - oświadcza Trudy, wyjmując Willowi z ręki jego koniak i popijając. - Czy nazwy kanadyjskich drużyn nie są najśmieszniejsze na świecie?

- Pułków, Trudy, nie drużyn - poprawia ją Will.

- Zaraz, jak oni się nazywają? Królewskie Karabiny czy jakoś tak? - zastanawia się Angeline.

- Nie, Królewskie Strzelby i Grenadierzy Winnipeg. Dopiero co przyjechali z Nowej Fundlandii, żeby wesprzeć naszą ochronę. Uwielbiają Hongkong.

- O, z pewnością - mówi Will. - W Hongkongu muszą się czuć jak w niebie.

Trudy wydyma wargi.

- Mam nadzieję, że nie będziesz nudnym zazdrośnikiem...? - Poprawia ramiączka sukienki. - Tak czy owak, mam zamówione kilka tańców. Angeline, zaopiekujesz się moim Willem, dobrze?

Angeline i Will patrzą na siebie i wzruszają ramionami.

- Oczywiście, kochanie - zapewnia ją Angeline. Zaraz po zniknięciu Trudy rozchodzą się w przeciwnie strony.

Will dostrzega stojącego pod ścianą Angusa Enderby'ego. W pobliżu przechodzi kuzyn Trudy, Dominick, pozdrawiając ich krótkim skinieniem głowy.

- Dziwny facet - mówi Angus. - Nie mogę go rozgryźć.

- Trudy twierdzi, że to dziewczyna.

- Chyba coś więcej niż dziewczyna. Nie jest taki niewinny. - Robi pauzę i po chwili: - Tutaj działa Pięta Kolumna. Popierają tego Wong Chang Wai, którego Japończycy zainstalowali w Chinach. Jakoby Dominicka widywano z tymi facetami. A Victor Chen to też brat łąta dla każdego, kto może mu się na coś przydać. Podobno miał w ubiegłym tygodniu u siebie na obiedzie cały konsulat japoński. Wszystko po cichutku. Lepiej być ostrożnym. Gra jest niebezpieczna.

- To twarda sztuka.

- Owszem. - Angus wzrusza ramionami. - Nie chce mi się wierzyć, żeby można było wysiłek wojenny zamienić na przyjęcie. Ten nowy gubernator to idiota, że tu przyszedł.

Przy barze tęga kobieta z drugą szczuplejszą popijają whisky, biernie przyglądając się tańczącym.

- Znasz Edwinę Storch? - Angus skinieniem głowy pokazuje Willowi kobiety.

- Widywałem ją, owszem, ale nigdy nie zostałem jej przedstawiony.

- To dyrektorka Essex, stara gwardia. Ponura i groźna. Jest tu od zawsze. A to jej partnerka Mary Winkle.

Will i Angus podchodzą do kobiet. Edwina królewskim ruchem skłania głowę. Jak królowa przyjmująca hołd poddanych.

- Jak się masz, Angus. Wesołych świąt.

- Edwina, chcę ci przedstawić Willa Truesdale'a, niedawno przybił do naszych brzegów. Pozwól, Will, to Edwina Storch i Mary Winkle. Stanowią w Hongkongu rodzaj instytucji. Wiedzą o wszystkich trupach w szafie.

- Miło mi panie poznać - mówi Will.

- Już tu pana widywałam. Pan jest z tą małą Liang.

- Tak, owszem - potwierdza Will. Nie jest zaskoczony jej obcesowością. Już się zetknął z podobnym typem bezczelnych angielskich matron, pewnych siebie intrygantek wyzywających się w upokarzaniu innych.

- Nie musiał pan chyba długo o to zabiegać.

- Nie, szczęśliwie nie musiałem - odpowiada lekko Will. - Stanowiła dla mnie wspaniałe wprowadzenie w życie Hongkongu.

Edwina Storch chrząka znacząco.

- Ale w ten sposób ma pan wykrzywiony obraz tego miasta. Mary Winkle mitygującym gestem kładzie drobną dłoń na ramieniu Edwiny.

- Daj spokój - szepcze jej do ucha. - Trudy zawsze była uroczym stworzeniem, chociaż nie zawsze rozumianym. W każdym razie bardzo ją lubię.

Will uśmiecha się do niej.

- Jest urocza, prawda? Edwina głośno siorbie ze szklanki.

- A pan co takiego pije? - pyta.

- Whisky.

- Męski drink. Myślałam, że będąc z Trudy, stał się pan wielbicielem szampana.

- Czy panie się przyjaźnią? - pyta grzecznie Will.

- Ależ oczywiście. W Hongkongu można się albo przyjaźnić, albo jest bardzo nieprzyjemnie.

- Naturalnie - mówi uprzejmie Will, skłania głowę w stronę kobiet i odchodzi. Po chwili dołącza do niego przy barze Angus.

- Jest w tej kobiecie coś takiego, co sprawia, że czuję się jak uczeń, który zaraz zrobi w majtki.

- A ja mam wrażenie, że sam się o to prosisz - rzuca sucho Will.

- Widać, że ceni sobie dobra materialne, bo zadręcza mnie pytaniami o zarobki w administracji państwowej i gadaniem, jaki to jest skandal. Jeszcze nigdy nie spotkałem dyrektorki szkoły, która byłaby tak zainteresowana pieniędzmi.

Przez chwilę mężczyźni popijają w milczeniu.

- Podobno doniesiono gubernatorowi, że faceci z Klubu Kawalerów dostają szału, żądając, żeby im odesłać żony. Jego żona jest dalej w Malezji, tak?

- Tak, ale wcale nie wiem, czy akurat tam jest bezpieczniej - mówi Will. - A jak się miewa Amelia?

- Dziękuję, dobrze, tylko coś przebąkuje o powrocie. Przebywa w Chinach, kategorycznie odmówiła wyjazdu do Australii. Jest w Kantonie i bardzo narzeka. Aż tutaj słyhać te jęki. - Angus spogląda ponuro w stronę parkietu. - Pozwolę jej chyba wrócić, żeby mieć wreszcie trochę spokoju. Chociaż wydaje się to sprzeczne z intuicją, nie uważasz?

- Wszystko, co dotyczy kobiet, wydaje się sprzeczne z intuicją.

- Trudy nie wyjeżdża?

- Odmawia. Twierdzi, że nie ma dokąd jechać. I myślę, że to prawda... przynajmniej jeśli o nią chodzi.

- Szkoda. W wielu miejscach byłaby w tej chwili mile widziana.

- Tak, potrafi oczarować każdego.

- To groźna broń - kwituje Angus.

- Widziałeś dzisiejszą gazetę? Roosevelt wysłał depezę do Hirohito.

- Tak, zobaczymy, jak dalece okaże się skuteczna. A co wam każą robić w biurze?

- Kilka tygodni temu rozesłali okólnik, w którym stwierdzają, że nasze obowiązki jako wolontariuszy są nadrzędne wobec interesu firmy, ale gdyby doszło do jakichkolwiek walk, to musimy się u nich rejestrować. Podali nam numer telefonu, pod który mamy w razie czego dzwonić i meldować, gdzie jesteśmy. Oni chyba nie wiedzą, co robią.

Obserwują Trudy, jak wiruje na parkiecie, jasnymi ramionami uwieszona na szyi partnera. Później, zdyszana i szczęśliwa, relacjonuje Willowi:

- Wiesz, to jest szef tego wszystkiego. Bardzo ważna osoba, a ja musiałam mu się spodobać, bo opowiadał mi o tej całej sytuacji, w jakiej się znaleźliśmy. I to jest piekielna ironia. Najbardziej drętwi ludzie są najbezpieczniejsi... Niemcy, z ich bezdusznością, i Włosi, z koszmarnie dziwnymi zachowaniami.

Oni są neutralni, wiedziałeś? Hongkong stanie się piekielnie nudnym miejscem... nawet nie będzie dokąd iść, żeby się pobawić.

- Więc jednak cię interesuje, kiedy rozmawia z tobą o wojnie?

- Oczywiście, kochanie. Wie, o czym mówi.

Orkiestra gra Najlepsze rzeczy w życiu są za darmo, a Trudy narzeka.

- Jest beznadziejny - ocenia akompaniatora. - Mogłabym w każdej chwili zagrać lepiej od niego. - Ale nie ma na to szansy, bo jakiś niski mężczyzna z głośnikiem przemierza salę balową i wchodzi na podium. Orkiestra milknie.

- Wszyscy mężczyźni związani z American Steamships Line są obowiązani natychmiast zgłosić się w porcie. Powtarzam: Wszyscy mężczyźni związani z American Steamships Line mają natychmiast zgłosić się w porcie.

Zapada długa cisza i zaraz potem pary na parkiecie się rozłączają, a w barze mężczyźni schodzą z wysokich stołków, obciągając gorsy koszul. Kilku niepewnie zmierza do drzwi.

- Nie cierpię amerykańskiego akcentu - oświadcza Trudy. - Idiotycznie brzmi. - Wygląda na to, że już zapomniała o swojej miłości do Amerykanów, którą jeszcze tak niedawno deklarowała.

- Trudy - mówi Will. - To jest naprawdę poważna sprawa. Nie rozumiesz tego?

- Wszystko będzie dobrze, kochanie - zapewnia go Trudy. - Kto by się interesował tym naszym małym grajdołkiem? To wszystko panikarze. - Prosi o więcej szampana.

Przechodzący akurat Dominick szepcze jej coś do ucha, cały czas gapiąc się przy tym na Willa.

- Dobry wieczór, Dominick - mówi Will.

- Cześć - pada lakoniczna odpowiedź. Dominick jest jednym z tych dziwnych Chińczyków, którzy są bardziej angielscy od samych Anglików, wcale zresztą przez niego niekochanych. Najstaranniej wykształcony w Anglii wrócił do Hongkongu, gdzie go powitało to, co rażąco prostackie, a więc wszystko: pomyje na ulicach, tłumy niepiśmiennych, plujących kulisów i handlarzy ryb. Jako kwiat cieplarniany dobrze czuje się tylko w najbardziej wyrafinowanych kręgach towarzyskich, wśród adamszkowych serwetek i prawdziwych kryształów o najczystszej dźwięku. Will chętnie by go zobaczył w gumowym fartuchu, jak nalewa zupę rzeźnikom i im podobnym w ulicznej jadłodajni, takiej z gołą żarówką zwisającą niebezpiecznie z sufitu na przewodzie elektrycznym.

- Straszne wieści, co? - zagaja Will.

- Minie i to. - Dominick powolnym machnięciem alabastrowej dłoni kwituje uwagę Willa, który zastanawia się, czy te ręce zaznały kiedykolwiek jakiejś pracy bardziej wyczerpującej niż pisanie podziękowań na kremowym czerpanym papierze lub unoszenie lampki szampana. Obserwuje tamtą dwójkę szepczącą między sobą. Są ulepiani z jednej gliny (to pewnie z powodu wypadku w relacjach rodzinnych), ale, jak sądzi, takie łączenie się w pary musi prowadzić do wybuchu.

- Dla mnie i Trudy wcale nie jest tak źle - mówi nagle Dominick.
- Japończycy są nam bliżsi od Anglików. To w końcu też Azjaci.

Willowi chce się śmiać. Dopiero po chwili zdaje sobie sprawę z tego, że Dominick nie żartuje.

- Ale ty jesteś najmniej azjatycką osobą, jaką znam - oznajmia łagodnie.

Dominick mruży oczy.

- Chyba nie wiesz, co mówisz. Interweniuje Trudy.

- Obaj gadacie głupstwa. Nie mówcie o tych okropnych sprawach narodowościowych... robi mi się niedobrze. - Odgarnia Willowi włosy z twarzy. - Wiem tylko, że Japończycy to szczególnie ludzie.

- Nie powinnaś mówić takich rzeczy. Naprawdę nie powinnaś - zwraca jej uwagę Dominick.

- Daj spokój! Wypij jeszcze jednego drinka i zamknij się - przywołuje go do porządku Trudy.

Will po raz pierwszy widzi Trudy zirytowaną zachowaniem Dominicka. Wkrótce potem oświadcza, że chce wyjść, i rzeczywiście po chwili wychodzą, ale wcześniej Trudy daje Dominickowi szybkiego całusa na znak, że mu wybacza.

W niedzielę rano idą do miasta na pierożki na parze dim sum. W powietrzu wyczuwają dziwne napięcie. Targowiska pełne są kupujących, którzy w ponurym nastroju napełniają torby. Will i Trudy wracają do domu, słuchają radia i jedzą prosty obiad. Amah kręca się po domu, szczebiocząc non stop, co przyprawia Willa o ból głowy. Dzwonią z biura z informacją, że mają nie przychodzić do pracy do odwołania. Tej nocy Trudy i Will rzucają się na łóżku, budząc się nawzajem z niespokojnego snu; oddychają głośno.

Poniedziałek, ósmego grudnia. Brutalne drrrr telefonu. Angeline budzi Trudy i Willa informacją, że jej mąż dostał właśnie wiadomość z radia, skierowaną do Japończyków: wojna z Wielką Brytanią i

Stanami Zjednoczonymi jest nieuchronna. Saperom polecono wysadzić w powietrze wszystkie mosty. A potem, kiedy Trudy i Will ciągle jeszcze półprzytomni ze snu próbują uporać się z tą nowiną, słyszą syreny zwiastujące nalot i zaraz po nich początkowo daleki, ale zbliżający się warkot samolotów i głuchy łomot bomb. Ponownie dzwoni telefon. O trzeciej po południu wszyscy wolontariusze mają się stawić w punkcie zbiornym. Nastawiają radio i Will się ubiera, a Trudy obserwuje go z łóżka. Jest blada i milcząca.

- To szaleństwo wychodzić w takiej sytuacji - mówi. - Jak zamierzasz dostać się do biura?

- Pojadę samochodem.

- Ale przecież nawet nie wiesz, w jakim stanie są drogi. Może spaść na ciebie bomba albo ktoś może...

- Trudy, muszę iść. Nie mogę tak zwyczajnie siedzieć w domu.

- To nonsens. Nie chcę być sama.

- Nie kłóćmy się - prosi łagodnie Will. - Zadzwoń do Angeline i po prostu do niej idź. Powiedz, żeby przysłała po ciebie chłopaka. A ja tam zadzwonię, jak tylko będę mógł. Powinnaś chyba zrobić zapasy żywności.

Całuje ją w chłodny policzek i wychodzi.

Będąc już w mieście, przejeżdża koło King's Theatre. Wygląda na to, że jeszcze ciągle kino jest czynne. Grają *Moje życie z Karoliną* i, o dziwo, w kolejce po bilety stoi kilka osób.

Melduje się w dowództwie, które dosłownie kipi od mężczyzn walczących o przestrzeń i zaopatrzenie z niebywałą determinacją. Na zewnątrz panuje niesamowita cisza, jeśli nie liczyć powtarzających się głuchych detonacji. Will siedzi i czeka na przydział zadania. Nad biurkiem wisi mapa z zaznaczoną kolonią. Od Gin Drinkers Bay do Tide Cove z fortecą w Shing Mun prowadzi przerywana linia - pierwsza linia obrony. Na południe od zbiornika Jubilee zbudowano betonowy tunel, skąd ukryci w bunkrach żołnierze mogą strzelać.

- To powinno nam na jakiś czas umożliwić opór - mówi jakiś mężczyzna, widząc, że Will studiuje mapę. - Wydaje mi się, że przełamanie naszej obrony nie będzie łatwe. - Na ścianie ktoś powiesił fragmenty przemówienia wygłoszonego rano przez generała Maltby'ego: „Musi być oczywiste dla was wszystkich, że próba, dla której zostaliśmy tu powołani, nastąpi już wkrótce. Oczekuję, że każdy z moich ludzi będzie nieustraszony, stając się przykładem

wspaniałej odwagi dla całego imperium brytyjskiego walczącego w obronie prawdy, sprawiedliwości i wolności na całym świecie".

Nagle w radiu rozlega się głos Roosevelta.

- Cicho, do jasnej cholery! - ktoś wrzeszczy. Ktoś inny podkreśla dźwięk. Roosevelt komunikuje, że Pearl Harbor zostało zbombardowane. Zapada wywołana szokiem cisza.

Po komunikacie w radiu słychać zakłócenia i trzaski, i dopiero po chwili włącza się spiker: „Był to prezydent Stanów Zjednoczonych Franklin Roosevelt...”.

- Dobra wiadomość - oznajmia w końcu jakiś facet. - To znaczy, że Stany muszą przystąpić do wojny, czy tego chcą, czy nie.

- To znaczy, że wojna się rozszerza - podsumowuje spokojnie ktoś inny.

Listopad 1952

Jej zachowanie było paranoiczne. Jak zawsze zresztą. Kiedy na przykład otwierała drzwi czy brała do ręki kieliszek wina, pilnowała się bardzo, żeby zetrzeć z dotkniętej powierzchni delikatną mapkę, jaką pozostawiały jej olejki, linie papilarne i kurz - jakby Scotland Yard był stale na jej tropie. Nie chciała zostawiać po sobie żadnych śladów, fragmentów, części. Kiedy na przykład przeczesywała włosy palcami, to następnie starannie wyrzucała do śmieci wszystko, co na tych palcach zostawało. A kiedy obcinała paznokcie, ścinki zawijała w chusteczkę i spuszczała w toalecie.

Ta paranoja okazała się zbawienna w skutkach. Martin zajęty pracą związaną z gospodarką wodną nie zauważył, że jej przyjscia i wyjścia stały się nagle znacznie bardziej przemyślane. Musi koniecznie kupić herbatę Darjeeling, co czwartek ma obowiązkowe odwiedziny w St. Stephen's Hospital, co srodę przygotowuje lunch z dziewczynami. Ich wzajemną intymność ograniczyła do niezbędnego minimum. Nawet nie myślała o tym, że jest właśnie taką kobietą, o jakiej rozmawiała w kuchni z przyjaciółkami jej matka - kobietą, która jednego dnia potrafiła być z dwoma mężczyznami. I która mogła zostać wyrzucona z kolonii i w niesławie odesłana statkiem do domu.

A najgorsze, że wcale nie czuła się taka zła, jak powinna się czuć. Kobiety, które miały kochanków, uważała za osoby niemoralne, lekceważące dobre towarzystwo, dobre maniery i ogólnie przyjęte zasady postępowania. Mimo to sama romansowała z mężczyzną, który, być może, nawet niespecjalnie ją lubił. A Martin był dobry. To wydawało się faktem bezspornym. Dobry dla niej. Chociaż tak naprawdę nie wiedziała, czy ją kocha. Z pewnością był zadowolony z tego, że ma żonę i dom i że ktoś się tym wszystkim zajmuje, ale w jakiej mierze zawdzięczała małżeństwo własnej osobowości - nie umiałaby powiedzieć. Czasem wydawało jej się, że Martin ożenił się z nią, wrzucił ją do przegródki z napisem „żona” i żył dalej własnym życiem. Ale była na tyle rozsądna, żeby wiedzieć, iż w tym układzie to na niej ciążyła wina. A jeśli nawet czymkolwiek zawinił Martin, to jedynie dobrotliwym zaniedbaniem. I ona tę jego dobroć wykorzystywała.

Jednakże wszelkie niepokoje, jakie ją w związku z tą sytuacją nawiedzały, rozplywały się jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki w kontakcie z Willem wywołującym u Claire niezmiennie dziwne

uczucie w tak zwanym dołku. Działo się tak zawsze, kiedy zbliżał się do niej, skracając dzielącą ich odległość o połowę i potem znów o połowę, kiedy szedł z tymi swoimi półprzymkniętymi oczami, w których czaił się sardoniczny uśmiech. To, czego wtedy doznawała, działało na nią jak narkotyk, bez którego długo nie mogła wytrzymać.

Starła się pozostawać niewidoczna, żeby być tym bardziej widoczna przy nim. Mówiła coraz mniej, przestała się spotykać z innymi żonami, nigdy nie wychodziła z domu, jeżeli nie musiała. Jej życie zaczęło się kręcić wokół Willa: kiedy znów go zobaczy, co do niego powie, jak będzie jej dotykał. Czasami odmawiał. Przychodziła do niego i kładła się na łóżku, a on się przewracał na drugi bok i zasypiał, tłumacząc, że jest zmęczony. Leżała wtedy samotna, oddychając spazmatycznie w poczuciu wielkiego rozczarowania. Chciała go osiąść na własność, chciała być jego własnością, ale on stapał dokoła niej lekko, żeby nie pozostawiać śladów. A przecież ona pragnęła być naznaczona krwawym piętnem.

Leżąc kiedyś u Willa w łóżku, stwierdziła, że w mieszkaniu nad nimi ktoś gra w kółko tę samą piosenkę. Melancholijnej melodii nie знаła, a słowa tłumił sufit. Nigdy mu o tym nie powiedziała, jakby chciała ten fakt przed nim ukryć - trzymać w sekrecie wyłącznie dla siebie, jakby to było coś jego, o czym wiedziała tylko ona.

Kupowanie mu prezentów dosłownie ją paraliżowało. Chciała mu kupić kaptcie, ale natychmiast pojawiła się myśl, że podeszwy są za śliskie: przed oczami stanęła jej scena, w której Will wkłada te kaptcie, przewraca się i rozcina sobie głowę, a ona patrzy na to blada, pełna żalu i tęsknoty. Więc nie kupiła kaptci, tylko nowy czajnik. Wręczył go Ah Yik, prawie nie zauważając prezentu.

Zbliżały się święta, a ją przejmował lęk. Było z nią podobnie jak z Martinem: myślała o sobie jako o naiwnej, głupkowatej i zakochanej bez wzajemności. Ta świadomość przyprawiała ją o rozpacz. Will nie życzył sobie, żeby dzwoniła do niego w czasie świąt. To dla niego trudny okres, tłumaczył. Wiele wspomnień. Dzwoniła więc w ciągu dnia po to tylko, żeby usłyszeć dźwięk telefonu. Czasami odbierał, ale w jego głosie wyczuwała niepokój i napięcie. To znów kiedy indziej telefon dzwonił i dzwonił, i Claire wyobrażała sobie, że amah kiwa głową, w kobiecy intuicyjny sposób wiedząc, kto się za tym kryje. To ciekawe, jak dalece te sprawy są ponadkulturowe.

Szef Martina, Bruce Comstock, zaprosił ich do klubu plażowego w Shek O, gdzie wynajęli na sobotę domek. Spakowali więc rano ręczniki i stroje kąpielowe, opuścili okna w służbowym morrisie i pojechali na koniec wyspy.

Droga była wąska, wyrzeźbiona w zboczach wzgórz. Po lewej stronie mieli ścianę soczystej zieleni, która aż parowała od upału, a po prawej rozciągał się wspaniały widok na błękitne morze i niebo. Kołyszące się na wodzie białe łódki wyglądały jak zabawki w gigantycznej wannie.

- Mam wrażenie, że jesteśmy na włoskim wybrzeżu, przynajmniej tak je sobie wyobrażam - powiedziała Claire.

- Czyż nie jest cudownie? - zapytał Martin. Sięgnęła do torby, wyjęła chustkę Melody Chen i zawiązała ją sobie na głowie.

- O, to coś nowego? - zapytał Martin.

- Tak - odparła ze swobodą. - Kupiłam ją na wózku na Upper Lascar Row. Wiesz, to tam, gdzie sprzedają curry i dywany.

- Dobrze ci w niej - skomentował Martin. Przez jakiś czas jechali w milczeniu.

Klub kąpielowy był skromny i dosyć zniszczony. W barze spotkali Comstocków, z którymi wypili drinka, a następnie panie poszły do szatni przebrać się w kostiumy kąpielowe.

Minna Comstock była kobietą po pięćdziesiątce, budzącą respekt. Miała dwójkę dzieci, które studiowały na uniwersytecie, a sama prowadziła aktywne, pełne energii życie. Dwa razy w tygodniu grywała w tenisa, a w Dzień Kobiet w golfa w Fanling. W szatni bez skrępowania rozebrała się do bielizny. Ciało miała jędrne, ale z biustu, ramion i brzucha zwisały jej fałdy skóry. Jakby jej miała za dużo.

- Kupiłam całkiem ładny kostium kąpielowy na Wing On - zaryzykowała Claire. - Mają tam duży wybór.

- Ja noszę angielskie rzeczy - ucięła pani Comstock. - Tutejsze są robione na miarę chińską, na nas nie pasują. Są za małe. Zawsze zaopatruję się u Marksa i Spencera, a poza tym po każdym urlopie spędzonym w domu przywożę masę drobiazgów, na przykład dobrą marmoladę, przyzwoite noże i tego rodzaju rzeczy. Widziałaś może, co tutaj uważają za nóż? Jakiś barbarzyński przedmiot zwany tasakiem. - Pani Comstock oparła dobrze umięśnioną nogę na ławce i zaczęła ją smarować olejkiem. - Posmaruj się. - Wręczyła Claire oślizłą butelkę. - To jest dobre zabezpieczenie przed zbyt ostrym

słońcem. - Ciało pani Comstock było brązowe w różnych dziwnych miejscach, takich jak łydki między linią skarpet a granicą nogawek krótkich spodni czy ramiona między końcem rękawów koszuli a brzegiem rękawiczek golfowych.

- Dziękuję - odparła Claire, rozsmarowując na twarzy odrobinę kremu. Sama nie przepadała za słońcem. Modę na smażenie się niby kawał mięsa na rożnie uważała za dziwactwo.

Na plaży drewniane domki były przykryte czymś w rodzaju baldachimów z białej popeliny, obszernych i przestronnych, z hakami na szlafroki i przegródkami na torby.

- Mamy numer dwadzieścia trzy - oznajmił Bruce. - Możecie tu zostawić swoje rzeczy na czas kąpieli. - Wewnątrz były fotele plażowe i lodówka. Bruce ukradkiem przygotował im gin z tonikiem („Ceny w barze to rozbój na równej drodze”, szepnął.), więc zasiedli i zaczęli popijać.

- Czy nie uważacie, że tu jest miło? - odezwała się Claire. - Naprawdę można się zrelaksować.

Nagle jakby coś ją dźgnęło: biegnąca do morza dziewczynka w kostiumie w biało - czerwone groszki to przecież Locket! Kiedy spojrzała w stronę, z której Locket nadbiegła, dostrzegła na tarasie Chenów popijających koktajle w towarzystwie przyjaciół. Melody miała na głowie słomkowy kapelusz z szerokim rondem i ciemne okulary, i wyglądała jak gwiazda filmowa.

- Jeśli państwo nie mają nic przeciwko temu - Claire zwróciła się do Comstocków - to przywitam się ze znajomymi.

Przyprowadziła Martina do stolika Chenów.

- Witam - powiedział Victor, nad którym stanęła Claire. Przymrużył oczy, przyglądając się jej z bliska. - Och, to chyba... - zawiesił głos. - To są państwo Silva - podjął gładko po chwili, wskazując siedzącą obok niego parę. - Michael jest najwybitniejszym położnikiem w Hongkongu. A to Dave Bradley z NBC. Pochodzi ze Stanów Zjednoczonych i z tego tytułu trochę za dobrze dogaduje się z Melody, jak na mój gust. - Po czym zwrócił się do towarzystwa: - A to jest nauczycielka muzyki Locket.

Claire z uśmiechem skinęła głową. Pani Chen wydała niewielki okrzyk. „Locket!” - zawołała i rzuciła się w kierunku plaży, gdzie Locket o mało nie została zmieciona przez potężną falę. Siedząca przy

stoliku grupka osób patrzyła, jak Melody biegnie swojemu dziecku na ratunek.

- To jest Victor - odezwała się Claire - a to mój mąż Martin Pendleton.

- Oczywiście - zareagował natychmiast Chen.

- Miło mi pana poznać. - Martin uśmiechnął się zmieszany. Wróciła Melody po skarceniu córki.

- Żałuję, że nie wolno przyprowadzać do klubu służby. To idiotyczny przepis. Bez Pai, to znaczy bez Franceski, jestem jak bez ręki. Czy ci mówiłam - zwróciła się poufnym tonem do pani Silva - co się stało?

Kobiety zaczęły ze sobą rozmawiać ściszymi głosami. Claire nie mogła się zdecydować, czy przyłączyć się do rozmowy Martina z Victorem, czy jego żony z przyjaciółką.

- ...tutaj z Bruce'em Comstockiem...

- ...austriackie kryształowe figurki, które dostałam od matki...

- ...bardzo dobry bankier...

- ...wszyscy próbują dziewczyn ze wsi, ale one się zupełnie nie nadają do kuchni, kompletnie nie potrafią gotować, a ich własne potrawy są niejadalne, trzeba je uczyć wszystkiego od podstaw... Dałam mojej nowe imię, oczywiście Francesca, ponieważ wybieram się wkrótce do Włoch...

Claire stała pośród nich jak gdyby wykluczona z rozmowy, w której byli pogrążeni wszyscy poza nią. Miała nieprzyjemne uczucie, że o niej zapomniano.

- O, jaka piękna apaszka - powiedziała nagle pani Chen. - Mam trochę podobną. - Przez jej twarz przemknął dziwny wyraz.

- Dziękuję - odparła Claire ze spokojem, o jaki siebie nie podejrzewała. Zupełnie zapomniała o chustce. Poklepała się po głowie od niechcienia, starając się nie panikować. - Dziękuję bardzo.

- Czy to Hermes? - zapytała Melody Chen. - Uwielbiam te kolory: pomarańcz i brąz to moja ulubiona kombinacja... jesienna.

- Ach, nie, kupiłam ją tutaj, to tania chustka od handlarza. Mogę podać dokładne miejsce, gdyby pani...

- Na pozór niczym się nie różni od oryginału - przerwała jej Melody Chen. - Wy, wysokie kobiety, zawsze wypatrzyacie coś dobrego. - Pociągnęła martini.

- Tak czy owak - powiedział Victor Chen, wypełniając chwilę ciszy - miło było panią spotkać.

Tej nocy Claire nie zmrużyła oka. Kiedy stwierdziła, że oddech Martina jest dostatecznie głęboki, wstała i podeszła do okna. Pod stopami czuła lakierowaną podłogę, gładką, chłodną i nieskazitelnie czystą dzięki temu, że Yu Ling zmywała ją regularnie co drugi dzień. Ciało Claire było w dalszym ciągu rozpalone po solidnej dawce słońca, jaką dostała na plaży; wydawało jej się, że pod skórą ramion i nóg promienie nie przestały jej piec. Powoli uchyliła okno - metalowe zawiasy zaskrzypiały. Zaczęła obserwować punkciki świateł oznaczające ludzi tak jak ona cierpiących na bezsenność. Wiał wietrzyk i wilgotne nocne powietrze wtargnęło do pokoju, chłodząc jej ciało. W głowie miała szum, od czasu spotkania z Chenami nie była w stanie na niczym się skupić. Nie ulegało wątpliwości, że przy Comstockach zachowywała się dziwnie; widziała znaczące spojrzenie, jakie Minna posłała Bruce'owi, kiedy Claire po raz drugi rozlała swojego drinka. Nie powiedziała nic Martinowi, bo nie wiedziała, co miałaby mu powiedzieć. „Kochanie, okradałam Chenów i boję się, że sprawa wyszła na jaw. Ale już przestałam, więc się nie martw”. Pomyślałby, że zwariowała, i pewnie by się nie mylił. Oparła głowę o chłodną szybę. Nie sądziła, że Melody Chen skojarzyła sobie jedno z drugim. A poza tym nie oskarżyłaby Claire o kradzież bez konkretnych dowodów. Wpatrując się w ciemność, myślała o tym, czy w domu, w Anglii, noc wygląda tak samo.

CZEŚĆ II

9 grudnia 1941

A więc jest wojna. Dawniej Will nazwałby to prowadzeniem samochodu. Teraz siedzi za kierownicą ciężarówki pełnej bębnow kablowych, które wiezie do Causeway Bay, razem z pięcioma czy sześcioma chińskimi robotnikami przykucniętymi w pudle za nim. Obok niego w szoferce siedzi Kevin Evers, który najwyraźniej wie, co z tymi kablami zrobić albo co powiedzieć robotnikom. W dowództwie panuje kompletny chaos, telefon i radio skrzeczą nieustannie. Zaledwie kilka godzin temu zostało zbombardowane lotnisko. Zniszczono dwadzieścia pięć maszyn; napięcie rośnie. Will ma za zadanie dostarczyć kable i natychmiast wracać. Evers papie nerwowo.

Na drogach szczęśliwie prawie nie ma pojazdów, żadnego ruchu, mimo że na ulicach jest pełno ludzi. Jakaś kobieta okłada mężczyznę dużą jutową torbą. Wrzeszczy, wałąc go małymi pięściami, mężczyzna jednak otrząsa się i ucieka. Zaczęły się napady.

Trudno uwierzyć, że jeszcze kilka dni temu Will był na przyjęciu, w smokingu, że popijał szampana i wymieniał z Trudy i jej towarzystwem cięte dowcipy.

W Causeway Bay znajduje budynek, do którego ma dostarczyć kable. Kiedy zaczynają rozładowywać ciężarówkę, znów wyje syrena. Rozlega się świst powietrza i głośna detonacja, i wszyscy chowają się do budynku. Ziemia drży. Will słyszy głośny oddech Eversa. Dzwonią do dowództwa i dowiadują się, że bombardowanie najprawdopodobniej się nasili, w związku z czym mają zaparkować ciężarówkę w bezpiecznym miejscu, a sami zakwaterować się we wskazanym mieszkaniu na Montgomery Street. Ogryzkiem ołówka na zatłuszczonym świstku papieru Will zapisuje adres: Montgomery Street 140. Brzmi dziwnie znajomo.

Po przybyciu na miejsce dzwonią do drzwi. Otwiera im przestraszona amah, która sięga pod tunikę, skąd wyjmuje zmiętą kopertę. W środku znajdują wzruszający list.

Do Każdego, Kogo to może dotyczyć,

Witajcie w naszym domu. Mamy nadzieję, że będzie Wam tu dobrze w tych trudnych czasach. Jesteśmy angielskim małżeństwem, które siedem lat temu ku swojemu wielkiemu zadowoleniu przeniosło się do Hongkongu. Ufamy, że nie jest to jeszcze ostatni rozdział. Zgodnie z instrukcją przeprowadziliśmy się wyżej i mamy nadzieję, że nasze mieszkanie okaże się dla Was w tym wojennym czasie

bezpiecznym schronieniem. Prosimy o dobre traktowanie naszej amah, a także o oszczędzanie naszych mebli i powstrzymanie się od palenia papierosów.

Z serdecznymi pozdrowieniami Edna i George Weatherly.

- Aaa - mówi nagle Will.

- Co takiego? - pyta Evers, zapalając papierosa i częstując Willa.

- Nic specjalnego. - Po prostu poznał tych ludzi, a nawet był u nich na drinku, zaraz po przyjeździe, na samym początku, jeszcze zanim spotkał Trudy, bo przecież ona nie obracała się wśród takich ludzi jak poczciwi, przyzwoici Weatherly'owie. Przybycie do Hongkongu było dla nich wielką przygodą. Pochodząc z małego miasteczka w Cotswolds, zachowali podziw dla rozległości świata i zachwyty nad tym, że w końcu wylądowali na Dalekim Wschodzie. Will natknął się na nich w niewielkim sklepiku w Causeway Bay, gdzie kilka tygodni po swoim przyjeździe kupowali herbatę, i po chwili rozmowy zaprosili go do siebie na drinka. Mili ludzie. Po związaniu się z Trudy nigdy więcej już ich nie widział. Krążyli po innych orbitach.

Rzucają monetę, kto gdzie ma spać, i na Willa wypada, że na podłodze.

- Mógłbyś się przespać w łóżku tej starej - Evers skinieniem głowy wskazuje pokój amah w głębi.

- Nie jestem aż taki spłukany, żeby jej zabierać pokój - odpowiada Will swobodnym tonem. - Ona i bez tego nie miała lekko.

- Po prostu troszczę się o ciebie, bracie. - Evers wzrusza ramionami. - Ciekawe, czy nam wykombinuje jakąś kolację.

Will grzebie w plecaku. Trudy, która miała w sobie dostatecznie dużo z Chinki, żeby obsesyjnie myśleć o jedzeniu, zadbała o to, by wziąć ze sobą jakieś puszki, mimo że uznał to za zbędne.

- Znalazłem trochę wołowiny i marchew.

Amah jest szczęśliwa, że ma coś do roboty. Przynosi kubek ryżu i gotuje go z mięsem i warzywami. Kiedy danie jest gotowe, zabiera swoją porcję do siebie, a mężczyźni jedzą sami we wnęce jadalnej, słuchając przy tym radia, z którego bezosobowym skrzeczącym głosem płyną wiadomości wojenne.

„Mosty przy północnej granicy zostały wysadzone w powietrze, żeby uniemożliwić posuwanie się wojskom japońskim...”. Później ktoś, kto tam był, opowie Willowi o surrealistycznej scenie, jakiej był

świadkiem. Otóż Anglicy wytrwale podkładali materiały wybuchowe na oczach Japończyków, którzy równie wytrwale budowali w tym czasie nowy most, żeby go przerzucić po eksplozji. Obie strony starannie się przy tym nawzajem ignorowały, ani nie kwestionując nieuchronności tego, co robią ci drudzy, ani nie próbując ich powstrzymać.

- Czy to nie mówi samo za siebie? - podsumowuje ten człowiek. Jest policjantem. - Kompletna demencja.

Przez całą noc dom drży w posadach, a okna rozświetlają wybuchy bomb. Will słyszy przyspieszony oddech Eversa. Żaden z nich nie śpi.

Rano Evers bierze solidny prysznic.

- Nie wiem, kiedy znów trafi mi się taka okazja - wyjaśnia, wycierając się jednym z prześcieradeł Weatherly'ów i ciskając je w ką. - Jak sądzisz, czy jest na horyzoncie jakieś śniadanie?

- Czy ty nie myślisz o niczym innym poza jedzeniem?

- A o czym jeszcze można myśleć, bracie? W takich czasach myśli się tylko o rzeczach elementarnych... co zjesz, gdzie się wysrasz i żeby było gdzie się przespać. I tylko to cię trzyma przy zdrowych zmysłach.

Dzwonią do dowództwa, żeby się dowiedzieć, co dalej. Nikt nic nie wie.

- Czekajcie tam do wyjaśnienia - warknął ktoś w słuchawkę. A potem brzęk i męskie krzyki. Połączenie zostaje przerwane.

- Dobrze wiedzieć, że przynajmniej panują nad sytuacją - mówi Evers.

- My jesteśmy cywilami. Ci faceci na górze z pewnością wiedzą, o co w tym wszystkim chodzi.

- Miejmy nadzieję.

Postanawiają wyjść z domu. Montgomery Street - enklawa uchodźców z Europy, którzy albo puciekali na wyżej położone tereny, albo do Chin - jest pusta. Nieliczne punkty usługowe, jak piekarnia czy naprawy szewskie, są pozamykane i ciemne wewnątrz. Szyby brudne od sadzy i kurzu wznoszonego przez wybuchy bomb. Mimo to przez jedno z okien Will widzi nadgniłą tartę jajeczną, na której błyszcząca żółta powierzchnię zaczyna wlać zielona pleśń. Nagle ląduje na niej mucha i sunie przez tę pleśń, poruszając

czułkami. Nad ich głowami zawodzi samolot i Will instynktownie schyla głowę.

Po powrocie do domu stwierdzają, że amah zniknęła, a jej pokój jest tak wysprzątny, jakby tu nigdy nie mieszkała.

- Nie ma co tutaj robić - oświadcza Evers. - Myślę, że powinniśmy spróbować ponownie skontaktować się z dowództwem. Zwariuję, siedząc tu beczynnio.

Pakują dobytek i w gęstniejącym mroku idą ulicami. Na krawężnikach zaczynają się gromadzić śmieci i w powietrzu wisi nieznośny fetor. Spostrzegają zbliżający się do nich samochód, a w nim Chińczyka, który odwraca wzrok. Stąd już widać ich ciężarówkę i kiedy Will zauważa, że drzwi szoferki są otwarte, słyszą złowrogi zawodzący dźwięk. Evers zadziera głowę i Will widzi, jak jego towarzysz obserwuje pierwszą bombę, która niszczy budynek niecałe sto pięćdziesiąt metrów od nich. Jakby to była scena ze zwolnionego filmu. Evers wrzeszczy: „Uważaj!”. I rzuca się na ziemię. Will idzie w jego ślady i czuje, jak ziemia się rozstępuje i zapada pod nimi, a jednocześnie jego ciałem wstrząsa potężny ogłuszający cios, w uszach mu dzwoni, oczy go pieką i zaraz potem - w następnym rozbłysku - zdaje sobie sprawę, że się czołgają do ciężarówki, jedyne schronienia w pobliżu. Wśród łomotu i wstrząsów, i narastającego chaosu do resztek świadomości Willa dociera to, że ciężarówka została doszczętnie obrabowana. W oczy rzuca się brak opon, a otwarte drzwi ujawniają puste miejsce po kierownicy. Evers krzyczy, że to teren cywilny i wobec tego dlaczego bombardują, ale Will nic nie słyszy, bo myśli o tym, że nie ma opon i jak będą wracać, skoro ziemia się trzęsie. Po chwili wszystko jest białe.

15 grudnia 1941

Budzi się oszołomiony, z uczuciem zimna. Z góry leje się na niego strumień ostrego światła. Pościel przykrywająca jego opuchnięte nogi jest lodowata. Will boi się spojrzeć na własne ciało.

Ale żyje - co za ulga. I zaraz potem zaczyna sobie przypominać: Evers. Jednak nie wszystko pamięta, każda część ciała boli go tak bardzo, że mało mu nie pęknie głowa. Unosi kołdrę. Lewe kolano jest spuchnięte do rozmiarów małego melona. Dokoła bandaża wylewa się fioletowe, czarne, sine, gniewne ciało.

Podchodzi do niego Jane Lessing, którą wcześniej spotykał na przyjęciach. Jest ubrana na biało i w jego zamroczonej głowie przybiera postać anioła.

- No proszę, napędziłeś nam niezłego stracha.

- Wody?

- Na razie nie. Lekarz zabronił.

Will ma wrażenie, że nigdy w życiu nie czuł się tak podle.

- Bardzo mi przykro...

- A to niby z jakiego powodu? - Jane podkręca łożko i patrzy na niego pytająco.

- To było bardzo krótkie doświadczenie... - stara się wyjaśnić. - Niemające wiele wspólnego z wojną.

- Gadasz głupstwa.

Widzi, że Jane nie rozumie, o co mu chodzi. Próbuje od początku.

- Evers?

- O niego się nie martw - mówi Jane i szybko odchodzi.

Will to traci przytomność, to ją odzyskuje.

Widzi Trudy w białej szacie - w sukni panny młodej, w stroju pielęgniarki, w całunie? Przeciera mu czoło gąbką, ale jej włosy mają teraz kolor blond. Nie, to nie Trudy.

- Pamiętaj - szepcze nad nim cudowna Jane Lessing. - Nie jesteś wolontariuszem. Jesteś cywilem, który szedł ulicą i dostał odłamkami bomby. - Jane nie chce, żeby poszedł do obozu dla jeńców wojennych. Nie jest całkiem jasne, kto gdzie ma pójść, ale Jane uważa, że generalnie cywile będą mieli lepiej niż żołnierze. Will kiwa głową, że rozumie, ale po chwili zapomina. Jane powtarza mu to codziennie jak zaklęcie, które ma go uratować.

Jane przynosi mu miseczkę puddingu. Kiedy po raz pierwszy wstaje z łóżka, żeby wyrzucić przez okno, ze zdziwieniem stwierdza, że kuleje.

- Ja kuleję! - wykrzykuje do Jane.

- Kulejesz - potwierdza Jane. - I to z wdziękiem.

- Czuję się znacznie lepiej - informuje ją Will. - Myślę, że wkrótce będę mógł wyjść ze szpitala.

- Tak uważasz? Może jednak lepiej zostawmy tę decyzję lekarzom - mówi rzeczowo Jane.

Ale Will rzeczywiście czuje się lepiej i kiedy przychodzi doktor Clark, zastaje go ubranego i gotowego do wyjścia.

- Chyba mój dalszy pobyt tutaj nie jest już potrzebny, prawda? - pyta.

- Wiele się zmieniło, Will - odpowiada doktor. - Koulun jest obłączony, a my robimy wszystko, żeby utrzymać się jak najdłużej. Jest bardzo wiele ofiar. Masz jakieś miejsce, do którego mógłbyś iść?

- A do Trudy? - pyta niepewnie.

- Przychodzi tu codziennie, ale nie wpuszczałem jej do siebie. Myślę, że byłoby to dla niej zbyt traumatyczne przeżycie - wyjaśnia doktor Clark. - Nie prezentujesz się najlepiej. Prosiła, żeby ci powiedzieć, że mieszka teraz u Angeline i że wpadnie tu jeszcze dzisiaj.

- O - mówi Will - to zostanę do jej przyjścia. Doktor posyła mu dziwne spojrzenie i kiwa głową. Już nie ogląda jego kolana.

Kiedy przychodzi Trudy, Will stwierdza, że jest jakaś inna. W pierwszej chwili nie potrafi powiedzieć, na czym polega ta zmiana, ale szybko uświadamia sobie, że nie jest umalowana, nie ma żadnej biżuterii, a jej ubranie jest szarobure, jakby bezbarwne. Will mówi o swoich spostrzeżeniach, żeby przełamać pierwsze lody i odwrócić jej uwagę od tego, że jest ranny, że leży w szpitalu i że trwa wojna. To dziwne uczucie - być wobec Trudy tak onieśmionym. Nie chciałby sam siebie umniejszać w jej oczach.

- Nie chcę w żadnym stopniu zwracać na siebie uwagi - wyjaśnia Trudy. - Poruszanie się po ulicach przypomina chodzenie po szpilkach... cały czas w strachu przed natknięciem się na Japończyka. Ojciec pojechał do Makao i chciał mnie ze sobą zabrać, ale się nie zgodziłam. - Trudy podchodzi do okna. - Boi się o mnie. - Spuszcza

oczy i bawi się fałdką spódnicy. - Jeśli Japończycy wygrają, będą brutalni ponad wszelkie wyobrażenie.

- Jak się tu dostałaś?

- Przywiózł mnie kierowca Angeline. Obozujemy u niej na Peaku, chociaż do tej pory cały Peak miał być ewakuowany. Uważają, że jest zbyt wyeksponowany, ale jakoś nas nie ruszyli i w tej chwili panuje tam spokój. Angeline trzyma psy, ma też służącego, amah i szofera, więc nie jesteśmy pozbawione opieki.

Wyższe sfery i tak zawsze robią, co chcą, nasuwa się Willowi niestosowna refleksja.

- Wszystko to razem jest denerwujące jak gra w pokera - mówi Trudy. - Nigdy nie wiesz, kiedy zostaniesz zatrzymany, ludzie obracają się przeciwko sobie. Stary Enderby został poturbowany przez jakichś sikhów tylko dlatego, że jakoby krzywo na nich spojrzął. Taki uroczy starszy pan. - Nagle Trudy przerywa. - A ty jak się czujesz? Ja tu gadam o tym, co się dzieje na zewnątrz, a ty... - jej głos zawisa w powietrzu.

- Evers nie żyje - mówi Will. - A zresztą go nie znasz. Był ze mną, kiedy trafiła nas bomba.

Trudy patrzy na niego pustym wzrokiem.

- Tak, masz rację, nie znam go.

- Jestem ciekaw nowin. Są jakieś informacje?

- Angeline twierdzi, że nasza sytuacja jest niewesoła. Wygląda na to, że spodziewali się Japończyków z południa, od strony morza, a tymczasem zjawili się od północy i złamali naszą obronę. I rzeczywiście, w mieście jest okropnie. - Głos Trudy się łamie. - Dziś rano, idąc tutaj, widziałam martwe niemowlę na kupie śmieci. Wszędzie tego pełno, to znaczy śmieci i trupów, i to wszystko palą, więc śmierdzi jak diabli. Widziałam też, jak okładali kobietę prętami bambusowymi, a potem ją wlekli za włosy. Na pół ją ciągnęli, a na pół się czołgała, wrzeszcząc jak opętana. Skóra jej odpadała całymi pasami. Trzeba nosić podpaski, w razie gdyby żołnierze próbowali... no wiesz... rozumiesz. I miejscowa ludność, i Japończycy plądrują wszystko, co się da, kradną i ogólnie rzecz biorąc, zachowują się niemożliwie. W Koulun jest ich pełno... jakieś zbiorowe szaleństwo. Myślmy o tym, żeby się przenieść do jakiegoś hotelu, tak żeby być bardziej w środku wydarzeń, żeby mieć większy kontakt z ludźmi i lepszy dostęp do informacji. Gloucester dosłownie pęka w szwach, ale

moja dawna przyjaciółka Delia Ho ma pokój w Repulse Bay i twierdzi, że możemy go zająć, bo ona wyjeżdża do Chin. Moglibyśmy dzielić pokój z Angeline, nie uważasz? Podobno Klub Amerykański ma domki, w których też mieszkają ludzie. Przypuszczam, że mają niezłe zaopatrzenie. Jak to Amerykanie. Wszyscy chcą być wśród ludzi.

- Myślę, że to dobry pomysł - mówi Will.

- Dommie twierdzi, że to tylko kwestia czasu, kiedy Japończycy zajmą całą wyspę, i że wobec tego to wszystko nie ma większego znaczenia.

- Oby. Dommie jest jak zwykle optymistą.

- Przypuszczam, że mu tak naprawdę nie zależy. - Trudy wybucha przenikliwym śmiechem. - On tylko czeka i patrzy, do kogo się przyłączyć. Na wszelki wypadek uczy się japońskiego w przyspieszonym tempie.

- Prowadzi bardzo niebezpieczną grę. Nie ma się z czego śmiać.

- Daj spokój! - Trudy siada obok Willa. - Widzę, że ta bomba trafiła cię też w poczucie humoru. Dommie to twardziel jak ty i ja, nic mu nie będzie. Kiedy możesz stąd wyjść?

- Myślę, że wkrótce. Pewnie chętnie się mnie pozbędą. Są inni, z poważniejszymi obrażeniami niż ja.

- Ale możesz chodzić i w ogóle?

- Nie martw się o mnie - ucina krótko Will. - Poradzę sobie.

Doktor Clark wypuszcza go z oporami.

- Gdyby nie Trudy - mówi, zakładając mu świeże opatrunki na brzuch i kolano - nigdy bym cię nie wypuścił, ale jestem spokojny, że się dobrze tobą zajmie.

Trudy siedzi w nogach łóżka.

- No i gdyby nie ten drobny fakt, że masz za mało łóżek - dodaje.

- Will zajmuje cenne miejsce. Zgadzam się, doktorze. Przez dwa tygodnie byłam pielęgniarką, pamięta pan?

Doktor wybucha śmiechem.

- Naturalnie. Jak mógłbym zapomnieć? - Nagle poważnieje. - Musisz mu codziennie zmieniać opatrunki i przemywać skórę dokoła ran i same rany wodą utlenioną, którą ci przygotuje pielęgniarka. Nawet gdyby Will upierał się, że nie trzeba, masz to robić codziennie, bez wyjątku.

Trudy kiwa głową.

- Będę wzorem odpowiedzialności i sprawności.

Po przyjeździe do Angeline Trudy kładzie go do łóżka, mimo że Will czuje się dobrze. W pokoju panuje nieopisany bałagan: ubrania Trudy kipią na podłogę z wypełnionej otwartej walizki, przybory toaletowe stoją na parapetach, na umywalce, na łóżku. Z sufitu zwisają modele samolotów, a na biurku piętrzą się jakieś chłopięce skarby.

- Czyj to jest pokój?

- Gilesa, mojego chrzestnego syna, poznałeś go?

- Nie miałem przyjemności.

- Zawsze był gdzieś w szkole, a teraz wysłali go do rodziny Fredericka do Anglii, dopóki tutaj sytuacja się nie unormuje.

- Och. - Pokój przeszywają wpadające przez okno promienie słońca, w których tańczą drobinki kurzu. - Nie jestem inwalidą - mówi Will. - Myślę, że mógłbym zejść na piechotę do centrum i z powrotem.

- Nie bądź śmieszny. Nie masz się co gorączkować. Jednakże Will rzeczywiście czuje się lepiej i Trudy to widzi, więc któregoś dnia wychodzą, by oglądać puste ulice, pozamykane sklepy, ludzi pomykających z miejsca na miejsce i patrzących w ziemię.

- Szerzy się rabunek na wielką skalę - opowiada Trudy. - Władze racjonują ryż. Zdumiewająca rzecz: szłam Gloucester Road i widziałam, jak policja strzelała w powietrze, żeby rozpedzić tłum, a ja się zastanawiałam, dokąd lecą te pociski. I czy spadając na ziemię, mogą kogoś trafić i zabić?

- Trudy, kochanie, ty zawsze myślisz o tym, o czym nie myśli nikt inny.

- I prawdopodobnie w imię słusznej sprawy. Muszę być jednak straszną idiotką.

Przez chwilę idą w milczeniu.

- To już nie jest nasze miasto, nie uważasz?

- Jest zbyt ponure.

Spleceni ramionami wracają do domu, gdzie Angeline płacze w piwnicy, a amah przygotowują skromny posiłek z ryżu i chińskich warzyw z dodatkiem solonej wieprzowiny. Jedzą, popijając słabą herbatę i czując wokół siebie narastające niewidzialne ograniczenia rzeczywistości.

Kilka najbliższych dni przeżywają po spartańsku, jakby to były ich ostatnie zgoła surrealistyczne chwile. Jedzą, żeby utrzymać się przy życiu, słuchają wiadomości radiowych i chodzą do ośrodka dystrybucji żywności, która jest wydawana sporadycznie i w sposób przypadkowy. Jednego dnia dostają chleb i dżem, innego banany, a jeszcze innego latarki. Biorą, co dają, a resztę zdobywają na czarnym rynku, jako że Angeline i Trudy mają pod dostatkiem pieniędzy. A na czarnym rynku w mieście atmosfera jest napięta - kupujący, rozsierzeni wysokimi cenami, wykrzykują inwektywy pod adresem sprzedających. Część z nich robi wrażenie zakłopotanych, stojąc za stołami zastawionymi wszelkiego rodzaju zbieraniną: puszkami z mięsem, małymi woreczkami cukru czy przyborami kuchennymi. Ceny ryżu, wartościowego jak złoto, utrzymują się na wysokim poziomie. Od czasu do czasu ziemia drży, a noc rozświetlają ognie. Widok stosów ciał i płaczących kobiet stał się codziennością. Odwiedza ich Dominick, przynosząc produkty żywnościowe, które udało mu się w jakiś sposób zdobyć, a oni przez delikatność nie pytają w jaki. Radzi im, żeby siedzieli u Angeline najdłużej, jak tylko się da. Nikt ich nie niepokoił, i to jest dobry znak. Poza nimi jeszcze kilka rodzin wytrzymało w swoich domach. Kontuzja Willa uniemożliwia mu zbyt dalekie wyprawy, ale kierowcy Angeline najczęściej udaje się dostać gazetę. Wiadomości są jednak ponure: Japończycy zbliżają się nieuchronnie, i to w zadziwiająco szybkim tempie.

- Nie mogę uwierzyć, że mimo wszystko potrafią codziennie wydawać gazetę - dziwi się Angeline. Nie kąpała się od wielu dni i jest nieświeża, zaczyna śmierdzieć. Dość długo nie miała wiadomości od męża. Ostatnie pochodziły sprzed tygodnia, kiedy walczył w jednostce wolontariuszy na Mount Nicholson.

- Może byśmy poszli do Repulse Bay? - pyta Trudy.

- Głupio się czuję, nic nie robiąc - mówi Will. - Inni walczą, a ja siedzę z założonymi rękami.

- Jesteś ranny, durniu - beszta go Trudy. - Byłbyś tylko zawadą. Dla mnie też jesteś kulą u nogi, toleruję cię tylko dlatego, że mam się do kogo przytulić w nocy. Zapewniam cię, że inni nie będą tacy wyrozumiali.

Nazajutrz rano po przebudzeniu stwierdzają, że służba zniknęła. Trudy ani trochę nie jest zdziwiona.

- Zręcznie się ulotnili. Dziwię się, że jeszcze psy nas nie opuściły. - Zaczyna zmywać pozostawione w zlewie naczynia. Will wstaje, żeby jej pomóc.

- Siadaj! - rozkazuje Trudy. - I tak wytrzymali dłużej, niż myślałam. Angeline jest okropna jako pracodawczyni, mimo że płaci dwa razy więcej, niż jest to przyjęte.

- A co się dzieje z Ah Lok i Mei Sing? - przypomina sobie nagle Will.

- Powiedziałam, żeby sobie poszły, ale one nie chciały, więc musiałam zamknąć przed nimi drzwi mieszkania i dopiero to pomogło. Było dużo płaczu i zawodzenia, wiesz, znasz je przecież. Jestem przekonana, że mają rodzinę, powinny być przy rodzinie.

- Ty jesteś ich rodziną, Trudy.

- Ale nie tak naprawdę. A poza tym pozostanie ze mną byłoby dla nich bardziej niebezpieczne. Kiedy staną się częścią tłumu, nikt im nie zrobi krzywdy. To ja, afiszując się z wami, cudzoziemcami, ściągam na siebie uwagę.

- Zmuszenie ich do odejścia było na pewno bardzo trudne. - Will sięga po jej rękę.

Trudy się otrząsa.

- Daj spokój. Akurat teraz zebrało ci się na sentymenty. Ledwie to wszystko wytrzymałam.

- Jaki dziś dzień? - pyta Will.

- Już prawie Boże Narodzenie. Chyba dwudziesty. - Trudy robi wrażenie zasmuconej. - Normalnie o tej porze sezon balowy jest już w pełni. - I zaraz potem dodaje: - Will.

- Trudy.

- Mam pewne rzeczy, które musiałam schować, ale chcę, żebyś wiedział, gdzie są, bo gdyby coś się stało, to powinieneś je zabrać.

- Na przykład?

- Pieniądze, które zostawił mi ojciec przed wyjazdem do Makao. No i biżuterię. Wszystko to razem jest warte majątek, za który można żyć całe wieki.

- Zapiszę sobie, ale tego nie potrzebuję, jeśli to miałaś na myśli. Wystarczy mi w zupełności to, co mam.

- Wynajęłam sejf w banku, i to głównym. Podałam nazwiska twoje i Dominicka jako osób uprawnionych. Problem polega na tym, że obaj musicie złożyć podpisy, chyba że jeden z was umrze, dlatego

powinniście dobrze ze sobą żyć. Chociaż przypuszczam, że w czasie wojny sprawy wyglądają inaczej. Klucz do sejfu jest na dnie donicy za oknem mojej sypialni. Napelniłam donicę ziemią. Ale gdyby nawet nie było klucza, to i tak sobie poradzisz, tylko to dłużej potrwa, bo trzeba będzie pozałatwiać różne formalności.

- Zapisane - mówi Will.

- Musisz to zapamiętać. Koniecznie musisz.

Z sypialni wyłania się gospodyni w szlafroku. Na wiadomość o ucieczce służby pada na krzesło.

- Zupełnie tego nie rozumiem - powtarza w kółko. - Byli u mnie tyle lat. - Ale szybko dochodzi do głosu praktyczna strona jej charakteru. - Czy coś zabrali? - pyta.

Nie przyszło im do głowy, żeby sprawdzić. Idą do spiżarki i widzą swoje szybko topniejące zapasy - ryż, kilka kartofli i cebul, mąkę, cukier i parę miękkich jabłek - wszystko to nietknięte.

- Taki już jest los służby - mówi Will. - Ostatni do dziękowania, pierwsi do oskarżeń.

- To jest sprawa przetrwania - oświadcza Angeline. - Dziwi mnie, że nic nie wzięli, ja bym na ich miejscu wzięła i nie miałabym najmniejszych wyrzutów sumienia.

- Zróbmy sobie drinka - proponuje Trudy.

- To chyba najrozsądniejsze, co udało ci się powiedzieć w ciągu całego tygodnia - kwituje jej propozycję Will.

Idzie po butelkę whisky - nie ma obawy, żeby w przewidywalnym czasie zabrakło im trunków. Nalewają sobie alkohol do szklanek i nastawiają radio. Spiker czyta przesłanie Churchilla: „Oczy świata są zwrócone na was. Oczekujemy, że będziecie walczyć aż do końca. Honor imperium jest w waszych rękach”.

- Opuścili nas - mówi Trudy. - Palcem nie kiwną, żeby nam pomóc. Ciekawe, co według Churchilla i cholernego imperium brytyjskiego mielibyśmy robić? - Jej spojrzenie wydaje się twarde jak stal, ale Will wie, że to łzy.

Codziennie z nieba spadają ulotki. To japońskie samoloty zrzucają na całą kolonię propagandowe materiały, w których Japończycy namawiają Chińczyków i Hindusów, żeby zaprzestali walki i przyłączyli się do nich w „Wielkim Dziele Budowy Wspólnego Dobrobytu Dalekiego Wschodu”. Zbierają ulotki i układają je w stosy. W świąteczny ranek Trudy budzi się z

propozycją, żeby z nich zrobić tapetę. Ubrani w szlafroki słuchają kolęd, przygotowują słodkie ciepłe napoje i - w przystępie świątecznego szaleństwa - zużywają całą mąkę przeznaczoną na placki, by oblepić ściany living roomu ulotkami, tworząc dekorację o ponurej, ironicznej wymowie. Jedna z ulotek przedstawia Chinę siedzącą na kolanach grubego Anglika. Pod spodem tekst po chińsku informujący, że latami Anglicy gwałcili wasze kobiety i najwyższy czas z tym skończyć czy coś w tym rodzaju, a przynajmniej tak twierdzi Trudy.

- Hmm - zastanawia się głośno - czyż to nie jest o tobie i o mnie?

- Siada Willowi na kolanach, obejmuje go za szyję, zalotnie trzepocząc rzęsami. - Pan mi kupi drinka...

- To jest o mnie i o Fredericku, idiotko - mówi Angeline. - Zobacz, jaki gruby jest ten facet. - Po raz pierwszy od wielu dni wspomina męża.

Inna ulotka przedstawia dwóch Azjatów ściskających sobie dłonie.

- „Japończycy i Chińczycy są braćmi. Zamiast walczyć, przyłączcie się do nas”, tłumaczy Angeline.

- Chyba zapomnieli o Nankinie - komentuje Trudy. - Wtedy nie byli tacy skorzy do bratania się.

- Ja się czuję... uciemżona - mówi Angeline. - Czy nie uważasz, że powinniśmy zadenuncjować Willa, kochanie?

- Ten facet to chyba Dominick. - Will wskazuje na jedną z chińskich postaci.

- To nie temat do żartów. - Trudy wydyma usta. - Jak myślisz, komu zawdzięczamy ten dostatek jedzenia? Dominick się o nas troszczy i w tym momencie wszystko mi jedno, jak to robi.

- Przyjąłem do wiadomości, ale nie podzielał - oświadcza Will. - Dlaczego te ulotki są takie dosłowne i takie jątrzące?

Nagle dociera do nich odgłos silnika samochodu zbliżającego się podjazdem. Zastygają w napięciu. Trudy podbiega do okna i delikatnie unosi zasłonę.

- To Dommie! - wykrzykuje z ulgą i idzie otworzyć drzwi.

- O wilku mowa... - Will siada. Wchodzi Dominick i odwija szalik z szyi.

- Wesołych świąt i w ogóle - mówi, flegmatyczny nawet w czasach wojny.

- Nawzajem - odpowiada Will.

- Przyniosłem wam trochę produktów, żeby te święta były bardziej świąteczne. - Potrząsa koszykiem, z którego wyjmuje „South China Morning Post”, puszkę prasowanej kaczki, woreczek ryżu, bochenek chleba, dwa słoiki dżemu truskawkowego i ciasto owocowe. Kobiety klaszczą w dłonie jak uszczęśliwione dzieciaki. - Czy możesz coś z tym zrobić, Trudy? - Dominick pada na krzesło, rozkładając zgrabne nogi. Czuje się jak myśliwy, który przyniósł swoim kobietom łup.

- Wiesz, że jestem beznadziejna w kuchni. - Trudy łapie gazetę. - „Dzień wielkiej radości” - czyta. - Tak brzmi nagłówek. „Hongkong święci najdziwniejsze i najbardziej trzeźwe Boże Narodzenie w swojej stuletniej historii”.

- Tak jakby do przyścia Anglików Hongkong w ogóle nie istniał - przerywa jej Dominick.

- Zamknij się, ja czytam - mówi Trudy. - „Odbywające się dzisiaj skromne uroczystości zostaną ograniczone... Było jednak przyjemne interludium w Paryskim Grillu przed samym zamknięciem. Otóż pianista, wolontariusz, który wpadł do lokalu przed udaniem się na posterunek, zagrał wiązaną ulubionych przebojów, do czego wszyscy obecni przyłączyli się z wielkim animuszem”. - Trudy unosi głowę znad gazety. - To ludzie bawią się w Grillu, a mnie tam nie ma? Dommie, jestem na Peaku izolowana, podczas gdy inni bywają. A ty bywasz? Jak mogłeś mnie ze sobą nie zabrać?!

- Trudy, w dzisiejszych czasach udzielanie się towarzyskie jest dla kobiet naprawdę niebezpieczne. Powinnaś siedzieć w domu. A teraz zreperuj mi spodnie i zrób nam coś do jedzenia.

Trudy ciska w niego gazetą.

- Jakie są wieści? - pyta Will.

- Niedobre dla Anglików - odpowiada lekko Dominick. - Są słabsi liczebnie i technicznie. Japończyków jest więcej, i to doskonale wyszkolonych. Wylądowali na wyspie w nocy osiemnastego, wszędzie się od nich roi. Angielscy żołnierze nie byli szkoleni na tym terenie i wydają się całkowicie bezradni. Łączność z dowództwem kiepsko działa, a malaria dosłownie szaleje.

Will zauważa, że Dominick unika mówienia „my” czy „nasze”.

- Z tego wynika, że nie idzie nam zbyt dobrze.

- No nie - spokojnie potwierdza Dominick. - Nie idzie. Myślę, że to tylko kwestia czasu. Gubernator jest idiotą, że odrzucił propozycję zawieszenia broni, zasłaniając się jakąś absurdalną proklamacją brytyjskiej wyższości. Chowa głowę w piasek. Mam wiadomości od naszego kuzyna Victora, który jest zawsze świetnie poinformowany. Wciąż przebywa w domu.

- Zjesz naleśniki? - przerywa mu Trudy.

- Nie, dziękuję - odpowiada Dominick. - Mam niewiele czasu.

- A co z tym czasem robisz? - pyta Angeline. - To znaczy poza troszczeniem się o nas.

- Nawet nie macie pojęcia, co się dzieje - mówi Dominick. - Siedzicie tutaj jak w przytulnym bunkrze. A na mieście jest koszmar. No cóż... po prostu próbuję sobie jakoś radzić.

Jego twarz jest pozbawiona wyrazu, gładka; oczy przypominają dwa czarne węgle. Will zastanawia się, czy można nazwać mężczyznę pięknym.

- Kiedy tylko usłyszymy, że nastąpiła kapitulacja, natychmiast się stąd wynosimy. Zacznie się rabunek na wielką skalę, a Peak pójdzie na pierwszy ogień - oznajmia Will.

- Jeśli zobaczycie jakiegokolwiek mundury, zwijajcie się stąd w jednej chwili.

- Czy jest jeszcze coś, co powinniśmy robić? - pyta Angeline.

- Nie, nie ma nic takiego. Na brak pieniędzy nie narzekacie, jak sądzę. Gdyby się zrobiło naprawdę źle, to chyba najbezpieczniejszym miejscem będzie szpital. Wiecie, gdzie są szpitale. Poza tym Brytyjska Wytwórnia Wód Mineralnych w Koulunie została czasowo zamieniona w schronisko. Ale tam można się dostać tylko przez port. Lepiej trzymajcie się tej strony miasta. Japończycy mają taki zwyczaj, że po wygranej bitwie dają żołnierzom trzy dni na szaleństwo: mogą robić, co chcą, i to jest najbardziej niebezpieczny moment. Najlepiej wtedy w ogóle nie wychodzić z domu. - Dominick robi przerwę i patrzy na Willa. - Ale, przy okazji, mam dla ciebie prezent gwiazdkowy.

Idzie do samochodu i po chwili wraca z bardzo piękną laską z polerowanego orzecha z mosiężną gałką.

- Niestety, nie miałem czasu jej opakować - tłumaczy się - ale pomyślałem, że może ci się przyda. - Uśmiecha się szelmowsko i wręcza Willowi laskę. - Trzymaj się, stary.

- Dziękuję ci bardzo. - Will wiesza laskę na oparciu krzesła, na którym siedzi.

- A ja? - pyta Trudy. - Dla mnie nie masz żadnego prezentu?

- Ta laska akurat wpadła mi w rękę - broni się Dominick. - Kupiłem ją na czarnym rynku. Szczęśliwie miałem przy sobie dość pieniędzy. Zresztą nie chcieli zbyt drogo. Przypuszczam, że w czasie wojny laski nie są szczególnie chodliwym towarem.

- Ciekawe, a ja myślałem, że wręcz przeciwnie, że właśnie laski będą się cieszyły wzięciem. To przecież wojna robi z ludzi kaleki - mówi Will.

- Może i masz rację.

Trudy przerywa tę wymianę zdań.

- Doktor twierdzi, że Will wkrótce będzie jak nowy i że za kilka tygodni laska w ogóle nie będzie mu potrzebna, prawda, Will? Możemy jej używać jako pogrzebacza.

Po wyjściu Dominicka siedzą w milczeniu; z pokoju jak gdyby uszło powietrze. Pod wieczór zrobiło się chłodniej.

- Nastaw gramofon - prosi Angeline. - Mam ochotę posłuchać muzyki i potańczyć, chcę się poczuć normalnie.

- I drinki! - wykrzykuje Trudy. - Jest Boże Narodzenie i należą nam się drinki.

Przynosi czyste szklanki, zapala świece, wyklada na stół kaczkę, chleb i dżem. Wszystko smakuje cudownie jak prawdziwa świąteczna kolacja. Alkohol zabarwia im policzki i rozgrzewa żołądki.

Trudy i Angeline tańczą, z płyt lecą kolędy, Will bije brawo i dolewa alkoholu. Piją i tańczą w chłodnym salonie wielkiego starego domu Angeline. Tak ich zastaje świt - ze szklankami w rękach - aż wreszcie, kompletnie pijani, rozchodzą się do swoich pokojów i padają na łóżka. Trudy jest słodka dla Willa; jej usta i palce buszują po jego ciele, pozwalając mu zapomnieć o tępych pulsującym bólu w kolanie i o wirującym suficie. Tak wyglądało Boże Narodzenie 1941 roku - smutny, naznaczony melancholią dzień, który Will miał zapamiętać na zawsze.

A rano Angeline stuka do ich drzwi. Otwiera jej Will, który ledwie trzyma się na nogach; w ustach ma klajster. Z jakichś względów ręka Angeline zawisa w powietrzu w pół ruchu.

- Dzień dobry. - Patrzy na niego blada, skacowana. - Najlepsze życzenia z okazji drugiego dnia świąt. No więc to już koniec. Właśnie podali przez radio: nasza kapitulacja stała się faktem.

26 grudnia 1941

Trudy szaleje, żeby znaleźć Dominicka.

- On będzie wiedział, co robić - powtarza w kółko.

- Pozostaniemy tutaj tak długo, jak się da - uspokaja Will. - Zobaczysz, na dłuższą metę będzie dobrze. Japończycy nie mogą wygrać z Anglią, Ameryką, Holandią i Chinami. Ale to musi trochę potrwać.

- Nie będziesz miał nic przeciwko temu, żebym poszła do miasta i próbowała go znaleźć? A może powinnam poszukać Victora? - mówi, ignorując go. - Uważam, że nie powinieneś ze mną iść.

- Tak, wiem, że bym ci tylko przeszkadzał. - Nie może jej uspokoić. - A gdzie masz zamiar ich szukać? Przecież to jest niemożliwe. Poczekaj, zobaczysz. Wszystko będzie dobrze, przekonasz się.

Trudy odwraca się do niego błyskawicznie, jej twarz jest nie do poznania.

- A tymczasem? - Niemal wypluła te słowa. - Ciekawe, co proponujesz tymczasem, kiedy wszędzie jest pełno Japończyków, którzy robią, co chcą i komu chcą. Jeszcze chwila i rozleżą się po całym mieście jak te obrzydliwe mrówki. Co ty sobie wyobrażasz... co Ameryka, Holandia i nasza poczciwa stara Anglia wtedy zrobią? Chcesz mi pomóc? Z tą swoją nogą? Niby jak?

Will waha się przez chwilę, po czym jedną ręką ujmuje ją za ramię, a drugą wymierza jej policzek.

- Mam nadzieję, że to cię trochę uspokoi - mówi. - Widzę, że wpadasz w histerię.

Trudy, płacząc, osuwa się na podłogę.

- Will - szłocha przez palce. - Och, Will, co my teraz zrobimy?

Will z wysiłkiem wstaje z krzesła i klęka koło niej na podłodze.

- Trudy, kochanie - pociesza ją - zaopiekuję się tobą nawet z tą moją koszmarną kulawą nogą. Przysięgam.

Trochę później, kiedy już Will ją wykapał i zrobił jej drinka, rozlega się stukanie do drzwi. Will wysyła kobiety na górę, a sam idzie otworzyć, ale najpierw wygląda na zewnątrz, żeby zobaczyć, kto idzie. Za drzwiami stoi płowowłosy młody mężczyzna w mundurze.

- Kto tam?! - woła Will.

- Proszę otworzyć, tu Ned Young z Kanady. Grenadierzy Winnipeg.

Will otwiera drzwi.

- Proszę wejść. Nic ci nie jest? Jesteś sam? I co, do diabła, robisz taki kawał drogi od domu?

- Wieźli nas ciężarówką, sir, mam na myśli jeńców wojennych, ale udało mi się wyskoczyć i po prostu przyszedłem tu i zapukałem do pierwszych drzwi, które wydały mi się bezpieczne.

Po wejściu do środka mężczyzna okazuje się chłopcem tak młodym, że ma twarz obsypaną trądzikiem. Jego spodnie cuchną z brudu. Smród wykręca nos.

- Jadłeś coś?

- Nie jadłem od kilku dni, sir. - Chłopak wygląda na wyголоzonego, ale jest bardzo grzeczny.

- Siadaj tu, w jadalni, przyniosę ci coś do jedzenia. - Will bierze talerz i kładzie na nim chleb i resztki kaczki z poprzedniego dnia. Otwiera też piwo i nalewa szklanek wody. Chłopak rzuca się na jedzenie, pakując je łączywie do ust.

- Jest więcej, nie przejmuj się - mówi Will. - Najesz się do syta.

- Na mieście jest okropnie - Chłopak, z pełnymi ustami, zaczyna płakać. - Było okropnie. Siedzieliśmy w górach, w okopach...

- Przestań mówić. Jedz i staraj się zrelaksować.

Ale chłopak mówi dalej, jakby Will się w ogóle nie odzywał.

- Widziałem flaki wyprute z brzucha mojego przyjaciela. On jeszcze żył. Mówił do mnie, chociaż jego wnętrzności były na zewnątrz. I nagle go poczułem. On się gotował, jego flaki się gotowały, pachniało jedzeniem. Widziałem kobietę z urwaną głową. Jej dziecko siedziało obok niej, nagie, obfajdane, czarne od much. Musieliśmy je zostawić. Nie pozwolili nam wziąć dziecka. Nigdy dotychczas nie widziałem takich rzeczy. Jeszcze miesiąc temu byliśmy na Jamajce, trenowaliśmy i jedliśmy banany. Powiedzieli nam, że tu nie zobaczymy żadnej akcji. - Chłopak płacze i płacze, nie przestając jeść. - Całymi dniami nie widziałem wody. Chciałem umrzeć, ale wyskoczyłem z tej ciężarówki, bo widziałem, co robią Japończycy. To nie są ludzie. Widziałem, jak wrywają dziecko z ciężarnej kobiety. Widziałem, jak odrabują głowy i nadziewają je na sztachety płotu.

Do pokoju wchodzi Angeline.

- Co, na miłość boską...?

Chłopak wstaje, nie przestając płakać, nie przestając jeść.

- Dzień dobry pani. Jestem Ned, Ned Young z Winnipeg.

- Rozumiem - mówi Angeline i siada. Will raz wreszcie docenia jej suchą rzeczowość, tak męczącą w czasach pokoju. - Ned Young? A gdzie ty byłeś? Widziałeś jakichś wolontariuszy?

- Przegraliśmy. Poddaliśmy się. Nie widziałem nikogo poza Japończykami. Są wspaniale wyposażeni. Mają doskonałe górskie buty, pasy z koncentratami jedzenia i mapy. Myśmy nic takiego nie mieli. Na śniadanie dawali nam rum. Wysadzili nas tu kilka tygodni temu i powiedzieli, że będziemy mieli czas na ćwiczenia.

- A co widziałeś w mieście? - Oni są żądni informacji, on zaś balsamu uspokajającego.

- Są rozruchy i ofiary w ludziach, Wszystko tak cuchnie, że człowiek sam chciałby umrzeć. Na mieście jest aż gęsto... od ludzi, od smrodu. Ludzie się boją, bandyci rabują i palą. Korzystają z okazji, dopóki Japończycy wszystkiego nie rozgrabią.

- Odpocznij - mówi Will, zdając sobie sprawę, że Ned nic ciekawego nie ma im do powiedzenia. - Wykap się i połóż. Na górze jest łóżko, a my cię obudzimy, gdyby coś się działo.

Angeline prowadzi chłopaka na górę. Po jej powrocie Will czuje, że musi wyjść zaczerpnąć świeżego powietrza. Wraz z chłopakiem do domu wtargnął powiew świata zewnętrznego.

- Wychodzę - oznajmia Will. - Z moją nogą jest lepiej, a poza tym muszę zobaczyć, co się dzieje na mieście. Mało nie zwariuję od tego ciągłego siedzenia w zamknięciu.

- Dobrze - zgadza się Angeline. - Ale nie wypuszczaj się za daleko. Kiedy Trudy się obudzi, będzie cię potrzebowała.

A na zewnątrz niebo jest ciągle jeszcze błękitne, ptaki śpiewają. Jeśli nie liczyć pióropusza dymu, panuje spokój i cisza na dobrze wybrukowanych szerokich ulicach Peaku z wypielegnowanymi zielonymi żywopłotami. Od strony skał roztacza się przed nim widok Hongkongu - port lśni, niebo się skrzy. Cisza jest tak wielka, że słyszy własny oddech.

- To jedna z tych chwil - mówi i dopiero potem orientuje się, że wypowiedział głośno te słowa.

Wraca do domu, do kuchni, gdzie Trudy i Angeline opróżniają do zlewu kolejne butelki whisky.

- Nie przejmuj się - uspokaja go Angeline. - Najpierw zalałyśmy się w trupa. No i oczywiście zostawiłyśmy coś dla ciebie i dla naszego nowego przyjaciela Neda Younga.

- Bo jedyna rzecz gorsza od Japończyka to pijany Japończyk, prawda? - mówi Will. - Ale zachowajcie puste butelki, mogą się przydać.

- Zastanawialiśmy się z Angeline - odzywa się Trudy - i doszliśmy do wniosku, że skoro nie wiemy, czy gdziekolwiek indziej byłoby lepiej, to po prostu zostaniemy tutaj. Ale według nas ty i Ned powinniście się ukryć. To, że nie jesteście Chińczykami, wydaje się zbyt oczywiste. No, chyba że będziecie potrzebni, żeby nas ratować. Ale Angeline i ja możemy udawać służbę, wtedy zostawią nas w spokoju.

Will patrzy na nią z ukosa.

- Tak sądzisz? Ten pomysł kryje w sobie duże możliwości komiczne, ale nie jestem pewien, czy rzeczywiście należy tak postąpić.

- Wiem, że to brzmi idiotycznie, ale dokąd pójdziemy? Jak uważasz, co w tej sytuacji powinniśmy zrobić?

- Moglibyśmy się wybrać do miasta i zobaczyć, co robią inni.

- Ale tam nie mielibyśmy gdzie spać ani co jeść.

- Dobrze, wobec tego zrobmy tak: jutro rano pojedziemy samochodem do centrum, zobaczymy, co się dzieje, i wrócimy.

- Wszyscy?

- Ned powinien zostać, bo jest po ciężkich przejściach, ale Angeline i ty możecie jechać, jeśli macie ochotę.

Rano wszyscy, łącznie z Nedom, który nie chciał zostać sam, pakują się do samochodu. Chłopak jest świeżo wykąpany i zabawnie wystrojony w ubranie Fredericka: pod dziecinną buzią lśni obszerna koszula, a tors ginie w fałdach spodni z tropiku obliczonych na pomieszczenie okazałego brzucha właściciela. Nie pomaga nawet pasek z krokodylowej skóry zaciśnięty na szczupłej talii chłopaka.

Droga w dół wije się z boczem wzgórze; na zakrętach miga im port i centrum, które bez samochodów robią wrażenie niesamowicie jednakowych. Wjeżdżają do miasta i milkną, porażeni widokiem opuszczonych budynków i wyludnionych ulic.

- Jedźmy do Gloucester, tam powinni być ludzie - proponuje Trudy.

Parkują samochód i idą Connaught Road. W pewnym momencie Ned dotyka ręki Willa i pokazuje w bok. Między dwoma budynkami leżą skulone zwłoki mężczyzny w pokrzwionym ubraniu. Przechodzą w milczeniu.

- Jest tak cicho - szepcze Trudy.

- Nigdzie ani samochodów, ani ludzi - dodaje Will.

Jednakże w Gloucester kłębi się tłum większy, niż kiedykolwiek widzieli w foyer tego eleganckiego hotelu. Ludzie śpią na sofach, na marmurowej posadzce. Rośliny doniczkowe zostały zsunięte na jedną stronę i ustawione równo, tak że tworzą zieloną ścianę tego dziwnego obozu dla uchodźców. Chłopcy hotelowi w uniformach kręcą się, roznosząc na srebrnych tacach kawę i starając się jak najlepiej obsłużyć nietypowych gości.

- O, jest Delia Ho! - wykrzykuje Trudy. - A myślałam, że wyjechała do Chin! Jest też Anson i Carol. I Edwina Storch z Mary. Wszyscy są tutaj!

Ludzie tłoczą się wokół nowo przybyłych, pytając, gdzie byli i co widzieli.

- Niczego się od nas nie dowiecie - informuje Angeline. - Ukrywaliśmy się w domu.

- I nikt was nie niepokoił? - pyta jakiś Amerykanin.

- No, nikt - odpowiada Trudy. - Ale jedliśmy podle, jak psy. Czy jest tu coś do zjedzenia?

Niestety, nie ma zbyt wiele. Hotel usiłuje zaopatrzyć swoich gości najlepiej jak tylko może, korzystając ze zgromadzonych w piwnicach zapasów. Trudy siada, podjadając Delii pudding ryżowy i jednocześnie podkarmiając nim Willa. W pewnym momencie dostrzega gdzieś w kącie Neda, którego przyzywa gestem ręki, żeby też uczestniczył w posiłku.

- Kawa jest koszmarna - mówi - sama woda.

- Jak wygląda sytuacja? - Z tym pytaniem Will zwraca się do Dicka Gubbinsa, amerykańskiego biznesmena, który przed wojną wydawał się zawsze dobrze poinformowany.

- Byłem w Klubie Amerykańskim, ale przyjechałem tutaj, żeby zobaczyć, co i jak. Na mieście zaczyna się grabież i płądrowanie dla uczczenia zwycięstwa. Mitzy, ta staruszka, która na Carnavon Road miała sklep z antykami, została zasztyletowana przez pijanego żołdaka

tylko dlatego, że nie dość szybko oddała mu torebkę z pieniędzmi. - Dick ścisza głos. - A wiesz, co się stało w szpitalu?

- Nie, nie wiem.

- Koszmar. Oni są jak zwierzęta. Zgwałcili zakonnice, inne pielęgniarki też, a lekarzy, którzy próbowali ich bronić, pozabijali. Jakoby nie wolno im ruszać personelu szpitali, ale możesz dużo mówić żadnemu krwi motłochowi. Drew McNamara próbuje tam zaprowadzić jakiś porządek i spowodować ukaranie winnych, lecz wszędzie panuje kompletny chaos. Konwencja haska niby gwarantuje policji możliwość działania, ale cóż może nasza miejscowa policja, nawet ich nie widać. Kompletnie szaleństwo, mówię ci. Japończycy kierują brytyjskich posterunkowych do pilnowania ich konsulatu. Jakby pojęcie ironii było im całkowicie obce. Chińczycy i Hindusi powinni móc poruszać się swobodnie. Kuzyn Trudy, niejaki Victor Chen, wykonuje dobrą robotę jako pośrednik, usiłując doprowadzić do opanowania przemocy i rabunku. Europejczycy jako neutralni teoretycznie są bezpieczni, ale sytuacja jest bardzo delikatna. Oprócz gremialnego nachodzenia burdeli w dzielnicy Wanchai Japończycy zażądali prostytutek. Miejmy nadzieję, że to w jakiejś mierze da upust ich energii. Ale i tak zawsze znajdują się pijani czy szaleńcy, którzy nad głową każdego napotkanego na ulicy będą wymachiwać mieczem, nie dbając o to, czy ją zetną, czy nie, żądając pieniędzy, zegarków i biżuterii. Dwudziestego dziewiątego ma się odbyć parada zwycięstwa.

- Czy mówi się o tym, co zamierzają z nami zrobić?

- Nie. Ale jeśli mielibyście możliwość przedostania się do Chin, to na waszym miejscu bym z niej skorzystał. Sam próbuję teraz zorganizować transport dla siebie i niektórych swoich ludzi.

- Nie wiem dlaczego, ale Trudy nie chce.

- Ty też, chłopie, powinieneś się stąd zwijać. Nic tu po tobie. W każdym razie najlepsze życzenia. Mam nadzieję, że jak już będzie po wszystkim, to się spotkamy na jakimś drinku. Zadzwoń do mnie, gdybyś kiedykolwiek był w Nowym Jorku, dobrze? - Mężczyźni ściskają sobie dłonie i Gubbins wychodzi, ciągnąc za sobą niemal namacalną smugę amerykańskiego sukcesu i pewności siebie.

Nadchodzi Trudy.

- Pamiętasz Sophie Biggs i jej męża? Spotkaliśmy ich na przyjęciu u Manleya. No więc mąż Sophie zna trochę japoński i postanowił porozmawiać z grupką żołnierzy na ulicy, ale oni uznali,

że to, co mówi, jest obraźliwe, i przestrelili mu kolano. Miał dużo szczęścia... jak twierdzi Sophie... chociaż jest w nie najlepszej formie, bo szpitale zostały zbombardowane i poziom obsługi medycznej jest bardzo niski. Delia uważa, że ustawiają posterunki i już wkrótce nie będzie się można poruszać po mieście bez przepustek. Czy nie powinniśmy jechać do domu po nasze rzeczy? I czy lepiej tam zostać, czy wrócić tutaj? W mieście jest zdecydowanie weselej. Tam zaczynałam już dostawać bzika.

- Owszem, myślę, że byłoby przyjemniej przenieść się do miasta. Ale tu nie ma miejsca. Po co mielibyśmy spać na podłodze, skoro mamy wygodne łóżka w domu. Powinniśmy raczej oszczędzać siły na to, co nas czeka. Kto wie, kiedy znów będziemy mogli się dobrze wyspać.

- Czyli według ciebie mamy zostać u Angeline, tak?

- Po prostu nie wiem, gdzie mielibyśmy się zatrzymać. Nie mam zamiaru koczować tutaj. - Will pokazuje gestem najbliższe otoczenie.

- Poza tym tu się szykują rozruchy. Będzie bardzo nieprzyjemnie, i mam na myśli niekoniecznie Japończyków.

- Co za cynizm. To przecież moja sprawa. - Trudy w gruncie rzeczy się z nim zgadza. - Czy to nie dziwne - dodaje - jesteśmy w stanie wojny, ale nie robimy nic poza czekaniem, aż coś się wydarzy.

- Przecież nie chcesz, żeby coś się wydarzyło, Trudy. Oboje wolimy, żeby wszystko pozostało nudne i bez żadnych niespodzianek.

- Wiesz, co mam na myśli. Że siedzimy w domu z założonymi rękami i patrzymy jedno na drugie. Czy na tym ma polegać wojna? Zastanawiam się, co dokładnie w tej chwili porabia Vivian Leigh.

Will daje jej lekkiego klapsa w tyłek.

- Smacznie śpi - mówi.

Podchodzi do nich Edwina Storch ze swoją partnerką Mary.

- Jak się miewasz, moja droga - zwraca się do Trudy.

- Dziękuję, dobrze. A wam jak się wiedzie?

- Nie możemy narzekać, ale próbuję się jakoś odnaleźć w tym nowym porządku.

- Jakbyśmy tkwili w ruchomych piaskach, nie uważasz? - mówi Trudy.

- Tylko że ty jesteś z tych twardych. - Edwina wypowiada te słowa z dziwną intonacją w głosie.

Trudy przez chwilę zastanawia się nad odpowiedzią.

- Tak jak i ty - mówi lekkim tonem. - Jestem przekonana, że to wszystko się skończy i wtedy wspólnie wzniesiemy toast szampanem.

- Oby. Mieszkaś u siebie w domu? - pyta Edwina.

- Nie, u Angeline. Nie wiem, czy to jest najlepsze miejsce, ale na razie siedzimy tam.

- To wszystkiego najlepszego - żegna się Edwina - i mam nadzieję, że się wkrótce znów zobaczymy.

- Ja też - dodaje Trudy. Po odejściu kobiet robi minę do Willa i pokazuje język.

Przywołują Neda i Angeline, Trudy rozdaje całusy na prawo i lewo, a potem jadą do domu, starannie unikając głównych dróg. Zatrzymują się tylko przy nowo powstałym targowisku, gdzie po niebotycznych cenach kupują ryż, warzywa choi sam i owoce rambutanu. Czują się jak dziwna świeżo osierocona rodzina.

W sylwestra wyłączają prąd. Will robi krótkie wypadki do miasta, żeby zasięgnąć języka i odnowić zapasy, starannie unikając spotkań z Japończykami. Na ogół mu się udawało, aż do pewnego dnia, kiedy wybrał się z Nedom. Właśnie wyjeżdżali z miasta z woreczkiem ryżu, nasionami melona i kilkoma puszkami wołowiny. Byli w euforycznym nastroju z powodu udanych łowów. Nagle na drodze przed nimi pojawił się japoński żołnierz gestami pokazujący, że mają się zatrzymać. Żołądek podjechał Willowi do gardła.

- Nie odzywaj się - ostrzegł Neda.

Żołnierz polecił im otworzyć bagażnik. Popatrzył na ryż, a potem na nich i kazał im wysiąść z samochodu, a następnie, pokazując karabinem, co mają robić, opróżnić kieszenie i zdjąć zegarki.

- Amerykanie? - zapytał.

- Anglicy.

Żołnierz się roześmiał. Wyglądał na jakieś dwadzieścia dwa lata i miał szeroką, naiwną twarz.

- Wygraliśmy! - Podwinął rękaw, ukazując pięć zegarków zapiętych jeden przy drugim na jasnym ramieniu.

Nie pozostawało im nic innego, jak spełnić polecenie, więc kiedy Japończyk wziął pieniądze, zegarki, ryż i puszki z wołowiną, wsiedli do samochodu i uważając się za szczęściarzy, wrócili do domu.

W sylwestra Will budzi się i przekręca wyłącznik - niestety, bez skutku. Telefon działa od czasu do czasu.

Trudy reaguje gwałtownie na ciszę, jaka następuje po tych rewelacjach.

- Po co komu te wszystkie gadżety - oznajmia. - Tylko jest przez to więcej roboty. A poza tym przy świeczkach każdy wygląda lepiej. - Robi pauzę. - Uważam, że powinniśmy urządzić party, prawdziwe noworoczne przyjęcie na dwadzieścia cztery fajerki. Zaprosimy wszystkich obozujących tu z nami na Peaku sąsiadów i ogłosimy zrzutkę.

Niedaleko od nich, na tej samej ulicy, mieszkają Millerowie, zamożna amerykańska sześciuosobowa rodzina, która sprowadziła się tutaj z szóstką czy siódmką służby - dwie czy trzy amah, amah do dziecka, kucharz, chłopak na posyłki i ogrodnik. Od czasu do czasu wpadają, żeby się podzielić nowinami i dla podtrzymania kontaktów międzyludzkich. Trudy idzie do nich z Willem, żeby ich zaprosić, i nalega, by wzięli ze sobą wszystkich, łącznie ze służbą i niemowlakiem.

- Mogą siedzieć w kuchni i przynajmniej w ten sposób uczestniczyć w zabawie. Lepiej ich nie zostawiać samych, bo jak wrócicie, może ich już nie być.

Zakłopotani Millerowie przyjmują zaproszenie - obiecują przyjść i przynieść ze sobą to, co mają do jedzenia, a także rozpuścić wśród sąsiadów wieść o przyjęciu.

W drodze do domu Trudy mówi:

- Jest taka anegdota o wiosce i zupie. Znasz ją?

- Nie - odpowiada Will - nie znam. O wiosce?

- Była sobie pewna wioska i jej szef chciał wydać wielkie przyjęcie ze składkową zupą. Poprosił, żeby każdy z mieszkańców coś do tej zupy przyniósł... jakiś kawałek mięsa, trochę jarzyn, jednym słowem, coś dobrego. I wtedy każdy pomyślał: Na pewno przyniosą coś inni, ja przyniosę kamień... i tak nikt tego nie zauważył. Skutki były opłakane: zupa nie nadawała się do jedzenia. - Trudy kończy historię. - Właściwie nie wiem, dlaczego akurat teraz ci to opowiadam. Jedno jest pewne, że mieszkańcy wioski nie mogli być Chińczykami, nie mieli szacunku dla jedzenia.

- Boisz się, że Millerowie przyniosą na nasze przyjęcie kamienie?

- Nie, durniu, boję się, że ludzie nie są uczciwi.

Oczywiście przyjęcie okazuje się wielkim sukcesem. Mimo że nie było mowy o strojach, ludzie przychodzą odświętnie ubrani, jakby to miało być ostatnie tchnienie świata, który znali. Zlatują się do domu Angeline jak ćmy do płomienia, przynosząc ze sobą przechowywane gdzieś w piwnicach niebywałe smakołyki - skrzynkę szampana („Dlaczego nie? - Ofiarodawca broni swojego pomysłu. - Lepiej wypić szampana teraz, niż żeby później kąpał się w nim jakiś japoński żołdak”), pięć świeżo zarzniętych kurcząt, sardynki, niewielki woreczek ryżu, rukiew wodną, ser, banany. A ponieważ Hongkong nie przestał być Hongkongiem, ludzie przyprowadzili ze sobą służbę, żeby to wszystko przygotowała i podała.

- Prawdziwa uczta - cieszy się Trudy.

- Uginający się stół - dodaje Will.

- Bez przesady, kochanie. - Trudy całuje go w policzek. - Czy nie czujesz się tak, jakbyśmy byli na szkolnej wycieczce? Ty nie musisz iść do pracy, ja nie muszę udawać, że coś robię ze swoim czasem, i wszystko gra.

Ned Young, który poczuł się w tej sytuacji trochę lepiej, odciąga Willa na bok.

- Trudy jest naprawdę niesamowita - mówi - skąd ją wytrzasnąłeś? Nigdy w życiu nie spotkałem nikogo takiego jak ona. Naprawdę.

Mężczyźni w smokingach, kobiety w sukniach balowych - wszyscy siedzą na krzesłach albo na podłodze, popijając piwo i herbatę z różnych dziwnych naczyń, takich jak słoiki i puszki, i zajadając krakersy i sardynki. Ponieważ nie ma muzyki, więc jedni śpiewają, inni grają na pianinie. Instrument jest tragicznie rozstrojony, ale muzyka wydaje się słodka, a głosy urocze.

Kiedy zbliża się północ, wszyscy zbierają się koło największej świecy i zaczynają odliczać.

- Dziesięć, dziewięć... - Ale Trudy im przerywa.

- Przedłużmy to. Zacznijmy odliczać od pięćdziesięciu. Przecież i tak nie mamy nic lepszego do roboty. - Wszyscy się zgadzają i zaczynają od początku.

- Pięćdziesiąt, czterdzieści dziewięć, czterdzieści osiem... - I wtedy dzieje się coś dziwnego. Mniej więcej między czterdzieści cztery a czterdzieści trzy nastrój się zmienia, wydaje się, że odliczają czas do czegoś bardzo ważnego. Głosy przybierają na sile, zyskując

determinację i poczucie celu, a zbliżając się do dwudziestu, dziesięciu czy wreszcie osiągając wartości jednocyfrowe, stają się jeszcze silniejsze i odważniejsze, by zakończyć „pięć, cztery, trzy, dwa... jeden” wybuchem wielkiej owacji. Jedni rzucają się drugim w ramiona i przez chwilę czują się tak, jakby coś zostało ocalone. Kobiety ocierają łzy, mężczyźni poklepują się nawzajem po plecach.

- Szczęśliwego nowego roku, kochanie - mówi Trudy, całując Willa. - Niech to będzie najgorszy sylwester w naszym życiu. - I zwracając się do pozostałych, wznosi szklankę do góry. - Na zdrowie. Kiedyś się to skończy, chociaż nie wiemy kiedy.

O wczesnym świecie niektórzy uczestnicy przyjęcia wychodzą, inni zostają na licznych sofach i fotelach, bojąc się wyjść na zewnątrz mimo chęci powrotu do domu. Trudy udziela się wśród gości, podając wodę i niosąc słowa otuchy, aż wreszcie zbierają się w sobie, przewyciężają skutki picia i wychodzą w noc, zerkając w górę z obawy przed nieprzyjacielskimi samolotami.

4 stycznia 1942

Czwartego dnia nowego roku Trudy przychodzi z ulotką w rękę.

- Ogłaszają zbiórki ludzi - oznajmia i czyta: - „Od rozpoczęcia japońskiej okupacji Hongkongu w pierwszym dniu świąt Bożego Narodzenia cudzoziemcy z wrogiego obozu mają prawo swobodnego poruszania się po praktycznie wszystkich miejskich terenach kolonii...”. To bardzo szlachetnie z ich strony, nie uważacie? Potem jest coś na temat generałów i rozkazów, i dalej: „Wszyscy cywile ze strony nieprzyjacielskiej... wygląda na to, że jesteś kimś niebezpiecznym, Will... mają się zebrać 5 stycznia na Murray Parade Ground”. Możecie zabrać ze sobą rzeczy osobiste, ale bezpieczeństwo domu to już wasza sprawa. Przez nieprzyjaciół rozumie się Brytyjczyków, Amerykanów, Holendrów, Panamczyków i wszystkich tych, którzy byli na tyle nierozsądni, żeby walczyć z najeźdźcami. - Trudy spogląda po obecnych. - Uważam, że mnie to nie dotyczy.

- Jakim cudem?

- Z pewnością nie podpadam pod żadną z tych kategorii. Zresztą ukryłam swój paszport w bezpiecznym miejscu i nikt nie musi o nim wiedzieć. Poza tym nie sądzę, żeby niechęć do origami kwalifikowała mnie jako osobę zwalczającą Japończyków. Ale ty z pewnością będziesz musiał się stawić, chyba że wolisz iść gdzieś indziej? - Trudy marszczy czoło. - Co powiesz na Chiny? Są ludzie, którzy organizują wyjazdy.

- Nie, myślę, że lepiej zostać w Hongkongu. Będą musieli zachowywać się w sposób odpowiedzialny. Wyobrażam sobie, że skoro każą nam się zebrać w jednym miejscu, to nas jakoś zarejestrują i zawiadomią nasze rządy. - Will wzrusza ramionami. - Ale trzeba zdecydować, co z Nedem.

Przy skromnym lunchu składającym się z ryżu i solonej kapusty postanawiają zgłosić Kanadyjczyka jako Anglika.

- Udawaj, że straciłeś paszport... w pożarze od bomby, która spadła na twój dom czy coś w tym rodzaju. Problemem może być twój akcent - mówi Trudy. - Jak myślicie, czy Japończycy się zorientują?

- Mógłbym raczej udawać Amerykanina - oświadcza poważnie Ned.

- Ale my nie znamy żadnych Amerykanów, żeby cię wzięli pod swoje skrzydła. Lepiej trzymaj się Willa i nie gadaj za dużo.

Trudy powtarza, że nie zamierza się rejestrować.

- Angeline, skoro Frederick jest Anglikiem, możesz iść z Willem i Nedom. Uchodzisz za Brytyjkę. Masz gdzieś pod ręką świadectwo ślubu, prawda? A ja sobie tu bez was świetnie poradzę. Tylu przyjaciół rodziny mnie zaprasza, że na pewno nie będę sama. - Trudy głaszcze przyjaciółkę po ramieniu.

- Zostanę z tobą. Myślę, że tak będzie lepiej, nie uważasz?

- A przecież możesz udawać, że jesteś pracownikiem administracji państwowej, i się nie zgłaszać - Trudy zwraca się do Willa. - To zarządzenie nie obejmuje pracowników kolonii.

- Są metody na zweryfikowanie takich informacji, kochanie. Gdyby mnie złapano na kłamstwie, byłoby znacznie gorzej.

- Ale jeśli pójdziesz, to przecież cię już nie wypuszczą, prawda? Nie zapiszą twojego nazwiska, nie poklepią cię po ramieniu i nie powiedzą, że możesz iść, gdzie tylko sobie życzysz.

- Traktując rzecz realistycznie, będą nas trzymali razem, w grupie, co oznacza życie skoszarowane przez jakiś czas, dopóki nie zdecydują, co z nami zrobić. Słyszałem o porozumieniu między rządami co do masowych wymian, więc niewykluczone, że wymienią nas na Japończyków żyjących w naszych krajach. Ale ponieważ to może potrwać, musimy opracować jakąś metodę porozumiewania się.

Po lunchu Will i Trudy idą na górę spakować walizkę.

- Czego będziesz potrzebował? Szczoteczki do zębów. - Trudy wręcza mu nową szczoteczkę. - I proszku do zębów. To z pewnością przedmioty podstawowe. Grzebień... nie możesz wyglądać niechlujnie. Z drugiej strony nie powinieneś prezentować się zbyt przystojnie, żeby nie narobić kłopotu sobie i różnym paniom.

- Pójdziesz ze mną? - zapytał.

Przez cały ranek Will miał ochotę zadać jej to pytanie. Sama myśl o tym, że miałby się z nią rozstać, przyprawiała go o bicie serca. Od wielu miesięcy widywał ją codziennie, nigdy nie pozostawał bez zapachu jej skóry, jej włosów dłużej niż kilka godzin. Inne kobiety wydają mu się teraz groteskowe... za duże, za głośne, za powolne. Pewnego popołudnia, wkrótce po przyjeździe do Hongkongu, siedzieli z Simondsem przy biurkach i patrzyli oczarowani - jak to czasem bywa ze sprawami całkiem przyziemnymi - na pomoc biurową, pannę Tsai, która gotowała wodę, a następnie wlewała ją do termosu. Panna Tsai była chuda i nosiła okulary w metalowej oprawce. Jej ramiona kryjące się dzień w dzień pod tym samym szarym swetrem były tak

kruche, że przypominały ptasie skrzydełka. A krótko ostrzyżone włosy często aż błyszczały od tłuszczu. Simonds zwrócił się wtedy do Willa - było to jeszcze przed poznaniem Trudy - i powiedział: „Nie rozumiem, jak niektórzy mogą uważać Chinki za atrakcyjne. Są całkowicie pozbawione seksu; wręcz rachityczne”. Will chciałby, żeby Simonds poznał Trudy, szczególnie tę jej leniwą, jakby ospałą część. Ale kolega wyszedł z przyjęcia wkrótce po tym, jak Will spotkał Trudy, i dalej trwał w swoich upodobaniach, deklarując chęć poznania młodej dorodnej Angielki, z którą mógłby założyć rodzinę. Do tej pory zapewne już taką znalazł. Will podejrzewał, że przy podobnej do sztyletu ostrej sylwetce Trudy jego angielska dziewczyna wydałaby mu się zbyt rumiana i dorodna.

Trudy zastanawia się nad jego pytaniem tylko przez moment, po czym kontynuuje pakowanie.

- Dlaczego, na miłość boską, mając wybór, dać się zapuszkować?

- Nie zdajesz sobie sprawy, jak tutaj będzie - mówi Will. - A przynajmniej tam dostaniesz trzy razy dziennie jeść i łóżko. - Nie może się zdobyć na to, żeby ją poprosić wprost: idź tam ze mną, lecz próbuje jej to wcisnąć jako rodzaj tanich wczasów.

Skończywszy pakowanie Willa, Trudy zaczyna wkładać do walizki swoją garderobę.

- Jednak zaryzykuję zostanie tutaj - oświadcza. - Nie wiadomo, jakie są warunki w obozach. Japońcy potrafią być brutalni. A poza tym dla ciebie lepiej mieć kogoś na wolności.

Będę ci przynosiła paczki i informacje. W razie czego mam klub Lusitano. Przyjmuje wszystkich Portugalczyków, nawet takich mieszkańców jak ja. Mają świetne warunki noclegowe, więc jak się zrobi niedobrze, to po prostu pójdę tam. A Dommie się na pewno mną zajmie.

- Moglibyśmy się pobrać - ciągnie Will. - Ja bym się lepiej tobą zajął.

Trudy podnosi wzrok. Will boi się jej twarzy świadomie pozbawionej wyrazu.

- Ty naprawdę nie wiesz, co tu się może dziać - powtarza. - Przynajmniej bylibyśmy razem.

Trudy nie przestaje pakować swoich swetrów. Jej ręce poruszają się szybko i pewnie.

- Czy wiesz, co Chińczycy myślą o Anglikach? - pyta chwilę później, jakby Will nie powiedział nic ważnego.

- Nie, tak naprawdę to nie wiem, ale mam nadzieję, że Dominick nie jest tu reprezentatywny.

Trudy wybucha śmiechem.

- Nie do końca, chociaż jest w nim coś więcej, niż się wydaje na pierwszy rzut oka. Nie bądź dla niego zbyt surowy. Ma swoje powody. Ale wielu Chińczyków uważa Anglików za chamskich i aroganckich; wywyższają się na punkcie swojego dziedzictwa, mimo że nasze jest o wiele starsze i bogatsze. A poza tym są okropnie skąpi. Jeszcze nigdy nie widziałam, żeby po obiedzie w restauracji Anglik sięgnął po rachunek, podczas gdy nawet najbiedniejszy Chińczyk spaliłby się ze wstydu, gdyby miał za niego zapłacić zaproszony gość. Nie uważasz, że to dziwne? Znacznie bardziej podoba mi się nasz sposób postępowania. My, Chińczycy, nie jesteśmy głupi. Wiemy, że większość Anglików żyje tutaj na stopie, na jaką nigdy w kraju nie byłoby ich stać... jak królowie. Tak się złożyło, że za swoje pieniądze mogą kupić znacznie więcej naszej pracy niż my za swoje. Dlatego uważają się za wielkich panów, a nas uznają za wyrobników. Ale to nie zmienia faktu, że u siebie nie opływaliby we wszystko tak jak tutaj. Żyją za pożyczone pieniądze i pod fałszywą tożsamością. Ty nie jesteś typowym Anglikiem, Will. Ty jesteś hojny do szaleństwa, wdzięczny i pełen pokory. Cieszę się, że nie przypominasz w tym większości swoich rodaków.

- Nie wiem - mówi Will - czy akurat o tym powinniśmy rozmawiać. Czy jest to właściwy moment.

- Jasne, jasne - odpowiada Trudy ze zniecierpliwieniem, jakby Will nic nie rozumiał. - Chodzi mi o to, że wielu miejscowych ludzi po prostu nie obchodzi, co się stanie z Anglikami. Ale jednocześnie nie obchodzą ich Japończycy. Każdy chce spokojnie żyć i pragnie, żeby mu w tym nie przeszkadzano. Trochę pieniędzy, trochę miłości i umrzeć z pełnym brzuchem. To wszystko.

Will zawsze potrzebuje czasu, żeby zrozumieć puentę zawartą w słowach Trudy, zapewne dlatego, że są nieoczekiwane, jakby wychodziły z ust dziecka, i dopiero potem zdaje sobie sprawę z jej głębokiej mądrości. I praktyczności. Patrzy, jak Trudy pakuje wieczorową suknię i - po chwili wahania - dobiera do niej szal.

- Widziałeś moje srebrne pantofelki? - pyta.

- Nawet nie wiedziałem, że masz takie. - Na wszelki wypadek nie docieka, po co jej w czasie wojny wieczorowy strój.

- Zawsze staram się patrzeć w przyszłość - mówi nagle Trudy. - Nigdy się nie cofam. Nie cierpię zdjęć, pamiątek, wycinków z prasy. Po co to wszystko? Zupełnie nie rozumiem, jak ludzie mogą przechowywać pamiątki... brrr. Will jest zdumiony jej poruszeniem.

- Ja na przykład zawsze prowadzę dziennik podróży.

- To co innego, bardziej przypomina dziennik pokładowy, tak mi się przynajmniej wydaje.

- No, ale tam są i moje wrażenia. Piszę też o ludziach, których spotykam po drodze.

- Mam nadzieję, że nie o mnie.

- Byłabyś rozczarowana - mówi po chwili Will.

- Ludzie potrafią być tacy ohydni, nie uważasz? Jeżeli w przyszłości nie będziemy razem, to proszę cię bardzo, nie myśl o mnie z nienawiścią. Myśl dobrze albo wcale. Zawsze staram się tak postępować. Myśl życzliwie i nie osądzaj. Bierz pod uwagę całą sytuację.

- O czym ty, do diabła, mówisz? Daj sobie spokój z takimi absurdalnymi rozważaniami. - Will czuje się, jakby dostał cios w splot słoneczny. Nie potrafi udawać obojętności, ale jednocześnie nie umie powiedzieć: nie opuszczaj mnie.

- Jeśli mnie kochasz, to wiesz dokładnie, kim jestem.

- Trudy, ty nie jesteś osobą, za którą chcesz uchodzić. Naprawdę nie jesteś.

- A ty nie jesteś głupi, kochanie. - Wręcza mu jego torbę. - Masz. Wszystko przygotowane na twoją wielką przygodę.

Na placu defiladowym Will stwierdza ze smutkiem, że inni przyszli z całym dobytkiem spakowanym w wielkie walizy dosłownie pękające w szwach i powiązane mocnym szpagatem. Pewien żartowniś przyszedł z kijami golfowymi. Zagubieni ludzie siedzą na swoich bagażach, popijając z termosów. O dziwo, są także Chińczycy. Przykucnięci w cieniu, dźwigają na plecach tobołki z czerwonego i różowego materiału wypełnione rzeczami osobistymi.

Will ma pieniądze poupychane w kieszeniach spodni, a także kilka złotych pierścionków i bransoletek, które wmusiła mu Trudy. „Złoto to jednak jest złoto; na złoto zawsze będą chętni”. Do tej chwili brzmia mu w uszach jej słowa. Poza tym ma tylko niewielką torbę z

podstawowymi rzeczami osobistymi, które mu spakowała. Ned dostał od Angeline trochę ubrań Fredericka, za dużych i niepasujących na młodego chłopca, ale zawsze było to coś - Kanadyjczyk budził w obu kobietach instynkty macierzyńskie.

Trudy zatrzymała samochód na tyle tylko, żeby zdążyli wysiąść, obdarzyła Willa lekkim całusem, a następnie odwróciła się na pięcie i szybko wsiadła z powrotem. Ot, byle jakie pożegnanie. Will stoi przez chwilę w miejscu - obok niego zmieszany Ned przebiera nogami - po czym bierze torbę, lekko skrępowany tym, że chłopak był świadkiem ich nijakiego pożegnania. Zauważa Trotterów i Arbogastów. Podchodzi do Hugh Trottera i przedstawia mu Neda, wyjaśniając jego sytuację.

- Jest niedobrze - mówi Hugh, nie bacząc na perypetie młodego Kanadyjczyka. - Słyszę, że w banku palą niepodpisane formularze wekslowe, żeby się nie dostały w niepowołane ręce.

- Tak, to rzeczywiście niedobra wiadomość - potwierdza Will.

- Dwa dni temu ogłosili nowy rząd dla chińskiej ludności cywilnej i nazwali go Departamentem do spraw Cywilnych Armii Japońskiej. Próbują jakoś zaprowadzić porządek, żeby znów popłynęły gaz, woda i elektryczność. Chcą powrotu wszystkich do normalnego życia, żeby pootwierali sklepy, podjęli pracę. Wszystkich, z wyjątkiem nas oczywiście. My jesteśmy wrogami.

- To skąd się tu wzięli Chińczycy? - Will rozgląda się po miejscowych. - Przecież chyba nie rejestrują wszystkich mieszkańców kolonii.

- Nie, to mieszanka. Japończycy nie zdawali sobie sprawy, że tutejsi Chińczycy uważają się za obywateli brytyjskich i że się zgłoszą. Wynikło z tego wielkie zamieszanie, bo nie wiedzą, co z nimi zrobić. Myślę... nie owijając w bawełnę... że chcą tylko gweilos. Przypuszczam, że Chińczycy wrócą dziś do domu.

Will zauważa bawiące się dzieci - co one tutaj robią? Powinny były już wiele miesięcy temu zostać wysłane z Hongkongu. Hugh podąża za jego wzrokiem.

- Tak, no i oczywiście dzieci. Co za głupcy z tych rodziców. Tacy niby rodzinni. Nie chcą się rozstawać z bliskimi. Zupełnie jak strusie... chowają głowę w piasek. Mam nadzieję, że warunki będą przyzwoite.

- Miejmy nadzieję.

- A słyszałaś, że Millicent Potter oślepla na skutek szoku?

- Nie, nie słyszałem - odpowiada Will.

- Straciła dziecko. Umarło w jej ramionach trafione odłamkiem bomby. Akurat trzymała małego na rękach... jej mąż mówi, że nagle przestała widzieć. Wygląda na to, że raz ten wzrok traci, raz odzyskuje, ale już od dłuższego czasu nie widzi.

- To straszne.

- A co z Trudy? - pyta Hugh. - Rozumiem, że to wszystko jej nie dotyczy?

- No nie. Jest Portugalko - Chinką, a obie narodowości są na razie bezpieczne.

- Dobrze mieć w tej chwili kogoś na zewnątrz. Będzie mogła cię zaopatrywać w różne rzeczy, dostarczać informacji. My mamy jeszcze swoją amah i służącego. Dałem im tyle pieniędzy, że w życiu chyba takich sum nie widzieli. Mam nadzieję, że z nimi nie uciekną. Ale co było robić? - Hugh uśmiecha się lodowato. - To dopiero ironia, co?

Dołącza się do nich Reggie Arbogast.

- Akurat w tej chwili sytuacja nie wygląda dobrze. Zwycięzają na Filipinach, na całych Malajach i w Birmie. Niebezpiecznie zyskują na sile.

W pewnym momencie nadjeżdża na koniu japoński żołnierz.

- Stanać w rzędzie! - krzyczy. - W jednym rzędzie! Bez Chińczyków.

Po chwili wahania tłum porusza się jak bezkształtna masa. Niczym ameba, myśli Will, jakby patrzył na to wszystko z góry. Tłum kołysze się i faluje jak niezdecydowane morskie stworzenie.

- Jeden rząd! Bez Chińczyków! - ponownie wykrzykuje żołnierz, tym razem głośniej. Galopując, zatacza koła i wymachuje mieczem w powietrzu. Azjaci stają z jednej strony, zapoczątkowując proces stopniowej segregacji ras.

- Wygląda na to, że on nas zagania - mówi Hugh - jak trzodę.

Will dokonuje przeglądu ubrania, które ma na sobie: solidne bawełniane spodnie, dwie koszule, sweter i marynarka. Nagle zdaje sobie sprawę, że te rzeczy może będą musiały mu wystarczyć na dłuższy czas. Jest zadowolony, że wziął gruby pasek. Mocna skóra i metal zawsze mogą się przydać, myśli.

Żołnierz robi w tył zwrot i odjeżdża. Tłum milczy. Jakaś kobieta siada na swojej walizce i zaczyna płakać.

- Głowa do góry! - pociesza ją mąż. - To dopiero początek.

Dzieli ich według narodowości i każą im maszerować w szeregu. Will patrzy, jak Amerykanie odchodzą na bok, z Duńczykami i Belgami. Brytyjczycy mają czekać do końca. Wygląda na to, że Japończycy są jakoś szczególnie do nich uprzedzeni.

Godzinami przemierzają drogi zmienione do niepoznania. Przed szczytkami zwęglonych domów płoną hałdy śmieci; czuć wszechobecny odór rozkładających się ludzkich ciał i najróżniejszych odpadów. Matki z dziećmi maszerują razem z mężczyznami, niemowlęta płaczą. Wzdłuż dróg stoją szpalery mieszkańców w milczeniu podziwiających nieprawdopodobny spektakl, w którym ludzie Zachodu są pędzeni pod nadzorem Azjatów. Niektórzy plują im pod nogi, ale większość po prostu patrzy. Will widzi na ich twarzach wyraz ulgi, że to nie oni są ofiarami - przynajmniej tym razem. Na wielu twarzach, głównie starszych, maluje się współczucie. Jakiś dzielny uczestnik pochodu próbuje zaintonować Hail Britannia, ale melodia zamiera mu na ustach pod kamiennym wzrokiem żołnierza, który zwalnia tempo i niebezpiecznie zrównuje się z solistą. Znów zalega cisza przerywana tylko stukotem butów i ciężkim oddechem jeńców.

Zapędzają ich do hotelu Nam Ping, który ostatnimi czasy najwyraźniej pełnił funkcję burdelu. Hol jest obskurny i brudny; czerwona farba odpada płatami, chińskie znaki krzyczą tandetnym złotem.

Na początek mają zdjąć zegarki i biżuterię i wrzucić do naszykowanego dużego worka. A potem japoński żołnierz wskazuje bronią schody na znak, że mają iść na górę.

Pokoiki są małe i robi się nieprzyjemnie, bo wszyscy się pchają, żeby zająć jak najwięcej miejsca, zanim się zorientują, że bez względu na to, jacy są szybcy, i tak będą musieli się tłoczyć po cztery czy pięć osób w jednym pokoju. Stiukowe ściany, wilgotne i zapleśniałe, są pokryte pęcherzami, z sufitu przy każdym najmniejszym ruchu odpadają całe płyty tynku. W pokojach stoją żelazne łóżka z cienkimi jak naleśniki materacami i mintoi, chińskimi kołdrami, na których pełno dużych plam w rdzawym kolorze. Po mokrej, odrażającej podłodze śmigają karaluchy zaniepokojone nagłą inwazją. Panuje ogólny bałagan: ludzie domagają się papieru toaletowego, ręczników, czystej wody, nie wiedząc, że nie ma nikogo, kto by spełnił ich

zyczenia. Niektórzy zachowują się tak, jakby sobie nie zdawali sprawy, że czasy amah i szoferów to już przeszłość. Toalety zatykają się niemal natychmiast, a korytarze wypełniają się niewyobrażalnym smrodem. Will i Hugh organizują grupy odpowiedzialne za sprzątanie. Niektórzy odmawiają udziału, inni po prostu nie stawiają się do roboty. Will uspokaja, że wkrótce będzie dość pracy dla wszystkich. Japończycy najwyraźniej nie przejmują się chaosem - jedni wydają się rozbawieni, inni całkowicie obojętni. Siedząc z nogami w górze, posyłają chińskie dzieci po piwo i mątwy.

Pierwszego wieczoru nie ma jedzenia. Kładą się spać głodni; pokoje rozbrzmiewają pochlipywaniem dzieci; słysząc ciężkie westchnienia rodziców. Will z założonymi rękami słucha chrapania Neda, przypominającego dziwne przerywane poszczekiwanie, i zastanawia się, co porabia Trudy.

I oto dokonuje odkrycia. Nie proszek do zębów, tylko jedzenie. To jedzenie jest luksusem. Wieczorem Japończycy dostarczają kadź wodnistego ryżu przy jednoczesnym deficycie wyszczerbionych misek i łyżek. Jest też trochę nadpsutego gotowanego mięsa i zgniłych jarzyn pływających w brunatnej wodzie. Kilka kobiet odmawia jedzenia. Ale już następnego dnia jedzą wszyscy. Pojawiają się Chińczycy gotowi kupować jedzenie za monety rzucane im z balkonu, ale jest to propozycja ryzykowna, jako że część ochotników znika z pieniędzmi, by się już nigdy więcej nie pojawić. Ci szczęściarze, którzy mają amah czy chłopców na posyłki, dostają tą drogą - pieniądze w dół, żywność w górę - warzywa i ryby.

Zarządcą hotelu jest porucznik, niejaki Ueki, niski mężczyzna w okrągłych okularach i z wąsikiem. Twarz ma nieprzeniknioną, o czym przekonuje się Will jako przedstawiciel do rozmów z zarządcą w sprawie warunków mieszkaniowych i wyżywienia. Spotkanie jest dziwne - pełne napięcia i przesadnej grzeczności.

Ueki zarekwirował gabinet dyrektora hotelu mieszczący się za recepcją. Siedzi przy metalowym biurku, przed nim stoi otwarta butelka whisky, na popielniczce tli się papieros. W powietrzu wisi gęsta chmura dymu nietknięta przez wolno obracający się pod sufitem wentylator.

- Jest kilka spraw, na które chciałbym zwrócić pana uwagę - zaczyna Will.

- Mówić! - rozkazuje mężczyzna.

- Toalety wymagają wyszorowania, a do tego potrzebne nam są środki czystości... szczotki i proszki. Przydałaby się też sprężyna do udrażniania rur.

- Zobaczę, co da się zrobić.

- Poza tym pani Aitken jest w ósmym miesiącu ciąży i z trudem znosi wielkie niewygody. Może znalazłoby się dla niej jakieś łóżko? Obecnie śpi z dwiema innymi osobami. Tak jak inni. - Z wyjątkiem korpulentnej sekretarki z Australii, która odmawia dzielenia się swoim łóżkiem z kimkolwiek. Ale to inna historia.

- Dobrze.

Ueki macha ręką i Will nie wie, czy oznacza to „tak”, czy „nie”.

- No i jedzenie... - dodaje z wahaniem.

- Tak?

- Jedzenie jest nieodpowiednie. Niski Japończyk studiuje Willa.

- Papierosa? - Wyciąga do niego wąską srebrną papierośnicę, którą z pewnością świeżo ukradł komuś z przyjaciół Trudy.

Will bierze papierosa i nachyla się, żeby Ueki mógł go zapalić.

- Wie pan, gdzie się nauczyłem angielskiego?

- Nie wiem, ale włada pan nim bardzo dobrze. - Will tłumaczy sobie, że nie jest to z jego strony lizusostwo ani służalczość, jedynie uczciwość.

- Przez trzy lata uczył mnie języka angielski misjonarz, który przyjechał do Japonii.

- Jest wielu misjonarzy, którzy robią tam bardzo dobrą robotę - mówi Will, jak mu się wydaje, idiotycznie.

- To był dobry człowiek. Pomogę panu ze względu na niego.

Will dziękuje i dopiero po chwili orientuje się, że został odprawiony. Wstaje i powtórnie dziękuje. Z tego spotkania nic nie wynika.

W tym nieprawdopodobnym miejscu, w tym starym burdelu internowani dzielą się informacjami, opowiadając sobie o tym, co się ostatnio wydarzyło, a że jedynym, co mają, jest czas, zbierają się i w długich rozmowach próbują poskładać w spójną całość historię ostatnich chaotycznych dni poprzedzających kapitulację.

Regina Arbogast, bywalczyni salonów, kobieta o delikatnych rysach, przybyła na plac defiladowy riksą, z siedmioma walizkami, z których sześć musiała z powrotem odesłać przez służbę do domu. Otóż Regina jest skarbnicą opowieści o aktach niebywałego

okrucieństwa, którego ofiarami padali na ogół przyjaciele przyjaciół jej znajomych. Sypie opiniami jak z rękawa, przeżywa tragedie z drugiej ręki.

- Tak naprawdę to najbardziej ucierpią na tym Chińczycy. Bez przyzwoitego rządu są praktycznie bezbronni. Tak długo byli pod naszymi skrzydłami, że teraz nie wiedzą, co robić. Wszystkie dziewczyny zostały zgwałcone, ale Japończycy nie tykają Angielek. Kobiety się boją, wiedzą, że prędzej czy później i tak się tym skończy.

Regina mieszkała u swojej przyjaciółki May Gibbons, gdzie żyły na całkiem wysokiej stopie aż do chwili, kiedy wtargnęła do nich grupa chińskich bandytów, którzy je związali, a dom splądrowali. Regina bez przerwy mówi o biżuterii, którą straciła, i o tym, że już nigdy jej nie odzyska. Mąż Reginy, bogaty importer i biznesmen, po dłuższym słuchaniu utyskiwać żony nie wytrzymuje i wybucha.

- Na miłość boską, Regino, zniknij się i daj nam wreszcie trochę spokoju. Jak się to wszystko skończy, kupię ci całą biżuterię Chin.

Regina spogląda na męża złowrogo i szeptem skarży się swojej przyjaciółce Patricii Watson, że jest wiecznie ciemieżona i że Reggie to okropny facet. Patricia uśmiecha się i robi wrażenie zadowolonej. Zupełnym przypadkiem zdołała ocalić w hotelu swoją biżuterię. Położyła ją na podłodze przed sobą, a Japończykom nie chciało się schylić, żeby ją podnieść, ani nawet jej powiedzieć, żeby to zrobiła.

Młoda kobieta Mary Cox opowiada, jak Japończycy złapali jej męża i kazali mu sprzątać pozostałości po ludzkich zwłokach, które wlekli, zostawiając po drodze różne fragmenty ciała, jakby to były liniejące zwierzęta. Musieli uprzątnąć zwłoki, zanim zatrują wodę i wybuchnie epidemia. Przyszedł do domu upaprany krwią i rozkładającą się tkanką i długo płakał, po czym rzucił się wykończony na sofę. Następnego dnia rano wyszedł i więcej go nie widziała. Ma dwuletniego synka, który chodził za nią krok w krok, jedną rączką dotykając mamy, a w drugiej trzymając samolocik. Mary mówi, że od Bożego Narodzenia nie powiedział ani słowa. Jeden z mężczyzn, smutny i przygnębiony, opowiada, że szedł z żoną Carnavon Street i że natknęli się na kilku japońskich żołnierzy, którzy, trzymając go cały czas na muszce, po prostu ją uprowadzili. I też już więcej jej nie zobaczył.

- A ja, mając na uwadze ich malarstwo z motywami kwiatu wiśni i wyrefinowany ceremoniał picia herbaty, uważałem Japończyków za ludzi bardzo pokojowo usposobionych. Jak mogą być tacy okrutni?

- Żołnierz to tylko drobna cząstka kraju - mówi Hugh. - Z pewnością niereprezentatywna dla całego narodu. A wojna robi zwierzęta z nas wszystkich.

- Jak możesz tak mówić?! - wykrzykuje Regina Arbogast. - Uważam, że jeden wart drugiego. Jestem przekonana, że żaden brytyjski żołnierz nie zachowałby się tak jak te bestie wobec nas.

- Masz oczywiście rację, moja droga - kończy dyskusję Hugh.

Następnego dnia do holu, w którym siedzi apatycznie kilka osób, wchodzi Mickey Wallace. Z uszu leci mu krew, zamiast oczu ma dwie spuchnięte śliwy. Stał na dachu, patrząc w dół, kiedy nagle zobaczyli go japońscy żołnierze. Wdarli się na dach i go pobili, bo nikt nie ma prawa patrzeć na Japończyków z góry. Tylko oni mogą patrzeć z góry na innych. Ta wrażliwość na wzajemne usytuowanie, a szczególnie na problem wysokości - jak wiadomo, Japończycy generalnie są mali - sprawia, że jeńcy jeszcze długo po wojnie będą mieli zakodowane sprawdzanie, kto gdzie stoi, na którym stopniu i w jakiej pozycji.

No i wyczulenie na przypadki bezmyślnego okrucieństwa. Na przykład: żołnierz, pijany i wściekły z powodu przegranej w kasynie, uderza napotkane po drodze dziecko. Malec ma złamany nos i wybite trzy zęby. Wysoki szarżą Japończyk zabiera chłopca wraz z matką i wszelki ślad po nich ginie. Dowód został usunięty. Idąc na górę, Will patrzy na zaułek między hotelem a najbliższym budynkiem. Widzi ciało nakryte płachtą, spod której wyziera kosmyk jasnych włosów. Jest za daleko, żeby rozpoznać, czyje to zwłoki. Kiedy schodzi na dół, ciała już nie ma. Zaczyna się zastanawiać, czy to nie jakieś przywidzenie, ale wie, że nie. Następnego dnia przychodzi do niego Trotter i mówi ściszym głosem:

- Chwilami mam wrażenie, że zwariowałem. Wyszedłem na balkon, żeby zapalić, i mógłbym przysiąc, że w uliczce między budynkami widziałem, jak dwóch facetów ścina głowę jakiemuś mężczyźnie. - Głos mu drży, lecz twarz ma spokojną. - Trysnęła fontanna krwi i ofiara, która klęczała ze skrepowanymi z tyłu rękami, padła na ziemię. Mógłbym przysiąc, że to widziałem. - Jak można coś takiego wytrzymać? - Odszedłem. Nie chciałem patrzeć na uprzątnięcie ciała. - Jak w tej sytuacji zachować zdrowe zmysły?

Oprócz poważnych udręk są także drobniejsze. Na przykład plaga największych komarów, jakie Will kiedykolwiek widział w życiu, spowodowana niedostatecznym osuszaniem terenów. Ciało ma usiane czerwonymi swędzącymi bąblami. Każde zabicie owada przypomina rozprysnięcie się krwawej bomby powstałej kosztem jednej z licznych ofiar. Przed wpełzającymi w materace pluskwami bronią się - nieskutecznie zresztą - wstawiając nogi żelaznych łóżek do naczyń z wodą pomieszaną z kamforą. Wołki w ryżu. Śmierząca ciepła woda, którą można pić, tylko zatykając nos. Skutek - biegunka, która ustąpiła dopiero wtedy, kiedy znaleźli jakieś puszkę i zaczęli wodę gotować. Oparzony język to powszechna, choć uważana za stosunkowo niewielką, dolegliwość - mało kto jest w stanie doczekać, aż woda ostygnie, tak ogromne dręczy ich pragnienie.

Przez brudne okna widzą celebrytów zwycięstwo pijanych japońskich żołdaków. Wymiotują na chodnikach podtrzymywani przez chińskie prostytutki. Czasem zmuszają biednych kulisów do posprzątania tego paskudztwa, ale na ogół wszystko to zalega i gnije na ulicach. Will dziękuje Bogu, że nie jest to środek lata - wówczas smród byłby wielokrotnie silniejszy.

Już nie pamięta, jak to jest, kiedy się oddycha świeżym powietrzem. Nozdrza ma wypełnione odorem uryny, odchodów, mdlącym smrodem rozkładu. Bez względu na to, jak starannie się myje, jego skóra, włosy i palce cuchną gównem. Ręce Willa poznały oślizłą mieszanekę moczu, wymiocin i kału zatykającą muszlę klozetową, którą nieraz próbował udroźnić. System kanalizacyjny nie był obliczony na pięciuset dotkniętych gwałtownie rozprzestrzeniającą się biegunką uchodźców. Bo taki właśnie jest ich status - bez względu na to, kim byli dawniej, bankierami czy adwokatami - uchodźców karmionych zarobaczonym ryżem i skażoną wodą. Strażnicy są okrutni, z wyjątkiem ubranego w mundur młodego chłopca o szerokiej dobrotliwej twarzy, który uśmiecha się przepaszająco. Kiedy widzi, jak jego koledzy biją internowanych albo ich poszturchują bagnietami, spuszcza oczy. Mówi kiepską angielszczyzną, ale tylko wtedy, kiedy nie ma w pobliżu jego ziomków.

Trudy nie pojawia się, mimo że inni znajdują sposób, by odwiedzić swoich bliskich, zostawić wiadomość. Will zauważa, że mówi o niej w rozmowach dosłownie ze wszystkimi, jak gdyby przez samo powtarzanie jej imienia mógł sprawić, że stanie się rzeczywista,

żywa. Jej jaśminowy zapach coraz bardziej się oddala, stając się powoli jedynie wspomnieniem. Ale same wspomnienia zapachowe nie wystarczają. W łóżku nieustannie się wierci, nienawykły do takiej ciasnoty, bez towarzyszki u boku, bez jej delikatnego ciepła. Już nawet nie jest na nią zły. Kto wie, co się dzieje tam w mieście.

Ned odchodzi od zmysłów. Młody żołnierz, z dala od domu, pozbawiony miłości i jakiegokolwiek pociechy, przestał się odzywać i je bardzo niewiele. Twarz ma bladą i opuchniętą. Will usiłuje go namówić, żeby się codziennie trochę poruszał, ale chłopak z każdym dniem bardziej zamyka się w sobie.

A jednak większość zaczyna się jakoś zdumiewająco szybko przyzwyczajać. Ludzie dążą do rutyny. Tak jakby byli wygnańcami od miesiący, a nie zaledwie od tygodnia. Biznesmenom wyłażą ze spodni podkoszulki - lepsze ubrania mają w walizkach. Przedstawiciele socjety piorą obok nauczycieli i właścicieli sklepów. Kwitnie czarny rynek. Niektórzy mają dużo pieniędzy, więc Arbogast i Trotter zakładają fundusz, tak żeby każdy mógł dostać jakieś jedzenie. Ludzie dają, ile uważają za stosowne. Za te pieniądze założyciele funduszu kupują ciemny rosyjski chleb - pół funta za sześć miejscowych dolarów - mleko w proszku, soję, marchew, czasem masło, które wszyscy rozsmarowują na chlebie bardzo cienko, a potem jedzą powoli, delektując się smakiem bezcennego tłuszczu. Żywność szmuglują młodzi chińscy chłopcy, którzy muszą przejść przez strażników. Japończycy wiedzą, o co chodzi, i po prostu biorą, co chcą, ze szczupłego i tak zaopatrzenia.

- Podatek - mówi za każdym razem jeden z nich, śmiejąc się ze swojego bezmyślnego dowcipu. Ten strażnik bierze prawie połowę.

- Uważam - mówi do Willa zirytowana żona Trottera - że w tej sytuacji nikt nie będzie miał pożytku z tego, co mu przypadnie. Czy nie lepiej zrobić rodzaj loterii i niech się przynajmniej jedna osoba raz naje do syta?

Will wzrusza ramionami. Nie zamierza się w to wdawać. Zauważa jednak, że żona Trottera jest bardzo pulchna. Niektóre kobiety zgłaszają się do gotowania. Jedna z nich to Mary, matka niemego Tobiasza, ta, która już więcej nie zobaczyła swojego męża. Jest słodka i cicha i nie traktuje swojej obecności w kuchni jako okazji do tego, żeby sobie i dziecku zapewnić większe racje jedzenia, chociaż Will nie miałby jej tego za złe, nawet gdyby tak było.

Kucharki, jak się same nazywają, serwują zaskakujące dania, takie jak brokuły na ciemnym chlebie z sosem ostrygowym, chrzczone mleko skondensowane z pływającymi w nim śliwkami, zielenina. Udało im się jakoś ściągnąć z zewnątrz kuchenkę do gotowania i wieczorami zbierają się wokół niebieskiego płomyka, na którym pichcą swoje potrawy.

O dziwo, ustala się coś w rodzaju normalności. Jeśli tylko nie wchodzi strażnikom w drogę, to na ogół mają spokój, jako że ich ciemężyciele są zwykle zajęci piciem, poszukiwaniem kobiet i tego, co by jeszcze można ukraść. Nieustannie krążą plotki o tym, dokąd internowani zostaną przeniesieni. Jedni uważają, że będą zaraz repatriowani; inni, myślący bardziej realistycznie, marzą o jakimś wygodniejszym miejscu, w którym mogliby przeczekać wojnę. Ale i oni są zdania, że to tylko kwestia tygodni czy nawet dni.

21 stycznia 1942

Wreszcie po z górą dwóch tygodniach przychodzi rozkaz. Doktor Selwyn - Clarke, szef służby medycznej, zdołał przekonać Japończyków, żeby przenieśli cywilów do pustego więzienia Stanley Prison położonego na południowym cyplu wyspy, gdzie, jak sądził, świeże powietrze i bliskość oceanu zmniejszyłyby groźbę wybuchu epidemii. Podniecone kobiety zbierają swoje rzeczy i ścielą łóżka - choćby nawet i te brudne barłogi - bo w czasach wojny nawyki bronią się najdłużej. Mężczyźni usiłują zasięgnąć informacji od strażników, ale spotykają się z wrogą reakcją. Will wyciąga Neda z łóżka i dopilnowuje, żeby został policzony.

Ustawiono ich przed hotelem i załadowano do wielkich ciężarówek, które z warkotem silników wyruszają w drogę. Dzieci wyglądają przez szpary z tyłu skrzyni i wykrzykują na widok różnych mijanych obiektów. Okazują się błogosławieństwem, mimo że dla nich to ciężka próba. Potrafią z niczego zrobić sobie zabawę, grają w kamyki, biegają i krzyczą. Kobiety siedzą na swoich torbach w głębi ciężarówki, podskakując na wybojach - szacowne matrony są tak samo wynędzniałe jak dzielące z nimi niedolę guwernantki czy pielęgniarki.

Wkrótce, kiedy jadą przez Aberdeen do South Side, tam gdzie góry spotykają się z morzem, budynki ustępują drzewom, a samotna kręta droga prowadzi na półwysep Stanley. Panuje tu taka cisza, jakby okrucieństwa ostatnich tygodni ominęły ten zakątek.

Ciężarówki wjeżdżają przez wielką bramę na teren, na którym stoją trzy przysadziste dwukondygnacyjne budynki z betonu pospiesznie ochlapane farbą i oznaczone wielkimi literami A, B, C. Żołnierze ruchami karabinów pokazują internowanym, że mają wysiadać. Grupują ludzi według narodowości i ustawiają w szeregach, żeby ich policzyć i zarejestrować: nazwisko, wiek, narodowość, z rodziną czy sam i tak dalej. Ta procedura, wielokrotnie powtarzana przez tygodnie i miesiące, miała stać się bardzo nużąca.

Ogólny wynik: 60 Holendrów, 290 Amerykanów, 2325 Brytyjczyków; reszta to zbieranina - trochę Belgów, trochę białych Rosjan i wreszcie cudzoziemskie żony, jak Aikiko Maartens, Japonka, która wyszła za Holendra i nie chciała rozstać się z mężem. Strażnicy opluwają ją, szydzą z niej i wiedząc, że jest jedną z nich, obrzucają - jak się Will może tylko domyślać - obraźliwymi wulgarnymi słowami.

Kobieta jednak ignoruje ich, cierpliwie czekając u boku męża na przydział pokoju. Nigdy nie mówi ani słowa po japońsku, ale jej sposób bycia i maniery natychmiast ją zdradzają. Przedstawiciele wszystkich wrogich wobec Japonii państw zostali internowani w więzieniu Stanley. Will rozpoznaje twarze z tamtego pierwszego dnia na placu defiladowym Murray. Ten i ów mówi: „Słyszałem, że nie żyjesz” i na jego twarzy pojawia się uśmiech ulgi. Will dostrzega Mary Winkle, partnerkę Edwiny Storch, która robi wrażenie całkowicie zagubionej. Wygląda na to, że jej stałej towarzyszkę nie ma. Amerykanie i Holendrzy zostali odseparowani od Brytyjczyków w innym hotelu; Belgów, jako nielicznych, umieszczono w ich konsulacie. Z tego, co Will zdołał zauważyć, doświadczenia wszystkich grup musiały być podobne - wszyscy są jednakowo brudni i głodni. Pyta o Dicka Gubbinsa, amerykańskiego biznesmena, którego widział w Gloucester, ale nikt o nim nie słyszał. Will mógł mieć tylko nadzieję, że Gubbins zdołał się jakoś przedostać przez granicę do wolnych Chin.

Amerykanom dziwnym trafem przypadł w udziale najlepszy budynek. Zasiedlając swój nowy dom, szybko się organizują - załatwiają dostawę mebli, rozdzielają pokoje i żywność, budują sklep. Są weseli i produktywni, jakby byli na pikniku. Wygląda na to, że od czasu kiedy zostali rozmieszczeni w hotelach, działa u nich nawet coś w rodzaju zarządu. Pierwszego wieczoru siedzą o zmroku przed domem, w leniwych pozach, na skleconych własnym sumptem krzesłach. Śmiejąc się i rozmawiając, popijają ze szklanek cienką przeschmuglowaną herbatkę ekspresową.

- Amerykanom rzeczywiście przypadł najlepszy budynek - mówi jakiś mężczyzna, którego Will przypomina sobie jak przez mgłę, zaganiając ludzi do bloku D, gdzie sam ma przydział - ale niewiele możemy na to poradzić. Wszyscy mają do dyspozycji łazienki. Wygląda na to, że cieszą się szczególnymi względami Japończyków. Niewykluczone, że istnieje jakieś porozumienie między ich rządami. Nasza policja zajmuje drugie co do standardu pomieszczenie, ale nie zamierza rezygnować z niego na rzecz kobiet i dzieci. Przyjechali tu już kilka dni temu, żeby wszystko przygotować, i pozajmowali najlepsze miejsca. Według mnie powinni zostać umieszczeni w obozie dla jeńców wojennych w Sham Shui Po, a tymczasem wylądowali tu, z nami, cywilami, i co można na to poradzić?

Will jedynie kiwa głową. Jest zbyt zmęczony, żeby się angażować. Wraz z Nedom idą na górę.

- Tu nie możecie spać, to jest nasz pokój - słyszą opryskliwy głos dochodzący z kąta pokoju.

- Dobrze - mówi Will i idą dalej, aż wreszcie znajdują pusty pokój, gdzie kładą swoje torby.

Zostają podzieleni na grupki, tym mniejsze, im więcej napływa ludzi. Trzydzieści pięć osób trafia do byłego mieszkania strażnika więziennego, pięćdziesiąt do bungalowów, po sześć czy siedem osób na pokój. W wielu pokojach nie ma żadnych mebli. Niektórzy spieszą się, żeby zająć mieszkania strażników więziennych, bo są nieco większe i odrobinę lepiej wyposażone, ale w efekcie - bardziej zatłoczone. Przypadają dwie, a czasem i trzy pary małżeńskie na pokój i wiele rodzin na budynki administracyjne. Osoby pojedyncze mają się lepiej w celach, z wyjątkiem spraw łazienkowych; tu przypada sto osób na oczko, i to bardzo brudne. Will ląduje w starej celi więziennej o powierzchni dwóch metrów kwadratowych z Nedom i z jakimś Johnninem Sandlerem, playboyem, którego zawsze można było spotkać w Grippsie, w smokingu, z jakąś blondynką u jednego i chińską pięknoscią u drugiego ramienia. O dziwo, mimo poplamionych spodni i wystrzępionej koszuli widać po nim klasę. Pozbawiony egoizmu, zgłasza się pierwszy do pomocy: przestawia łóżka, przesuwa torby. Zdumiewające, jak po kilku tygodniach udreki widać prawdziwą osobowość człowieka. Najgorsi są misjonarze. Kradną jedzenie, wymigują się od pracy i cały czas narzekają.

Pierwszego dnia po rozlokowaniu się w pomieszczeniach ludzie zbierają się na dużym centralnym placu i siadają na ziemi. Wszyscy mają fioła na punkcie tego, że coś tracą - jakiś posiłek, jakiś datek, jakąś informację. Hugh Trotter zbiera razem Anglików i przedstawia im konieczność powołania jakiegoś bardziej formalnego zarządu, zaprowadzenia porządku. Will rozmawiał z nim na ten temat i jest zadowolony, że Hugh myśli podobnie jak on.

- A może wybierzmy Hugh na naszego szefa? - proponuje. Po chwili namysłu rozlega się szmer przyzwolenia. - Ci, którzy są „za”, mówią „tak”. - Will rozgląda się dokoła. Słysząc głośnie „taaak”. - Czy są jakieś „nie”? - Cisza. Przynajmniej ta pierwsza próba zbiorowego działania wypada pomyślnie. A to już coś.

Hugh wybiera szefów podkomitetów - do spraw zakwaterowania i higieny, pracy, żywności, zdrowia i bolączek, a w miarę potrzeb i innych. Will ma odpowiadać za sprawy zakwaterowania i rozwiązywania wszelkich powstałych na tym tle sporów.

Pierwszej nocy, kiedy dopiero próbują przyzwyczać się do nowych warunków, wszyscy mają kłopoty ze snem. Szczęśliwcy, którym przypadły w udziale łóżka, wiercą się nieprzyzwyczajeni do obcego skrzypienia. Will śpi na brudnej podłodze, z torbą zamiast poduszki, przykryty ubraniem zamiast kołdry. Kamień jest zimny, mimo że podkłada sobie grubszą warstwę odzieży; nie jest w stanie przespać dłużej niż dziesięć minut naraz. Z ulgą wita wpadające przez okno promienie słońca, które kładą kres zabawie w sen.

Schodzą na dół, gdzie witają ich ogłoszenia informujące, że po południu wszystkie pokoje zostaną przeszukane pod kątem kontrabandy. Większość wraca na górę, by pochować swoje skarby w nadziei, że ujdą uwagi inspektorów.

- Nie mam nic, co byłoby warte zabrania - zwierza się Nedowi Will. - Przypuszczam, że i ty nie masz. - Nie zwracają na górę, idą do stołówki. O oznaczonej godzinie Will, Ned i Johnnie patrzą, jak pucołowaty żołnierz przewraca karabinem ich rzeczy. Unosi do góry wyjątkowo cienką bawełnianą koszulę - oczywiście Johnniego - i beczelnie nią potrząsa, jednocześnie jazgocząc coś po japońsku do swojego kumpla.

- Pewnie zamierza wybrać się w niej na bal - mówi Johnnie.

Żołnierz odwraca się błyskawicznie i coś krótko wykrzykuje, co z pewnością znaczy, że mają zamilknąć, dopóki nie skończy się przeszukiwanie. Następnie rzuca koszulę na brudną podłogę.

Ostatecznie Will i jego współlokatorzy wychodzą na tym lepiej niż inni - poświęcają kilka złotych spinek („Myślałem, że się przydadzą jako waluta w handlu wymiennym”, Johnnie wzrusza ramionami.), niewielką skrzynkę narzędzi zawierającą kombinerki, młotek i nożyczki, którą udało się Johnniemu przeschmuglować, i do tego jeszcze wełnianą czapkę.

- Tak się popisaliście sztuką pakowania, że nic od was nie chcieli - zwraca się Johnnie do swoich towarzyszy po wyjściu żołnierzy. - Moje gratulacje!

- Na szczęście niewielu z nas nosi ten rozmiar co oni - mówi Will. - Inaczej chodzilibyśmy na golasa.

- Mogą zabierać ubrania kobietom. Myślę, że wyglądałoby całkiem ponętnie we wdzięcznych popelinowych sukienkach.

Ludzie zbierają się w korytarzach i opowiadają sobie, co komu zabrali. Niektórzy odchodzą od zmysłów z powodu utraconych rodzinnych pamiątek; inni się cieszą, że zdołali skutecznie schować swoje kosztowności.

- To co, schowaliście je w tyłku? - Harry Overbye kieruje swoje pytanie do grupy internowanych, co jest z jego strony bardzo niemiłe, bo wiadomo, że ma na wolności dziewczynę, która z pewnością o niego zadba. Żonę już kilka miesięcy temu odesłał do Anglii, po czym związał się z Chinką. Wszyscy go ignorują.

- Skoro jesteśmy tutaj - mówi Will - to spróbuję zorganizować brygadę do sprzątania, żeby poprawić warunki naszego życia. Zawiadomię państwa, kiedy uda mi się załatwić środki czystości, i spodziewam się, że wszyscy chętnie zgłoszą się do pomocy, żeby nasz tymczasowy dom był tak czysty, jak tylko to jest możliwe.

Overbye parska, ale szmer, jaki się rozlega, świadczy o ogólnej aprobacie dla słów Willa.

- Jasne - mówi Will - że nie jest to Ritz, ale na razie musi nam wystarczyć.

- To bardzo delikatnie powiedziane - uśmiecha się Johnnie.

Will coraz bardziej martwi się o Neda. Chłopak odzywa się tylko, kiedy jest pytany, a i wtedy odpowiada jednym czy dwoma słowami. Twierdzi, że się dobrze czuje, ale nikt nie widzi w oczach, włosy ma przeredzone i matowe, oczy pozbawione blasku. Przesypia całe dnie i wykazuje minimalne zainteresowanie jedzeniem.

- Szok - informuje Willa doktor McAllister. - Przeżył taki szok, że organizm nic nie przetwarza. Kto wie, czy on z tego wyjdzie. Sytuacja, w jakiej się znajduje, nie sprzyja rekonwalescencji. - Poproszony o coś na wzmocnienie, o jakiś lek, doktor wyrzuca w górę ramiona. - Ależ ja nic nie mam! Nawet aspiryny. Zgłosiłem zapotrzebowanie do Selwyn - Clarke'a i do miejscowych władz na jakieś podstawowe leki i zaopatrzenie, ale do tej chwili nie mam odpowiedzi. W każdym razie trzeba na niego uważać. Niestety, nic więcej w tej chwili nie możemy dla niego zrobić.

W porze obiadu wszyscy zbierają się w stołówce, gdzie podział na narodowości jest znów bardzo widoczny. Amerykański biznesmen, wysoki mężczyzna o nazwisku Bill Schott, został wybrany przez

Japończyków na przedstawiciela do rozmów z nimi. Schott właśnie wstaje i zwraca się do wszystkich zebranych:

- Japończycy zdecydowali, że mamy zająć się kuchnią i sami gotować sobie posiłki. Do tej pracy będzie wielu chętnych, dlatego musimy stworzyć system rotacyjny, który każdemu da szansę. - Amerykanin nie mówi, dlaczego ta praca ma być taka atrakcyjna, ale każdy widzi dobre strony bliskiego obcowania z żywnością. - Czekają nas też inne obowiązki związane z utrzymaniem porządku i czystości nie tylko w naszych pokojach, które będą regularnie sprawdzane, ale także na podwórzu, plus wszystko to, co strażnicy uznają za konieczne. Zapewniono mnie, że zarówno obciążenie nas pracą, jak i nasze warunki bytowe będą spełniały wymogi konwencji genewskiej, mimo że umowa ta formalnie Japonii nie obowiązuje, bo wprawdzie Japończycy ją podpisali, ale nie ratyfikowali. Twierdzą, że stosowanie się do niej jest tylko sprawą ich dobrej woli. Mamy dostawać zgodne z konwencją racje żywności, co, jak sędzę, oznacza mniej więcej dwa tysiące czterysta kalorii dziennie. Pytałem też o sprawy poczty i kontaktów ze światem zewnętrznym. Zapewniono mnie, że w określone dni tygodnia będziemy otrzymywać listy i paczki. Naturalnie nie wiemy, jak dalece można na tym polegać, w każdym razie deklarują dobrą wolę. Nasze rządy zostaną zawiadomione o tym, że tu jesteśmy, i o warunkach, w jakich żyjemy, a poza tym mają nas regularnie odwiedzać przedstawiciele Czerwonego Krzyża, którzy będą dokonywać inspekcji. W najlepszym razie dojdzie do podpisania umów o repatriacji i nastąpi wymiana obywateli między krajami. - Amerykanin robi przerwę. - Naturalnie jeszcze nie wiadomo, kiedy do tego dojdzie. Nie należy zapominać, że dalej trwa wojna. Mogą upłynąć tygodnie czy nawet miesiące. A tymczasem mam nadzieję, że będziemy tu żyli w harmonii, pomagając sobie nawzajem w tych warunkach, jakie są nam dane. Gdyby ktoś z państwa miał jakieś uwagi czy zastrzeżenia, zapraszam do mnie, a ja postaram się przedstawić sytuację władzom obozowym, obawiam się jednak, że we wszelkiego rodzaju negocjacjach nie mamy zbyt silnej pozycji. W każdym razie życzę wszystkim jak najlepiej i niech nasze kraje będą z nas dumne.

Amerykanin siada. Wszyscy oddychają głęboko, przyjmując do wiadomości sens jego słów. A potem ręce idą w górę i Schott ponownie wstaje, żeby odpowiadać na pytania.

- Czy mamy choćby blade pojęcie, jak długo przyjdzie nam tu przebywać?

- Niestety, żadnego.

- Czy wolno nam mieć pieniądze? Ewentualnie czy możemy sprowadzić sobie pieniądze z zewnątrz? - pyta jeden z Holendrów.

Schott wybuchając śmiechem. Sam jest bardzo bogaty i już zdążył załatwić różne udogodnienia dla Amerykanów, co zostało przez inne grupy skrupulatnie i nie bez zawiści odnotowane.

- Myślę, że możecie mieć, co tylko chcecie, jeśli potraficie to skutecznie ukryć albo się tym z nimi podzielicie. Szczerze mówiąc, nie wiem. Jest to jedna z tych mrocznych dziedzin, w które oficjalnie lepiej się nie zagłębiać. Po prostu trzeba się kierować zdrowym rozsądkiem.

- Czy możemy wysłać listy? - pyta Hugh Trotter.

- Nie sądzę. A nawet gdybyśmy wysłali, to i tak adresat albo by ich nigdy nie dostał, albo dostałby wersję tak ocenzurowaną, że wszystko mijałoby się z celem. Oczywiście zapytam, ale wydaje mi się to mało prawdopodobne. Na wszelki wypadek postaram się dostać do szefa obozu, Ohty, kiedy będzie w dobrym humorze.

Pytania naładowane złością padają gęsto i dotyczą najczęściej spraw dnia codziennego. Will zaczyna jeść.

- A co ze mną? - zwraca się nagle do zebranych Ned. Są to jego pierwsze słowa tego dnia.

- Co masz na myśli?

- Zostałem zarejestrowany jako Brytyjczyk, ale przecież Ned Young Brytyjczyk nie istnieje. To spowoduje wielkie zamieszanie. Nikt w moim kraju nie będzie wiedział, że jestem tutaj. Gdzie są wszyscy Kanadyjczycy?

- Przypuszczam, że twoi ziomkowie są w obozie dla jeńców wojennych w Sham Shui Po. To dziwne, że nie ma żadnych Kanadyjczyków cywilów, ale być może wyjechali do kraju, zanim się to wszystko zaczęło. Wydaje mi się, że jednak będzie ci tu lepiej niż z wojskiem. Poza tym nie mam wątpliwości, że w Anglii jest wystarczająco wielu Nedów Youngów czy Edwardów Youngów... to jest tam bardzo popularne nazwisko... żeby cię Anglicy wzięli w pierwszej kolejności, a jak już tam będziesz, to się zastanowisz, ale moim zdaniem odsyłanie cię do twoich kolegów byłoby kuszeniem losu.

- Nie, nie, to wszystko jest pokręcone. Teraz dopiero wszystko jest pokręcone. Zrobiłem to na własną rękę. Nikt nie wie, że tu jestem. Nikt. Nawet moja mama nie będzie wiedziała, czy ja żyję, czy nie.

- Wszystko jest w porządku. Jesteś tutaj i żyjesz. A to najważniejsze. Nie przejmuj się zbytnio rejestracją i takimi tam rzeczami.

- Łatwo wam mówić - ucina młody Kanadyjczyk. - Bo wy macie jasną sytuację. Figurujecie w rejestrach. A ja jestem tutaj jeden. - Wstaje i wychodzi.

- Trzeba mu dać trochę czasu - stwierdza Johnnie. - Zostawmy go w spokoju, to wszystko będzie dobrze.

Will spogląda za oddalającym się Nedom.

- Ciężko mu. On chyba nie ma jeszcze osiemnastu lat. Jest tu sam, na końcu świata, bez żadnej nadziei.

- Witaj w klubie - mówi Johnnie. - Tu, w obozie Stanley, jest dno nędzy, a to dopiero drugi dzień.

Po obiedzie Will i Johnnie wracają do swojego pokoju. Na łóżku Will znajduje starannie zawiniętą paczuszkę z liścikiem. List jest niepodpisany, ale nie ulega wątpliwości, że to od Neda.

„Wszystkiego najlepszego. Nie martw się i dzięki za wszystko”. Paczka zawiera większość pożyczonego ubrania.

- Co on sobie na miłość boską wyobraża? Jak się stąd wydostanie? - Johnnie siada na łóżku.

- Bóg raczy wiedzieć. Przypuszczam, że nie chciał tym dość tajemniczym listem narażać siebie ani nas. Mam jak najgorsze przeczucia. Kompletnie nie zna terenu ani nawet miasta, nie ma żadnych przyjaciół, nie zna chińskiego... nic. Nawet gdyby się wydostał poza granice obozu, to i tak będzie jak ślepy. No i zostawił ubranie... - Will urywa.

- To świadczy o tym, że nie ma dobrze w głowie - kwituje Johnnie.

- Rzeczywiście. - Will zgniata kartkę i chowa do kieszeni.

Rano, przy śniadaniu, ludzie mówią o strzałach, jakie słyszeli w nocy gdzieś w okolicy południowej części otaczającego obóz muru.

W następnym tygodniu - początek lutego - jest zimno. W Hongkongu panuje klimat subtropikalny, w związku z czym nie stosuje się ogrzewania pomieszczeń. Zima przychodzi niezauważalnie, zdradziecko i zaskakuje przejmującym chłodem w

środku nocy albo przy dłuższym przebywaniu na zewnątrz. Trudy nie daje znaku życia. Minęły już ponad trzy tygodnie, jak Will jej nie widział. Jest to nie tylko przygnębiające, ale i krępujące, szczególnie kiedy ludzie o nią pytają. Amah, służący, tutejsze dziewczyny internowanych i współmałżonkowie w dalszym ciągu przebywający na wolności próbują odwiedzać swoich bliskich, ale władze obozu ciągle jeszcze opracowują zasady, na jakich mają się odbywać odwiedziny, i dlatego goście wraz z paczkami są odprawiani. Mimo to zawsze znajdują jakiś sposób, by zostawić wiadomość, że byli.

Will skupia się na przystosowaniu budynków do zimy. Wywalczył łóżka z czymś w rodzaju bielizny pościelowej, ale temperatura dramatycznie w nocy spada. Do tej pory zima w Hongkongu oznaczała dla niego pewną rzeźkość powietrza; teraz rozumie, co znaczy dobry płaszcz i właściwie zaizolowane ściany. Wszyscy siedzą skuleni, żeby nie tracić ciepła, śpią w ubraniu, dygoczą w łazienkach, unikają kąpieli. Przy myciu zębów woda wydaje się lodowata. Will występuje oficjalnie o dodatkowe koce i zimowe okrycia, szczególnie ze względu na dzieci, które chodzą w ubraniu rodziców, zamiatając podłogi obszyciami i rękawami. Organizuje specjalną grupę do uszczelniania, która zatyka wszelkie dziury w ścianach mieszaniną błota i liści. Wszystkie te wysiłki w niewielkim tylko stopniu wpływają na ulżenie ich niedoli.

Wreszcie - całkiem nieoczekiwanie - pojawia się Trudy. Jeden ze strażników wyłuskuje Willa z kolejki po lunch i prowadzi do biura Ohty, szefa obozu.

Spodziewający się odpowiedzi na prośbę o dodatkowe koce i płaszcze Will ze zdumieniem dowiadyuje się, że ma gościa. Do tej pory jeszcze nie wydano pozwolenia na odwiedziny. Ale oczywiście przepisy są nie dla Trudy.

Ohta, tęgi mężczyzna z tłustą cerą i w brudnych okularach w drucianej oprawce, gestem daje Willowi znać, żeby usiadł. Jest w japońskiej wersji ubrania typu safari, tylko z długimi nogawkami i rękawami.

- Masz gościa.
- Naprawdę?
- Nie wydaliśmy jeszcze pozwolenia na odwiedziny.
- Wiem o tym. Ale nie mam z tym nic wspólnego. Ohta studiuje Willa przez biurko.

- Drinka?

- Poproszę. - Will wie, że należy przyjąć propozycję. Ohta gestami pokazuje coś stojącemu przy drzwiach żołnierzowi i wydaje mu jakieś szczekliwe polecenie po japońsku. Żołnierz nalewa whisky do małych zakurzonych szklaneczek.

- Kampai! - Japończyk różową świńską łapą unosi szklaneczkę i opróżnia ją, odrzucając głowę do tyłu z charakterystycznym parsknięciem. Will idzie w jego ślady, aczkolwiek z mniejszym wigorem. Ohta potrząsa głową, jakby chciał się uwolnić od pajęczyny.

- Dobrrre! - nalewa następną szklaneczkę.

- Czy gość to żona? - pyta.

- Nie mam pojęcia, kim jest mój gość.

- Kobieta, Chinka.

- Trudy Liang?

- Tak. Panna Liang chce się z tobą zobaczyć.

- O, to dobrze. - Serce wali Willowi jak młotem. - Bardzo dziękuję.

- Powiedziałem jej, że tylko ten raz mogła przyjść w dniu bez odwiedzin. Zrobiłem dla niej wyjątek.

- Bo ona jest wyjątkowa. Ohta wpatruje się w Willa.

- Teraz nikt nie jest wyjątkowy. Czy to jeniec, czy inny nie - Japończyk. Wszyscy równi!

- Tak, oczywiście. - Bystrzak, myśli Will. - Uważam ją za wyjątkową, bo taka jest dla mnie. - Zakończenie wypadło dość kulawo.

Ohta wstaje.

- Proszę tu zaczekać.

Po kilku minutach, w czasie których Will popija whisky, rozkoszując się miłym pieczeniem w gardle i próbując uspokoić nerwy, strażnik przyzywa go gestem. Idą do niewielkiego pokoiku ze stołem i pięcioma krzesłami, gdzie siedzi Trudy, która wyraźnie czuje się nieswojo. Jest chuda, ma na sobie codzienne ubranie. Włosy upięte z tyłu w rodzaj koka. Twarz bezbarwną, bez jakiegokolwiek makijażu. A mimo to jej powierzchowność wymusza uprzywilejowaną pozycję.

- Kochanie - mówi - bardzo za tobą tęskniłam.

Will nie komentuje jej dotychczasowej nieobecności, po prostu pyta, co robiła, rezygnując z prawa do zbesztania jej za zaniedbanie.

- Frederick nie żyje, więc jestem z Angeline, ale ona od tygodni praktycznie się nie odzywa. Powtarzam jej, że musi być dzielna ze względu na Gilesa, ale mnie nie słucha. Upiera się, żeby go tu sprowadzić, ale czy to jest miejsce bezpieczne dla dziecka? Nie chce jechać do Anglii, gdzie nie ma żadnej rodziny poza rodziną Fredericka... Nie jest zresztą powiedziane, że tak od razu mogłaby tam jechać, bo oni byli przeciwni ich małżeństwu. Sytuacja jest więc dosyć trudna. I tym się właśnie zajmuję. Poza usiłowaniami odnalezienia się w tym nowym świecie.

- Nie masz problemów z żywnością i tego typu rzeczami? Dominick się tobą opiekuje?

- Japończycy są tacy dziwni - mówi Trudy, ignorując Willa. - Mają ten nieprawdopodobny zwyczaj wypróżniania się w każdym pokoju każdego domu, który plądrują. Czy to nie jest koszmarnie? Dom Marjorie Winter został całkowicie zapaskudzony... zauważyła to, kiedy poszła na górę po produkty żywnościowe. I ten smród! Całe miasto cuchnie odpadami. To jeden z japońskich zwyczajów, za którym nie przepadam. Bardzo osobliwy. Mają taki wspaniały ceremoniał picia herbaty i fantastyczną sztukę ogrodnictwa, a jednocześnie robią coś podobnego! No i oczywiście wszystkie kobiety umierają ze strachu przed gwałtami. Nie można nigdzie ruszyć się samej. Wzięłam ze sobą kierowcę.

- Zginął Ned. Przypuszczam, że próbował uciec, ale jestem przekonany, że został przy tej okazji zastrzelony. Był zresztą bliski szaleństwa.

Twarz Trudy się zapada.

- Nie opowiadaj mi, kochanie, takich koszmarnych rzeczy. Ja i tak mam dość. Czy możemy porozmawiać o czymś innym? O czymś zupełnie innym, całkowicie trywialnym. Na przykład o tym, jak cały czas muszę się o wszystko szarpać. Co jest bardzo nieprzyjemne. Tu przynajmniej nie musisz tego robić. Po prostu stoisz w kolejce i czekasz, aż ci podadzą jedzenie.

- Widzę, że jesteś doskonale zorientowana w tym, co się tu dzieje. - Po raz pierwszy Will traktuje Trudy dosyć ostro, co nie uchodzi jej uwagi.

- Czy jest coś, czego tu potrzebujesz, a co mogłabym ci w mieście załatwić?

- Przypuszczam, że i w mieście jest o wszystko trudno.

- Owszem, ale poprosiłabym Dommiego. Mamy jedzenie, jest jednak bardzo drogie. Chce mi się płakać na myśl o tym, że Japończycy bombardują angloindyjskie domy towarowe. Było tam tyle żywności, a oni to wszystko podpalili. Podobno czuło się zapach płonącej żywności na odległość wielu kilometrów. Na samą myśl o tym robię się koszmarnie głodna. Jak tak dalej pójdzie, to przynajmniej nigdy nie będę tłusta. Bo nie lubisz tłustych kobiet, prawda, Will? W każdym razie nie mam szansy się utuczyć. - Trudy papie i papie. - Warunki w Sham Shui Po i Argyle są podobno koszmarnie. Mundurowych traktują szczególnie okrutnie. Masz szczęście, że tu trafiłeś. Myślę, że ta kobieta ze szpitala, ta Jane, naprawdę cię uratowała. Okazała się bardzo bystra.

- Uważasz może, że powinienem tam być? - pyta ostro Will. - Że siedząc tutaj, jestem tchórzem, co?

- Oszalałeś? - W głosie Trudy jest autentyczne zdziwienie. - W żadnym razie tak nie uważam.

Will zdaje sobie sprawę, że bardzo szybko stracił umiejętność zgłębiania jej myśli. Trudy odbiera na zupełnie innej fali.

- Pamiętasz, jak to było dokładnie trzy miesiące temu? - ciągnie. - Conder's Bar, Gloucester, Gripes, przyjęcia... Czy możesz uwierzyć, że to wszystko było zaledwie kilka zasmarkanych miesięcy temu?

- Nie, nie mogę - odpowiada Will. - Wiesz coś o tym, co się w ogóle dzieje? Nie mamy żadnego źródła wiadomości, i to nas doprowadza do szaleństwa.

- Carole Lombard zginęła w wypadku lotniczym, to jest w tej chwili największy news. - Trudy krzywi się na jego reakcję. - Przepraszam za ten niestosowny brak szacunku. Dobrze, w porządku, przechodzimy do codzienności: jest ponura, kochanie. Niewiele o tym wiem, ale postaram się dla ciebie zasięgnąć języka. Gazety to dziś tylko japońska propaganda, z której możesz się dowiedzieć, że wszystko przebiega śpiewająco. Ryż bierzemy z jednego z czternastu magazynów... walka o jedzenie to zazwyczaj nasze główne zajęcie. Do jednego magazynu wysyłamy dziewczynę, same idziemy do innych i mamy nadzieję, że przynajmniej jednej z nas się powiedzie. Ale to nie jest żadna rewelacja, prawda? Co jeszcze? Zaraz po twoim odejściu Japończycy byli bardzo demokratycznie usposobieni i zachęcali ludzi, żeby chodzili w różne miejsca stanowiące bastiony kolonializmu. Można było iść do Pen i zobaczyć robotników

przykucniętych na krzesłach i popijających herbatę! Mieli pieniądze pochodzące z rabunku i chcieli zobaczyć, jak żyje ta druga połowa społeczeństwa. To się w głowie nie mieści! Trudno uzyskać jakąś rzetelną wiadomość... w gazecie można przeczytać tylko, że Japończycy idą jak burza i podbijają wszystko, co napotkają po drodze. Naprawdę nie da się nic wyczytać między wierszami. - Trudy robi przerwę. - Dommie radzi sobie świetnie, bratając się z Japończykami. Uważa się za jednego z nich. Robi teraz interesy z Victorem, trochę szemrane, ale co dziś nie jest szemrane? Kiedy idę go odwiedzić w jednym z jego biur... a ma je w różnych punktach centrum... zawsze otwiera butelkę szampana. Trochę mnie to wszystko brzydzi, ale piję. No i czasem widuję się z Victorem. To on zrobił mi tu wejście. Pogadał z jakimś swoim partnerem od interesów.

- Dommie nigdy nie pracował, a teraz jest biznesmenem?

- Wojna robi z ludźmi dziwne rzeczy. Myślę, że to najlepsze, co mogło mu się przytrafić. Odnalazł się. - Trudy wybucha dziwnym śmiechem.

- Powinien uważać, bo na końcu będzie musiał za to wszystko zapłacić. Victor też.

- Dommie nie myśli tymi kategoriami. Zawsze żył chwilą, znasz go zresztą. Victor to co innego. Jestem przekonana, że starannie zaciera za sobą ślady.

- Ale powinnaś ostrzec Dommiego, że tym razem lepiej będzie, jeśli zacznie patrzeć trochę dalej. I powiedz mu, niech uważa na Victora.

Trudy ze zniecierpliwieniem macha ręką.

- Zostałam wezwana przez pewnego Japończyka, niejakiego Otsubo, który mieszka w Regent Suite i służy w żandarmerii. A z żandarmerią, jak mi podpowiadają, warto dobrze żyć. To wojskowa policja. Ten facet nosi w kołnierzu specjalną spinkę w kształcie chryzantemy, która oznacza przynależność do żandarmerii. Domyślam się, że będzie chciał, żebym go uczyła angielskiego. Jak uważasz, czy powinnam się tego podjąć?

- W żadnym razie. Chcesz się przyjaźnić z wrogiem?

- Brzydzę się tym - mówi Trudy. - Znasz mnie przecież.

- Owszem, znam cię i mimo to cię kocham.

- To bardzo śmieszne, idioto.

Jak to się stało, że wrócili do tego wzajemnego dogryzania sobie, do tych wyrafinowanych przekomarzanek z czasów, kiedy takie rzeczy miały znaczenie?

- Czy sądzisz, że to jest bezpieczne? - pyta Will po chwili.

- Zabieram ze sobą Angeline. Będzie przyzwoitką, nie martw się.
- Trudy milknie. - A najśmieszniejsze w tym wszystkim jest to, że przez cały tydzień plątały mi się po głowie słowa... plutokraci i oligarchowie... a nie mam zielonego pojęcia, co to znaczy. Musiałam to gdzieś usłyszeć. Ty jesteś taki mądry, powiedz mi, co to dokładnie znaczy?

- Plutokraci to klasa rządząca - wyjaśnia Will. - A oligarchowie to rządy skupione w rękach niewielu. Przypuszczam, że oba te określenia w gruncie rzeczy znaczą to samo. Jak sądzisz, dlaczego ten problem zaprzętał twoje myśli?

- Nie mam pojęcia. - Trudy zapomina o całej sprawie tak nagle, jak ją poruszyła. - No więc będę nauczycielką. Ten facet jest bardzo ważny. Ostatecznie to szef żandarmerii. Mieszka w Matsubara, to znaczy w hotelu Hongkong. Pozmieniali wszystkie nazwy, rozumiesz. Półwysep to teraz Toa. Może zyskam w ten sposób jakieś przywileje, co by nam bardzo ułatwiło życie.

- Możliwe. - Will zauważa formę „nam”, ale jakoś jej nie docenia. Chciałby, żeby Trudy już sobie poszła. Jest zmęczony, ale kiedy widzi, że się zbiera do wyjścia, czuje się opuszczony.

- Zobaczę cię jeszcze?

- Oczywiście. I coś ci na pewno przyniosę, to, co uda mi się zdobyć, jeżeli tylko czegoś potrzebujesz. Może w przyszłym tygodniu, kiedy przestaną być tacy drażliwi na punkcie terminów odwiedzin. - Z tymi słowy Trudy wychodzi, elegancka nawet w tych ciężkich warunkach. W smudze zapachu, jaki za sobą zostawia, Will czuje jej jaśminowe perfumy.

Pieczę nad budynkiem sprawuje pięciu strażników. Patrolują tereny przylegające do obozu, dokonują niespodziewanych inspekcji i ogólnie rzecz biorąc, pilnują, żeby ich obecność była widoczna. Większość z nich zostawia internowanych w spokoju, ale jeden, Fujimoto, chudy, śmierdzący zepsutą rybą facet, jest szczególnie okrutny. Wyżywa się w zmuszaniu ludzi do zamiatania podwórka i robienia po sto żabek naraz, kiedy są tak zmęczeni, że ledwie się trzymają na nogach. Z jakichś względów upodobał sobie Johnniego i

kiedy tylko go widzi, każe mu szorować latryny albo kopać w ogrodzie, jednym słowem, wykonywać różne bezmyślne zajęcia, co tylko świadczy o jego okrucieństwie. Mimo to Fujimoto jest uważany za szczyt łagodności w porównaniu z tymi, którzy zajmują się ściganiem działań nielegalnych. W obozie mówi się, że ktoś ma radio tranzystorowe, i trzech mężczyźni posądzeni o posiadanie części zostają wywleczeni do jakiegoś odległego pomieszczenia. Wraca tylko jeden, i to ledwie żywy, z połamanymi kośćmi i prawie wyłupionym okiem. Umiera zresztą wkrótce w zaimprovizowanej infirmerii.

- Pozwolili mu wrócić jeszcze żywemu, żeby stanowił ostrzeżenie dla innych - mówi Trotter. - To oczywiste.

Niedożywienie wywołuje uczucie ciągłego zmęczenia. Z obiecanych dwóch tysięcy czterystu kalorii dziennie na osobę robi się pięćset - duża misa ryżu ma wystarczyć na cały dzień na pokój pełen dorosłych ludzi. Od czasu do czasu pojawia się jakieś białko, są to przeważnie ryby, konger, węgorz czy barwena, ale często zepsute, tak że w gotowaniu zamieniają się w rodzaj oleju. Mimo to wszyscy rzucają się na nie łapczywie, tak bardzo organizm łaknie odrobiny tłuszczu czy jakiegokolwiek smaku. Ludzie chorują na okrągło - pelagra i biegunka zbierają obfite żniwo; rany nie chcą się goić, zęby się psują, paznokcie nie rosną. Will ma wpadnięte oczy, nogi i ręce ciężkie jak z ołowiu, szczególnie późnym popołudniem, kiedy uczucie zmęczenia najdotkliwiej daje się we znaki. Zmusza się jednak do wstania, wymyślając sobie różne zajęcia. Wielu przesypia całe dnie, ale on nie może sobie na to pozwolić.

- Czy nie uważasz - pyta nieraz Johnniego - że powinniśmy z tego doświadczenia wyciągnąć jakąś naukę? Kiedy nas ludzie spytają, co w tym czasie robiliśmy, odpowiedź nie powinna brzmieć: „spaliśmy”.

- Co za dobry człowiek - odpowiada Johnnie. - Pracowita pszczołka. - Jednakże sam jest pierwszy do pomocy i nigdy nie narzeka.

W następnym tygodniu Trudy znów dostaje pozwolenie na odwiedziny; ale nie tylko ona, wpuszczają też innych. Tym razem Trudy kipi energią. Szef żandarmerii powiedział, żeby przychodziła dwa razy w tygodniu do hotelu, w którym jest zakwaterowany, uczyć go angielskiego.

- A jakie tam jest jedzenie! Trudno uwierzyć! - Zniża głos do szeptu. - Najadam się tak, żeby mi starczyło do następnego razu. Zabrał mnie też do domu, który zarekwirował na Peaku. To dawna siedziba Baylorów, którą traktuje jako miejsce weekendowe. Zostali tam starzy pracownicy; nie masz pojęcia, jak się ucieszyli na mój widok! Dziwna scena. Kiedy tam przyszedłam, Otsubo ćwiczył akurat na trawniku strzelanie z łuku i polecił komuś, żeby mi przyniósł szampana. Tak jakby naśladował zwyczaje angielskiego lorda. Kiedy się coś takiego widzi, człowiek niemal wierzy, że wszystko wraca do normy. A on chce po prostu gadać, żeby ćwiczyć swoją potoczną angielszczyznę. Oczywiście próbuje przy tym wyciągać ode mnie różne informacje, uważając mnie za skończoną idiotkę, ale jakie to ma znaczenie, skoro można się najeść bananów, świeżych ryb i ryżu tyle, ile dusza zapagnie. Czy możesz uwierzyć, że w sprawach jedzenia stałam się taką wieśniaczką? W każdym razie Otsubo ma obsesję na punkcie nabijania sobie kabzy i uważa, że mu w tym pomogę... nieświadomie albo świadomie. Przypuszczam, że jest to uświęcony tradycją obyczaj wojenny, że oficerowie się bogacą kosztem podbitych narodów.

- I ty z Angeline chodźcie uczyć tego człowieka?

- Powiedział mi ostatnio, że bym nie zabierała ze sobą Angeline, twierdzi, że nie potrzebuje dwóch nauczycielek, ale za to przynoszę jej góry jedzenia. Wy tłumaczyłam mu, że z nią mieszkam i że jestem wobec niej zobowiązana. Chce, że bym go uczyła zachodnich manier przy stole, można pęknać ze śmiechu, nie uważasz? Interesuje go wszystko: jakie są noże do ryb, łyżeczki do deseru. Nie potrafi wymówić słowa „etykieta”, które wprowadziłam do jego życia, ale chce być jej mistrzem. Wczoraj wieczorem podano nam homara i Otsubo koniecznie chciał się dowiedzieć, jak to się prawidłowo je, więc po prostu walnęłam w tego homara z humorem, a on pomyślał, że to takie żarty.

- Aha, to są nawet kolacje z homarami?

- Och, to nie to, co myślisz, Dommie też tam był. Oni są najlepszymi przyjaciółmi. Wszystko to razem jest dość okropne. Uważam, że jedzenie powinno być za darmo. Tobie też coś przyniosłam, kochanie. - Ogląda się za siebie, żeby sprawdzić, czy strażnik nie widzi, i wysypuje z torby owoce, puszki z mięsem i niewielki woreczek ryżu. - Temu strażnikowi, który sprawdza bagaże,

wsunęłam trochę papierosów, żeby się mnie nie czepiał, ale nie chcę, żeby ten tutaj nabrał jakichś podejrzeń. Tylko nie bądź taki szlachetny i nie dziel się tym ze wszystkimi. Chcę, żeby to było dla ciebie, a nie dla jakiegoś małego Olivera czy Priscilli, bez względu na to, jak bardzo wymizerowane i słodkie są ich twarzyczki. To wszystko jest dla ciebie i nigdy bym ci tego nie dała, gdybym wiedziała, że trafi w inne ręce. Musisz mieć grubszą skórę. Jest wojna, Will.

- A skąd wiesz, że nie mam grubej skóry?

- Jesteś za dobry i na tym polega twój problem. Tacy ludzie jak ty mają kłopoty z przetrwaniem w czasach wojny.

- Ale ty jadasz kolacje z tym człowiekiem - powtarza Will.

- Owszem, jadam - odpowiada Trudy cierpliwie, jakby miała do czynienia z niedorozwiniętym dzieckiem. - To nie jest sytuacja, w której mogłabym mu powiedzieć, żeby się odczepił. Muszę dostrzegać w tym wszystkim dobre strony.

- Możesz chyba to robić bez tego niestosownego...

- Nie masz zielonego pojęcia, jak jest tam, na wolności - ucina krótko Trudy. - Takie zachowania to norma. Przecież musimy jakoś żyć z tymi koszmarnymi ludźmi, dopóki ich nie pokonamy. Weź śliwkę i zamknij się.

Ponieważ Will zwleka, nadaśana Trudy łapie śliwkę i wbija w nią zęby. Sok cieknie jej po brodzie, a Willowi wydaje się nagle, że ma przed sobą zwierzę.

Kiedy pada deszcz, trudno wstać z łóżka. Jest wtorek, zimny i mokry. Will leży, czując pod sobą cienki, twardy materac i wsłuchując się w rytmiczne bębnienie deszczu o dach. Nawet nie jest smutny; jest po prostu nieruchomy. Szara ściana naprzeciwko ma pełno zacieków, a na betonowej podłodze zbiera się kałuża. Szybciej niż myślał, pojawiła się rutyna: internowani snują się, kłócą o rozdział żywności, podkradając sobie nawzajem jedzenie, wykonują drobne obowiązki.

W obozie brak jakiejkolwiek barwy. Ich ubrania dawno spłowiały i są szare; jedzenie wydaje się na talerzu błotnistobrunatne, budynki mają kolor betonu. Will tęskni za czerwienią, różem, jaskrawą słonecznikową żółcią, soczystą zielenią. Jedynym urozmaiceniem bywa niebo, chwilami czysty błękit, albo morze - niespokojny turkus. Czasami Will siedzi przy ogrodzeniu i po prostu patrzy przed siebie. Wszystko, co widzi - horyzont, woda i chmury - jest absurdalnie piękne. Doktor Selwyn - Clarke wybrał to miejsce, bo uznał, że

nadmorska lokalizacja obozu wpłynie na zmniejszenie zachorowań na cholere i inne choroby zakażne. Ale to nie infekcje stanowią największe zagrożenie, tylko brak witamin i niedożywienie. Wchodzi Johnnie przemoczony na deszczu.

- Piękna pogoda - mówi i ciężko siada na łóżku.

- Czy możesz uwierzyć, że tu jesteśmy? - To jedyne słowa, na jakie zdobywa się Will.

- Wolałbym być w domu, to pewne. - Nagle się ożywia. - Mówią, że przyszły jakieś paczki z Czerwonego Krzyża. Niewykluczone, że po obiedzie będą je rozdawali.

- A co może być w takiej paczce?

- Jedzenie, bracie! Czasem czekolada. Jakieś rozrywki. Dzieciaki gadają o tym cały dzień. Może będę musiał wywalczyć paczkę dla jakiejś małej dziewczynki.

Po południu Will słyszy, jak Willie Endicot biegnie co sił w patykowatych nóżkach, wykrzykując:

- Przyszły paczki! Przyszły paczki!

Przez okno widać, że ramiona chłopca są pokryte ukąszeniami komarów, które mały porozdrapywał do krwi. Jest to wielkie zmartwienie jego matki, która obawia się malarii. Posmarowała mu ślady ukąszeń bezcenną pastą do zębów i teraz chłopiec, cały w białych plamkach, podniecony perspektywą jedzenia, krzykiem oznajmia radosną wieść.

W kolejce panuje ożywienie. Wreszcie strażnik wręcza im paczkę zawiniętą w miękki brązowy papier i owiazaną sznurkiem. Podekscytowani idą do siebie, żeby ją rozpakować.

- Zupełnie jakby to było Boże Narodzenie!

Will ma kłopoty z rozpakowaniem paczki. Jego paznokcie są miękkie jak papier. W końcu udaje mu się rozsupłać węzły, więc starannie zwijają sznurek - tutaj niczego się nie wyrzuca - i z pełnym wdzięczności podziwem oglądają dary.

- To chyba jakiś uczoney pakował tę paczkę! - wykrzykuje Johnnie.

Przesyłka zawiera sześć tabliczek lekko nadtopionej czekolady, ale to żaden problem, dużą puszkę herbatników McVities, kawę, herbatę, całkiem spory zapas cukru i sproszkowanego mleka, robione na drutach skarpetki i ciepły szal. Te zwykłe przedmioty mają wartość złotych monet. Jest także niespodzianka - maleńkie szachy i

dyskretnie schowana w środku karteczka pokryta okrągłym dziewczęcym pismem.

Johnnie czyta ją na głos, z głową komicznie owiniętą szalem jak turbanem.

- „Nasze myśli i modlitwy są z wami. Nie załamujcie się - dobro musi zwyciężyć. Mam na imię Sharon i bardzo bym chciała nawiązać z wami korespondencję, jeśli jest to możliwe. Mam włosy blond, niebieskie oczy i, jak o mnie mówią, uśmiech na oczekaniu”.

- Wspaniały przykład sztuki piśmienniczej - oświadcza Johnnie, wachając papier. - I idealnie wyważona treść: cenzor się nie przyczepi, a jednocześnie wszystko jest jasne. Popatrz, i podała adres.

- Fantastyczna sprawa - kwituje sucho Will. - Sharon z Sussex, nasza wybawicielka.

- Po powrocie do domu mam zamiar ją odszukać. - Johnnie chowa liścik do kieszeni koszuli. - Robi wrażenie dziewczyny, z którą mógłbym się związać na stałe.

- A co ze mną?

- Ty już masz dziewczynę. Nie bądź świnia. Sharon należy do mnie. - Johnnie ładuje do ust całą tabliczkę czekolady.

- Umiesz grać w szachy? - Will zbiera pionki.

- Można wygrać jakieś pieniądze?

- Nie, ale można zachować zdrowe zmysły. Mózg zaczyna nam się lasować. - Will dochodzi do wniosku, że Johnnie jest tutaj jego najlepszym przyjacielem. W kolonii z nikim się nie przyjaźnił; mając Trudy, nie musiał. Myśli o tym z przyjemnością.

Nazajutrz rano Will spotyka poznanego w hotelu chłopca, Tobiasza. Mały jest sam; siedzi przykucnięty pod drzwiami toalety ze swoim nieodłącznym samolocikiem.

- Smakowała ci czekolada? - pyta Will. Chłopiec nie odpowiada.

- Gdzie jest twoja mama?

Mały gapi się na Willa w milczeniu. Jest blady, jasne cienkie włoski ma zmierzwione. Sfatygowanym samolocikiem jeździ po swojej dłoni; zabawka stała się jakby częścią jego ciała.

- Czy twoja mama się źle czuje? Mały zaczyna płakać.

- Nic się nie martw. Jeśli mama jest tam w środku, to na pewno zaraz wyjdzie.

W tym momencie drzwi otwierają się z hukiem i z toalety wychodzi Fujimoto, zapinając spodnie. Will cofa się instynktownie, ale mężczyzna ignoruje go i odchodzi.

- Widzę, że mamy tam nie ma. Chcesz może, żebyśmy razem jej poszukali? - Will wyciąga rękę, ale mały, patrząc w ziemię, energicznie potrząsa głową.

- Posłuchaj... - Nagle ponownie otwierają się drzwi i tym razem z toalety wychodzi Mary Cox. Will mruga zaskoczony.

Na jego widok Mary zatyka ręką usta i odwraca się tyłem do niego.

- Chodź, kochanie - mówi do Tobiasza. - Idziemy na kolację. - Mija Willa, prawie się o niego ocierając, i rusza korytarzem, ciągnąc za sobą małego. W pewnym momencie zatrzymuje się i patrzy na Willa z jakimś twardym, niepokornym, prawie okrutnym wyrazem twarzy.

A więc to tak, myśli Will. Tak się zaczynają te wszystkie zmiany. Albo okazujemy się twardzielami, albo nie.

Will opowiada Johnniemu o Mary Cox.

- To tylko kwestia czasu. Prawa gospodarki rynkowej wszędzie dochodzą do głosu. Ludzie szybko kalkulują, co mogą sprzedać i co chcą kupić.

- Jesteś cyniczny.

- Ta wojna nie nastraja mnie sentymentalnie. I ciebie nie powinna, stary. Nie rozczulaj się nad nami. Nic dobrego z tego nie wyniknie.

Jednakże Will nie jest w stanie pozbyć się sprzed oczu widoku czekającego pod ubikacją Tobiasza.

W czasie przerwy obiadowej wychodzą z pokoju i natykają się na inną aferę. Otóż Regina Arbogast oskarżyła jedną z matek o kradzież czekolady i herbatników z paczki Czerwonego Krzyża i domaga się sądu. Hugh Trotter usiłuje jej wytłumaczyć, że wymiar sprawiedliwości, jaki ustanowili, został pomyślany do spraw znacznie poważniejszych, takich jak złe traktowanie przez strażników czy kradzieże żywności ze wspólnej kuchni, ale Regina nie chce go słuchać.

- Ty i twoje zasmarkane dzieci jecie więcej, niż wam się należy! Już wiele miesięcy temu powinny zostać odesłane do Anglii. Odejmują innym jedzenie od ust i w ogóle nie powinny tutaj być!

Kobieta robi wrażenie zastraszonej.

- Regino... - zaczyna nieśmiało - naprawdę nie wzięłam twojego jedzenia, ale przecież ty też masz rodzinę. Jak możesz w ten sposób mówić o dzieciach?

- Moje dzieci zostały przyzwoicie wychowane, nie tak jak twoje. Twoje są jak zwierzęta! A moje przebywają w Anglii, tam gdzie jest ich miejsce!

- Ale twoje dzieci są już dorosłe. Ja bym nie mogła wysłać Sandy i Margaret, takich małych dzieci nie oddziela się od matki.

- Trzeba było jechać z nimi!

- A ty też nie powinnaś tutaj być - mówi w końcu kobieta. - Tutaj powinni być sami mężczyźni. Dla kobiet i dzieci tu w ogóle nie ma miejsca. Ty też uszczuplasz nasze zapasy.

- Co za bzdury! - Regina wygląda, jakby miała zamiar uderzyć kobietę. - Twoja rodzina zawsze potrafiła wykorzystać każdą sytuację. Reggie robił interesy z twoim mężem i mówił, że to prostak, kombinator, oślizgły typ.

- Chwileczkę - przerywa im Hugh Trotter. Próbował się nie angażować, ale wobec tej wycieczki osobistej nie mógł pozostać obojętny. - Nie zmieniamy tematu.

- A temat, mój drogi, jest taki - mówi wolno Regina, jakby się zwracała do osoby upośledzonej umysłowo - że ta kobieta przywłaszczyła sobie moją własność, czego ty nie chcesz potraktować poważnie.

- Na miłość boską, Regino. - Hugh wyrzuca w górę ramiona. - Przecież jesteśmy tylko cholernymi uchodźcami. Nikt z nas w tej chwili nie ma nic na własność. To były paczki dla uchodźców wojennych. Czy nie możesz być trochę bardziej wspaniałomyślna? Wszyscy jedziemy na jednym wózku.

- Nie waż się na mnie krzyżeć! - Regina podnosi głos. - Nie jedziemy na jednym wózku! Nigdy nie będę na jednym wózku z tą kobietą. Ona jest kimś zupełnie innym.

Zdumieni Amerykanie obserwują tę scenę z daleka. Will, który ich podziwia, a może nawet czuje się jednym z nich, uważa się czasem za zdrajcę. Za to Trudy mimo deklarowanej miłości do Amerykanów tak naprawdę ich nie lubi. Will przypuszcza, że są zbyt demokratyczni jak na jej gust. Ona woli podziały klasowe. W obecnych warunkach jednak system amerykański okazuje znaczną

przewagę nad tym, co reprezentują inne grupy narodowościowe. Bo nawet w tej sytuacji Amerykanie promieniują zadowoleniem i dostatkiem. Bill Schott to niewątpliwy autokrata, ale dzięki temu wszystkie sprawy załatwia szybko i sprawnie, a ponadto potrafił dla swoich ludzi wywalczyć wiele rzeczy - według powszechnie panującej opinii na własny koszt, ale jednak. W brytyjskim obozie ci, którzy mają środki, żeby pomagać innym, rzadko to robią. Wolą raczej gromadzić różne dobra dla siebie, obawiając się, że nadejdą gorsze czasy. Amerykanie natychmiast zwykli dzielić się z innymi tym, co mają, chociaż dlatego, że jest ich mniej i nie są poddawani tak wielkim naciskom, wydaje się to łatwiejsze.

Regina Arbogast tupie nogą jak dziecko i wykrzykuje:

- To nie do przyjęcia! Tu się nie przestrzega żadnych standardów! Tu się nie da nic załatwić. Muszę ująć sprawę w swoje ręce.

Odchodzi w stanie najwyższego wzburzenia.

- Mała rozrywka jest zawsze mile widziana - mówi Johnnie. - Ta kobieta to pistolet. Trzeba ją będzie obserwować.

Ryż, ryż i jeszcze raz ryż. Po jakichś dwóch miesiącach nikt nie rozmawia o niczym innym. Wszyscy stali się w tej dziedzinie absurdalnie twórczy: mieli ryż na mąkę, gotują na sypko, próbują rozciągać, jak tylko się da. Jedzenie jest głównym tematem. Przez jeden cudowny tydzień codziennie dostają wieprzowinę, aż wreszcie obóz obiega wieść, że z powodu epidemii została zamknięta świńska ferma, a oni są karmieni padliną. Mimo to większość internowanych bardzo dokładnie gotuje mięso i je. Żebrak nie wybiera.

Ludzie mieszają na kartkach papieru herbatę z suszonej kory z suszoną trawą, a następnie siekają mieszankę i skręcają z niej papierosy. Tak bardzo wszyscy wychudli, że mężczyźni mają wymizerowane twarze, a kobiety wyglądają o dziesięć lat starzej. Niektórym z powodu niedożywienia dokuczają ostre bóle stóp i nie mogą chodzić.

Są tacy, którzy załamują się pod wpływem cierpienia. Reggie Arbogast przychodzi do Willa z prośbą, żeby porozmawiał z jego żoną, która przestała odzywać się do kogokolwiek. Wygląda na to, że zawsze miała słabość do Willa, czego on nie był świadom i w najmniejszym nawet stopniu nie odwzajemniał. Mimo to godzi się na rozmowę.

Stuka do drzwi, wchodzi i jego oczom ukazuje się surrealistyczna scena: Regina Arbogast siedzi na łóżku ubrana w purpurową wieczorową suknię i uczesana w niechlujny kok, z którego wymykają się pojedyncze kosmyki włosów. Oczy ma usmarowane czymś czarnym, co z bliska okazuje się węglem. Usta byle jak umalowane czerwoną pomadką, która, wychodząc poza kontury warg, zakrwawiła skórę dokoła.

- Pani Arbogast... - zaczyna Will.

Regina dalej siedzi na łóżku jak groteskowa marionetka.

- Regino, musisz wyjść na dwór. Dzisiaj jest piękne słońce - mówi Will.

Kobieta patrzy na niego tępo.

- Will - odzywa się w końcu. Ma na zębach szminkę.

- Tak, słucham cię, Regino? Świeże powietrze dobrze ci zrobi.

- Zawsze byłeś dobrym człowiekiem, Will. Podziwiałam cię. Przyjechałeś do Hongkongu, ale to miasto cię nie zepsuło, tak jak wielu innych.

- Dzięki ci, Regino. Czy ja wiem...

- Inni zostali przez to miasto zatruci, bo życie jest w nim za łatwe. Tyle służby, ile się chce, koszty utrzymania subsydiowane przez rząd albo firmę. Wszystko łatwo dostępne. Człowiek staje się słaby.

- Regino nie ma co tego rozpamiętywać. Trzeba ćwiczyć umysł. Podobno niektóre kobiety chcą tu wystawić jakąś sztukę. Powinnaś się w to zaangażować...

- Jeszcze czego! - Regina zeskakuje na podłogę. - Głupie krowy! Will siada. Nie chce jej prowokować.

- To idiotki, które uważają, że kilka mądrych linijek pozwoli nam zapomnieć o tym, że jesteśmy tutaj, w tym piekle. Nienawidzę ich.

One idiotki? To ty jesteś idiotka, myśli Will, ale nie mówi tego głośno.

- A co chciałabyś robić?

Regina patrzy na niego z niedowierzaniem.

- Jak to co? Wydostać się stąd wreszcie, do jasnej cholery, i jechać do domu, do Anglii! - Regina Arbogast wygląda, jakby się przeistoczyła w robotnika portowego.

- Język, Regino! - mówi Reggie, który właśnie wchodzi do pokoju. Oczy ma zapadnięte, bez blasku. Doktor powiedział mu, że to brak witaminy C, ale cytrusy są nieosiągalne.

- Zamknij się, Reggie.

Will wstaje i zbiera się do wyjścia.

- Nie, zostań! - rozkazuje Regina. - Reggie może robić, co mu się żywnie podoba. Mnie już nie zależy. Jest parę rzeczy, które chciałabym ci powiedzieć, Will, bo uważam, że zasługujesz na to, żeby wiedzieć.

- Regino, ja nie sądzę, żeby Will...

- Reggie!

Reggie Arbogast bezradnie patrzy na Willa, jakby chciał powiedzieć: „I taki jest mój los”, po czym wychodzi. Will tęsknie patrzy na drzwi.

- Słucham cię, Regino.

- Kiedy przyjechałaś, byłaś jedną z osób, z którymi wiązałam wielkie nadzieje - oznajmia Regina, jakby była najwyższą kapłanką towarzystwa, na które się zawsze snobowała. - Reggie znał cię z pracy i zawsze bardzo dobrze się o tobie wyrażał. Nieraz miałam ochotę zaprosić cię do nas na obiad. - Przyjęcia u Reginy Arbogast były znane w Hongkongu ze swojej wystawności, wyrafinowanych rozmów i bardzo starannie dobieranej listy gości. Ludzie wręcz ubiegali się o zaproszenia, zwłaszcza ci, którym takie rzeczy imponowały.

Trudy wyśmiewała wszystko, co robiła Regina. „Co za zadęcie, jaka pretensjonalność! - mówiła. - Pewnie nie wiesz, że Regina przed wyjściem za mąż za Reggiego była ekspedientką w sklepie w Manchesterze. Te wszystkie jej zagrania są bardzo świeżej daty. Słyszałam, że Reggie, zanim ją poznał, był bardzo sympatycznym człowiekiem”.

- To bardzo miło z twojej strony, Regino.

- Ale potem związałaś się z tą Liang. Ciekawe, czy znałaś jej przeszłość. Od razu widać było, że wczepiła w ciebie swoje pazury. Ona wie, co robi, to pewne. Zaanektowała cię dla siebie, zanim jeszcze ktokolwiek się dowiedział o twoim przyjeździe. Wiesz, jak ją nazywają? Królową Hongkongu! - Regina wybucha śmiechem. - To zabawne! Z jej dziwaczными obyczajami i sposobem myślenia

mieszkańca. Wybacz, ale ona jest nie do przyjęcia. Miłość musiała cię oślepić.

Will nie ma pojęcia, dlaczego Regina mówi do niego tak, jakby był jedną z pań z jej kręgu towarzyskiego, z którymi plotkuje przy herbatce.

- Nie wiem, czy to jest akurat odpowiedni czas i miejsce na takie rozmowy... - zaczyna.

- Posłuchaj, chcę ci powiedzieć coś ważnego. Ty pewnie myślisz, że to nie jest ważne, ale się mylisz. - Regina Arbogast nachyla się do niego. - Reggie spotkał się z gubernatorem po jego przyjeździe. Wtedy, w tym pierwszym tygodniu, zorganizowano tajne spotkanie. W dniu, w którym odbywał się Bal Hełmu. Gubernator chciał poznać ważnych ludzi z kolonii i zasięgnąć ich rady. Był tu nowy i nie miał pojęcia o naszym życiu. Wiedział, że wojna zbliża się do Hongkongu, ale nie chciał, żeby ta informacja przedostała się do publicznej wiadomości, więc na tym zebraniu... - Regina rozsiada się wygodniej. - Słuchasz mnie? - pyta.

Will patrzy na nią wściekły i jednocześnie zainteresowany.

- Regino...

Zadowolona znów się nachyla do swego rozmówcy.

- Na tym zebraniu dyskutowano między innymi, jakie mają być losy Kolekcji Korony znajdującej się w rezydencji gubernatora i zawierającej, jak może wiesz, bezcenne dzieła sztuki, głównie chińskie antyki, szczególnie narażone na niebezpieczeństwo, jako że Chińczycy uważają je za kradzione, starożytne teksty i wazy, i tym podobne wykopaliska. Reggie twierdzi, że przynajmniej niektóre z nich mają po kilkaset lat. Postanowiono, że kolekcja zostanie ukryta, a miejsce ukrycia będzie znane tylko trzem osobom wywodzącym się z różnych kręgów, aby mieć pewność, że choć jedna z nich przeżyje.

Wbrew sobie Will słucha zaintrygowany.

- No i oczywiście jedną z tych trzech osób jest Reggie. - Regina pozwala sobie na uśmiech gratulacyjny. - Naturalnie mi o tym powiedział, ale, rzecz jasna, nie podał miejsca ukrycia kolekcji. Ani nazwisk pozostałych dwóch osób. - Uśmiech znika z jej twarzy. - W takich sprawach był zawsze irytująco szlachetny. Ponad wszystko stawia interes kraju. Wpoili mu to rodzice. Jestem przekonana, że jakby przyszło co do czego, to z pewnością poświęciłby mnie. A może

nawet i dzieci. Podejrzewam, że z tego punktu widzenia stanowił dobry wybór.

Regina wstaje z łóżka i człapie do drzwi.

- Nie mam tutaj żadnego przyzwoitego obuwia i nikt nie był w stanie mi go zapewnić. Znasz może kogoś? Mam tylko te koszmarne klapki, które wyglądają jak rodem z targu rybnego.

- Regino, po co mi to wszystko mówisz?

Kobieta uśmiecha się przymilnie. Widok jest groteskowy.

- Mam przeczucie, Will. Wiem, że na wolności toczy się życie. Wiem, że jest wiele różnych tajemnic i spisków. Po prostu chciałam, żebyś wiedział. Ujmuję jego dłoń w swoją, która jest sucha i w dotyku przypomina płaza. - Potraktuj to jako podarunek ode mnie.

W następnym tygodniu pojawia się Trudy w dobrze skrojonym kostiumie i kapeluszu, przynosząc największą paczkę, jaką Will kiedykolwiek w życiu widział.

- Na wolności jest bardzo dziwacznie - oznajmia, zdejmując rękawiczki i siadając. - Najbardziej niezwykle towarzystwo, jakie tylko można sobie wyobrazić, niecodzienna zbieranina. Wszędzie pełno Rosjan, których dawniej nie cierpieliśmy, a którzy teraz są jeszcze trudniejsi do zniesienia. Obecnie, kiedy wszyscy powyjeżdżali, wydaje im się, że coś znaczą. Są gorsi od Szwajcarów z ich arogancją. Zostałam zaproszona na obiad, w którym brał udział także doktor... wiesz, doktor Selwyn - Clarke, oficjalny doradca medyczny nowego gubernatora japońskiego Isogai... oraz rozkoszny jak zawsze, choć bardzo przygnębiony tym wszystkim, co się dzieje, sir Vandeleur, Grayburn, no i ta Rosjanka... nie wiem, czy ją pamiętasz, w każdym razie ma na imię Tatiana. Zawsze pełno jej było na mieście, tylko że w złym tego słowa znaczeniu, trochę za dużo popijała, zachowywała się zbyt bezczelnie, rozumiesz. Powiedziała do niego, to znaczy do doktora, coś bardzo chamskiego, a sama wyszła za Chińczyka, który trzyma z Kempeitei (Japońska żandarmeria wojskowa w latach 1881 - 1945.), wskutek czego stała się kuloodporna, a przynajmniej tak jej się wydaje... Oczywiście nie przyprowadziła go na ten obiad. Przypuszczam, że traktuje go jak swoją polisę ubezpieczeniową. Własnoręcznie ją zastrzele, kiedy to wszystko wróci do normy.

- A gdzie odbył się ten obiad?

- U Selwyn - Clarke'a, tylko że musieli to zrobić na zasadzie cicho sza. Doktor udawał, że to zebranie poświęcone planowaniu zaopatrzenia i w ogóle, i częściowo rzeczywiście tak było, ale na zewnątrz wystawili czujki, które nasłuchiwały, więc w tym sensie trudno to nazwać spontanicznym zebraniem towarzyskim. A wiesz, kto nie żyje? Crumley, Amerykanin, który zawsze był w Grillu. Pamiętam ten dzień, kiedy przyszedł i powiedział nam, że był na pikniku w Shek O i kiedy otworzył usta, wpadł mu motyl, a on go połknął. No i facet nie żyje, czy połknął motyla, czy nie. I o tym właśnie czasem sobie myślę. - Trudy przyspiesza, opowiadając o tym i owym, paplając bez sensu o różnych ludziach. - Otsubo uwielbia mnie teraz i daje mi wszystko, o co tylko poproszę. Zobacz, co ci dzięki niemu przyniosłam! Szynka i kawa, cukier i mleko w proszku. Wzięłam więcej dżemu truskawkowego, który jest chyba wszędzie. Mam nawet miód. Teraz, kochanie, masz przynajmniej powody do zazdrości.

Trudy wygląda gorzej niż kiedykolwiek. Twarz ma mizerną, usta suche, popękane, włosy ściągnięte w niechlujny kok. Bluzka na niej wisi, kołnierzyk odstaje od szyi.

- Zastanawiałam się, co to za człowiek. I chyba wiem. To człowiek, który, jeśli coś powiesz, a on nie zrozumie, to cię poprosi, żebyś powtórzył raz i drugi... aż zrozumie, podczas gdy większość ludzi będzie grzecznie udawała, że rozumiała za drugim czy trzecim razem. On... nie, on jest nieustępliwy, jemu nie zależy na zachowaniu pozorów. To pewnie dlatego tak dobrze rozwija się jego kariera... dlatego że jest taki pedantyczny i tak dalej...

- Czy ty w ogóle coś jesz? Bo wyglądasz tak, jakbyś nic nie jadła.

- Wzięłam Otsubo do Makao i nakarmiłam „fasolkami”, rozumiesz, chodzi o młode myszki, które nowicjusze uważają za fasolki. Szalenie mu smakowały. A mówią, że tylko Chińczyk zje wszystko.

- To mnie nie interesuje... wyglądasz jak śmierć na chorągwi. - Łapie ją za rękę. - Nie obchodzi mnie to, że on za tobą szaleje, a ty musisz robić to, czego nie chcesz robić... Zależy mi na tym, żebyś była w dobrej formie.

Trudy nagle wybucha śmiechem.

- A skąd wiesz, że ja nie chcę tego robić? - pyta. - Może jestem świadomym uczestnikiem.

Rzuca paczkę w jego stronę.

- Proszę, jeszcze więcej jedzenia.

- Przyjdź tu do nas, do obozu - mówi Will. - Ja się tobą zajmę.

- Kochanie. - Trudy ujmuje go pod brodę. - Jest już za późno.

Mnie się tam na wolności podoba. Udało mi się w końcu złapać jakąś równowagę, choćby nawet chwiejną.

Otwierają się drzwi i wchodzi Edwina Storch z dużą paczką.

- Hej - wita ją Trudy - przyszedłeś odwiedzić Mary?

- Tak - odpowiada Edwina. - Jak się masz, Will. Co u ciebie?

- W porządku, dziękuję. Mary jest tu wspaniałym nabytkiem. Jej pogoda ducha i odwaga to skarb dla całej naszej społeczności.

- Tak, ona jest wspaniała - potwierdza Edwina. - Co za koszmarna sytuacja. - Krytycznym wzrokiem ocenia paczkę Trudy. - Widzę, że dostałaś wyjątkowo dużo dzemu, Trudy. I kawę! Musisz znać kogoś naprawdę bardzo ważnego.

Wchodzi Mary Winkle i kobiety - jedna mała, druga duża - obejmują się i wychodzą do drugiego pomieszczenia. Trudy patrzy na zamykające się drzwi.

- Wszędzie jest jej teraz pełno - mówi. - W powojennym świecie będzie wspaniałym świadkiem. - I po przerwie dodaje: - Ale ją lubię.

Will bierze Trudy za rękę. Robi wrażenie takiej zagubionej.

- Czy wiesz, jaka jest moja największa zaleta? - pyta Trudy.

- Masz ich tyle, kochanie, że nie umiałbym powiedzieć.

- Staram się widzieć w ludziach to, co jest w nich dobrego.

Dosłownie się w nich zakochuję, gdy tylko dostrzegę jakieś okienko, przez które można zajrzeć do ich wnętrza i zobaczyć jasne punkty osobowości. Zakochałam się już w tylu ludziach, ale problem polega na tym, że się równie szybko odkochuję. Tak samo łatwo zaczynam dostrzegać ich złe strony. Czy wiesz, że w tobie zakochałam się od pierwszego wejrzenia? Oczywiście wtedy u Trotterów zauważyłam cię od razu, dlatego że byłeś nowy, usiadłeś do pianina i zagrałeś kilka taktów tak dobrze, tak bez tremy, jakbyś nie zdawał sobie sprawy, że ktokolwiek cię słucha. Byłeś sam w tym pokoju od strony ogrodu. Zobaczyłam cię, idąc do toalety, i z miejsca się w tobie zakochałam. Obląłam się drinkiem, żeby mieć okazję cię poznać.

- Trudy, kochanie...

Trudy wstaje.

- Nie wytrzymuję tego - mówi podniecona. - Nie mogę. -
Odwraca się na pięcie i wychodzi. - Tylko zjedz to, co ci przyniosłam
- woła jeszcze przez ramię, po czym drzwi zamykają się za nią z
trzaskiem. - Musisz być silny. - Jej głos wybrzmiewa, w miarę jak
Trudy się oddala.

- Muszę się stąd wydostać, Johnnie.

Will mówi to jeszcze tego samego dnia wieczorem po położeniu
się do łóżka. Słyszy, jak oddech jego towarzysza staje się coraz
głębszy i coraz bardziej miarowy, co świadczy o tym, że Johnnie
zapada w sen. A potem ten oddech zatrzymuje się nagle i wraca.

- Musisz?

- Muszę. Tracę ją.

- Rozumiem.

- Pomożesz mi?

- Oczywiście, że ci pomogę.

Ale niepotrzebnie prosił. Trudy załatwiła sprawę po swojemu.

- Masz tydzień urlopu. Otsubo wystawił przepustkę
zobowiązującą cię do wykonywania dla niego jakichś prac. Czy to nie
cudowne?

- I jakież to prace miałbym wykonywać? Trudy patrzy na niego,
jakby nic nie rozumiał.

- Nie mam pojęcia. Pewnie chodzi o jakąś pracę urzędniczą,
którą ty i tylko ty, niepowtarzalny Will Truesdale, mógłbyś
wykonywać. Fachowa księgowość. Nawadnianie roślin. Podlizywanie
się po japońsku. Czy to ma jakiegokolwiek znaczenie? Po prostu musisz
się stąd wyrwać! Czy nie jesteś tym zachwycony? To wielkie
wyróżnienie.

- Co mam robić?

- Czy ty jesteś kompletnym debilem? Nic! - wrzeszczy Trudy. -
Absolutnie nic. Uważałam, że to będzie dla ciebie coś wspaniałego,
jeśli wyjdiesz i zobaczysz, co się dzieje na wolności. Przecież poza
tobą nikt nie ma takiej szansy.

- Dziękuję ci bardzo - mówi w końcu Will - doceniam to.

- Będiesz miał okazję zobaczyć, jak wygląda życie na wolności,
czym stało się moje życie.

- A może mogłabyś dokonać zamiany - mówi Will - i przyjść
tutaj na jakieś dwa tygodnie?

- Peut - être - odpowiada Trudy. Zawsze, kiedy chce zmienić temat, przechodzi na francuski.

Tak więc w poniedziałek Will czeka przy dyżurce strażników. Przez ostatni tydzień był traktowany bardzo dobrze. Przyszedł Ohta z pozwoleniem na urlop i przy tej okazji próbował z niego wyciągnąć jakieś informacje.

- Otsubo po ciebie przysłała - mówi.

- Tak. - Will kiwa głową.

- On jest szefem żandarmerii.

- Tak.

- Masz jakieś ważne umiejętności?

- Tak.

Ohta jeszcze przez chwilę czekał na jakieś wyjaśnienia, a ponieważ się nie doczekał, rzucił przepustkę na podłogę i powiedział, że Will ma się stawić w poniedziałek przy bramie. Ale już wtedy było jasne, że strażnicy traktują go lepiej, że zaprzestali wobec niego szykan i rewizji.

Trudy podjeżdża kabrioletem i upiera się, że ona będzie prowadziła, mimo że robi to przerażająco źle: biegi zgrzytają, o wiele za szeroko bierze zakręty.

- Oto skutki tego, że się przez całe życie miało kierowcę - mówi, wzruszając ramionami, kiedy wreszcie Willowi udało się zmienić ją za kierownicą.

- Dobrze wyglądasz - mówi Will, spoglądając na nią z boku. Teraz, kiedy zrobiło się cieplej, Trudy ma na sobie wiosenną sukienkę i żółty słomkowy kapelusz z szerokim rondem.

- Odnalazłam swojego starego krawca, który mi sprokurował kilka rzeczy. Rozpaczliwie poszukuje pracy, a mam różne towarzyskie okazje, które wymagają tego, żebym dobrze wyglądała.

Will o nic nie pyta.

Trudy zabiera go do Peninsuli.

- Pamiętaj, że to jest teraz Toa - przypomina mu. Sunąc przez pełen żołnierzy dawny wielki hol hotelowy,

dziś zastawiony stalowymi stołami i wszelkiego rodzaju ponurym wojskowym sprzętem, Trudy kwituje uśmiechy i odbiera ukłony.

- Otsubo ma tutaj do dyspozycji pokoje, więc Dommie i ja mieszkamy teraz w hotelu. Dla siebie zarekwirował apartament na Barker Road. Lepsze to niż tamta nasza nora na mieście. Mamy

wyjatkowe szczęście. Nie wyobrażasz sobie, jak ludzie mieszkają... po dwie, trzy rodziny w jednym mieszkaniu. To straszne, ale cóż, jest wojna. Moje dawne mieszkanie zostało zarekwirowane dla jakiegoś wojskowego średniego szczebla. To obraźliwe, nie sądzisz? Uważałam je za całkiem ładne.

- A co z twoim ojcem?

- W porządku - krótko i węzłowato odpowiada Trudy. - Ojciec jest w porządku.

- A skąd masz pieniądze? Teraz twój ojciec musi myśleć o sprawach, o które nie potrzebował się martwić całymi tygodniami.

- Wolno nam raz w tygodniu podejmować jakieś nieduże pieniądze, tylko że sprawa jest delikatna. Nie są to wielkie sumy, ale wszystko jedno... to, że masz konta, z których bierzesz pieniądze, wydaje się Japończykom bardzo dziwne. Chodzi o to, żeby nie dawać im zbyt wiele okazji do zdziwienia. Wszystko jest płynne w złym tego słowa znaczeniu. Nie ma żadnych przepisów, a nawet gdyby były, mogłyby zostać w każdej chwili zmienione.

- Czy musisz sama o siebie dbać? Otsubo nie okazał się magiczną kartą atutową?

Trudy się zastanawia. Jej usta wyginają się w łuk. Will z trudem opanowuje chęć ucałowania drobnej twarzyczki.

- Hmm... Nie nazwałabym go kartą atutową, bo jest dość interesowny. Wyświadcza przysługi, ale zaraz tego żałuje. Daje i ma ochotę odebrać. I trzeba mu mocno perswadować, żeby tego nie robił. Nie jest człowiekiem wspaniałomyślnym. Ludzie mający władzę rzadko są wspaniałomyślni. No, jesteśmy. - Trudy otwiera drzwi do mieszkania, które wydaje się pałacem w porównaniu z tym, do czego Will przywykł w Stanley. Jest to apartament z dużymi oknami wychodzącymi na błękitne morze upstrzone łódkami, z puszystym dywanem, grubymi jedwabnymi zasłonami i leniwie obracającymi się wentylatorami.

- Witaj w Pen! - Trudy składa przed nim ukłon.

- Proszę, proszę! - Will siada na łóżku. - Prawdziwa pościel. Zasłony, które można zaciągnąć przed słońcem. Założyłbym się, że w ubikacji jest nawet papier toaletowy.

- I wygrałbyś zakład. A teraz może chciałbyś mi podziękować, niewdzięczniku. Od kiedy to wypichciłam, spotykam się tylko z narzekaniem i podejrzeniami. Podziękuj mi.

Spotkanie jest pełne czułości, ukośne promienie popołudniowego słońca wpadają przez okno, płaski horyzont morza, kołyszące się w porcie łodzie, a obok niego... Trudy. Tak długo o niej myślał, tak bardzo tęsknił za dotykiem jej skóry, zapachem oddechu, że porusza się jak we śnie. Trudy jest cichsza niż zwykle i jakby spłoszona. Oboje są zbyt onieśmieleni, zbyt spragnieni, by mogło ich zaspokoić coś tak przyziemnego jak cielesność.

- Powiedz mi prawdę - mówi Trudy, siadając już po wszystkim na łóżku i trzymając prześcieradło - czy masz tam, w obozie Stanley, jakąś dziwkę? Jakąś amerykańską cizję, która skradła ci serce? Nie chcesz chyba twierdzić, że ktoś tak żarłoczny jak ty mógł przez ten cały czas żyć w celibacie? Jakie jeszcze masz rozrywki w tym koszmarnym obozie?

- Wiesz, że jestem żarłoczny tylko przy tobie. - Will nie odwraca pytania; czuje, że każda odpowiedź byłaby dla niego nie do zniesienia. Jeśli jest w stanie choćby jakąś małą cząstkę Trudy zachować dla siebie, to już dobrze. - Nie myśl o tych sprawach, to i ja nie będę o nich myślał. - Wyciąga do niej gałązkę oliwną, żeby móc się w maksymalnym stopniu cieszyć tym wspólnie spędzonym czasem.

Trudy odpreża się i wtula w niego.

- To jest koszmar - mówi. - Japończycy spędzają tych Chińczyków, którzy są im życzliwi albo udają takich ze względu na interesy, urządając absurdalne obiady z szampanem, podczas których wznoszą toasty za ich postawę, jakby mieli Bóg wie jakie zasługi dla społeczeństwa. To wszystko czysty surrealizm. Victor Chen jest niesamowicie napalony na Japończyków i za wszelką cenę stara się robić z nimi interesy. Boję się o Dommiego. Victor go po prostu wykorzystuje. Byliśmy na jednym z tych obiadów i stary przyjaciel naszej rodziny, David Ho, wstał i wznosił toast za dominację panazjatycką. A teraz uważaj : Ho był mężem Australijki, i to bardzo jej oddanym, ale kilka lat temu owdowiał i ożenił się ponownie, tym razem szczęśliwie dla siebie z Chinką. Co za tchórz. Nie uwierzyłabym, gdybym nie widziała tego na własne oczy. On ma dzieci w Australii; jak im teraz spojrzy w oczy. To najśmieszniejsze przyjęcia, jakie można sobie wyobrazić. Urządzają je w sali balowej Gloucester i robią wszystko, żeby były jak najbardziej wyszukane, a tymczasem są to najżałośniejsze imprezy pod słońcem. Filmy

propagandowe, kiepski alkohol i zakłamanie. Trudno sobie wyobrazić coś gorszego.

- To po co tam chodzisz?

Trudy wstaje z łóżka; jej ciało jest jak jeden wielki wyrzut.

- Już zapomniałam, jak to jest, kiedy człowiek nie rozstaje się ze swoim sumieniem, Will. Czasem trzeba robić rzeczy, których się nie chce robić. Nie zawsze możemy żyć w idealnej harmonii ze swoimi zasadami moralnymi.

Will słyszy, jak Trudy puszcza wodę. Zawsze uwielbiała kąpiele, potrafiła godzinami siedzieć w wannie. Wyłaniała się potem świeża, różowa, z twarzą lśniącą od wchłoniętego ciepła.

- A jak tutaj z wodą?! - woła Will pojednawczo. Mają za mało czasu, żeby go tracić na dawne pretensje.

- Nie najgorzej, jak na te warunki. Nie ma nic gorszego niż kąpiel w letniej wodzie, nie uważasz? Chcesz tu do mnie dołączyć?

Do ciepłej parującej wody dolewa płynu kąpielowego. Nad chmurą piany unosi się cytrynowy zielony zapach. Trudy i Will ślizgają się i tańczą wokół siebie, myjąc się nawzajem i starając się zachować delikatność, by nie płoszyć nastroju kruchego jak bańki w wodzie.

A na zewnątrz - dziwnie. Coś w rodzaju wolnego społeczeństwa. Ściągnięte twarze, podejrzliwe miny, każdy chce wtopić się w tło, byle nie rzucać się w oczy. Jest odwrotnie niż zazwyczaj: Amerykanie mówią cicho, Brytyjczycy są potulni, Chińczycy nieśmiali. Wszyscy są wyciszeni, z wyjątkiem Trudy i Dominicka, który przyłącza się do nich na lunch. Spotykają się w hotelowym holu. Dominick całuje Trudy w oba policzki; Willa obdarza lekkim skinieniem głowy.

- Jak się masz, kochanie - zwraca się do Trudy, wręczając jej kopertę wypchaną jakimiś papierami. - To od Victora. Przesyła ci serdeczne pozdrowienia. - Trudy blednie.

- Serdeczne pozdrowienia?

Po opuszczeniu hotelu Trudy i Dominick idą tak, jakby cała ulica należała do nich - są ubrani w ekstrawaganckie, ewidentnie drogie rzeczy i głośno się śmieją.

- Jeśli zachowujesz się tak, jakbyś był kuloodporny, kochanie, to większość ludzi cię za takiego uzna - zapewnia Willa Trudy. - Możesz mi wierzyć, testuję tę teorię bardzo starannie. - Wyciąga zniszczoną niebieską książeczkę pokrytą stemplami. - A to jest bardzo pomocne.

Dostałam tę książeczkę od Otsubo i jeżeli jakiś żołnierz mnie zatrzyma, to wie, że ma mnie traktować w białych rękawiczkach; inaczej słono za to zapłaci. Zwykle na widok pieczętki Otsubo sztywnieją, a potem dosłownie rzucają we mnie tą książeczką, jakby ich parzyła, kłaniając się unieźenie w aż krępujący sposób. Jestem od niej uzależniona.

- A Dominie?

- On też ma taką książeczkę z pieczętką swojego opiekuna. Wszyscy najważniejsi ludzie mają opiekunów. - Trudy śmieje się perliście.

- A co Otsubo na to, że mnie wyciągnęłaś z obozu? Wie o tym?

- On mi to przecież załatwił. Szczerze mówiąc, nie robi na mnie wrażenia zazdrosnego. I nie sędzę, żebyście się musieli spotykać. Co byś powiedział na kantonkie jedzenie? Ja mam ochotę na makaron.

- Po chińsku?

- Pozostałe potrawy są zwyczajnie niejadalne, nikt ich nie potrafi ugotować.

- Czy kiedykolwiek opuściłaś posiłek?

- Kochanie, każdy Chińczyk wie, że opuszczenie posiłku grozi zejściem słońca w środku dnia. Ja takich rzeczy nie robię, chyba że już nie mam innego wyjścia. Dommie zna mały lokalik, gdzie dają najlepszy makaron ryżowy z rosółem, który gotują na okrągło. Oczywiście rosół jest najlepszy o drugiej nad ranem, bo gotował się przez cały dzień, ale obecnie patrzą podejrzliwie na każdego, kto jest późno na mieście bez towarzystwa jednego z naszych wielkich liderów.

- A jak tam Grill? Działa w dalszym ciągu?

- Chodzimy tam. Jest nawet bardzo wesoło. Goście to nie sami Japończycy. Są grupy Amerykanów i Brytyjczyków na wolności, i nie pytaj dlaczego, w każdym razie Japończycy dają im spokój. Są też jeszcze różni inni ludzie, Szwajcarski Czerwony Krzyż, trochę Niemców. Mówię ci, Hongkong to w tej chwili najciekawszy ludzki przekładaniec. Wojna wymieszała wszystkich jak w tyglu. Weźmy na przykład taką Jinx Beckett, Amerykankę. Nie znam jej historii i nie wiem, dlaczego nie przebywa z tobą w obozie Stanley, chociaż nie jest ani ważnym bankierem, ani urzędnikiem państwowym. Na pewno ją poznasz. Bo wszędzie jej pełno... jako osoba wścibska wtyka nos, gdzie tylko się da. Poza tym dalej odbywają się przyjęcia. Chodzimy

do Grippsa potaćczyć, chociaż od czasu do czasu przerywają muzykę i wyświetlają na ścianach wesołe propagandowe filmy. Oczywiście poświęcone dominacji panazjatyckiej. Jakby nie rozumieli, że wyświetlają je dla tłumu nie - Azjatów. Gryząca ironia.

Will dostrzega kiosk z gazetami; dla niego to niecodzienny widok.

- Miałbym wielką ochotę na gazetę. Ciekawe, jak obecnie wygląda gazeta angielska?

- Na jej czele stoi Szwed, który działa pod ścisłym nadzorem Japończyków - mówi Dominick. - Skutek łatwy do przewidzenia: banialuki. Pewnie chcesz gazetę, prawda?

- Chcę - mówi Will, biorąc „Standard” i „News”. Trudy płaci.

- To sama propaganda - szepcze - drukują to, co im każą.

- Więcej subtelności, kochanie - Dominick ucisza Trudy. Nagle, jakby od niechcienia, zwraca się do Willa: - No więc jak jest na wolności? - Do tej pory wymienili zaledwie grzecznościowe pozdrowienia. - I czy rzeczywiście tam, w obozie, jest tak strasznie, jak się mówi? W gazetach naturalnie piszą, że jesteście traktowani, jakbyście byli co najmniej gośćmi honorowymi w Ritzu.

- Tak, nie jest idealnie. Ale tutaj atmosfera też wydaje się napięta. Wszyscy chodzą, jakby się skradali.

- Czy to prawda, że jest tam Asbury i że sam robi sobie pranie jak jakiś zwykły riksiarz? - Dominick miał na myśli znanego ze swojej wyniosłości bankiera.

Will rzeczywiście widział Asbury'ego, jak grzebał w ziemi, usiłując założyć jakiś ogródek, i jak wieszał swoje podkoszulki, bo jego żona cały czas leżała w łóżku.

- Owszem, jest, ale się nie poddał. Nawet w tych warunkach zachował godność.

- Tak, rzeczywiście, nie jesteśmy już sobą - Dominick rozgląda się dokoła. - Jedni w większym, inni w mniejszym stopniu.

Will kwituje to milczeniem.

- Lepiej być mimo wszystko człowiekiem wolnym, nie uważasz? - podsumowuje Trudy. - Oczywiście, że i tutaj podlegamy pewnym ograniczeniom, ale przynajmniej nikt nam nie mówi, co mamy robić albo kiedy jeść. Wracają usługi. Ceny żywności idą raz w górę, raz w dół, ale ostatnio się ustabilizowały. Możemy podejmować niewielkie sumy. Działa komunikacja miejska, do pewnego stopnia i poczta.

Życie się jakoś normuje, mimo że dalej jest ciężko. I że ciągle jeszcze widzimy na ulicach ludzkie zwłoki, co naturalnie nie jest przyjemne. Nie mówiąc o tym, że Japończycy zmuszają kulisów do pracy ponad siły w sposób bardziej bezwzględny, niż to robili Chińczycy. A poza tym masowo odsyłają ich do Chin. Przypuszczam, że chcą zmniejszyć tutejszą populację o połowę.

- W dzisiejszych czasach nie ma nic łatwego, prawda? - mówi Dominick. - O, tu jest ta restauracja.

Po lunchu Dominick idzie do pracy, „takiej, jaka jest”, zauważa leniwy jak zwykle, a Trudy i Will wybierają się na zakupy. Trudy w poszukiwaniu skarbów buszuje po różnych targowiskach.

- Widziałam rzeczy, które pamiętam z domów przyjaciół! - mówi, grzebiąc w rozłożonych na stole kradzionych przedmiotach. - Ten zegar ze stopu miedzi i cynku należał do rodziny Ho, a ten oryginalny miecz wisiał nad kominkiem u Chenów. Chciałam je kupić, ale nie miałam tyle pieniędzy. To podłe szczury - Trudy zniża głos - zabrały wszystko, co zdołały unieść, a potem przyszli miejscowi i obrobili każdy dom do czysta. Płakać się chce na widok tych okrętów, które mają odpłynąć do Japonii wyładowane po brzegi pięknymi rzeczami, które kiedyś zgromadzili nasi przyjaciele. Samochody, meble, biżuteria! Obecnie żony żołnierzy bawią się w przyjęcia, podając herbatę w cudzej porcelanie Wedgwood.

- Czy jest do kupienia jakieś jedzenie, które mógłbym zabrać ze sobą do obozu?

- To zależy od dnia i od tego, co im się uda znaleźć. Czasem jest mleko w proszku, czasem musztarda. Zobaczymy. - Trudy robi pauzę.

- To sprowadzanie wszystkiego do rzeczy niezbędnych jest czymś wyzwalającym. Myślenie o sukienkach i piknikach wydaje się wręcz frywolne.

- Ale jedzenie i mieszkanie ty i Dominick macie chyba na godziwym poziomie... - Will stara się ich nie osądzać.

- To prawda - mówi Trudy beztrąsko - lecz jutro rano możemy to wszystko stracić, dlatego trzeba się cieszyć chwilą.

Przecina Pottinger Street i skręca w mały zaułek.

- Tu jest taki niewielki sklepik, w którym można dostać fantastyczne rzeczy.

- Na co jest największe zapotrzebowanie?

- Oczywiście na żywność. Niektórzy ludzie zaczęli spekulować złotem i w ogóle... Potem pójdziemy na targ.

Trudy pcha drzwi, które uruchamiają dzwonek. Wewnątrz panują ciemności i zapach drzewa tekowego pomieszany z wonią wosku do polerowania drewna. Jest to sklep z kolekcjonerskimi perełkami. Na szklanych porysowanych i brudnych kontuarach leżą orientalne rarytasy. Trudy rozmawia po kantońsku ze stojącą za ladą kobietą, która drepcze na zaplecze, szurając szmacianymi kapciami.

- A czego tutaj szukamy?

- Mój opiekun zlecił mi załatwienie pewnej sprawy, rozumiesz.

- To brzmi bardzo tajemniczo.

Wraca kobieta w towarzystwie niskiego, zgarbionego mężczyzny ubranego w czarne jedwabie. Wydaje się zirytowany. Trudy znów coś mówi, bardzo szybko, rysując w powietrzu małymi dłońmi duży czworokąt. Mężczyzna wzrusza ramionami i potrząsa głową. Głos Trudy nabiera piskliwych tonów. Kończy gwałtownym wybuchem i odwraca się do wyjścia.

Ostre słońce na zewnątrz stanowi gwałtowny kontrast z panującymi wewnątrz ciemnościami.

- A co z jedzeniem? - pyta Will.

Trudy odpowie mu dopiero, kiedy będzie gotowa.

- Właśnie, jedzenie - bierze go za ramię jakby w geście podziękowania. - Czasem myślę, że mógłbyś być także Chińczykiem.

Rynek wydaje się taki sam jak zawsze - zaszuszone stare kobiety w typowych dla kulisów kapeluszach o szerokich rondach i czarnych kitlach, pochylone nad swoimi towarami, nawołują potencjalnych klientów. Tu kosz zieleniny, tam twaróg sojowy w pojemniku pełnym mlecznej wody z wystającymi żółtymi pędami. Willowi przypomina się ten charakterystyczny zapach: zieleń, lekko mdląca woń błota, które przylgnęło do jarzyn. Przychodził tutaj w weekendy z Trudy, której matka kiedyś powiedziała, że nigdy nie powinna być zbyt wielką damą na to, żeby osobiście chodzić na rynek i samej zaopatrywać się w produkty żywnościowe.

- Przynajmniej od czasu do czasu - mówi Trudy. - Oczywiście nie stale. Na pewno nie spotkasz tu nikogo z naszych tutejszych znajomych. A zresztą dla mnie to nie ma znaczenia. To przecież sprawa elementarna, nie uważasz? Żeby samemu móc wybrać

właściwą cebulę czy zdecydować, jaką się będzie jadło rybę, a także dopilnować, żeby została dobrze oczyszczona.

- Jak to się dzieje, że niczego nie brakuje? - pyta Will pochyloną nad rzodkiewkami Trudy.

- Owszem, brakuje. A tutaj jest wszystko, ale po niebotycznych cenach. Okoliczni chłopci ściągają teraz do miasta, bo wiedzą, że za swoje towary dostaną tu pięć czy sześć razy więcej niż u siebie, dlatego cały handel koncentruje się w Hongkongu. Przywożą na przykład dziesięć arbuźów czy worek rukwi wodnej. To dobre dla ducha... móc czasem zobaczyć, do jak elementarnych rzeczy sprowadza się życie. Hodujesz coś w ziemi, potem to wykopujesz, sprzedajesz za pieniądze, by następnie kupić za nie coś, co jest ci potrzebne.

Później, po zdobyciu konserw, jarzyn i papierosów dla Willa, Trudy postanawia zabrać go na przejażdżkę dokoła dzielnicy Peak, żeby mu pokazać zniszczenia: zbombardowane domy, zniszczone drogi, rozpadające się mury.

- Wyobrażasz sobie, co te bomby tutaj narobiły? Ale już zaczyna się odbudowa. Do tego celu używają siły niewolniczej czy... jak to nazywają... Korpusu Wolontariuszy z Chin. W ten sposób naprawiają drogi i próbują ratować domy. Te, które zarekwirowało wojsko japońskie, wyglądają nawet całkiem nieźle.

Mijają dom, który kilkunastu kulisów maluje akurat z zewnątrz na biało.

- Czy wiesz, że król Tajlandii ma słonia, którego nauczyli malować?

- To jedna z twoich dziwaczych opowiastek.

- Nie, mówię poważnie. Ojciec twierdzi, że tego słonia widział na własne oczy.

- I rzeczywiście kazali słoniowi malować pałac?

- Ależ skąd! Jestem przekonana, że tylko jakieś prymitywne zabudowania gospodarcze, stodoły... tego rodzaju rzeczy.

- Naturalnie, kochanie. - Zatrzymali się w miejscu widokowym, z którego turyści podziwiają zwykle port w Hongkongu.

- Może wysiadziemy?

Wita ich chwiejny metalowy płatek, pod nogami żwir z ziemią i wiatr o metalicznym zapachu stanowiącym zapowiedź zimy. Trudy tuli się do Willa, wiatr rozwiewa jej włosy i tak stoją, patrząc na zieleń

morza i białe przysadziste budynki stłoczone wzdłuż brzegu i w porcie.

- Jaka cisza i spokój, prawda? - mówi Trudy w zadumie. - Woda w Hongkongu ma zupełnie inny kolor niż gdziekolwiek indziej na świecie, jest butelkowozielona. To pewnie dlatego, że odbijają się w niej góry. - I po chwili milczenia dodaje: - A jeszcze kilka miesięcy temu była czerwona od krwi. Łodzie i ludzkie ciała pokrywają dno morza grubą warstwą, jestem o tym przekonana. To naprawdę szokujące, jak szybko sprawy zaczęły wracać do normy, jak natura gładko przełyka wszelkie aberracje.

- Co się stało z domem Angeline?

- Udało jej się go jakoś utrzymać, chociaż nie wiem, dlaczego nie przeniesie się do miasta. Tutaj jest pełno dostojników armii japońskiej, którzy porekwirowali domy, i naprawdę nie wyobrażam sobie, że może tu być bezpieczna. Od czasu do czasu jadamy razem lunch... Dominick, Angeline i ja. Próbujemy udawać, że jest normalnie.

- Wszystko u niej w porządku?

- Nie wszystko. Tak jak u każdego z nas.

Wracają do hotelu, gdzie Trudy zaczyna pakować świeżo zdobyte rzeczy do walizki Willa.

- Myślę, że jak wrócisz, będziesz bardzo popularny.

- Musimy znaleźć jakiś sposób na przemykanie zapasów do obozu. Dzieciom brakuje witamin i białka.

Dzwoni telefon.

- Victor - mówi Trudy do słuchawki. Jej głos jest spokojny. - Tak, dostałam. Dommie mi ją przekazał. - Trudy robi pauzę. - Tak, wiem, próbuję. - Znów przerwa. - Jak tylko będę mogła, to się odezwę, ale proszę cię bardzo, nie dzwoń do mnie więcej w tej sprawie. - Energicznie odkłada słuchawkę.

- Wszystko w porządku? - pyta Will.

- Zobacz, jaka jestem oszczędna. - Trudy ignoruje jego pytanie i zaczyna na małej płytce parzyć kawę. - Trzeci raz robię to tutaj. Widziałeś taką skrzętną mrówkę? Mam nadzieję, że jesteś ze mnie dumny.

Popijają gorącą gorzką kawę bez mleka i cukru.

- O, zapomniałabym. - Podchodzi do stolika nocnego i z szufladki wyjmuje złożoną gazetę. - To jest artykuł redakcyjny, który

ukazał się w tym żalonym szmatławcu z okazji walentynek. Dommie uważa, że powinnam go oprawić w ramki. - Zaczyna czytać: - „Eurazjaci stanowią problem we wszystkich koloniach brytyjskich. Ten termin luźno odnosi się do potomstwa mieszanych małżeństw i ich dzieci itd., itd. To, że Anglia i niektóre inne mocarstwa zachodnie wolą gnębić Eurazjatów, zamiast ich zaakceptować i wykorzystać ich atuty, wydaje się zdumiewające tym wszystkim, którzy się problemem interesują. Eurazjaci mogą być bowiem bardzo pożyteczni dla tych mocarstw, stanowiąc cenny łącznik pomiędzy narodem rządzącym a rodzimą populacją”. - Trudy unosi głowę. - Chcesz dalej posłuchać?

- Mogę to zobaczyć? - Trudy wręcza mu gazetę i Will przelatuje wzrokiem artykuł. Jest to grubymi nićmi szyta dziennikarska robota.

- A najśmieszniejsze, że na jakiś tydzień przed ukazaniem się tego wstępniaka mówiłam Otsubo, że jestem Eurazjatką.

- Naprawdę?

- Tak, naprawdę. Czy to nie ciekawe? Opowiadałam mu, że kiedy byłam mała, inne dzieci śmiały się ze mnie i wytykały palcami, a na ulicy niektórzy Europejczycy robili mi zdjęcia, jakbym była jakimś rzadkim zwierzęciem w zoo.

- Musiało to być dla ciebie trudne, ale tacy ludzie to zwykli ignoranci.

- Przewróć stronę. - Trudy gestem wskazuje gazetę.

- Dalej o tobie?

- Nie, po prostu kolejny przykład absurdów, jakim jesteśmy na co dzień poddawani. Widzisz ten materiał na temat much domowych? Jeśli złapiesz dwie uncje chińskich much i zanieśiesz do biura okręgowego, to masz prawo do uncji ryżu. Sama widziałam ludzi taszczących tobołki z muchami. W głowie się nie mieści. Japończycy są jeszcze bardziej dziwaczni od Anglików. Nigdy w życiu bym nie wpadła na taki pomysł. - Nagle Trudy zwraca się do Willa: - Wiesz, że miałam osiem lat, kiedy zniknęła moja matka? A ósemka ma być dla Chińczyków szczęśliwą liczbą. Zawsze się zastanawiałam, czy dlatego mnie to spotkało, że jestem tylko pół - Chinką. Połowa ósemki to cztery, a cztery to katastrofa... śmierć. Wiedziałeś?

- Powiedz mi, jak zapamiętałaś matkę?

- To są jakieś strzępy wspomnień. Niewiele się udzielała, bo nie pasowała do towarzystwa. Nie była Angielką, więc Anglicy nie chcieli mieć z nią nic wspólnego, a chińskie taitai z pewnością za nią nie

przepadały. Jej z kolei brakowało siły czy pewności siebie, żeby coś z tym zrobić. Dlatego, nie mając przyjaciół, siedziała dużo w domu. Pięknie ubrana zajmowała się głównie plotkowaniem ze służącymi. Podejrzewam, że i one patrzyły na nią z góry. Ojciec bardzo ją kochał, ożenił się z matką wbrew sprzeciwom rodziny, ale był tak zajęty, że niewiele miał dla niej czasu. Bywało, że matka zabierała mnie do ogrodu botanicznego albo na herbatę do Gloucester. Nosila rękawiczki, toczek na głowie i proste spódnice. Mnie też ubierała bardzo starannie. Była piękna, ale myślę, że smutna.

- Nigdy do tej pory o niej nie mówiłaś.

- Bo niewiele pamiętam. - Trudy robi pauzę. - Przypominam sobie, że opowiadała mi o swoim dzieciństwie. Jej rodzina była bardzo biedna. Matka miała z tego powodu różne zabawne kompleksy. Na przykład nie jadła zup, bo uważała, że zupy to strawa biedaków. Wychowała się w domu, w którym to, co akurat mieli, wrzucali do garnka z wodą, solili obficie i już był posiłek. Nie chciała, żebym dorastała w nieświadomości naszego dobrobytu i doceniała to, że ludzie bogaci mają poczucie bezpieczeństwa... nie chodziło jej oczywiście o siebie, tylko o moje bezpieczeństwo, bała się, że może być zagrożone. I, jak widać, miała rację. Nie jestem bezpieczna. W życiu zaszłam daleko, ale świat się zmienił i już naprawdę nie wiem ani kim jestem, ani na co mnie jeszcze stać.

Po kochaniu leżą jeszcze jakiś czas w łóżku. Trudy odsuwa się, nagle onieśmielona, i patrzy w sufit. Słowa zaczynają się z niej wylewać, jakby nieproszone, spontaniczna spowiedź, której nie jest w stanie powstrzymać.

- Zawsze wiedziałam, kochanie, że jestem kameleonem. Byłam koszmarną córką, bo ojciec mnie tak wychował. Po prostu nie wiedział, co ze mną robić, tak bardzo czuł się winien tego, że nie mam matki. A póki była, byłam dobrą córką. Bo ona nie potrafiła inaczej. Później, z wiekiem, co roku stawałam się inną osobą, w zależności od tego, z kim byłam. Jeśli byłam z łajdakiem, stawałam się kobietą łajdaka. Jeśli byłam z artystą, stawałam się mużką. A kiedy byłam z tobą... z pewnością ludzie ci to mówili... po raz pierwszy w życiu stałam się przyzwoitym człowiekiem. Nikt w Hongkongu nie mógł zrozumieć, dlaczego ktoś taki jak ty zawraca sobie głowę kimś takim jak ja. Wiesz o tym, prawda? - Trudy podpira się łokciem i deszcz brązowych włosów spływa na jej ramiona. - Ale teraz okoliczności się

zmieniły i wróciłam do dawnych nawyków: znów stałam się kobietą, która jest z kimś tylko dla własnej wygody, bez żadnego innego powodu poza zwykłą sprzedajnością. Niczym się nie różnię od tej Rosjanki Tatiany, tej, którą tak pogardzałam. Jesteśmy jak siostry. Doceniamy się nawzajem. Z pewnością nikt się nie dziwi.

- To melodramat - mówi Will. - Absurd.

Trudy milczy; jedną ręką nerwowo odgarnia włosy z twarzy, drugą manipuluje wokół ust.

- Tylko mi nie mów, że cię nie uprzedzałam. Uprzedzałam cię. Musisz wiedzieć, że ci powiedziałam.

Dzwoni telefon.

Trudy sięga po słuchawkę - jej usta tworzą napiętą linię.

- Tak, oczywiście. Oczywiście, że dopilnuję.

Odwiesza słuchawkę i odwraca się do Willa. Jej twarz jest nieprzenikniona.

- Jak się okazuje, Otsubo chciałby cię poznać. Interessant, non?

- Czyżby?

- Nie wiem, jakie są jego intencje, ale musimy robić to, co nam każą. Nie masz nic przeciwko temu, prawda? Zresztą i tak nie mamy w tej sprawie żadnego wyboru. Będzie także Dommie.

Wieczorem, po kolejnej gorącej odbytej w milczeniu kąpieli, ubrana już do wyjścia Trudy przynosi jedno z dawnych ubrań Willa i oboje ze śmiechem patrzą, jak wszystko na nim wisi. Jest to jedyny moment wymuszonego humoru w ciągu całego pełnego napięcia popołudnia. Na koniec lądują w niewielkiej salce restauracji w Tsim Sha Tsui, gdzie kontemplują orzeszki w małej porcelanowej miseczce w czerwone smoki. Trudy w szybkim tempie popija szampana; Will zapala papierosa.

- To ma być taki dobry lokal?

- Może z wyglądu nie jest specjalnie reprezentacyjny, ale obecnie dają tu najlepsze ryby w całym mieście. - Wchodząc, widzieli przed lokalem blaszane wiadra, w których pływały duże, leniwe, nieświadome swojego losu ryby.

- On lubi chińskie jedzenie?

- Zaczyna nabierać smaku. - Trudy bębni palcami o stół; słychać stukot jej paznokci. - Dommie się spóźnia, dureń skończony. Dlaczego zawsze robi to samo?

- Często jadasz w towarzystwie Dominicka?

- Co wieczór.

- Po co tyle krzesel? Kto jeszcze ma przyjść?

- Oni poruszają się stadami, kochanie. Otsubo nigdy by się nie pokazał bez całej świty potakiwaczy i pochlebców.

- I oczywiście musi się spóźniać.

W tym momencie otwierają się drzwi i do środka wchodzi gęsiego grupka mężczyzn. Natychmiast jest jasne, który z nich to Otsubo. Wszyscy czekają, aż wybierze sobie miejsce.

- Otsubo - san - mówi wesoło Trudy, wstając. - Spóźniasz się, jak zwykle. - Wygląda dziś uroczo w błyszczącej jedwabnej sukni tunice pomidorowego koloru, z włosami zaczesanymi do tyłu i upiętymi w kok.

Czas się przedstawić. Will wstaje.

- Miło mi pana poznać. Jestem Will Truesdale.

- Otsubo - mówi mężczyzna szorstko i gestem pokazuje, że mają usiąść. - Pan Chan nieobecny?

- Wkrótce będzie. Trudno o tej porze dojechać. - Trudy siada między Otsubo a Willem.

Japończyk, ubrany w dobrze skrojony garnitur z tropiku, jest niski i krępy, ostrzyżony krótko, po wojskowemu. Przez centymetrowej długości włosy prześwieca tłusta skóra czaszki. Wyłupiaste świńskie oczka tkwią jakby zatopione w obrzękłej gładkiej twarzy. Krótko mówiąc, jest bardzo nieatrakcyjny. Trudy wygląda przy nim jak kolorowy, wspaniały flaming.

Przybocznicy Otsubo siadają przy stole, anonimowi w swojej masie. Rozmawiają między sobą po cichu, żeby szef nie musiał ich przekrzykiwać. Otsubo zamawia koniak.

- Otsubo nabiera chińskich upodobań - mówi Trudy. - Uwielbia teraz napoje energetyzujące XO.

- Niektóre chińskie rzeczy są dobre - oświadcza Otsubo. - Przynajmniej są azjatyckie. Zapada cisza.

- Co będziemy jedli? - przerywa milczenie Trudy. - Ucho morskie? Płetwę rekina? Czy mam pełnić honory?

Otsubo kiwa głową i Trudy szybko składa zamówienie po kantońsku. Mówi biegle po kantońsku, szanghajsku, mandaryńsku, francusku i angielsku. Niektórzy z mężczyzn przyglądają się zamawiającej Trudy; ich twarze są nieprzeniknione. Musi stanowić kompletną tajemnicę dla tych chłopców wygarniętych

najprawdopodobniej z japońskich wiosek i zmuszonych do służby dla ojczyzny w obcym kraju o zupełnie innym języku i zwyczajach, gdzie taka kobieta jak Trudy przefruwa z miejsca na miejsce niczym kolorowy motyl. Popijają piwo prosto z butelek i nieustannie palą. Im się koniaku nie proponuje.

W pewnym momencie spiesźnie wchodzi Dominick.

- Otsubo - san - mówi i kłania się. - Tak bardzo mi przykro, że zachowałem się niegrzecznie, ale zatrzymały mnie ważne sprawy. - Will nigdy nie widział tak wzburzonego Dominicka.

- Znów się spóźniłeś - gani go Otsubo. - A to zły zwyczaj i w interesach, i w towarzystwie.

- Wiem, wiem. Moi wychowawcy z Harrow zawsze mnie ganili za spóźnianie.

Trudy później powie Willowi, że dla Japończyków to, iż Dominick chodził do najlepszych angielskich szkół, ma kolosalne znaczenie, chcą znać wszelkie szczegóły, a on przy każdej okazji chętnie zaspokaja ich ciekawość.

- Nienawidzą tego, ale jednocześnie uwielbiają. Czy to nie reguła?

Dominick podaje Otsubo pudełko.

- To wyraz mojego uznania za to wszystko, co pan zrobił dla mnie i dla Hongkongu.

Japończyk burkliwie wypowiada podziękowanie, lecz nie bierze pudełka. Dominick, w oczywisty sposób nieprzyzwyczajony do opryskliwości, robi krok do tyłu, po chwili odzyskuje równowagę i gładko wsuwa się za stół.

- Może wobec tego później - mówi do Willa pojednawczo, jakby dawał sygnał, że oni dwaj są ulepieni z innej gliny niż ten Japończyk.

Will odwraca się dla podkreślenia, że odmawia jakiegokolwiek komitywy z Dominickiem, że odcina się od jego głupoty. Trudy dolewa herbaty.

- Panie Truesdale - Otsubo zwraca się do Willa po angielsku, po czym kontynuuje rozmowę przez tłumacza. - Jak pan znajduje obóz? - Tłumacz jest młodym, szczupłym mężczyzną w okularach. Mówi z ledwie dostrzegalnym akcentem.

Will się waha. Nie wie, do jakiego stopnia może być szczery.

- Da się żyć, ale, niestety, mimo wysiłków kierownictwa obozu często występują braki w zaopatrzeniu. Chodzi o żywność i leki, a

przecież w obozie są kobiety i dzieci. W dotkliwy sposób odczuwamy te niedostatki.

Otsubo słucha i kiwa głową.

- To wstyd - mówi. - Zbadamy tę sprawę. - Tłumacz robi wrażenie zdenerwowanego.

Podają pierwsze danie. Jest to przystawka po chińsku - meduza na zimno. Will dowiedział się od Trudy, że chiński posiłek ma swoją określoną sekwencję dań, według której się rozwija. A więc najpierw zimna zakąska, na przykład raciczki wieprzowe na wermiszelu z meduzy; potem zakąska ciepła, na przykład krewetki z sezamową posypką, płetwa rekina albo zupa z zimowego melona; następnie danie firmowe, jakim jest kaczka po pekińsku, jakieś mięso - wieprzowina na słodko - kwaśno, wołowina duszona w jarzynach z choi sam, ryba, różne warzywa, a na koniec obowiązkowo makaron albo ryż smażony, w zależności od regionu. Chińczycy unikają ciężkich deserów - poprzestają na leguminie z zimnego mleka kokosowego albo - jeśli są szczególnie głodni - preferują knedle z jabłkami smażone w gorącym oleju i natychmiast, dla chrupkości, zanurzane w lodowatej wodzie.

Otsubo nakłada sobie pierwszą porcję i kręci tacą obrotową w kierunku swoich ludzi. Trudy udaje, że nie dostrzega afrontu. Częstuje Willa i Dominicka, a następnie bierze sama maleńką porcję bursztynowych macek przykrytych sosem musztardowym.

Otsubo mozolnie żuje przystawkę, po czym zabiera głos:

- W obozie jest wiele wybitnych postaci, prawda? Przywódców społeczeństwa i biznesu?

- Z pewnością. Ale w tej chwili jesteśmy zredukowani do tych samych trudnych warunków. Nikt nie ma więcej niż inni.

- Przebywanie w takim miejscu musi być dla nich dziwne. A takie przeżycia trudne do zniesienia.

- Tak sądzę.

Trudy jest nietypowo milcząca.

- Jak na przykład dla biednego Hugh - odzywa się w końcu. - Nie mogę uwierzyć, że tacy wspaniali ludzie muszą sami pracować sobie skarpetki. Wątpię, czy kiedykolwiek w życiu zrobił sobie kanapkę z szynką.

Jedzą meduzę. Jest zimna i przypomina gumę.

Ponownie odzywa się Otsubo.

- A czy jest tam człowiek o nazwisku Reggie Arbogast? - pyta przez tłumacza. - Biznesmen związany z rządem?

- Tak, Reggie jest wśród internowanych.

Otsubo patrzy na Willa w zmyśleniu.

- Czy to pana przyjaciel? - ponownie pyta przez tłumacza.

- Przyjaciel to za mocno powiedziane. Jesteśmy znajomymi, ale nasze wspólne doświadczenie nas zbliżyło, co do tego nie ma wątpliwości.

- Proszę, może więcej alkoholu. - Tłumacz napełnia whisky szklaneczkę Willa.

- Dziękuję. - Will podnosi trunek do Otsubo.

- Dobra whisky - mówi Japończyk bez pomocy tłumacza, wymawiając „wiski”.

- Tak, bardzo dobra.

- Pij. Dziś jesteś wolny.

- Nie było tak źle. - Will przytrzymuje drzwi przed Trudy. Po zadymionym, nagrzanym lokalu powietrze wydaje się rześkie i czyste.

- Tak - potwierdza Trudy. Robi wrażenie szczęśliwej, że już jest po wszystkim, oddycha z ulgą, że nie odebrano jej przepustki. - Lepiej niż można się było spodziewać.

- Jest interesującym...

Przed nimi zatrzymuje się samochód; ktoś odkręca okno.

Wysuwa się pulchna ręka i gestem przyzywa Trudy do środka. Trudy jest blada, daje Willowi szybkiego całusa i wsiada do samochodu.

- Później się zobaczymy, kochanie - mówi. - Nie czekaj na mnie.

O świcie, około trzeciej nad ranem, kiedy Will śpi niespokojnym snem, drzwi otwierają się cicho i Trudy wchodzi na palcach, zmierzając prosto do łazienki. Will zapala lampkę przy łóżku, słucha szumu wody i czeka, aż Trudy skończy ablucje. Kiedy wreszcie wślizguje się pod kołdrę, widzi wielki siniak formujący się dookoła jej lewego oka. W zachowaniu dziewczyny jest coś, co każe Willowi wstrzymać się od jakichkolwiek pytań.

- Masz niezłą śliwę pod okiem - zauważa.

- On jest naprawdę dziwny - mówi Trudy, gasząc lampkę. Leżą pograżeni w szarości przedświt, nasłuchując swoich oddechów.

Po upływie kilku długich minut, kiedy Will wbrew sobie ukołysany luksusem miękkiego łóżka i dawno niezaznawanym ciepłem drugiej istoty obok zaczyna zapadać w sen, Trudy szepcze:

- Kiedy powiedziałam „dziwny”, miałam na myśli dziwny jako kochanek. Zrozumiałeś to, prawda? Otsubo nie jest złym człowiekiem, możesz mi wierzyć. - W tym momencie, w blasku księżyca, który oblewa jej lśniące włosy i gładką, napiętą skórę, Trudy przypomina mu skorpiona.

Tego jest już za wiele. Will siada; Trudy patrzy na niego pytająco.

- Trudy - zaczyna Will i przerywa dla zebrania myśli, nie wie, jak to wyrazić. - Musisz zrozumieć, że są jakieś granice. - Unosi jej podbródek. - Są jakieś granice cierpliwości, która pozwala mi to znosić.

- Och.

- Nie jestem tą osobą, którą chciałabyś we mnie widzieć. Nie w tej chwili.

- Powinnam być ostrożna. Powinnam uważać - przyznaje z pokorą Trudy. - Przepraszam cię, kochanie. Jestem pijana. Nie kłóćmy się.

- Masz rację.

Trudy siada na łóżku i zapala światło.

- Akurat w tym momencie nie jestem usposobiona do spania. Czy moglibyśmy porozmawiać? Czy chociaż na sekundę moglibyśmy się stać tymi, którymi byliśmy, zanim to wszystko się zaczęło?

- To niemożliwe. - Przygarnia ją do siebie; głowa Trudy spoczywa na jego ramieniu. Will czuje od niej papierosy i alkohol, i mówi jej to.

- Śmierzę jak dziwka. - Przysuwa się bliżej do niego. - Wspomniałam ci, że Frederick nie żyje, ale nie powiedziałam, w jakich okolicznościach zginął.

- Nie - potwierdza Will - tego mi nie powiedziałaś.

- No więc miał możliwość powrotu do Hongkongu. Cały jego oddział został wymordowany, a ponieważ był przywódcą, czy jak tam go nazwiemy, darowali mu życie i pod eskortą odprowadzili do Hongkongu. Pozwolili mu wrócić, ale kazali nieść... - głos nagle zawodzi Trudy. - Kazali mu podcinać uszy swoim ludziom, wrzucić je do niewielkiej torby i nieść. Powiedzieli, że jego ręce są umoczone we krwi, a przecież cała torba była przesiąknięta krwią. A ten smród...

cały czas o tym myślę, nie mogę przestać... o tym, jak to musiało koszmarnie cuchnąć i jakie musiało być oślizgłe, a on śmiertelnie zmęczony... I ten głód na samym początku, zanim jeszcze niektóre targowiska zdążyły się na nowo pootwierać. I te pogłoski, te straszliwe pogłoski... Zwierzęta domowe poginęły. Nawet... - Potok wymowy Trudy przerywa czknięcie. - Podobno nawet małe dzieci...

- Jeśli się ciągle myśli o nieszczęściach, Trudy, to one się nigdy nie kończą.

- Pamiętasz obiad, o którym ci mówiłam, kiedy lokalni notable próbowali lansować nowy porządek, a stary przyjaciel mojej rodziny, ten, który ożenił się z Australijką, zdradził białą rasę? Ten obiad zorganizowany przez Victora?

- Owszem, pamiętam.

- Nie wspomniałam ci o tym, ale kiedy tak siedzieliśmy, elegancko ubrani, starając się nie myśleć, że jesteśmy hipokrytami, którzy idą na zbyt wielkie ustępstwa, aby kiedyś, kiedy to wszystko się skończy, móc spokojnie spojrzeć w lustro, no więc wtedy, w którymś momencie wieczoru... a popijaliśmy ostro... Dominick powiedział coś głupiego. Nie pamiętam nawet zbyt dobrze, co to było, w każdym razie coś kretyńskiego i jednocześnie błyskotliwego, wiesz, jak to Dominick.

- Owszem, wiem - mówi Will.

- I wtedy facet, który ten obiad zaaranżował, niejaki Ito, dyrektor departamentu ekonomicznego Gunseicho (Japoński Wojskowy Zarząd Okupacyjny w latach 1942 - 1945.), wstał i zaczął się do nas zbliżać, więc wszyscy jakby zamarli, bo szedł zdecydowanie, z wyraźnym... nie wiem, jak to nazwać... celem, a potem stanął przed Dommie i uderzył go w twarz, naprawdę mocno. - Trudy w kółko miętosi prześcieradło. - I ten odgłos, wyobrażasz sobie, zabrzmiał jak wystrzał, no bo wszyscy zamilkli i było bardzo cicho, pewnie nawet wstrzymali oddech, nie pamiętam, a policzek Dommiego robił się coraz bardziej czerwony... Dommie próbował się jakoś pozbierać, patrząc gdzieś w bok, aż wreszcie wziął do ręki kieliszek i pociągnął szampana. I wtedy wszyscy, jak na komendę, westchnęli z ulgą, próbując wrócić do przerwanej rozmowy. A Victor, ta nędzna glista, cały czas nawet palcem nie kiwnął. Było tak, jakby wszyscy dostali policzek. A Dommie, no wiesz, próbuje zawsze udawać twardziela, ale ręce cały wieczór mu się trzęsły. Wiem, że uważasz go za

okropnego i bezdusznego, lecz ty go nie znasz. Nie znasz go. Ja go znam całe życie, wiem, że jest bardzo kruchy, że w każdej chwili może się załamać, i chcę go chronić przed nim samym, o ile to możliwe. Jest tutaj moją jedyną rodziną. Dbamy o siebie nawzajem. Owszem, bywa czasem okropny, to prawda, ale są po temu powody, rozumiesz. Z pewnością nie jest taki ohydny jak Victor, który myśli tylko o sobie i o pieniądzach. Dommie nienawidzi siebie i z tego powodu potrafi być okropny. - Trudy robi pauzę. - Nikomu tego nie mówiłam, ale Dominick nigdy nie był tak naprawdę w porządku. Kiedy miał około dwunastu lat, wybuchł skandal z pokojówkami. Kazał im... robić różne rzeczy i sam im robił różne rzeczy, na czym został nakryty. Ktoś ich naszedł, co jego rodziców postawiło w bardzo niezręcznej sytuacji. Pozbyli się służących... a były to młode dziewczyny z Chin... płacąc im sowicie, i wysłali Dommiego do Anglii, chociaż był na to jeszcze o wiele za młody. Tak naprawdę to oni się zupełnie nie nadawali na rodziców. Dommie musiał być wypadkiem przy pracy. I chociaż robił te okropne rzeczy, to był jeszcze bardzo młody. A jednak pojechał, choć przecież nie mówił wtedy dobrze po angielsku; wyróżniał się spośród innych dziwnym ubraniem i śmiesznym akcentem. Jakby tego było mało, w pewnym momencie sprawki Dommiego wyszły na jaw i starsi chłopcy w szkole... kazali mu robić to samo. Kazali mu... no wiesz. Wiesz, jak to jest w takich szkołach. Powiedział mi o tym wszystkim któreś nocy, kiedy był kompletnie pijany. Nie wiem nawet, czy pamięta, że mi to mówił. Ale myśmy zawsze działali jak brat i siostra. Przypuszczam, że Dommie już nigdy potem nie był taki sam. No bo jak mógł być? Dlatego nienawidzi Anglików, chociaż sam jest pod wieloma względami tak bardzo angielski. To ogromnie skomplikowana sprawa. W końcu wszyscy próbujemy jakoś przeżyć, nie uważasz?

- Czasem są rzeczy ważniejsze od przeżycia. - Zabrzmiało to jak zarozumiałstwo, ale Will nie może nad sobą zapanować. Chce ją jakoś ostrzec, nie ze względu na siebie, tylko na nią samą. A poza tym bronić takiego potwora jak Dominick! Oślepiła ją chyba fałszywie pojęta lojalność.

- Powiedz to komuś, kto idzie na gilotynę - odpowiada wzburzona. - Albo komuś, kto ma zostać rozstrzelany. Jestem przekonana, że ci ludzie myślą tylko o tym, jak znaleźć wyjście z sytuacji, w jakiej się znaleźli. Nie wątpię, że przeżycie jest dla nich w

tym momencie bardzo ważne. Można śmiało powiedzieć, że najważniejsze. Możesz mieć luksus rozmyślania nad godnością, a zresztą... nieważne. - Trudy przerywa. - Nie potrafię ci tego wytłumaczyć ani usprawiedliwić, ani w ogóle cokolwiek, więc po co to wszystko?

- Przykro mi, że czujesz potrzebę usprawiedliwiania się przede mną.

Trudy wolno macha rękami, które krążą nad jej głową jak małe satelity.

- Ta noc nie ma końca. Próbując ją przedłużyć, czuję się jak Szeherazada.

- Czy uważasz, że rano mam zamiar cię zabić?

- Światło dzienne wszystko zmienia, nie sądzisz? Później Will będzie się zastanawiać, co tak naprawdę Trudy chciała przez to powiedzieć.

Zapadają w sen, czy może coś w rodzaju snu, uważając, by nie przeszkadzać jedno drugiemu.

Rankiem, przy kawie, Trudy podaje Willowi stopy do masowania.

- Rano wszystko wygląda lepiej, nie uważasz? - mówi pojednawczo. Nalewając śmietanki do kawy, rozlewa trochę na spodek. Ręce drżą jej nieznacznie.

- Mon amour... - zaczyna.

- Tak?

- Une question pour toi.

- Tak?

- Dobry generał interesuje się mną z wielu względów... Między innymi dlatego, że jestem dosyć ładna. Ale jak wiesz, nie brakuje tu ładnych kobiet, a jego zainteresowanie mną trwa tyle, ile trwa, bo jest w równym stopniu zainteresowany zabezpieczeniem sobie przyszłości tu, w Hongkongu. Otsubo to ambitny gość; uważa, że mogę mu pomóc. A jako człowiek wielkiego apetytu nie zadowala się jakimś przypadkowym zegarkiem czy damską błyskotką... mierzy znacznie wyżej. Chętnie wzięłby ziemię, gdyby mu na to pozwolił jego rząd, ale nie pozwoli, więc jest sfrustrowany. - Trudy przerywa. - Są w Tokio ludzie szczególnie zainteresowani tutejszą Kolekcją Korony. Jakoby zawiera wiele cennych chińskich dzieł sztuki, często kilkusetletnich, o trudnej do oszacowania wartości, a w związku z tym sprawa staje się drażliwa politycznie. Otóż tej kolekcji Japończycy nie

odnaleźli. Panuje opinia, że została ukryta jeszcze przed wybuchem wojny. Chińczycy chcą odzyskać swoje dziedzictwo, Japończycy chcą z powodu jego wielkiej wartości położyć na nim rękę, a Anglicy uważają je za swoją własność. Wszystko to razem jest bardzo zagmatwane. Idąc na skróty, Otsubo uważa, że kilku spośród internowanych w obozie Stanley mężczyźni ma dostęp do informacji, które mogłyby mu pomóc w zlokalizowaniu tych skarbów. Szczególnie stawia na Reggiego Arbogasta. Przypuszczam, że Otsubo zostałby hojnie wynagrodzony, gdyby pomógł odnaleźć kolekcję i doprowadzić do wywiezienia jej do Japonii. Tutaj zapanowało kompletne szaleństwo... grabieże, plądrowanie, na rynkach zaczęły się pojawiać eksponaty muzealne po dwa centy, a z kolei bezwartościowy chłam wysyłano do ojczyzny, jakby to były Bóg wie jakie skarby. Nikt tak na dobrą sprawę nie wie, o co chodzi, ale Otsubo postanowił znaleźć te dzieła sztuki. Kazał mi chodzić po lombardach i rozmawiać z ludźmi, ale nic z tego nie wynikło. Dlatego dał ci przepustkę, dlatego chciał zjeść w twoim towarzystwie obiad i z tobą porozmawiać.

- Ale dlaczego on uważa, że ja mogę coś na ten temat wiedzieć?

- Słyszał, że jesteś w obozie lubiany. Że zostałeś wybrany na przewodniczącego czegoś tam, prawda?

- A co ma jedno z drugim wspólnego?

- Ale wiesz coś?

Niespodziewane pytanie zaskakuje Willa.

- A chciałabyś, żebym wiedział?

- Czy to znaczy, że wiesz?

Will wstaje. Ma serdecznie dość tej szermierki słownej.

- Trudny, my ze sobą nie wojujemy.

- Nie, ale możemy mieć konflikt interesów. Will, ja czegoś od ciebie potrzebuję.

- Wszystko, co mam, należy do ciebie. - Ta deklaracja brzmi fałszywie, nawet dla niego samego, szczególnie kiedy patrzy na jej rozpaczliwie obłudną twarz. Co ona w nim w tej chwili wzbudza? Ciągle jeszcze miłość? Litość?

- Więc pomożesz nam?

Co mógł zrobić? Nie prosiła o pomoc dla siebie, tylko dla nich. A więc była już stracona.

CZEŚĆ III

2 maja 1953

Panna Edwina Storch, instytucja w Hongkongu, od czasu do czasu urzędowała u siebie na Nowych Terytoriach damskie lunche. Była emerytowaną dyrektorką cieszącą się dobrą opinią szkoły podstawowej w Pokfulam i renomowaną znawczynią chińskiej porcelany - przyjaciółką Chińczyków, która na emeryturze wycofała się na Nowe Terytoria. Żyła sobie wygodnie w starym domu z owczarkami alzackimi, kurczakami, wiekowym chińskim małżeństwem pełniącym funkcję służby i z drugą starą panną rodem z Anglii, swoją życiową partnerką Mary Winkle. Czasem przychodziły na lunch do Klubu Rekreacyjnego dla Pań, gdzie Claire widywała je w otoczeniu innych repatriantek; zaobserwowała też pannę Winkle, jak na zajęciach z układania bukietów u pani Beazley w YWCA (Young Women's Christian Association (Chrześcijańskie Stowarzyszenie Młodzieży Żeńskiej).) walczyła zwycięsko z goździkami. Panna Winkle była mała i drobna, miała kruche ptasie kości, a panna Storch była duża, ciężka i miała grube, równe aż do kostek nogi. Obie nosiły spódnice do kolan i białe bawełniane zapinane na guziki bluzki z kołnierzykami à la Piotruś Pan. Często odbywały długie spacerunki po okolicy w swoich wygodnych butach i w towarzystwie dużych psów. Ze względów zupełnie dla Claire niezrozumiałych zaproszenia panny Storch rzadko bywały odrzucane. Kiedy więc przyszła w poczcie gruba kremowa koperta ze złotym herbem - to chyba lekka przesada jak na emerytowaną nauczycielkę, pomyślała - przyjęła ją z zaciekawieniem.

Podjechała do białej drewnianej bramy. Żeby ją otworzyć, musiała wysiąść z samochodu, potem znów wsiąść, przejechać i ponownie wysiąść, żeby zamknąć bramę na haczyk byle jak wkręcony w drewno. Jakoś nie śmiała zostawić bramy otwartej, chociaż wiedziała, że na lunch Edwina musiała zaprosić przynajmniej ze dwadzieścia osób. Jechała drogą w tumanach kurzu, mijając pełne gracji stare drzewa, z których jedno miało zawieszoną na grubym konarze drewnianą huśtawkę, aż do domu, rozłożystej budowli z kamienia, która wyglądała tak, jakby się miała za chwilę rozsypać. Na ganek prowadziły lekko uchylone siatkowe drzwi, ale Claire poszła na tyły ogrodu, skąd dochodziła muzyka i głośy. Wzdłuż domu ustawiono stół z drinkami, na którym stało wiadro z lodem, zbieranina szklanek, duża waza ponczu i małe kanapki z sałatką jajeczną, na

których już zaczęły siadać muchy. Spośród pięciorga gości, których zastała, nie знаła nikogo. Zaraz jednak nadeszła wolno, podpierając się laską, panna Storch.

Należała do osób tak bardzo zadowolonych z siebie, że żadne z jej zachowań nie wydawało się dziwne. Nawet kiedy podawała wino w filiżance do herbaty, traktowano to jako coś zupełnie naturalnego, a każdy, kto uważał inaczej, zasługiwał na miano żałośnie mieszczańskiego. Na lunch, jak się miała Claire przekonać, był pieróg z królika, kanapki z pomidora na białym pieczywie, a na deser lody podane na zaplamionym obrusie w starym, zdezelowanym namiocie ustawionym w ogrodzie. Przy każdym wyszczerbionym talerzu leżał rzeźbiony w kamforowym drewnie wachlarz, by można było wprawić w ruch gorące wilgotne powietrze. Kobiety stały w kółku, wachlując się, popijając ciepłą lemoniadę i jedząc kiełbaski koktajlowe i ananasowe patyczki.

- Miło panią poznać - powitała Claire panna Storch. - Już od jakiegoś czasu zamierzałam panią zaprosić.

- Cała przyjemność po mojej stronie, panno Storch - odparła Claire. - Słyszałam o pani tyle dobrego.

- Mam na imię Edwina, a panna Winkle to Mary. Od tej chwili za moim przyzwoleniem proszę się zwracać do nas po imieniu.

- Bardzo mi miło. - Claire miała dojmującą świadomość przenikliwego, ostrego jak brzytwa spojrzenia gospodyni. Poczowała w dekolcie strumyczek potu. - Często wydajesz takie lunche? Słyszałam o nich naturalnie, ale nie wiedziałam, czy one... - Claire zawiesiła głos, nie potrafiąc znaleźć właściwych słów, żeby skończyć zdanie.

- Mary i ja mieszkamy tak daleko, ale jest to nasz wybór. Kochamy ludzi i wiemy, że trudno ich tu ściągnąć, więc wpadliśmy na pomysł, żeby regularnie urządzać lunche, które na szczęście są lubiane, i ludzie zadają sobie trud, żeby do nas przyjeżdżać. Kogo myśmy tu nie gościły... kilku gubernatorów, jakichś lordów i damy, podróżników z Anglii. Rozumiesz.

- Od jak dawna jesteście w Hongkongu?

- Dłużej niż możesz sobie wyobrazić, dziecko.

W tym momencie przybiegł duży doberman i zaczął obwąchiwać rękę Claire.

- To jest mój ukochany Marmaduke - wyjaśniła z czułością panna Storch. - Dbą o nasze bezpieczeństwo i codziennie zjada tyle różnych różności, ile sam waży.

- A macie poza nim jeszcze jakieś psy?

- W sumie siedem, ale w tej chwili większość gdzieś się wałęsa po okolicy. Na obiad się zgłaszają, nie ma obawy. Zaadoptowałyśmy je po wojnie, kiedy tak wiele zwierząt straciło domy. Nie potrafiłyśmy powiedzieć „nie” i w rezultacie mamy ich o wiele za dużo. Jest oprócz tego osiem papużek falistych, o których pożarciu marzą nasze trzy koty. Podejrzewam, że gdzieś tam w kuchni mieszka żółw słodkowodny.

- A czy byłeś tutaj w czasie wojny?

- Oczywiście, przeżyłam całe to piekło i to, co nastąpiło potem. - Panna Storch poprawiła okulary, które w upale często zachodziły mgłą. Jej oczy wydawały się wybałuszone, a skóra wokół nich zaczerwieniona i rozpulchniona.

- Pewien mój przyjaciel... - zaczęła Claire.

- Tak? - panna Storch próbowała ją zachęcić do kontynuowania.

- No więc ten mój przyjaciel też był tu w czasie wojny. Uświadomiłam sobie, jak głupio musiało to zabrzmieć. Przecież tysiące ludzi przez to przeszły. Przepraszam. - Claire dygnęła jakby na przeprosiny i ulotniła się nagle.

Marmaduke w pierwszej chwili ruszył za nią, pełen nadziei, ale szybko zrezygnował na rzecz bardziej obiecujących perspektyw. Serce Claire waliło tak mocno, jakby za chwilę miało wyskoczyć jej z piersi. Szła oszołomiona, aż wreszcie ciężko usiadła na krześle. Nie miała pojęcia, co się z nią dzieje. Jakaż to dziwna kombinacja upału, intensywnego spojrzenia panny Storch i jej osobistego zaangażowania uczuciowego sprawiła, że ta chwila nabrała takiej doniosłości.

Wstała, żeby sięgnąć po jeden z wachlarzy. Kiedy spojrzała w stronę gospodyni, zauważyła, że panna Storch, zupełnie niespieszona jej dziwną reakcją, jest pogrążona w rozmowie z kimś innym. Claire siedziała, starając się ochłoniąć. Powoli, stopniowo, zaczęła dostrzegać otoczenie. A było ono rozkoszne. Przed nią wielki, wspaniały dąb na tle rozległego trawnika opadającego aż ku górom.

- Zupełnie nie jak Hongkong, prawda? - Usłyszała za sobą głos i podskoczyła.

- Oj, przepraszam, nie chciałam cię przestraszyć. - Claire odwróciła się i zobaczyła drobną kobietę z okularami zawieszonymi na szyi. - Jestem Mary Winkle.

- Tak, tak, oczywiście. A ja Claire Pendleton. Dziękuję za zaproszenie.

- Cała przyjemność po naszej stronie. Zależy nam na widywaniu się z ludźmi, więc próbujemy ich zachęcić dobrymi posiłkami.

W pewnym momencie podeszła do nich mała Chinka i stanęła w wyczekującej pozie.

- Napijesz się czegoś? Możesz powiedzieć Ah Chau, na co masz ochotę.

- Poproszę o lemoniadę.

- Poprosimy lemoniadę - powtórzyła głośno Mary Winkle. Ah Chau skinęła głową i oddaliła się. - Jest głuchawa od czasu wojny. Japończycy trochę ją poturbowali.

- To bardzo smutne. Ale miło z waszej strony, że ją dalej u siebie trzymacie.

- Ona jest dla nas jak rodzina. Kiedy byłam w obozie Stanley, co tydzień przychodziła z jakimś jedzeniem, mimo że jej najbliżsi też cierpieli niedostatek. I nie opuściła Edwiny, która była na wolności.

- To są właśnie te historie, które ciągle słyszę od ludzi. Naprawdę niezwykle.

- No cóż, w Anglii też nie mieliście różowo. Nietrudno sobie wyobrazić.

- W pewnym sensie byliśmy pod kloszem. Oczywiście, że trochę brakowało żywności, ale poza tym dało się żyć. Pamiętam syreny i jak biegliśmy z matką do schronu.

- I to straszne uczucie ściskania w dołku na dźwięk tych syren.

- Właśnie. Jak zły sen. Zadzwoił dzwonek.

- Wygląda na to, że czas do stołu. Kobiety ruszyły w kierunku namiotu.

Podczas lunchu, siedząc po prawej stronie gospodyni, Claire patrzyła, jak Edwina bierze pomidora z leżącej na środku stołu kupki i jak go je, niczym jabłko, nie zwracając najmniejszej uwagi na sok ściekający na białą bluzkę i pozostawiający na niej czerwone plamy.

Panna Storch zauważyła spojrzenie Claire.

- Są wspaniałe, moje dziecko. Poczęstuj się. Słodkie jak miód. Dojrzewały w moim ogrodzie. Zrobiłyśmy z nich też zupę, żeby wykorzystać wszystkie, co do jednego.

- Nie, dziękuję bardzo - odparła Claire. - Ale to cudowne, że można w Hongkongu samemu hodować warzywa.

- Och, ja sobie nie wyobrażam życia gdziekolwiek indziej. Jestem całkowicie zepsuta. Gdybym wróciła do Anglii, powiedzieliby, że zostałam kompletnie wynarodowiona, i mieliby rację.

- Myślisz, że już nigdy nie wrócisz? - Było w tej starej kobiecie coś, co zachęcało do intymności.

- Nie wiem, do czego miałabym wrócić. Właściwie nie mam już żadnej prawdziwej rodziny, a jedyna rodzina, jaką stworzyłam, jest tutaj.

Claire popijała zimną zupę pomidorową. Stała się śmielsza.

- Czy mogę ci zadać bezczelne pytanie?

- Jeśli będę miała wybór i będę mogła na nie nie odpowiedzieć...

- odparła panna Storch.

- Na jakiej podstawie dobierasz ludzi, których zapraszasz na swoje lunchy? Do tej pory nie miałyśmy okazji się poznać i chociaż z wielką przyjemnością przyjąłam twoje zaproszenie, to bardzo mnie ciekawi, skąd wiedziałaś, kim jestem?

Panna Storch się roześmiała. Była wyraźnie zadowolona.

- Dobra gospodini zawsze myśli całościowo. To śmiertelna nuda oglądać w kółko tych samych ludzi. Najciekawsza jest mieszanka narodowości, profesji i osobowości. Jak wiesz, Hongkong robi się męczący, w miarę jak miejscowa społeczność topnieje. A człowiek na starość musi myśleć o tym, żeby się jakoś rozerwać, nie uważasz?

Jakaś Chinka mówiąca z amerykańskim akcentem zagadnęła pannę Storch:

- Podobno masz muzealnej wartości kolekcję porcelany z czasów dynastii Song z prowincji Shanxi. Czy kiedykolwiek pokazujesz ją ludziom?

- Czasem - odparła z uśmiechem panna Storch. Chinka najwyraźniej czekała z nadzieją na dalsze wyjaśnienia. Panna Storch uśmiechnęła się szerzej.

W chwili ciszy, jaka zapadła, odezwała się siedząca na lewo od gospodini ruda kobieta. Przez cały lunch energicznie perorowała na

temat praw wyborczych i w ogóle praw kobiet, a także sytuacji prawnej imigrantów.

- Słyszałyście? Rząd ma powołać komisję do ujawnienia i wyeliminowania raz na zawsze wszystkich kolaborantów. Mają dość tych łobuzów, którzy próbują się teraz ukrywać, udając, że nie byli częścią tego zła.

- No cóż - wtrąciła panna Storch - mocno powiedziane. Oczywiście, że byli oportuniści, którzy współpracowali z Japończykami, ale większość po prostu szukała jakiejś pracy i starała się o to, żeby mieć co do garnka włożyć. Myślę, że na największe potępienie zasługują ci, którzy bez jakichkolwiek skrupułów próbowali się bogacić, nie licząc się w najmniejszym stopniu z tymi, których przy okazji krzywdzili. Wojna czy pokój... chciwość i nieuczciwość zawsze były, są i będą.

- Prędzej czy później muszą odpowiedzieć przed wyższą władzą - oświadczyła nie bez pewnej satysfakcji ruda kobieta.

- Trudno cokolwiek udowodnić, bo brakuje dokumentów dotyczących tamtego okresu - dodała inna, pulchnawa osóbka. - Nigdy na przykład nie ustalili, co się stało z Kolekcją Korony.

- Myślę, że będą się opierali na relacjach świadków i świadectwie z pierwszej ręki - powiedziała panna Storch.

- Dlaczego ta sprawa wypłynęła akurat teraz? - zapytała Claire. - Przecież od kapitulacji minęły wieki.

- Nie jest to nic oficjalnego, ale zdarzyło się kilka incydentów, które sprawiły, że ta chwila wydaje się szczególnie stosowna. Ludzie w sposób oczywisty winni, tacy jak główny komendant japoński Sakai i pułkownik Tanaka, zostali straceni albo aresztowani, ale przypuszczam, że kładzie się nacisk na ujawnienie osób cywilnych spośród miejscowej społeczności, które może zbyt skwapliwie zaprzyjaźniały się ze swoimi nowymi panami, a które teraz udają, że nic takiego się nie stało. Obawiam się, że przyszła pora załatwiania starych porachunków.

- To znaczy, że słyszałaś o tym? - zainteresowała się ruda kobieta.

- Mówiono mi, że coś takiego może się zdarzyć i że ewentualnie mogłabym pomóc władzom. - Panna Storch wstała. - Kto chce obejrzeć mojego nowego Crosleya? Dostarczyli mi go w ubiegłym

tygodniu. To jest lodówka, która nie psuje masła i rozmraża się automatycznie. - Było jasne, że rozmowa się skończyła.

Claire siedząca wśród innych kobiet przy herbacie cytrynowej z ciastem stwierdziła nagle, że stoi nad nią panna Winkle.

- Claire, czy mogłabyś nam zrobić przyjemność i coś zagrać? Słyszałyśmy, że jesteś bardzo utalentowaną pianistką.

Claire się zarumieniła.

- Utalentowaną to za dużo powiedziane - zaprzeczyła skromnie. - Uczę muzyki, ale sama już właściwie nie gram.

- Uczysz Locket Chen, prawda?

- Tak, od kilku miesięcy.

- Jak ci się to podoba? A jej rodzice, Victor i Melody?

- Nie miałam okazji bliżej ich poznać, rzadko są w domu, kiedy przychodzę na lekcje.

- Tak, rozumiem, muszą być bardzo zajęci.

- Znasz ich? - zapytała Claire.

- Czy ich znam? - W głosie panny Winkle pojawił się dziwny ton. - Tak, oczywiście, że ich znamy. Edwina zna pana Chena nawet bardzo dobrze.

- Chętnie ich od was pozdrowię, jeśli sobie tego życzyście. - Claire z wolna popijała herbatę. Na szczęście propozycja, żeby coś zagrała, nie została ponowiona. Pannę Winkle odwołano w sprawie jakichś ciasteczek, co ułatwiło Claire sytuację. Wzięła szal i torebkę i się pożegnała.

5 maja 1953

Ludzie zawsze uważali mnie za złą, bezmyślną i płytką, a ja robię wszystko, żeby spełnić ich oczekiwania. Można powiedzieć, że się do nich zniżam. To elementarna podatność większości z nas. Jesteśmy istotami społecznymi. Żyjemy w świecie społecznym wśród innych ludzi i chcemy być tacy, jakimi oni nas widzą, nawet jeśli jest to zgubne dla nas samych. - Trudy śmieje się, unosząc twarz do jego twarzy. Jej oczy, jej skóra jarzą się blaskiem, rozpraszając go. - Co o tym sądzisz?

Will drgnął. Otworzył oczy i westchnął głęboko w rozgrzanym powietrzu. Kiedy wróciła świadomość, zauważył pod sufitem wolno obracający się wentylator. Całe ciało miał wilgotne od potu, pościel mokrą. Jej głos dźwięczał mu w uszach czysto jak dzwon. Jej ostro zarysowany kontur poruszał się na ciemnym tle. Zupełnie zapomniał, jak bardzo lubiła swoje własne sformułowania, jak filozofowała nad zimnym drinkiem, jak zadziwiająco potrafiła błysnąć intuicją w najbardziej nieoczekiwanych momentach.

Czekała na niego, spodziewała się, że ją uratuje.

Jak się potoczy teraz jego historia? - zastanawiał się. No i była jeszcze Claire, która wbrew niemu samemu stała się dla niego ważna, w której dostrzegł swoją niedojrzałą, dopiero co rodzącą się osobowość, Claire, z jej głupimi uprzedzeniami, pielęgnowaną ignorancją i, o dziwo, przebłyskami zdrowego rozsądku. Jej naiwność była lekarstwem na jego zdruzgotane oczekiwania. Czy mimo wszystko miłość nie jest zawsze jakąś formą narcyzmu? Pojawiała się w jego snach nieproszona, walcząc z tą drugą kobietą, która nawiedzała go w dzień i w noc. Claire, blondynka, swojski symbol kobiecości, angielska róża wobec Trudy - egzotycznego skorpiona.

Czarna noc za oknem była aksamitna i miła w swojej anonimowości. Wstał i otworzył okna. Do pokoju wtargnął ciepły, intymny zapach Hongkongu przesycony wonią ludzkich ciał i wiecznie obecnego morza, nawet na tej wysokości. Tu powietrze nigdy nie było rześkie, tylko wilgotne, lepkie, choć nie zawsze nieprzyjemne. Otuliła go noc. Gdzieś w dali mrugnęło samotne światło - czyżby łódź? Jakaś bratnia dusza w bezsenności?

Znów usłyszał jej głos. Tym razem zabrzmiał bardziej desperacko, ostrzej.

Wiedział, że czas działać.

7 maja 1953

Gorączka koronacyjna sięgnęła Hongkongu. Dostojna, smukła księżniczka Elżbieta i jej przystojny książę zawładnęli wyobraźnią zarówno imigrantów, jak i miejscowej ludności. W całym mieście porzlepiano plakaty anonsujące wyprzedaże koronacyjne, krawcy zachwalali specjalne suknie koronacyjne; dla upamiętnienia tej okazji wybito okolicznościowe monety i wydrukowano znaczki. Damy z towarzystwa planowały przyjęcia koronacyjne i herbatki, a sale we wszystkich hotelach były już z góry zamówione na bale. Claire złapała się na tym, że co rano czekała na gazetę, żeby móc przeczytać o wszystkich szczegółach i przygotowaniach.

Zawsze była zafascynowana księżniczkami, przeczytała nawet skandalizującą książkę ich niani, Marion Crawford, dosłownie pożerając wszelkie detale z ich prywatnego życia. A teraz jedna z księżniczek zostaje królową!

W Hongkongu szykowano wielkie defilady i dekoracje. Zarówno „South China Morning Post”, jak i „Standard” poświęciły znaczną część swoich pierwszych stron nadchodzącym uroczystościom. Na Statue Square miała stanąć iluminowana fontanna ze zwieńczonym koroną gaikiem w granatowym kolorze, cztery lwy symbolizujące Zjednoczone Królestwo i cztery koksownicy przedstawiające płomień jedności Wspólnoty. Miały być one dzień i noc strzeżone przez osobistych przedstawicieli Jej Królewskiej Mości. Został też założony w Koulun specjalny Ogród Koronacyjny obsadzony niebieskimi hortensjami i czerwonymi, i białymi liliami wodnymi. Wszystkie te kwiaty razem tworzyły flagę brytyjską. Gazety zajmowały się również sprawami bardziej przyziemnymi: władze odpowiedzialne za resort budownictwa ostrzegały, że werandy i balkony powinny być odpowiednio wzmocnione, jeśli właściciele spodziewają się dużej liczby świętujących.

Claire starannie przeczytała wszystko o przygotowaniach, jakie podjęła poczta, żeby zaspokoić wielkie zapotrzebowanie na znaczki okolicznościowe. Będą specjalne okienka przeznaczone do ich sprzedaży, a w razie potrzeby zostaną otwarte dodatkowo. Po znaczki Claire postanowiła się udać do urzędu przy Des Voeux Road. Odłożyła też pieniądze na okolicznościowe plakietki z wytłoczonym na nich wizerunkiem księżniczki Elżbiety.

Will śmiał się, kiedy mówiła mu o swoim podnieceniu.

- Dlaczego, na miłość boską, tak cię obchodzi jakaś głupia kobieta, która ma zostać ukoronowana tylko dlatego, że się akurat urodziła w określonej rodzinie? I jeszcze dlatego, że jej wujek zakochał się w osobie, wobec której inni mieli wiele zastrzeżeń?

Claire była w szoku.

- Mówisz tak, jakbyś był komunistą, Will - ostrzegła go. - Ja bym się na twoim miejscu nie afiszowała z takimi poglądami.

- Czasami jesteś takim matołkiem - odparł, ale jego głos zabrzmiał czule. - Jesteś najgłupszym stworzeniem, jakie spotkałem w życiu. - I delikatnie pocałował ją w czoło.

Byli ze sobą od jakichś ośmiu miesięcy. Dostatecznie długo, by można mówić o pewnej rutynie, ale jednocześnie na tyle krótko, żeby ciągle jeszcze przed każdym spotkaniem czuła mrowienie w dłoniach i przeglądała się we wszystkich gładkich powierzchniach po drodze. Stałe godziny pracy Martina dawały im niezbędną swobodę, ale prawdziwą przyczyną dyskomfortu Claire była praca Willa.

- Oni cię nigdy nie potrzebują - powiedziała. - Mają dwóch innych kierowców, miejscowych, Chińczyków. Po co cię w ogóle zatrudnili?

- Jestem na swój sposób użyteczny - odparł, ale odmówił pogłębiania tematu.

Jednakże to, że Will nie miał pracy, oznaczało, że mogli spędzać razem popołudnia w jego małym mieszkanku. Wystarczyło tylko wysłać Ah Yik na miasto. Claire przeżywała regularne męki, próbując pozbyć się tej drobnej kobietki. Konspiracyjny status zaczynał dawać się Claire we znaki, sprawiając, że bała się spojrzeć służącej w oczy. Zamartwiała się nieustannie, co ma powiedzieć, a czego nie mówić i w ogóle jak reagować na jej obecność. Kiedy pytała Willa o zdanie, radził jej, żeby się nie przejmowała, co denerwowało ją jeszcze bardziej.

- To naprawdę nie ma żadnego znaczenia - pocieszał ją. - Ah Yik jest szczytem dyskrecji, lojalna do szaleństwa.

- Nie tego się obawiam - odparła Claire.

- Boisz się, co ona sobie pomyśli? - drażył Will.

- To jest dla mnie krępujące - tłumaczyła się Claire. - Nic więcej.

- Rozumiem, ale jej w najmniejszym nawet stopniu nie obchodzi, co my robimy. Widziała gorsze rzeczy.

- Jak to gorsze?

- Pracuje u mnie od lat.
- Czy chcesz powiedzieć... - urwała nagle. - A zresztą wszystko jedno... - Wolą nie wiedzieć, co Will miał na myśli.
- Dlaczego tak się troszczysz o królową? - zapytał nagle.
- Bo to nasza królowa - odparła. - A co chcesz powiedzieć przez to, że się o nią troszczę? Dlaczego niby miałabym się nie troszczyć?
- Wierzysz w imperium?
- Oczywiście, że wierzę - odparła, mimo że nie bardzo wiedziała, o czym on dokładnie mówi.

Podparł się na łokciu wyraźnie teraz zainteresowany.

- Ciekawe. A czy sądzisz, że królowa troszczy się o ciebie?
- Co takiego? Zadajesz bardzo dziwne pytania, Will. Czasami w ogóle cię nie rozumiem.
- Chcę po prostu wiedzieć, czy uważasz, że królowa, a ściślej mówiąc, królowa in spe, troszczy się o twoje dobro.
- Ma wielu poddanych, ale jestem pewna, że chce dobrze dla nas wszystkich.

- A ty jako jej poddana jesteś jej winna lojalność i szacunek.
- Oczywiście, to prawda. - Skinęła głową. - Dlaczego jesteś taki uparty? To są sprawy, które nam, poddanym brytyjskim, powinny być drogie i taki sposób myślenia nie jest chyba niczym niezwykłym.

Na twarzy Willa rozlał się leniwy uśmiech.

- Po prostu myślę, że mała słodka Lizzie nie troszczy się o ciebie tak bardzo, jak sobie wyobrażasz.

- Jesteś niepoprawny - powiedziała Claire. - Nie mówmy o tym. To mnie wprawia w zły nastrój. Co za okropny facet. Jestem na ciebie zła.

Will się roześmiał. Lubił, jak go rugała.

Jednakże Will był nieobliczalny. Wybuchał w najdziwniejszych momentach.

Pewnego razu, kiedy weszli do jego mieszkania, Claire zamknęła za nimi drzwi na zamek. Słyszając kliknięcie zapadki, Will odwrócił się ze złością.

- Mówiłem ci, że nigdy nie zamykam drzwi na zamek. Proszę cię, otwórz je.

Zastosowała się do jego życzenia, ale poczuła się surowo zganiona. Zaczerwieniła się speszona. Później próbowała poruszyć ten temat.

- Dlaczego sprawa zamykania drzwi tak bardzo cię złości? To głupie.

- To długa historia - odparł. - W każdym razie, proszę cię, nie rób tego nigdy więcej. - Nie tłumaczył się, uchylił się też od dalszych wyjaśnień.

Chodziła potem koło niego na palcach, a on przewracał ją wtedy na łóżko albo całował, i uważała, że było to warte całej tej niepewności, upokorzenia i poczucia winy.

No i jeszcze jedno: Claire chciała dziecka.

Stało się to nagle. Po latach traktowania tych małych piskliwych stworzeń jak utrapienia coś się w niej obudziło i każdą cząsteczką swego ciała zapragnęła maleństwa, które mogłaby trzymać i tulić do siebie, chłonąć jego zapach. Marzyła o tym, żeby jej brzuch nabrzmał, by się powiększał, by mogła poczuć tajemnicze stukanie od środka, świadomość, że nosi w sobie nowe życie.

Wszędzie widziała teraz dzieci: przytroczone w płóciennych workach do pleców chińskich matek, płowe główki malców bawiących się na trawniku w Żeńskim Klubie Rekreacyjnym. Czuła się opuszczona, pozbawiona kobiecości, jakby wydarto z niej coś żywego. Zaczęła zapisywać swoje cykle menstruacyjne, a widząc krew na bieliźnie, płakała. Kiedy znajome mówiły jej, że spodziewają się dziecka, zaczynało ją ssać w żołądku jakby w przystępie wielkiego pragnienia.

No i oczywiście ojcem byłby Will. Myśl o tym, że mogłaby mieć dziecko z Martinem, może nie była całkiem odrażająca, ale z pewnością sytuacja taka wydawała jej się obca, jeśli nie wręcz niemożliwa. W gruncie rzeczy Martin tak bardzo usunął się z jej życia, że za każdym razem, kiedy budziła się u jego boku, była lekko zdziwiona. Jego zapach wydawał jej się obcy, skóra zbyt lepka, zbyt fizyczna. Odrzucała jego awanse, a on dobrodusznie się temu poddawał, za co nim pogardzała, a co z kolei wzbudzało jej pogardę dla samej siebie. Czyżby zawsze było w niej tyle okrucieństwa? A jeśli tak, to pod wpływem czego stała się taka? Martin po prostu więcej pracował, więcej czasu spędzał w biurze, ułatwiając jej w ten sposób sytuację. Co go takim uczyniło? Co ją uczyniło taką?

8 maja 1953

Nadarzyła się okazja bliższego poznania Chenów; nie żeby Claire specjalnie na tym zależało.

Okoliczności były dziwne. Pewnego dnia matka Locket weszła po lekcji do pokoju; robiła wrażenie przygnębionej. Ostatnio zachowywała się dosyć nietypowo. Większość czasu spędzała zamknięta u siebie, mimo że zazwyczaj kiedy Claire przychodziła na lekcję, była obecna w domu. Poza tym schudła tak bardzo, że wyglądała jak szkielet.

- O, pani Pendleton. Jak się pani miewa? - powitała ją tego dnia.

- Dziękuję, dobrze. - Claire zaczęła właśnie zbierać swoje rzeczy. Skończyła się godzina lekcyjna i Locket wyfrunęła, jak tylko zobaczyła, że jej nauczycielka odchyliła się od fortepianu.

- Chciałam zapytać, czy byliby państwo wolni dziś wieczorem i zechcieli przyjść do nas na obiad? Pani i pani mąż? Wiem, że zapraszam bez koniecznego wyprzedzenia...

Claire nie miała pojęcia, co powiedzieć. Otworzyła usta, ale nie wydobyło się z nich żadne słowo.

- Byłoby bardzo miło, gdyby państwo zechcieli przyjść. Wydajemy z Victorem przyjęcie, pani rozumie...

Claire, owszem, zrozumiała. Było to zaproszenie last minute. Ktoś musiał zrezygnować i potrzebowali dwóch osób, które miałyby wolny wieczór.

- Obawiam się jednak...

- Och, proszę, proszę powiedzieć, że przyjdziecie! - wykrzyknęła pani Chen. - Będzie takie miłe towarzystwo. Między innymi osoby wysoko postawione we władzach, myślę, że pan Pendleton byłby zainteresowany... - Melody próbowała zanęcić Claire.

- No cóż... - Claire wiedziała, że Martin chętnie przyjmie zaproszenie.

- A zatem sprawa załatwiona. Golden Lotus, restauracja kantońska w centrum, godzina ósma. Sala zarezerwowana.

- Bardzo dziękuję za zaproszenie - powiedziała Claire.

- Czy myślisz, że każą nam jeść gąsienice i kurze łapy? - zapytał Martin w domu, kiedy mu przedstawiła te nagłe plany.

- Kto wie, co nam podadzą - odparła Claire. - W każdym razie nic takiego nie będę jadła. - Patrzyła, jak Martin moczy grzebień i przejeżdża nim po włosach.

- Jaka mam włożyć koszulę? - zapytał.

- Właściwie to nie wiem, po co my idziemy na ten obiad, naprawdę nie wiem - powiedziała Claire, ale Martin zdążył już wyjść z pokoju i zająć się poszukiwaniem właściwej koszuli. Claire wpatrywała się w swoje odbicie w lustrze. Była mizerna. Przypudrowała nos i wyszczypała sobie policzki, żeby nabrały kolorów.

Obiad nie spełniał oczekiwań. Rozmowa w tak licznym gronie, do którego Claire nie była przyzwyczajona, jakoś się nie kleiła. A poza tym wszyscy bez przerwy mówili o sobie!

Claire i Martin przyszli punktualnie, więc zastali samych gospodarzy, którzy stali w kącie, popijając drinki.

- Jaka jestem szczęśliwa, że jednak udało się państwu przyjść - Melody wyszła im naprzeciw. Na wychudzonej postaci wisiał fantastyczny strój z zielonego jedwabnego szyfonu z rozszerzonymi rękawami. W uszach miała szmaragdowe kolczyki, a na palcu pierścionek z największym szmaragdem, jaki Claire widziała w życiu. Nie mogła oderwać od niego oczu.

- Melody - rzekła Claire, czując, jak dziwnie to imię brzmi w jej ustach. Zastanawiała się nad tym, jak ma się zwracać do pani Chen, i w drodze do restauracji zdecydowała, że skoro jest to okazja towarzyska, to stosowniej będzie mówić do niej po imieniu. - To jest mój mąż, Martin Pendleton. Spotkaliśmy się kiedyś z państwem przypadkiem na plaży.

Martin i pan Chen uścisnęli sobie dłonie.

- Rozumiem, że pracuje pan w branży wodnej - powiedział Victor Chen i zaprosił Martina do baru na drinka.

- Masz uroczą sukienkę - zauważyła pani Chen, komplementując prostą sukienkę, którą Claire miała na sobie tamtego wieczoru, kiedy na przyjęciu u Arbogastów poznała Willa. - Uwielbiam biały kolor, wygląda tak świeżo. - Robiła wrażenie szczerzej. Jej kiedyś ładna twarz przypominała Claire kościstego kurczaka o cienkiej, ale obwisłej warstwie ciała.

Chenowie byli idealnymi gospodarzami - gościnni i troskliwi, przedstawiali ich nadchodzącym kolejno gościom, a mimo to Claire w miarę upływu wieczoru czuła się coraz bardziej nieswojo.

Posadzono ją obok niejakiego pana Ansona Ho, który prowadził fabryki tekstylne w Szanghaju i zakładał nowe w Hongkongu. Dawał

jasno do zrozumienia, że skala jego interesów jest ogromna i że Brytyjczycy nie mają nic wspólnego z jego sukcesem.

- Chińczycy są bardzo przedsiębiorczy - powtarzał. - Potrafimy robić pieniądze dosłownie wszędzie. Stary rząd nie dał szansy miejscowej ludności. Brytyjczycy są bardzo aroganccy, ale muszą przyjąć do wiadomości, że nastały nowe czasy. Chińczycy w Hongkongu powinni rządzić się sami. - Miał czerwony bulwiasty nos, który świadczył o tym, że zbyt wiele wieczorów spędził przy koniaku. Pił wino w prosty sposób, szerokimi łukami mieszając je w dużym kielichu, a następnie wypijając duszkiem.

Martin siedział z dala od Claire, zabawiając rozmową atrakcyjną Brazylijkę. Wypił sporo i jego gesty były teraz bardzo ożywione. Siedzący przy stole goście mówili o Czerwonych Chinach i o obu Koreach - „Rhee (Rhee Syngman (Li Syngman) - polityk koreański. Od aneksji Korei przez Japonię w 1910 roku działacz niepodległościowy. W latach 1948 - 1960 prezydent Korei Południowej.) igra z ogniem” - oraz

o tym, co się dzieje w Myanmar (Myanmar - oficjalna nazwa Birmy.). Naprzeciwko Claire siedziała Belle, amerykańska dziennikarka, która twierdziła, że port w Hongkongu jest gorszy od portów w Sydney i Rio. Belle paliła papierosy, wykonując teatralne gesty, ale kiedy zapytała Claire o jej opinię w sprawie portu, Claire wytarła usta serwetką i przeprosiła, że musi iść do toalety.

Spotkała tam Melody Chen, która nerwowo myła ręce, płucząc je w kółko pod strumieniem wody i przeglądając się w lustrze. Drgnęła, kiedy Claire weszła do toalety. Na umywalce leżał pierścionek.

- Jaki piękny kamień - zachwyciła się Claire. - Nigdy w życiu czegoś takiego nie widziałam.

- Do mycia muszę go zdejmować - wyjaśniła Melody, wycierając ręce. - Szmaragdy są bardzo kruche i boję się, że go w jakiś sposób uszkodzę. A poza tym zsuwa mi się z palca. - Ostrożnie włożyła pierścionek z powrotem na palec. - Co za kłopot!

- Strasznie zeszczuplałaś - powiedziała Claire. - Dobrze się czujesz?

- Dobrze, tak, całkiem dobrze - odparła Melody, nie patrząc jej w oczy. - Muszę zacząć dbać o siebie. Victor twierdzi, że za dużo biegam.

Claire nie ruszyła się, mimo że blokowała Melody przejście do drzwi.

- Dobrze się bawisz? - Melody wyminęła ją. - Oboje z Victorem byliśmy bardzo radzi, że jednak przyszlście mimo tak spóźnionego zaproszenia. Wysoko też oceniamy postępy Locket, taka nauczycielka to błogosławieństwo dla jej edukacji muzycznej. - Przez chwilę Melody stała jeszcze w otwartych drzwiach. - Całkiem miły wieczór, nie uważasz? - rzuciła i wyszła.

Claire wzięła z półki jedną z porządnie złożonych ściereczek i dokładnie wytarła umywalkę, która znów wyglądała nieskazitelnie.

Kiedy wróciła do stołu, towarzystwo wspominało wojnę i okres powojenny.

- Wydaje mi się to niesłychane - mówiła właśnie Melody - jaki po wojnie Hongkong był przyjazny, ogólnie panowała taka życzliwa atmosfera, jeszcze wtedy, kiedy ludzie zaczęli wracać z zagranicy. A teraz, jeśli nawet ktoś zdoła wrócić, nie witają go już tak mile. Za dużo ludzi i za dużo smutnych historii. Nasza empatia wyczerpuje się z czasem. Wiecie, że Betty Liu miała u siebie przez rok sześć osób z rodziny? W końcu udało jej się jakoś wysłać ich do Kanady, ale wymagało to od niej sporego wysiłku. Musiała zatrudnić o trzy służące więcej!

- Przyjazdy i wyjazdy miały co robić - powiedziała Belle, mając na myśli bardzo popularną kolumnę w „Post”, gdzie odnotowywano wszystkich tych, którzy wylatywali z Hongkongu samolotami, i tych, którzy przyjeżdżali, zatrzymując się Gloucester.

- To przypomina przyptywy i odpływy - Chińczycy przyptywają do Chin i odpływają z nich do Hongkongu i z powrotem, w zależności od zawirowań historii - oznajmił Victor - ale w gruncie rzeczy niewiele się zmienia.

- Melody, byłaś tutaj podczas okupacji japońskiej? - zapytała Belle.

- Ależ skąd - odparła Melody. - Victor bardzo wcześnie się zorientował, co się święci, i wysłał mnie do Kalifornii do mojej koleżanki z college'u, która mieszka w Bel Air. Byłam wtedy w ciąży z Locket.

- To bardzo sprytnie z jego strony - zauważyła Belle. - Victor zawsze był bystry.

Wszyscy jakby mieli wspólną historię, jakby razem dorastali, mimo że pochodzili z najróżniejszych zakątków świata. Mówili jednym językiem.

- Tak, mam naprawdę dużo szczęścia - powiedziała Melody. - Mój mąż zawsze patrzył daleko w przyszłość. - Kiedy to mówiła, jej twarz była nieruchoma. Zaległa cisza.

- No cóż - odezwał się Victor - moja nieomylna intuicja mówi mi, że powinniśmy w coś zagrać. Bo to jest chyba właśnie to, co wy, Anglicy, najlepiej lubicie robić podczas przyjęć, prawda? - Skierował to pytanie do Claire. - Zawsze jestem zmuszany do tego, żeby rozwiązywać szarady i odgrywać rolę konia. Z jakichś względów jest to uważane przez waszych ziomków za rozrywkę.

Claire otworzyła usta, lecz nie zdołała powiedzieć ani słowa. Wszyscy czekali na jej ripostę. Ale, absurdalnie, w głowie miała tylko: „Nadchodzą komuniści. Nadchodzą komuniści”, jak natrętny refren.

- Ty powinieneś zabrać głos, Victorze. - Belle uratowała ją w ten sposób z opresji. - Widziałam, jak rozwalasz małpie głowę i zjadasz jej mózg, i uważam, że jest to przyjemny sposób na spędzenie wieczoru.

- Dobrze powiedziane! - wykrzyknął jakiś Francuz. - Atak jest najlepszą formą obrony.

Kiedy napięcie zostało szczęśliwie rozładowane przez udział innych i rozmowa potoczyła się dalej, Claire siedziała w milczeniu, usiłując powściągnąć falę czystej paniki, która ją ogarnęła, gdy cała uwaga towarzystwa na ten jeden krótki moment bezlitośnie skupiła się na niej. Rozpaczliwie pragnęła, żeby wieczór się skończył, mimo że czuła na sobie niepozbowiony współczucia wzrok Melody Chen, na który próbowała odpowiedzieć bladym uśmiechem.

Po powrocie do domu Claire była milcząca, Martin zaś rozgadany wskutek wypitego wina. Szybko położyli się do łóżka.

- Nie sądzisz, że na przyjęciu było sporo niezręcznych momentów? - zapytała Claire.

- Nie zauważyłem - odparł Martin.

Miała ochotę go zbić za to, że jest taki tępy i niespostrzegawczy. Miała ochotę okładać go pięściami po tej głupiej, bezdusznej piersi.

Pytającym gestem położył jej rękę na ramieniu. Odwróciła się, a on zamilkł.

- Claire... - zaczął po chwili.

- Jestem zmęczona, Martin - ucieła - proszę cię.

Nie odezwał się więcej. Położył się, podciągnął kołdrę pod brodę i powiedział łagodnie:

- Dobranoc, kochanie.

Nie wiedziała, kogo w tej chwili bardziej nienawidzi: siebie czy jego.

Następnego dnia opowiedziała Willowi o pierścionku i o tym, jaki jest piękny. Na jego twarzy pojawił się dziwny wyraz.

- Jest rzeczywiście niezapomniany. Już go kiedyś widziałem.

- Czy szmaragdy są bardzo drogie?

- Można powiedzieć, że bezcenne.

- A ty widziałeś właśnie ten pierścionek? Melody ma go od dawna?

Roześmiał się krótko, gwałtownie.

- Ach, wy, kobiety, z waszymi błyskotkami. Wszystkie takie same.

Nie dał się jednak wciągnąć w dalszą rozmowę.

- Parę dni temu byłam na lunchu u Edwiny Storch - wspomniała na koniec. - Znasz ją?

Przez jego twarz przesunął się cień. Leżeli w łóżku.

- Znam ją od jakiegoś czasu. Mieszkała w kolonii dłużej niż ktokolwiek inny. To raczej sympatyczna osoba, chociaż w dość niejasnych okolicznościach zdołała się wybronić od internowania podczas wojny. To twardy wojownik, nie ulega wątpliwości. - Will zrobił pauzę. - Dobrze się bawiłaś? Bo jazgot na tych babskich spotkaniach jest koszmarny... jedna przez drugą paplają o swoich najnowszych kieckach.

- Tak się według ciebie zachowujemy? Gadamy o kieckach i robieniu przetworów?

- A nie?

- Otóż powiem ci: toczymy bardzo poważne dyskusje na temat polityki i reparacji wojennych.

- I amah - dodał, gryząc ją w ramię. - I gdzie można dostać najlepszy udziec jagnięcy, i jak zabawić swoją...

Nakryła mu usta ustami.

- Zamknij się, kochanie - rzuciła, podniecona samą myślą o tym, że stać ją na takie odzywki. - Usłyszałam coś interesującego. Ktoś

powiedział, że będą ujawniać i osądzać wszystkich, którzy podczas wojny współpracowali z Japończykami. Znasz może jakiegoś kolaboranta?

- Co się dzisiaj z tobą dzieje? Czuję się, jakbym był poddany przesłuchaniu. Skąd się u ciebie wzięła taka ciekawość?

- Nie bądź głupi - odparła Claire. - Po prostu chcę wiedzieć. Mówią, że wojna działa na ludzi w okropny sposób, więc chcę wiedzieć, czy znasz kogoś takiego, kto robił różne straszne rzeczy i uszło mu to na sucho.

- Nie - odparł Will. - Nikogo takiego nie znam i jestem z tego bardzo zadowolony.

- Życie z taką tajemnicą musi być straszne.

- Musi - zgodził się Will. - Przypuszczam, że są chwile, kiedy chciałoby się umrzeć. - Przerwał na moment. - Muszę jechać do Makao, mam tam coś do załatwienia. Może byś się ze mną wybrała? Co o tym sądzisz? Dałabyś radę wyrwać się z domu na jedną noc?

Will, nagle taki onieśmielony, wzruszył Claire. Jakże rzadko ją o cokolwiek prosił. Zwykle był dla niej mało uprzejmy.

W noc poprzedzającą wyjazd do Makao nie mogła zmrużyć oka. Prawie cały czas leżała pogrążona w płytkiej drzemce, a kiedy wreszcie wstała, była jak pijana. Powiedziała Martinowi, że Stowarzyszenie Pań Wspierających organizuje wycieczkę na Nowe Terytoria poświęconą podglądaniu ptaków, z nocowaniem w weekendowym domu stowarzyszenia w Sai Kung. Spotkała się z Willem w terminalu i miała wrażenie, że Will jej się przygląda, oceniając jej bladość. Kiedy się odwracał, szczypała się po policzkach i zagryzała wargi, żeby przywrócić twarzy kolor. Podeszli do przystani, skąd odpływał prom do Makao. Wokół wejścia utworzył się tłum. Dokoła stali policjanci, pilnując, żeby ludzie nie wsiadali. Will poszedł zapytać, co się dzieje. Kiedy wrócił, Claire czekała przy kasie zdenerwowana, że spotka kogoś znajomego.

- Paskudna sprawa. Jakiś człowiek skoczył właśnie z nabrzeża. Podobno stracił pracę kucharza. Zabierają go do szpitala, ale on nie żyje.

- To straszne.

- Przywracają teraz porządek i za chwilę wszystko zacznie działać.

Morze było zielone i słonawe. Kiedy Claire weszła na trap, widziała w dole unoszące się na powierzchni wody śmiecie. Ktoś tu dzisiaj zginął, pomyślała i jakoś nie mogła pogodzić tego faktu z przelotnym uczuciem wywołanym widokiem brudnej wody, na której kołysały się papierowe opakowania i skórki pomarańczy.

Kiedy się już znalazła na promie, choroba morska i zdenerwowanie zrobiły swoje - nie mogła wydobyć z siebie słowa. Siedziała ze wzrokiem wbitym w jeden punkt na odległym horyzoncie. Dwaj opaleni mężczyźni w podkoszulkach bez rękawów i poplamionych spodniach kręcili się po pokładzie: odwijali i nawijali na różne pachołki grubą linę żeglarską, odpychając prom od nabrzeża i cały czas głośno gadając. Ich cera przypominała brązowy rzemień, a kiedy mówili, widać było żółte powyszczerbiane zęby.

Wszędzie dokoła tłoczyli się miejscowi ludzie. Małżeństwo z dzieckiem - kobieta robiła wrażenie wyczerpanej, dziecko płakało. Żołądek podjechał Claire do gardła, odwróciła się. Malec płakał i płakał, udręczony kołysaniem statku. Jakiś mężczyzna w samym podkoszulku czytał gazetę. Na pierwszej stronie rzucało się w oczy zdjęcie dwóch brytyjskich saperów, o których ostatnio było głośno w związku z zamordowaniem miejscowej kobiety. Wczoraj zostali skazani na śmierć. Jako pierwsi Europejczycy od zakończenia wojny dostali tak wysoki wyrok.

- Mają takie młode twarze - powiedziała Claire.

- Dostali to, na co zasłużyli - odparł Will. - Przesadzili z dawnym stylem bycia. Wydaje im się, że mogą traktować miejscowych jak zwierzęta. To już nie te czasy.

- Ta kobieta to jakaś mieszkająca w barakach amah. - Claire nie miała pewności, czy jej myśl była tak samo niewinna jak słowa. Wystarczająco długo była z Willem, żeby wiedzieć, co o tym sądzi.

- I co z tego? - Po raz pierwszy Will potraktował ją tak ostro. Później opowiedział jej historię pewnej rodziny, która została

w czasie wojny internowana. Otóż ci ludzie poprosili swoją amah, żeby za nimi tam poszła. Miała im przynosić do obozu Stanley żywność i inne niezbędne artykuły, co zresztą robiła, używając do tego celu dużego koszyka piknikowego. Służyła u nich przez szesnaście lat, od wczesnej młodości, a oni byli dla niej bardzo dobrzy, więc kiedy znaleźli się w tarapatach, postanowiła okazać im swoją lojalność. Przynosiła żywność regularnie co tydzień, aż

pewnego razu nie przyszła. Następnego dnia rodzina otrzymała piknikowy koszyk. W środku była mała dłoń zawinięta w brudny ręcznik.

- Uznali to naturalnie za bardzo zabawny żart - stwierdził Will. - Prawdziwie sadystyczni Japończycy stanowili wyjątek, ale tylko oni przychodzą nam na myśl i tylko ich pamiętamy. Nigdy się nie dowiedzieliśmy, co się stało, czy ta kobieta kogoś obraziła, czy zrobiła coś złego, czy po prostu znalazła się w niewłaściwym miejscu o niewłaściwym czasie.

Ta historia miała odegrać rolę przeprosin, chociaż Claire wiedziała, że jej się nie należały. Potraktowała to jako dowód uczucia z jego strony.

Na Macau Station wisiał portret gubernatora Commodore Esparteiro, z wąsikami i w białym kapeluszu, witającego gości.

- Robi wrażenie bardzo dystyngowanego - powiedziała Claire.

Przeszli przez kontrolę paszportową i znaleźli się w kompletnym chaosie i wrzawie. Napierający na stalowe ogrodzenie mężczyźni krzyczeli, wymachując rękami.

- Taxi, taxi! Samochód, samochód! Zawieźć was!

Will odszedł na bok i zaczął z jednym z mężczyzn szybko negocjować w kantońskim. Kiedy mówił w miejscowym języku i z jego znajomych ust wydobywały się nieznajome dźwięki, Claire odczuwała w brzuchu dziwne napięcie; coś więcej niż pożądanie. Kierowca spojrzał na nią i błyskawicznie wszystko zrozumiał. Uśmiechnął się lubieżnie, pokazując brązowe wyszczerbione zęby. Odwróciła wzrok i pozwoliła Willowi, który błyskawicznie ocenił sytuację, objąć się ramieniem.

- Chodźmy już - poprosiła, wdzięczna za jego opiekę.

- Prawie gotowi. - Will szybko zakończył negocjacje. W taksówce panował nieznośny upał. Will pootwierał okna.

W miarę jak samochód przyspieszał, do środka wpadało coraz więcej paprochów, które trafiały Claire w twarz, ale narzekanie już na samym początku romantycznej eskapady wydawało jej się czymś chamskim.

A oto ja, pomyślała, na Dalekim Wschodzie, kobieta, która wybrała się na zakazany wypad z kochankiem. Wyglądała przez okno na mijanych ludzi. Oni nic nie wiedzieli. Jeśli o nich chodziło, jej

tajemnica była bezpieczna. Ich nieprzeniknione wschodnie twarze, ich aktywne życie - wszystko to było nieobarczone jej grzechami.

Wysiedli z taksówki przed hotelem Lisboa położonym w bok od Largo do Senado.

- To jest centrum miasta - wyjaśnił Will. - A tam Sao Paolo, biała kamienna fasada starego kościoła jezuitów. Został tylko fronton.

- Wojna?

- Nie, pożar w dziewiętnastym wieku. Później tam pójdziemy. W dalszym ciągu widać wszystkie reliefy i rzeźby. Bardzo piękne.

Hotelowy hol był w nędznym stanie, ale w wielkim stylu. Will poruszał się tu swobodnie.

- Często tu bywałeś?

- Owszem, dość często, ale nie ostatnio.

Do pokoju zaprowadził ich chiński boy, a kiedy drzwi się za nim zaniknęły, spojrzeli po sobie na nowo onieśmieleni.

- Wyglądasz tu inaczej - powiedziała Claire.

- No właśnie - przyznał.

W gasnącym świetle dnia, w słońcu, które sączyło się przez zakurzone okno, poznawali się od nowa, a ich ciała przeniesione w inne miejsce wydawały im się bardziej ekscytujące.

Później, po wszystkim, Will stwierdził:

- Jesteśmy prawie jak stare małżeństwo, które przeniosło się w nowe miejsce.

- Jest dobrze - odparła Claire. Jego czułość była dla niej czymś nowym, co wytrąciło ją nieco z równowagi.

- To prawda - zgodził się Will.

- Co masz tutaj do załatwienia? - zapytała.

- Muszę złożyć komuś swoje uszanowanie.

- Ja też mam iść?

- Jeśli chcesz. - Okręcił sobie wokół palców kosmyk jej włosów.

- To nie ma znaczenia.

Wzięli taksówkę na cmentarz. Will zapłacił i wysiadł. Z nędznej budki strażnika płatami odpadała farba. Nad nią wisiała przekrzywiona blaszana tabliczka z krzyczącymi czerwienią chińskimi znakami.

- Cmentarz! - zdziwiła się Claire. - Ty wiesz, jak zabawić dziewczynę na wycieczce.

- Czy masz pojęcie o tym, w jaki sposób Chińczycy grzebią swoich zmarłych? - zapytał, ignorując całkowicie jej słowa.

- Nie - odparła. - A czy różnice w stosunku do naszych zwyczajów są duże?

- Tak. - Spojrzał na wiszący na ścianie plan i palcem powiódł wzdłuż wybranej linii. - Tędy idziemy.

Na cmentarzu powietrze było jakby bardziej zagęszczone. Claire bała się oddychać ze strachu, że wyziewy zmarłych dostaną się do jej organizmu. Od przyjazdu do Hongkongu stała się bardziej przesadna. Na cmentarzu były nagrobki - nieduże szare kamienie, na których przeplatały się chińskie napisy z angielskimi - i płatanina krzyżujących się w skomplikowany sposób ścieżek pomiędzy grobami. Na szczyt wzgórza prowadziły prymitywne kamienne stopnie.

Idąc, Claire odczytywała napisy.

- „Tu spoczywa William Walpole, brat Henry'ego". Pewnie nikt inny z rodziny tu nie leży. Umarł w tysiąc dziewięćset trzydziestym szóstym roku w wieku czterdziestu trzech lat. A tutaj: „Margaret Potter, ukochana". O, to mi się podoba. Ja też bym chciała coś bardzo prostego na swoim nagrobku. A ty?

Will zaczął mówić, jakby w ogóle nie słyszał słów Claire:

- Skatalogowanie wszystkich zmarłych po wojnie było bardzo trudne. W większości chowano ich w zbiorowych mogiłach. Dla rodzin to wielka przykrość... nie móc pochować swoich bliskich.

- Ceremonia pogrzebowa niesie jakąś pociechę, choćby w nieznacznym stopniu, przynajmniej tak myślę.

- Tak, te rytuały mają swoje uzasadnienie. Ludzie potrzebują czegoś, na czym mogliby się skupić, na przykład na swoim bólu, a poza tym muszą się czymś zająć. Na całym świecie te obrządki stanowią część śmierci. To daje nadzieję, że ludzie mają ze sobą coś wspólnego.

- W czasach cywilizowanych - powiedziała Claire. - Ludzie są inni, kiedy stawką jest życie, nie śmierć.

Will spojrzał na nią zdziwiony.

- Tak, w czasach cywilizowanych. W innych czasach nie działają żadne zasady. - Uśmiechnął się. - Moja sroga pani - dodał. - Jesteś dzisiaj wspaniała.

- Czy mogę zapytać, czego szukamy?

- Starego przyjaciela.

Zatrzymali się na szczycie.

- Chińczycy mają zwyczaj budowania swoich cmentarzy na wzgórzach. Uważają, że jest to korzystniejsze, a jako społeczeństwo o silnej świadomości klasowej są konsekwentni nawet w sprawach śmierci. Szczyt piramidy to zawsze szczyt piramidy.

Kamienie nagrobne ustąpiły miejsca małym budowlom. Niektóre z nich były nawet dość wyszukane - z wieżyczkami, bramami i rzeźbionymi drzwiami przypominały maleńkie rezydencje albo świątynie. Niektóre zawierały porcelanowe urny.

- Czy w nich są prochy, czy kości? - zapytała Claire.

- Kości - odparł Will. - A na wierzchu kładzie się czaszkę.

Will przyglądał się uważnie każdej mijanej maleńkiej budowli. W pewnym momencie zatrzymał się nagle.

- Jesteśmy.

Grobowiec miał ściany z pobielanego stiuku i drewniane drzwi z żeliwną kołatką w kształcie smoka. Nad drzwiami znajdował się napis składający się ze złotych znaków chińskich.

- Nic nie przynieśliśmy - powiedziała Claire.

- Nie przyszliśmy tu, żeby dawać - odparł Will - tylko żeby wziąć.

Pchnął drzwi, ale w dalszym ciągu stał na zewnątrz. Jakby na coś czekał.

- Will! - zawołała wstrząśnięta Claire. - Zakłócasz spokój zmarłych!

- Ja im przynoszę pokój - odparł i wszedł do środka.

12 maja 1953

Jej wspomnienia z Makao były niejasne. A więc upał, naturalnie, dobra portugalska restauracja z drewnianymi ławami i obłazącymi z farby ścianami, ciepły chrupiący chleb, karafki czerwonego wina, coś o nazwie „afrykańskie kurczaki” i dan taat, błyszczące żółte jajeczne tarty. „Ty mówisz pataca, ja mówię potato”, śpiewał jej Will odmieniony w tej małej kolonii. Cmentarz, powrót do hotelu i Will cały czas zdenerwowany. Wewnątrz małego grobowca było chłodno, ciemno i panował przenikliwy zapach kadzidła. Wchodząc, wzbudzili tumany kurzu.

- Tu spoczywa Dominick - wyjaśnił Will.

- A kto to jest Dominick?

- Człowiek, który, jak sędzę, był niezrozumiany. Również przeze mnie. A przynajmniej tak uważam, kiedy jestem w nastroju wspaniałomyślnym. W sumie smutna historia. W końcu rodzina nie chciała mieć z nim nic wspólnego, więc został pochowany tutaj, samotnie, a nie z bliskimi w Hongkongu. Dominick nie był z Makao, ale tu ostatecznie wylądował. Na niechcianym wygnaniu.

- Czy on zmarł podczas wojny?

- Coś w tym rodzaju. Może raczej z powodu wojny? - Will zakończył pytająco. - Kto wie. To nie było takie proste. - Przesunął palcami po zakurzonej ołtarzu. - Ale przecież w końcu to się nie liczy, prawda? Bo po prostu tutaj leży i wszystko, co robił i zrobił, zostało przez większość z nas zapomniane.

Po tych słowach Will splunął na trumnę.

A następnie wziął coś małego z mauzoleum, co włożył do kieszeni tak bardzo od niechcienia, że Claire nawet nie śmiała zapytać, co to takiego. Potem nie robili już nic niezwykłego. Jadali dobre posiłki, drzemali po drugim śniadaniu, popijali szampana w barze hotelowym i spacerowali, zwiedzając Makao, więc Claire uznała, że to był właśnie główny cel jego podróży. Will wrócił do swojego dawnego ironicznego sposobu bycia. W Hongkongu zaś już słowem nie wspomniał o tym, co się wydarzyło na cmentarzu.

13 maja 1953

Kiedy w następnym tygodniu Claire pojawiła się u Chenów o zwykłej porze, nie zastała Locket.

- Poszła gdzieś! - krzyknęła jedna ze służących. - Ja nie wiem! - Nie robiła jednak wrażenia przejętej.

Z pół godziny Claire przesiedziała w pokoju, po czym udała się do toalety. Myjąc ręce, zobaczyła przez okno przesłonięte przezroczystą zasłoną Melody Chen, która, siedząc w ogrodzie, pisała list i płakała. Claire po cichu zebrała swoje rzeczy i wyszła.

W następnym tygodniu, kiedy jedli z Martinem śniadanie, Yu Ling przyniosła gazetę. Tematem dnia była królewska lista laureatów. A na niej Victor Tsing Yee Chen.

- Popatrz, Martin - powiedziała Claire - Victor Chen dostał Order Imperium Brytyjskiego.

- Naprawdę? - Ta informacja najwyraźniej zrobiła na Martinie wrażenie. - Takich odznaczeń nie rozdaje się masowo.

- Właśnie. A tu jest jeszcze jego historia. - Claire przeleciała wzrokiem kolumnę. - Czy wiedziałeś, że jego dziadek odegrał zasadniczą rolę w nawiązaniu handlu między Chinami a światem?

- Jak tam u nich będziesz, to mu koniecznie ode mnie pogratuluj. Dzisiaj masz lekcję?

- Dzisiaj, ale ja go rzadko widuję. Na ogół poza ich córką i służbą nie ma nikogo w domu.

- Wyobrażam sobie, że jest to dla niego wielki dzień.

- Nigdy nie przypuszczałam, że takie odznaczenia przyznają cudzoziemcom - zdziwiła się Claire.

Jednakże będąc u Chenów, zdenerwowała się na Locket. Lekcja wypadła fatalnie.

- Jeśli nie będziesz ćwiczyła, to nie ma mowy o żadnych postępach - oznajmiła, wstając i wkładając żakiet. W głowie czuła pulsowanie od atonalnego bębnienia małej. Zdarzały się długie chwile ciszy, kiedy dziewczynka próbowała czytać nuty, na które od poprzedniej lekcji nawet nie spojrzała.

- Tak, pani Pendleton - powiedziała, wstając od fortepianu.

- Jeśli przez tydzień nie tkniesz instrumentu, to taka lekcja jest stratą czasu mojego i twojego.

Locket zachichotała i zasłoniła ręką usta. Miała irytujący wschodni zwyczaj wybuchania nerwowym śmiechem w krępujących sytuacjach.

- Nie wiem, czy w ogóle warto cię uczyć. - Claire podniecała się coraz bardziej. Locket potykała się na najprostszych ćwiczeniach i nie miała wrodzonej umiejętności czytania muzyki. Gdzie jej do steinwaya!

- Przepraszam, pani Pendleton. - Locket była już przy drzwiach.

- Chcę ci powiedzieć, że to bezczelność z twojej strony stać przy drzwiach i czekać, aż ja wyjdę.

Nagle do pokoju zajrzał Victor Chen.

- Co tu się dzieje? - Ton jego głosu nie był przyjazny.

- Nie ćwiczyłam, tato - wyjaśniła Locket - a pani Pendleton mówiła mi, że powinnam.

- Ale była też mowa o zachowaniu...

Claire otworzyła usta, z których nie wydobyły się żadne słowa.

- Pani Pendleton powiedziała, że to bezczelność z mojej strony stać przy drzwiach - odparła Locket.

- Rzeczywiście tak powiedziała? - Victor Chen spojrzał na Claire. - Naprawdę uważa pani, że stanie przy drzwiach to bezczelność ze strony Locket?

- Tak uważam - odparła w końcu Claire. - Czuję się tak, jakby mnie wyrzucano za drzwi.

- Locket, możesz iść do swojego pokoju. Z pewnością masz lekcje do odrobienia. - Mówiąc to, pan Chen nie patrzył na córkę, która ulotniła się z wdzięcznością.

- Czy pani dobrze się bawiła podczas tamtego proszonego obiadu? - zapytał ni z tego, ni z owego Victor Chen. - Towarzystwo było dobre?

Claire skinęła głową, po czym nagle sobie przypomniała.

- Gratulacje - powiedziała - z powodu wysokiego odznaczenia. Rodzina musi być bardzo dumna.

Victor Chen wszedł do pokoju i stanął obok Claire, jak gdyby jej w ogóle nie słyszał, a następnie nachylił się do niej, jakby chciał jej wyznać jakiś sekret. Cofnęła się, zanim zaczął mówić.

- Podobno spędza pani czas z Truesdale'em - wyszeptał, po czym delikatnym, intymnym ruchem przysunął jej głowę do swojej. - Czy to miłość?

Brutalność w jego głosie była prawie namacalna. Claire zaczęła się cofać, potknęła się o brzeg dywanu, na oślep łapiąc torebkę.

- Proszę go ode mnie pozdrowić! - zawołał za nią w ostatniej chwili Chen. - I proszę go zapytać, czy zamierza w najbliższym czasie przyjść do pracy. Dawno go nie widzieliśmy.

Claire wybiegła z pokoju, a potem z domu i na ulicę, gdzie ogarnęła ją nagła fala upału.

- I niech go pani zapyta o Trudy! - Głos Victora Chena niósł się po korytarzach. - Jestem pewien, że powinna pani o tym wiedzieć! - Roześmiał się głośno, z goryczą.

Idąc szybko ścieżką, minęła w panice swój przystanek autobusowy i różne budynki. Jej głowę wypełniał gorący biały dźwięk, który cichł, w miarę jak się oddalała. Niemal niepostrzeżenie zaczęły przenikać do jej świadomości zwykle odgłosy dnia - warkot przejeżdżających samochodów, świergot ptaków; wtedy zwolniła. Była zlana potem, bluzka przylgnęła jej do pleców. Odciągnęła ją, próbując dopuścić do ciała trochę powietrza. Upał palił ją w kark, eksplodował w głowie.

- Claire?

Głos dochodził jakby z daleka.

- Claire?

- Will? - Próbowwała się przebić przez ciemności.

- Martin - odpowiedział jej mąż. - Kto to jest Will?

- Martin - powtórzyła. - Gdzie ja jestem? - Światło było teraz zbyt mocne, żeby mogła cokolwiek zobaczyć. Od nagłego przejścia z ciemności w jasność pulsowało jej w głowie.

- Już w domu. Amah Chenów znalazła cię na ulicy i tutaj przyprowadziła. Yu Ling zadzwoniła do mnie do biura. Obudziłaś się, napiłaś wody i ponownie zasnęłaś.

- Czy ja zemdlałam?

- Musiałaś zemdleć. Jak się czujesz? Jesteś blada jak ściana. Zamknęła oczy.

- To straszne. - I nagle sobie uświadomiła. - Och Victor!... - zaczęła, po czym zamilkła.

- Victor Chen? - zapytał Martin.

- ...był taki uprzejmy... - dokończyła. - Widziałam się z nim po lekcji.

- To dobrze - powiedział Martin i nagle mu się przypomniało. -
Pogratulowałaś mu?

- Zapomniałam. Widzieliśmy się tylko przez chwilę.

- Och. - Martin zamilkł. - A zresztą dam ci teraz odpocząć.
Potrzebujesz czegoś?

- Nie, dziękuję, wszystko będzie dobrze, tylko muszę przez
moment poleżeć.

- Problem polega na tym... - zwlekał z dokończeniem zdania - że
mam pilny projekt...

- Idź. Po co masz tu tracić czas. Już się lepiej czuję. Złożył
pocałunek na jej czole.

- Kochanie - szepnął i wyszedł.

Następnego dnia, kiedy Claire szykowała się do wyjścia z domu,
zadzwoiła Melody Chen.

- Słyszałam, że po wyjściu od nas zemdlłaś. Dzwonię, żeby się
dowiedzieć, czy wszystko jest już w porządku.

- To miło z twojej strony - odparła Claire i zamilkła, bo nie
wiedziała, co powiedzieć.

- Czy wszystko jest już w porządku? - powtórzyła Melody.

- Tak, tak. Przepraszam, nie chciałam... - zawiesiła głos. Znów
poczuła na twarzy gorący oddech Victora Chena, a przed oczami
stała jej płacząca Melody, którą zobaczyła kiedyś przez okno
toalety.

- Czy czujesz się już lepiej? - zapytała Melody, przerywając
ciszę.

- Tak. - Claire przypomniała sobie proszony obiad. - I jeszcze raz
dziękuję za zaproszenie. Było bardzo miło.

- Tak, oczywiście. - Melody najwyraźniej nie miała pojęcia, o
czym Claire mówi. Zdążyła już zapomnieć o tamtym obiedzie. -
Cieszę się.

Rozmowa tyle razy zaczynała się i kończyła, że Claire była
całkiem zdezorientowana.

- No cóż... dzięki za telefon. To miło z twojej strony. Wychodzę
właśnie z domu, jestem już w drzwiach...

- Tak, jasne. Cieszę się, że czujesz się już lepiej.

Umówiła się z Willem w ogrodzie botanicznym położonym nad
centrum. Był to stromo wznoszący się labirynt tropikalnej flory i

fauny. Zadzwoiła do niego, prosząc o spotkanie w trybie pilnym, ale miała wrażenie, że Will się nie przejął jej nerwowym pośpiechem.

- Telefonowała do mnie Melody Chen - zaczęła na widok czekającego na nią na rogu Willa.

- Jak się masz. - Objął ją ramieniem i mocno, zaborczo pocałował w usta. Instynktownie rozejrzała się dokoła. Zwierzęta wylegiwały się w klatkach; było zbyt gorąco, żeby miały siłę się ruszać. - Małpy nie wiedzą, że jesteś mężatką - powiedział.

Chwilami nienawidziła go za tę nonszalancję.

- Telefonowała do mnie Melody Chen... - powtórzyła.

- Chodziło o małą Locket? O steinwaya? - zapytał bez zainteresowania.

- Coś w tym rodzaju. - Nagle przeraziła się na myśl o tym, co zrobi Will, kiedy mu przekaże słowa Victora Chena. A może bała się tego, czego nie robi.

- Chodźmy do mnie - zaproponował leniwie i ruszył spokojny, że Claire pójdzie za nim. A ją aż coś ścisnęło w dołku, jak zawsze, kiedy robiła dokładnie to, czego po niej oczekiwał.

Z lekko uchylonej łazienki dochodzi plusk wody i sączy się mlecznosłodka pachnąca mgła. Will nuci podczas kąpieli. Claire siedzi z bijącym sercem przy jego biurku. Cicho otworzyła szufladę. Książeczka czekowa. Zajrzała. Skromne saldo. Plik listów związanych czerwonym pocztowym sznurkiem. Nazwiska i adresy nieznane. Londyńskie znaczki. Niewyraźny charakter pisma. Trochę znaczków luzem, pióro, pudełko zapalek z Gripssa. I wreszcie - fotografia. Cztery osoby na przyjęciu, w wieczorowych strojach, roześmiane, z papierosami i drinkami w rękach - sfery wyższe. Te osoby to Will, Melody Chen, jeszcze jakiś mężczyzna i kobieta, oboje Azjaci albo Eurazjaci. Jedyne Europejczyk to Will. Ta druga kobieta - nie Melody (Trudy?) - uderzającej urody. Mimo drobnej postaci i skromnej, wąskiej krótkiej sukienki zdominowała zdjęcie. Żywa twarz i krótkie, proste włosy jeszcze dodatkowo podkreślały jej kobiecość. Trudno powiedzieć, kto był z kim; wszystkich łączyły więzy bliskiej znajomości. Claire obrysowała palcem twarz Willa. Wyglądał tak chłopięco, tak niewinnie, z gładką twarzą i promiennym wzrokiem, w smokingu i poluzowanej, lekko przekrzywionej muszce.

Wszedł do pokoju nagle, zawinięty w ręcznik, drugim ręcznikiem wycierając włosy. Zatrzymał się na widok Claire siedzącej przed otwartą szufladą.

- Dlaczego grzebiez w moich rzeczach? - zapytał. Nie była pewna jego tonu. Na wszelki wypadek postanowiła się nie tłumaczyć.

- Co to jest? - Wyciągnęła do niego fotografię.

- Zdjęcie - odparł.

- To widzę. Jesteś na nim ty, Melody i jeszcze jakieś dwie osoby.

- Zgadza się.

- Czy spotykałeś się z Melody towarzysko? Kim są ci inni? - Starła się bardzo, żeby jej ton brzmiał naturalnie.

- Czasami, Claire, potrafisz być bardzo prowincjonalna. - Gwizdnął zirytowany. - Ale odpowiem ci. Tak, owszem, spotykałem Melody na przyjęciach, nie tylko jako pasażerkę samochodu, który prowadzę.

- To bardzo dziwne - odparła Claire. - A co się takiego stało?

- Odczułaś, że znalazłem się na niższym stopniu w hierarchii towarzyskiej? Przeszkadza ci to? - Szydł z niej teraz wyjątkowo złośliwie.

- Chcę po prostu coś o tobie wiedzieć! - wykrzyczała. - Dlaczego musisz zawsze wszystko zożydzić?!

- Sę w tym, Claire, że ty właśnie nie chcesz wiedzieć.

- Skąd ta pewność?

- Wiesz, co ci powiem: poprzestań na podkradaniu różnych drobiazgów Chenom, a poważniejsze sprawy zostaw w spokoju.

Poczuła się jak ofiara, którą zabito od środka. Twarz piekła ją żywym ogniem. Do tej pory nie była pewna, czy Will wie. Przestała kraść już dawno, ale Will potrafił ugodzić w czułe miejsce. Wymierzyła mu mocny policzek. Nawet nie drgnął. Kiedy się ubierała i wychodziła, stał nieruchomo, obserwując ją w milczeniu, które tak bardzo się przedłużało, to przybierając, to tracąc na sile, że aż stało się śmieszne. Reszta pytań - „Kim jest ta druga kobieta?” i „Co ma z nią wspólnego Victor Chen?” - przerosła ją i Claire nie była w stanie ich zadać. Zamknęła za sobą cicho drzwi. Trzaśnięcie byłoby czymś dziecinnym. Nienawidziła go, jakżeby inaczej?

Znalazłszy się na ulicy, nie wiedziała, dokąd iść. Zatrzymała taksówkę i kazała się wieźć do miasta. Słońce było jeszcze wysoko i w centrum każdy szedł z jakimś wyraźnym celem. Wysiadła na

Queen's Road i zaczęła błądzić wśród sklepików i salonów jubilerskich. Przystanęła przed jedną z wystaw. Leżące na niej kosztowności - naszyjniki, pierścionki, bransolety, a nawet mała diamentowa kolia - mrugały do niej migotliwie. Chińczycy byli dość ostentacyjni w sprawach biżuterii. Jej odbita w szybie twarz falowała przed nią, ukazując atrakcyjną, choć bladą Angielkę. Kogoś, kto został potraktowany przez kochankę bardzo okrutnie i kto zupełnie nie wiedział, co z tym fantem zrobić. Próbowwała tak się ustawić, żeby diamentowa kolia wypadła akurat na jej szyi. Przykucnęła w tym celu przed wystawą.

Po chwili podniosła się, wygładziła bluzkę i ruszyła na przystanek Star Ferry, gdzie zamierzała wsiąść do minibusu, który miał ją zawieźć do domu, do Martina.

20 maja 1953

Kiedy w najbliższy czwartek Claire poszła do Chenów, zauważyła kierowcę, który drzemał na ławce w ogrodzie, z gazetą na twarzy. Myjące okna dziewczyny paplały wesoło, a ich swobodny nastrój świadczył o tym, że Victora Chena nie ma w domu.

- Missee w porządku? Missee upadła! - powitała ją amah, która otworzyła jej drzwi.

- Tak, dziękuję bardzo. - Claire po raz pierwszy zauważyła, jaką szlachetną twarz ma ta służąca, jakie bystre, duże oczy i przyjemne usta. - To miło, że pytasz.

Kobieta uśmiechnęła się niepewnie i zaprowadziła ją do pokoju z fortepianem, gdzie czekała na nią Locket.

- Słyszałam, że miała pani w ubiegłym tygodniu wypadek. Czy już się pani dobrze czuje? - Locket siedziała nad tacą herbatników; właśnie jednego z nich wkładała sobie do ust. - Napije się pani lemoniady?

- To bardzo miło z twojej strony, Locket. Czuję się dużo lepiej, dziękuję. - Mała wreszcie nabrała lepszych manier, pomyślała Claire.

- Mama powiedziała, że pani na pewno jest w ciąży! - Locket zachichotała. - A tata śmiał się i śmiał.

Claire zeszywniała.

- Czy ćwiczyłaś, Locket? - zapytała lodowatym tonem. Dziewczynka spojrzała na nią zaskoczona nagłą zmianą.

- W poniedziałek miałam próbę Mikado... - zaczęła.

- Wszystko jedno - przerwała jej Claire. - Zaczynamy.

Po lekcji przyszła Melody Chen i zaprosiła Claire na herbatę - chciała z nią porozmawiać o postępach córki. Zaprowadziła ją do salonu, po czym przeprosiła, tłumacząc się, że musi dojrzeć służby.

Na kominku u Chenów stało mnóstwo zdjęć w srebrnych ramkach. To bardzo angielskie, pomyślała Claire, kiedy zobaczyła je po raz pierwszy, z tą różnicą, że twarze są azjatyckie. Wstała, żeby przyjrzeć im się bliżej. Byli to głównie Victor i Melody, z członkami rodziny, a poza tym różni starsi ludzie, kilka zdjęć samej Locket i jakiejś kobiety w kostiumie kąpielowym na plaży. Ta kobieta trzymała papierosa i pokazywała język do kamery. Zdjęcie wyglądało jak wycięte z magazynu poświęconego modzie, a Claire, przyjrzawszy mu się bliżej, przeżyła szok: poznała kobietę, którą widziała na zdjęciu u Willa. Chudą jak szkielet bardzo efektowną Eurazjatkę w czepku

kąpielowym w kwiatki. Jej piękna twarz o wydatnych kościach policzkowych rzucała się w oczy.

- To moja kuzynka Trudy - wyjaśniła Melody, która nadeszła z małą szklanką wody.

- Jest bardzo piękna - powiedziała Claire, uważając, żeby w ten komplement nie wkładać zbyt wiele entuzjazmu.

- Niepiękna - pospieszyła ze sprostowaniem Melody. - Niepiękna. Była pół - Portugalką, a więc Eurazjatką, i to Europejczycy zawsze uważali ją za atrakcyjną. Ale Chińczycy tak naprawdę nie lubią mieszaneńców. - Claire ze zdziwieniem zauważyła nonszalancki język Melody, która zawsze wyrażała się elegancko. - Ale wszyscy, absolutnie wszyscy, zwracali na nią uwagę. Cieszyła się w swoim czasie wielką sławą w Hongkongu. Czy może raczej należałoby mówić o niesławie. Pewnego razu, idąc na przyjęcie, wzięła ze sobą swojego teriera. Zawiązała mu nawet muszkę, posadziła na krześle i w ogóle, ale pies się zsiakał. Livi Wong była wściekła.

- Ta kobieta wygląda tak, jakby wiedziała, co znaczy dobra zabawa.

- Tak, jestem przekonana, że gdyby w dalszym ciągu była wśród nas, jako pierwsza kobieta w kolonii zaczęłaby nosić bikini. Wybranie się w tym stroju na piknik do gubernatora czy jakiś inny tego rodzaju wyskok byłby bardzo w jej stylu. To taki typ dziewczyny. Skandalistka, której wszystko uchodziło na sucho. Niczego się nie bała.

- A czy... - Claire starała się swoje pytanie sformułować dyplomatycznie - czy jej już nie ma?

Melody odwróciła wzrok. Popiła ze szklanki i skrzywiła się.

- Nie, nie ma. Ofiara wojny. Tak by można powiedzieć.

- Trudno uwierzyć... - Claire wpatrywała się w fotografię. - Wygląda na osobę pełną życia.

- Ona tym życiem dosłownie tryskała - odparła Melody. - Jej ojciec był ciotecznym bratem mojego ojca, a ona była wobec tego moją stryjeczną siostrą.

- Czy byliście ze sobą blisko?

- W pewnym sensie. Przypuszczam, że musiałam jej się wydawać bardzo nudna. Byłyśmy skrajnie różne. Miałyśmy w Hongkongu masę kuzynów. Jesteśmy wielką rodziną. Żyła blisko z naszym kuzynem Dominickiem, ale i on nie przeżył wojny. Można

powiedzieć, że stanowili parę najlepszych przyjaciół. Tych dwoje było tu bardzo dobrze znanych. Jako Koszmarna Dwójka.

- A... - Claire nie wiedziała, od czego zacząć. Ale nie miało to większego znaczenia. Melody Chen się rozgadała.

- To od niej dostałam ten piękny pierścionek ze szmaragdem. Zawsze go noszę na uroczyste okazje, bo jest szalenie efektowny. - Melody wyciągnęła dłoń, jakby miała pierścionek na palcu.

- Widziałam go podczas tamtego przyjęcia u was w domu. Jest rzeczywiście wspaniały. To nadzwyczajny gest z jej strony.

- Lubię czasem mieć przy sobie coś, co mi ją przypomina - wyznała Melody. - No cóż, na tym polega rodzina.

Weszły służące, niosąc srebrną tacę z napojami.

- Herbaty?

- Tak, poproszę. I dużo mleka.

Melody przygotowała jej filiżankę herbaty, ale sobie nie naląła. Dalej popijała z małej szklaneczki.

- Victor traktuje mnie, jakbym była jakimś kruchym kwiatem - powiedziała nagle. - Ale ja nie jestem taka słaba, jak mu się wydaje. Wysłał mnie na przykład do Kalifornii. Bo zadawałam pytania, i to go irytowało.

- Och, jestem pewna, że tak nie było - rzuciła Claire.

- Po moim powrocie wszystko się zmieniło - wyszeptała Melody.

Popołudnie ciągnęło się bez końca, a Melody Chen gadała w kółko, jakby rozmawiając z nauczycielką muzyki swojej córki, w ogóle nie musiała liczyć się z czasem. Nawet słowem nie wspomniała o Locket i jej postępach.

- Czy kiedykolwiek myślałaś o kimś, kto umarł? - zapytała. - I jak to było, kiedy ta osoba żyła? Czasem, kiedy wspominam Trudy i Dominicka, wydaje mi się, że widziałam nad ich głowami czarne punkty, jakby byli naznaczeni, tylko że wtedy nie mogłam tego wyraźnie dojrzeć. Miałam uczucie, że od samego początku byli skazani na śmierć, że wisiało nad nimi jej widmo. - Melody zamilkła, jej oczy zaszły mgłą. - Ciągle jeszcze nie mogę uwierzyć, że Trudy nie żyje. Jej ojciec ożenił się z Portugalką, naprawdę... naprawdę szczególną osobą. Czy wiesz, że jej matka zniknęła, kiedy Trudy była dzieckiem? Mówiło się, że to uprowadzenie, ale moja matka zawsze uważała, że zmęczona całą tą sytuacją wsiadła na statek i uciekła do Ameryki. Jej ojciec był spokrewniony z moją rodziną. Kto mógł

przypuszczać, że będzie miał taką głowę do interesów? Myślę, że poradził sobie lepiej niż ktokolwiek inny.

- A czy on żyje?

- Ależ skąd - odparła Melody. - Umarł razem ze wszystkimi innymi nieszczęsnymi rozbitkami życiowymi czasów wojny, tymi, którzy znaleźli się po niewłaściwej stronie, którzy się wyłamali.

Claire skinęła głową.

- A więc masz kogoś bliskiego, kto zginął? - zapytała ponownie Melody. - Wiem, że to głupie pytanie po wojnie, ale są tacy, którzy nie ponieśli żadnych strat, którym się poszczęściło.

- Mam - odparła Claire. - Nie był to nikt bardzo bliski. - Chodziło o wuja, którego spotkała tylko raz w życiu; miała jego zdjęcie podczas przyjęcia z okazji jej ósmych urodzin. Różni znajomi, którzy zginęli w czasie wojny. Najbliższa była koleżanka ze szkoły podstawowej, która pojechała na wakacje do Walii i tam utonęła. Szkoła dała uczniom wolne, a kiedy wrócili, wielu z nich miało czarne wstążki na rękawach. Claire nie wiedziała, że tak należało postąpić, i poczuła się wykluczona, tak jakby wszyscy wiedzieli coś, w co jej nie wtajemniczyli.

- Czy znasz Reggiego i Reginę Arbogastów? - Melody kolejny raz zmieniła temat.

- Byłam u nich w domu, ale nie mogę powiedzieć, że ich znam - odrzekła Claire, usiłując nadażyć za dziwnymi meandrami tej rozmowy.

- Wydają przyjęcie koronacyjne. Nawet dwa. Pierwsze trochę skromniejsze, bardziej intymne, podczas którego wszyscy mają wysłuchać ceremonii koronacyjnej przez radio. A potem mają przysłać z Anglii taśmy i będzie małe przyjęcie telewizyjne dla trochę większej grupy. Raczej coś w rodzaju koktajlu. Powinno być przyjemnie. Masz jakieś plany na koronację?

- Jeszcze nie - odparła Claire.

- My też coś organizujemy, musicie koniecznie przyjść z Willem - powiedziała nagle Melody.

- Chyba z Martinem - sprostowała zaskoczona Claire.

- Oczywiście - potwierdziła gładko Melody. - Przepraszam.

- Oczywiście - powtórzyła Claire.

Melody zdawała się czekać na coś jeszcze. Popołudniowe światło uległo rozproszeniu i Claire nie widziała już drobinek kurzu tańczących w promieniach słońca, które wpadały przez okno.

- Robi się późno - zauważyła. Było to najdziwniejsze, najbardziej przewrotne popołudnie w jej życiu. - Muszę już iść.

W tym momencie do salonu wszedł Will.

- Ty! - zawołała Melody niezbyt pewnym głosem. - Wywracasz wszystko do góry nogami! - Jej ton był lekki, ale po raz pierwszy do Claire dotarło... owa świadomość wybuchła nagle w jej głowie jak szybko rozszerzająca się plama atramentu... że Chenowie boją się Willa. Zaangażowali go do pracy, żeby mieć go na oku, płacili mu za pracę, której nie wykonywał, ponieważ nie mieli wyboru. Zobaczyła swojego kochanka w nowym świetle. To on był ich dobroczyńcą. To w jego ręku spoczywał ich los.

- Muszę się zobaczyć z Victorem - oświadczył, nie zwracając uwagi na Claire.

- Nie ma go w domu - odparła Melody.

- Czy będzie wkrótce?

- Nie traktuj mnie protekcjonalnie - wybuchnęła nagle Melody - wystarczająco długo się znamy.

- Pani nie ma z tym nic wspólnego, pani Chen.

- Och, daruj sobie, Will! - wykrzyknęła Melody. - Te „panie”, tych „panów” czy „Dokąd chciałaby pani dzisiaj jechać?”. Czy cały czas sobie z nas kpięś? A w ogóle, co najlepszego zrobięś? Biedna, biedna Trudy.

Dopiero teraz dotarło do Claire, że Melody jest kompletnie pijana i że to, co popijała, nie było wodą, jak początkowo myślała, tylko rodzajem spirytusu.

- Nie wspominaj o niej, Melody. Nie masz prawa nigdy więcej wymówić jej imienia.

- A ty?! Ty masz prawo? - Głos Chinki nabrał ostrych tonów. - Ty w ogóle nie masz żadnego prawa. Szczególnie do kobiety, którą udawałeś, że kochasz!

Will zrobił się ze złości biały jak ściana.

- Nie gadaj bzdur, Melody. - Z trudem panował nad sobą. - To nie twoja sprawa. Nie mieszaj się w to.

- Will - powiedziała Melody - to wszystko wymyka się spod kontroli. Victor jest wściekły. Musisz zaprzestać tego, co robisz.

Mówię ci to jako osoba, która się kiedyś z tobą przyjaźniła. Musisz z tym skończyć.

- Za późno, Melody. Już na to nic nie poradzę.

Claire wymknęła się po cichu i czekała z bijącym sercem na zakręcie podjazdu.

Wreszcie pojawił się Will. Szedł z rękami wciśniętymi głęboko w kieszenie; był zły.

- Kto to jest Trudy? - zapytała, zastępując mu drogę. Will drgnął.

- Nie teraz - odparł. - Nie teraz, Claire. Chodź ze mną. Chodź, pójdziemy się wykąpać nad morze.

20 maja 1953

Wróciły rekiny. Widziano je w okolicy Stanley Beach, a także Shek O. Jeden z miejscowych mężczyzn, siedząc na platformie do nurkowania w South Bay, zanurzył dłonie w wodzie i stracił palec. Siedział w dzikiej panice, wymachując ręką i wrzeszcząc, aż wreszcie usłyszała go z plaży jakaś kobieta i wysłali po niego łódź.

Claire i Will lubili się kąpać w Shek O, ale chodzili tam tylko wczesnym rankiem albo późnym popołudniem w ciągu tygodnia, kiedy niebezpieczeństwo spotkania kogoś znajomego było znikome. Tego dnia w milczeniu pojechali do Willa, wzięli stroje kąpielowe, a stamtąd udali się na plażę, gdzie zaparkowali samochód. Mieli szczęście. Plaża świeciła pustkami.

Piasek w Hongkongu był ziarnisty. Will opowiadał Claire o plażach w Indiach, gdzie piasek jest miękki jak przesiana mąka, tak drobny, że niemal można go wdychać. Za to w Shek O po odpływie pozostawały jeziora pełne krabów pustelników i zdarzało się dawniej, że Claire zabierała je do domu i trzymała w szklanej kuli wypełnionej morską wodą, dopóki nie zaczęły śmierdzieć.

- Jesteś syreną - przerwał wreszcie milczenie Will. Siedział na macie, którą rozpostarli na plaży, i patrzył na rozbierającą się Claire.

Claire jednak w dalszym ciągu była milcząca, nie odpowiadała na jego zaczepki. Złożyła ubranie i schowała je do koszyka. Will wstał.

- Popłynijmy do portu - zaproponowała, po czym przypomniała sobie: - Czy myślisz, że tu są rekiny?

- Tamten nieszczęśnik z ubiegłego tygodnia powiedziałby, że to pewne - odparł, wstając.

- Czy wobec tego powinniśmy się kąpać? Cały dzień o tym marzyłam.

- To zależy od twojego zapotrzebowania na przygodę - odparł. Oboje stali twarzą do wody, ona trochę w tyle, za nim.

- Nigdy nie było ono wielkie, ale jest tak gorąco. - Położyła płasko dłonie na jego plecach. Zdjął koszulę i plecy miał śliskie od potu. - Czy można się do tego przyzwyczaić? Do tego upału?

- Po prostu się w nim żyje. - Sięgnął do tyłu i stracił jej dłonie z pleców. Często pozwalał sobie wobec niej na takie zachowanie, jakby chciał ją zganić, jakby utrzymywał między nimi stały dystans. Claire udawała, że tego nie zauważa; oddaliła się i weszła po kolana do wody.

- I woda nigdy nie jest tutaj zimna, prawda?! - zawołała. -
Zupełnie jakby to była kąpiel w wannie.

- Tak, Claire - odparł. - Hongkong to nie Anglia. Spojrzała w
stronę horyzontu. Ten dzień był dosyć szalony - albo sprawy
wymykały się spod kontroli, albo działo się coś, na co nie wiedziała,
jak zareagować, nie była pewna swoich uczuć.

- Dlaczego jesteś taki ordynarny? - zapytała, Will jednak albo jej
nie słyszał, albo udawał, że nie słyszy.

Skoczył do wody.

- Ostatni przegrywa.

- Poczekaj! - zawołała. - Ja nie... - Ale on był już w wodzie, prął
szybkim czałem w stronę platformy do nurkowania. Zawahała się,
lecz widząc, że Will robi się coraz mniejszy i mniejszy, wiedziała, że
będzie musiała pójść w jego ślady.

- Niech cię cholera, Willu Truesdale - rzuciła.

Woda miała dwa poziomy - wyższy, ciepły, nagrzany przez
słońce, i niższy, zimny, na wysokości jej talii. Próbowwała trzymać się
tej górnej warstwy, przerażona zimnem, ale nogi od czasu do czasu
uciekały jej w dół.

Płynęła wolno, stylem klasycznym, starając się nie myśleć o
rekinach.

Przed sobą widziała Willa, który właśnie gramolił się na
platformę. Jego ciało lśniło w słońcu. Nie było już takie młode, ale w
dalszym ciągu szczupłe. Ten widok wzbudził w niej pożądanie, co
wydawało się dziwne w wodzie. Płynęła, starając się stłumić w sobie
panikę, stłumić pożądanie.

Kiedy dotarła do platformy, była wściekła.

- Mówiłam ci, że nie chcę tu płynąć.

- Nie mówiłaś.

- Nie słyszałeś, bo byłeś już daleko. - Usiadła z dala od niego,
kołysząc się na pływającym dysku. - Nie dałeś mi wyboru.

- Nie złość się, kociaku.

Nie odpowiedziała, tylko w milczeniu skrzyła włosy w koński
ogon i wycisnęła z nich wodę. Woda ściekała na deski, tworząc dużą
ciemną plamę.

- Pamiętasz, jak pierwszy raz byliśmy na platformie? - Will
próbował rozładować napięcie. - Czy nie wydaje ci się, że było to
bardzo dawno?

Na plaży pojawiła się jakaś miejscowa para. Rozłożyli koc i ustawili parasol.

- Owszem, wydaje mi się - przyznała. I dodała: - Powinieneś się upewnić, czy mogę płynąć. Mogłeś mnie stracić.

Skinął głową na znak zrozumienia, kapitulując tym razem.

- Nie potrzebujesz mnie już, Claire, jeśli mnie w ogóle kiedykolwiek potrzebowałaś.

- Tak - odparła.

Siedzieli teraz w spokoju, już bez złości. Pogoda była idealna, słońce powoli chyliło się ku zachodowi, od wody wiała chłodna bryza.

- Will - odezwała się - powiedz mi, co się dzieje? Kiedy nie odpowiadał, dodała:

- Wiesz, o co mi chodzi, prawda? Wszyscy zachowują się w taki dziwny sposób, a ty jesteś w samym sercu zdarzeń.

Położył się i zamknął oczy.

- Podczas wojny działy się najbardziej absurdalne rzeczy. Pewnie nie wiesz, że kiedy byliśmy internowani, japońska administracja wydała ustawę o zakwaterowaniu i wyżywieniu. Wyobrażasz sobie? A my nie mogliśmy nic z tym zrobić, dlatego musieliśmy im powiedzieć, że będziemy wystawiali skrypty dłużne, które będą honorowane przez nasze rządy, kiedy wszystko wróci do normy. Chcieli, żebyśmy płacili za zgniłe warzywa i miseczkę ryżu, którą dostawaliśmy raz na tydzień.

- No, a teraz?

- Do tego zmierzam - rzekł poirytowanym tonem. - Gdybyś tylko zechciała posłuchać.

Zaczął od nowa.

- Dlatego tańczyliśmy tak, jak nam okupant zagrał, chociaż zawsze granica pomiędzy byciem dobrym a byciem dumnym była bardzo cienka. Ale mieliśmy jeszcze nadzieję. Mieliśmy drobne radości, jak uprawianie warzyw w przywieziennym ogródku, i kiedy coś się udało, było miłe zaskoczenie i jakaś zachęta. Może to i dziecinne, no cóż... Człowiek nigdy nie przyzwyczaja się do tego, że jest więźniem, chociaż do codziennej rutyny przywykliśmy. I oczywiście jedni ludzie są nikczemni, a inni niewiarygodnie dobrzy i szlachetni. Zdarzały się wszelkie możliwe rodzaje zachowań. Wśród Japończyków tak samo. Byli dobrzy i źli.

- Ale była jakaś kobieta, Trudy - wtrąciła Claire.

- Tak, Trudy. - Zamilkł na chwilę. - Myślę, że by ci się podobała.
- My jesteśmy inni - powiedziała Claire. Sama nie wiedziała, dlaczego mówiąc to, miała uczucie, że jest dla Willa łaskawa.

Will parsknął.

- Ty, tak. Ale to bardzo delikatnie powiedziane. Mimo to ona by ci się podobała, wiem na pewno.

- Byłeś z nią. Zawahał się.

- Tak, byłem.

- I...

- Ale nie jestem, jej już nie ma.

- Jak to się stało?

- Zawiodłem ją. Chciała, żebym wyszedł z obozu internowania i żył z nią na wolności, bo nie była Brytyjką. Załatwiła nawet dla mnie przepustkę, ale odmówiłem.

- Nie chciałeś opuścić ludzi, z którymi byłeś w obozie, tak?

- Tak. W dużej mierze o to chodziło. Byłem tam przydatny, załatwiałem różne rzeczy. Ludzie by z pewnością nie chcieli, żebym ich opuścił. Ale... - Zawiesił głos.

- Ale co? - starała się mu podpowiedzieć.

- Przypuszczam, że również się bałem - podjął cicho. - Gdybym wybrał życie na wolności, oznaczałoby to całkiem nowy świat, z nowymi regułami gry, których musiałbym się nauczyć. Musiałbym zaczynać wszystko od nowa, a to by mnie stawiało w niekorzystnej sytuacji, od początku musiałbym wyrabiać sobie pozycję. Czułem się zmęczony - przyznał po prostu. - I miałem dość zmian. W obozie było ciężko, ale jeśli się przestrzegało przepisów, dawali człowiekowi spokój. A na wolności panował chaos. Kiedy na przykład Trudy szła ulicą, zdarzało się, że wrywano jej z rąk różne rzeczy. Także jedzenie. Chłopak, tak osłabiony z głodu, że ledwo mógł biec, uciekając, pakował sobie chleb do ust. Był bez butów i koszuli. Miał tylko spodnie. Wszędzie panowały głód, rozpacz i nędza. Ona mi o tym wszystkim powiedziała. Nie istniał żaden filtr. Wszystko działa się naprawdę.

Spojrzał na Claire.

- I ona umarła - prawie bezwiednie rzuciła Claire.

- Tak, umarła.

- A w jaki sposób?

- Niektórzy by powiedzieli, że z ręki swojego dobroczyńcy - odparł Will - człowieka, który jej wiele dawał, ale i odbierał, kiedy chciał. Gdybym był z nią na wolności, ten człowiek kontrolowałby i moje życie.

Nagle zabrzączał między nimi komar latający w wilgotnym powietrzu.

Kazał jej robić straszne rzeczy. Zorientował się, że wraz z żywnością przemyca do obozu różne wiadomości, dlatego następnym razem kazał jej przynieść jedzenie skażone. Nie na tyle, żeby zabiło, ale zaszkoziło, a przecież nie mieliśmy leków, więc ludzie cierpieli. Taki to był drań. Musiałem jej to powiedzieć, kiedy przyszła następnym razem, i jej twarz dosłownie się zapadła. O niczym nie wiedziała. Do dziś w to wierzę. Nie wiedziała i nie mogła nic na to poradzić. Nie miała pojęcia, czy on to zrobi ponownie, czy następnym razem żywność będzie dobra. A my byliśmy tak głodni, że braliśmy wszystko i jedliśmy.

- Skąd wiesz, że on to robił? - zapytała Claire. - A może po prostu zaszła jakaś pomyłka.

- Wiem - odparł Will. - Po jej powrocie ten człowiek pytał ją, jak się miewają jej przyjaciele, i śmiał się na widok jej twarzy. Dopiero znacznie później mi o tym powiedziała.

- A Victor?

- Victor Chen. - Will się roześmiał. - Mój szacowny pracodawca.

- Ale co z nim? - dopytywała się Claire.

- Co z Victorem Chenem? Co z Victorem Chenem? Od czego by tu zacząć?

Nagle trzepnął ją w ramię.

- Mam go! - zawołał i uniósł rękę, odsłaniając ciemną krwawą plamę, płatanię cieniutkich owadziach nówek i czułek. - Cholerni krwiopijcy.

Nachylił się i opłukał ręce w wodzie, a następnie uniósł je do góry. Z jego palców spływały mieniające się krople. Popatrzył na nie w zamyśleniu.

- Victor Chen zamordował Trudy - powiedział.

10 kwietnia 1943

- Wdzięczny Otsubo to jest to, na czym mi zależy - mówi Trudy.
- Kiedy będzie wdzięczny, kto wie, co może zrobić. Może na przykład spowodować, że zostaniesz repatriowany! Ale nie wyjeżdżaj. Nie chcę żyć w Anglii.

Nigdy więcej go już nie prosi, w każdym razie niebezpośrednio. Szepcze, sugeruje, stara się go na różne sposoby zobowiązać. Wymachuje mu przed nosem różnymi nagrodami, to znów głosem pełnym nienawiści daje do zrozumienia, co może ją spotkać, jeśli nie spełni oczekiwań tego człowieka.

- On widzi przed sobą jeden wielki dzień wypłaty. Chce wrócić do swojego kraju, kupić na wsi kawałek ziemi i zbudować na niej dom dla siebie i swojej rodziny. Zamierza wziąć rodziców i zaopiekować się nimi. To bardzo rodzinny człowiek.

Kiedy Trudy przedstawia ten egzotyczny pomysł, Will kiwa głową, udaje, że słucha, może nawet się zgadza.

- Mam wrażenie, że zaczyna się odrobinę niecierpliwić, chociaż wygląda na to, że zbliża się do celu. Odkrył, że Reggie Arbogast jest rzeczywiście jednym z tych, którzy znają miejsce ukrycia kolekcji. Powinieneś o tym wiedzieć. W każdym razie ma oczy i uszy otwarte i przypuszczam, że posuwa się do przodu. Ale mimo to wydaje się coraz bardziej sfrustrowany... - jej słowa zawisają w powietrzu. - A kiedy jest sfrustrowany...

Trzy tygodnie później kolejny urlop.

- Pracuję nad tym, żebyś miał wolne co tydzień. Jesteś zadowolony? - mówi, zabierając go z obozu Stanley. - Wszyscy bankierzy są na wolności, nie widzę powodu, dla którego ty miałbyś nie być. Instalują ich w Luk Kwok i codziennie eskortują do pracy. Nie sędzę, żeby dostawali większe racje od nas, ale kto wie.

Will siada na miejscu kierowcy.

- Widziałas się z Angeline? Co u niej słychać? Trudy patrzy w niebo.

- Angeline... Angeline przeżywa kryzys sumienia, tak to chyba nazywasz?

- Co się stało? - Will rusza.

- Odizolowała się i uznała, że nie jestem osobą, z którą chciałaby utrzymywać kontakty. Wyobrażasz sobie? - Trudy uśmiecha się cierpko. - Z matką chrzestną swojego dziecka!

- Podać ci powód?

- Nie. Poszłam ją odwiedzić w Koulun i jej służąca powiedziała mi, że Angeline nie ma w domu. Zachowywała się jakoś dziwnie, a kiedy odeszłam i spojrzałam w stronę budynku, zobaczyłam Angeline w oknie. Nawet nie próbowała się kryć. Spojrzała na mnie wprost i zaciągnęła zasłony. To ponure.

- Wydaje ci się...

- O, nie, kochanie. Znam Angeline bardzo dobrze. Nie musi nawet nic mówić, żebym wiedziała, co myśli. Mam tylko nadzieję, że ty nie dojdiesz do tych samych wniosków. Staję się pariasem; już to widzę.

Will odpowiada na to własnym wyznaniem.

- Trudy, nie pytałem go. W lot łapie, co ma na myśli.

- Może nie było okazji - mówi. Nie potrafi jej okłamywać.

- I nie zapytam - dodaje. - Tak się po prostu nie robi.

- Och! To nawet nie chcesz spróbować?! - Z jej gardła wydobywa się dziwny odgłos, jakby się dusiła. - Tak się nie robi? Rozumiem...

- A zresztą, dlaczego niby Arbogast miałby mi to powiedzieć? - dodaje słabym głosem. - Nie jesteśmy nawet przyjaciółmi.

Zapada milczenie, które przerywają dopiero w Toa.

- No to jesteśmy - mówi Trudy. - Zjesz coś? Chińczycy zawsze o tym cholernym jedzeniu, myśli Will.

- Nie - odpowiada, wysiadając z samochodu. - A ty?

- Otsubo chce, żebyśmy się z nim spotkali na lunchu. Czeka na górze.

- Ciekawe, kiedy zamierzałaś mi o tym powiedzieć? Jak już będę siedział u niego na kolanach?

- Will! - przywołuje go do porządku Trudy. - To jest poważna sprawa. Dominick obiecał Otsubo, że uzyska tę informację i że ja mu w tym pomogę. Nie prosiłabym cię, gdyby to nie było ważne, ale... - urywa.

- Trudy, ja ci nie mogę pomóc. Naprawdę nie mogę.

- Gdybyś wiedział, jaka jest stawka...

Usta Trudy są zaciśnięte. Zna tego człowieka. Problem polega na tym, do jakiego stopnia będzie potrafiła poradzić sobie z tym drugim.

Zanim jednak znaleźli się w pokoju, jej zły humor zdążył już się gdzieś ulotnić. Nastroje Trudy są jak płaszcz, który w każdej chwili może zdjąć albo włożyć.

- Jeśli z tego powodu odbiorą mi przepustkę mówi lekkim tonem - to przede wszystkim stracisz na tym ty. - Otwiera drzwi. - Otsubo - san! Dzielny Will Truesdale przyszedł, aby nam powiedzieć o wspaniałych, wręcz sanatoryjnych warunkach życia w obozie Stanley. Wczoraj na obiad był coq au vin, jeśli się nie mylę, prawda? Słyszałam, że macie tam też rozrywkę, Stanley Players! - Po tych słowach Trudy zaczyna się kręcić po pokoju, jakby ją rozpierała energia, rozdając na prawo i lewo całusy, wykrzykując różne absurdalne powiedzonka i dzwoniąc kostkami lodu w wysokiej szklance whisky, jakby nie miała absolutnie żadnej troski pod słońcem i jakby tuż przed wejściem nie obdarzyła Willa długim błagalnym spojrzeniem.

Zjawia się Dominick. Will dostrzega w spojrzeniu Otsubo ledwie ukrywaną pogardę. Mimo to dłoń Japończyka spoczywa na ramieniu gościa dłużej, niżby się można spodziewać. Otsubo pozwala mu się obsługiwać, co Dominick robi skwapliwie, z przyprawiającą o mdłości służalczą. A więc tak to wygląda, myśli Will. Mądry staje się psem, a żołnierz panem. Przemoc zawsze w końcu triumfuje.

Jednakże nie to zaprzęta mu głowę. Od chwili kiedy wysiedli z samochodu i weszli do apartamentu Trudy, niepokoi go coś zupełnie innego.

Źródłem nieprzyjemnego uczucia, które go nęka i którego nie może się pozbyć, jest jego własna niechęć do kompromisu, a także świadomość jej przyczyn; niemiłe podejrzenie, że prawdziwym powodem tej jego niechęci jest nie własna prawość, tylko zwykłe tchórzostwo.

2 maja 1943

Arbogast wrzeszczy. Will nie może tego słuchać, ale i nie może tego nie słyszeć. Stoi oniemiały, ma ochotę zatkać sobie uszy, sam ma ochotę wrzeszczeć. Zebrani wokół dorośli są bladzi i milczący; matki przeganiają dzieci.

Zwykle strażnicy zabierają podejrzanych nieszczęśników do odległego budynku, gdzie mają podpisać swoje zeznania, gotowe na długo przedtem, nim zaczęli mówić. Ale Arbogast! Przyszli po niego cichcem, ponuro, zdecydowanie - we dwóch - ujęli pod ręce i zawlekli do biura Ohty sąsiadującego ze stołówką dla oficerów. Szedł spokojnie, bez protestów, a potem rozległ się ten krzyk.

W ciągu trzech dni od powrotu z przepustki Will robił wszystko, żeby unikać Arbogasta, jak gdyby już sama jego fizyczna bliskość mogła sprawić, że niebezpieczna tajemnica Reggiego do niego przeniknie, tajemnica, której za żadne skarby nie chciał poznać.

Will woli nic nie wiedzieć o Arbogaście: czy jest człowiekiem zdecydowanym utrzymać sekret do końca, czy może bardziej ceni sobie rodzinę niż swój kraj, czy wreszcie jest kimś, kto pójdzie na ugodę dla poprawienia sobie warunków bytowych. Nie chce wiedzieć kompletnie nic. Próbuje go ignorować - dumnego kiedyś mężczyznę, dziś snującego się po obozie ze stopami spuchniętymi od beriberi i narzekającego na chorobę żony i dezynterię.

Drzwi się otwierają i strażnicy wyprowadzają szarpiącego się Arbogasta. To dziwne, że przemoc w rzeczywistości nie jest taka wyrazista. Widać tylko parę strumyków krwi. Pierwsze wrażenie - Reggie jest mokry. Tortury wodne. Teraz zabierają go gdzieś na peryferie. W dalszym ciągu krzyczy, ale głos - z wysiłku - zaczyna go już zawodzić. Od samego słuchania tych rozdzierających dźwięków Willa boli gardło.

Przychodzi mu do głowy nagła, niestosowna i mdła refleksja: a więc tak wygląda prawdziwa twarz tego człowieka. Mężczyzna, który wrzeszczy w obliczu niebezpieczeństwa. Will ma nadzieję, że on w chwili próby będzie milczał. Ale nigdy nie wiadomo.

Nagle koło niego znajduje się Johnnie. Razem patrzą na wleczonego znów Arbogasta.

- Biedaczysko - mówi Johnnie. - Ciekawe, co mu zarzucają.
- A czy to ma jakiegokolwiek znaczenie? - pyta Will.

- Żadnego - odpowiada Johnnie i patrzy na Willa. - Ale z ciebie zrobił się cynik.

Następnego dnia dwóch żołnierzy odprowadza Arbogasta do jego pokoju. Rzucają go bezceremonialnie na łóżko. Regina spada na podłogę, wijąc się w ataku hysterii. Jej mąż, prawie nieprzytomny, leży nad nią. Brakuje mu prawej dłoni; widać kikut zawinięty w zakrwawione szmaty.

Jakieś rozsądne kobiety odciągają Reginę, pojąc ją herbatą, gdy tymczasem przychodzi wezwany lekarz. Bezradnie potrząsa głową - nie ma ani żadnego sprzętu medycznego, ani leków.

- Co ja mogę zrobić? - pyta. - Albo będzie żył, albo umrze. To wszystko.

Zostawiają nieszczęśnika z lekarzem. Twarz Arbogasta jest opuchnięta i sina, tak że trudno go poznać. Sącząca się z rany krew przesiąka przez podartą pościel. Rano rezydenci bloku D narzekają, że nie mogli spać z powodu jęków Reggiego. Arbogast, bogaty biznesmen, został zredukowany do tego poziomu; oni do tamtego.

Tajemnica z pewnością już do tej pory wyszła na jaw, myśli Will. I na tym powinno się skończyć.

27 maja 1953

Victor Chen był w panice. Widziała to nawet Claire ukryta w pokoju z fortepianem. Miotał się po domu, wrzeszcząc na służbę i na Melody, to podnosząc słuchawkę telefonu, to znów ją rzucając.

Dla dobra Locket Claire nie przerywała lekcji, chociaż jej prowadzenie było prawie niemożliwe. Po tym jak drzwi trzasnęły po raz trzeci, zamknęła podręcznik.

- No i co powiesz? - zapytała.

- Na jaki temat, pani Pendleton?

Po raz pierwszy Claire było żal Locket. Jakie musi być życie w takim domu, z takimi rodzicami jak Melody i Victor? Twarz dziewczynki była rozpaczliwie gładka, jej orientalna cera niemal lśniła, oczy przypominały dwie pełne ciekawości kule orzechowego koloru. Claire sięgnęła ręką i zatknęła dziewczynce za ucho luźny kosmyk włosów. Ten macierzyński gest zdziwił ją prawie tak samo jak Locket, która uśmiechnęła się krótko, nieśmiało.

- A co byś powiedziała na to, gdybyśmy dziś skończyły trochę wcześniej?

- Dobrze, pani Pendleton. - Locket błyskawicznie zamknęła instrument, rozlewając wodę, która stała w szklance na fortepianie. - Ooops - zachichotała. - Mama mówi, że jestem okropną niezdarą.

- Musisz bardziej uważać - powiedziała Claire. - Wszystkie dzieci są nieuważne.

- Mama mówi, że ma ze mną same kłopoty - przyznała już nie tak wesoło Locket. - Nie chce, żebym jej przeszkadzała popołudniami i dlatego każe mi brać tyle lekcji.

- Jestem przekonana, że twoja mama chce, żebyś wyrosła na wykształconą damę z różnorodnymi zainteresowaniami. - Claire poklepała ją po głowie.

- A u nas będzie przyjęcie z okazji koronacji królowej. Wie pani, że tata dostał od królowej bardzo ważny order?

- Owszem, słyszałam. Musisz być niezmiernie dumna.

- I szyje się dla mnie nowa sukienka. Z pomarańczowej jedwabnej tafty z gipiurą - opisywała szczegółowo dziewczynka. - Koronkę mama sprowadziła z Francji, nie ma takiej drugiej w Hongkongu.

- To wspaniale, Locket.

Mała rozpromieniła się, ale zaraz potem na jej buzi odmalowała się niepewność.

- Pewnie, że wspaniale - zawahała się, po czym wyznała: - Ta koronka to resztką, która została z sukienki mamy. Dla niej było za dużo, więc mi tę resztkę dała.

- Jestem przekonana, że obie będziecie wyglądały fantastycznie - zapewniła ją Claire.

Powodem stanu Victora Chena było - jak się domyślała Claire - doniesienie prasowe z dzisiejszej gazety. Informacja została zepchnięta na stronę siódmą przez idącą jak burza obsługę dziennikarską księżniczki Elżbiety i ostatnie szczegóły zbliżających się uroczystości w Opactwie Westminsterskim, ale jednak była - skromna notatka o powołaniu Komisji do spraw Zbrodni Wojennych pod przewodnictwem sir Reginalda Lythgoe, do której utworzenia asumpt dało ujawnienie nowych faktów. Na co Will zwrócił uwagę Claire już wcześniej.

- To jest absurdalna sytuacja! - wykrzykiwał Victor do telefonu. - To polowanie na czarownice! Wojna skończyła się dziesięć lat temu, a oni ciągle jeszcze zajmują się wyciąganiem na wierzch jakichś brudów! Powiedz Davies, że tego nie zapomnę. To typowe antychińskie resentymy. Nie mogą znieść tego, że komuś się powiodło, a jeszcze to odznaczenie... to już przelało kielich goryczy. Ta wstrętna stara baba grała Chopina na rządowym instrumencie przez całą wojnę, popijając whisky i obzerając się cieleciną, i to wszystko pod moimi skrzydłami! Nie ma prawa...

Ktoś zamknął drzwi, wyciszając głos Victora.

- To mogę już iść? - Locket się uśmiechnęła.

- Możesz - odparła Claire. - Biegaj.

Claire wymknęła się po cichu; udało jej się jakoś nie natknąć ani na Melody, ani na Victora. Spieszyła się na spotkanie z Edwiną Storch.

Panna Storch zadzwoniła do niej w ubiegłym tygodniu i umówiła się z nią na herbatę. Zdecydowały się na Klub Bibliotekarzy w Mid - Levels, a Claire wybrała czwartek.

Minibus zatrzymał się przed budynkiem na Tregunter Path i Claire wysiadła. Panna Storch akurat wchodziła do budynku klubu. Claire przystanąła, żeby jej się przyjrzeć. Panna Storch miała na głowie różowy kapelusz, spod którego wyzierał kok w kolorze soli z

pieprzem. Rozłożyła biodra kryła bawełniana, sięgająca kolan spódnica pod kolor. Na grubych łydkach Edwiny Storch wiły się węzlaste żyłki, a kiedy szła, podpierając się laską, kołysała się na boki. Zatrzymała się na moment przed drzwiami dla nabrania tchu, po czym weszła do środka.

Claire odczekała chwilę, zanim pchnęła drzwi, i weszła za nią. W lokalu było ciemno i chłodno. U góry obracały się wentylatory, a ciężkie adamaszkowe zasłony chroniły meble przed wpadającym z zewnątrz ostrym słońcem. Claire mrużyła oczy, starając się dojrzeć szczegóły wnętrza.

- Witaj - odezwała się Edwina Storch. Claire drgnęła. Edwina zdjęła okulary i zaczęła je przecierać ręką zakietu. - Zaparowują się w tej wilgoci.

- Dzień dobry pani. Szłam tuż za panią, było jednak zbyt gorąco, żeby przyspieszyć.

Edwina Storch już nie nalegała, żeby jej mówić po imieniu.

- Tak, na zewnątrz jest strasznie, to prawda - powiedziała, wyciągając białą chustkę i wycierając czoło. - W takim klimacie coś się dzieje z ludzkim charakterem, ale jeszcze nie rozszyfrowałam co. Dotyka to ludzi, którzy tu mieszkają ponad dwadzieścia lat, ale nie potrafię tego nazwać.

- Upał? - zapytała Claire.

- Tak. Przez większą część dnia człowiek stara się go unikać. I to poczucie, że gorąc się nigdy nie kończy. Zamiast harmonii... nieustanna wojna z żywiołami. To właśnie my, Brytyjczycy, kolonizatorzy, wiecznie walczymy z warunkami, w jakich przyszło nam żyć. - Panna Storch przyglądała się Claire z uwagą, a ta ostatnia przypomniała sobie, jak się po raz pierwszy spotkały, i ten wzrok, pod wpływem którego mało nie zemdląca. - Może byśmy usiadły?

- Oczywiście.

Claire nie miała jasności, dlaczego panna Storch do niej zadzwoniła. Starsza pani poruszała się wolno i była traktowana przez personel z wielkim respektem.

- Miło panią znów widzieć, panno Storch - powiedziała kierowniczką klubu, która przyszła się przywitać. - To wspaniale, że mogła pani przyjechać do miasta i nas odwiedzić.

- Czy znasz panią Maxwell? - Edwina zwróciła się do Claire. - Jest tutaj prawie tak samo długo jak ja.

Przywitały się i zostały odprowadzone do jadalni, gdzie też były ciężkie adamaszkowe zasłony i mieszanina starych dobrych stołów i nowych zbyt błyszczących krzeseł.

- Mamy dziś pani ulubione bułeczki z czarną porzeczką - poinformowała pani Maxwell. - I dobrą chińską herbatkę Ulung.

- To wspaniale - odparła Edwina, ostrożnie siadając na krześle. - Jesteś aż za dobra, Harriett. Obie poprosimy o podwieczorek.

- Jak tu przyjemnie - zauważyła Claire. - Jestem tu pierwszy raz.

- Rzeczywiście całkiem miło. Podczas wojny spędziłam w tym klubie kilka nocy.

- Naprawdę? - zdziwiła się Claire.

Podeszła kelnerka i nalała im wody do zniszczonych porysowanych szklanek.

- Jest coś bardzo smutnego w Eurazjatkach - stwierdziła Edwina, patrząc za odchodzącą kelnerką. - Jakaś niekompletność, jakiś brak. Zawsze mi się wydaje, że czegoś nieustannie szukają, jakiegoś dopełnienia.

- Tak pani uważa? - powiedziała grzecznie Claire. - A mnie się bardzo podobają... z tą ich piękną cerą i złocistymi oczami, i włosami. Kiedy przyjechałam do Hongkongu, wydawały mi się dziwne, ale teraz uważam, że są wspaniałe.

- Phi - parsknęła Edwina. - Jesteś młoda i romantyczna. Jako dzieci bardzo cierpią, bo w gruncie rzeczy nie są akceptowane ani przez jedną, ani przez drugą rasę.

Claire nie sądziła, że Edwina może być tak ograniczona, ostatecznie sama żyła w sposób niekonwencjonalny.

Jak gdyby zgadując jej myśli, panna Storch uniosła się lekko do góry i oświadczyła:

- Zawsze obie z Mary przestrzegaliśmy w życiu zasad chrześcijańskich! Kochamy wszelkie stworzenia, nawet te najmniej udane.

- Oczywiście - zgodziła się Claire.

Po chwili znów pojawiła się Eurazjatka, tym razem przynosząc czajnik z herbatą. Rozstawiła filiżanki i na każdej z nich położyła siteczko. Oczy miała spuszczone, wzrok wbity w blat stołu.

- Ja naleję - powiedziała panna Storch, zwalnając ją z tego obowiązku.

- Nie uważa pani, że ona jest ładna? - zapytała Claire. - Odczuwała trudną do opanowania potrzebę drażenia tego tematu.

- Nie, Claire, nie uważam, to biedne stworzenie. Szczęście, że ma jakąś przyzwoitą pracę. Jestem przekonana, że jej ojciec zabawił się z matką, a potem ją rzucił. Na ogół tak to wygląda. - Panna Storch nalala gorącej herbaty do filiżanki Claire, która tymczasem sięgnęła po dzbanek z mlekiem.

- Do tego rodzaju herbaty nie używa się mleka! - wykrzyknęła Edwina. - Ręka Claire zawisła w powietrzu ja porażona. - Cały dowcip polega na tym, żeby jej niczym nie rozcieńczać. Odstaw to mleko. Nie wiem, po co nam je w ogóle podano.

Po chwili wahania Claire wlała mleko do swojej filiżanki.

- Ja wolę herbatę z mlekiem - wyjaśniła.

Panna Storch wpatrywała się w nią przez chwilę, po czym zdjęła okulary i ponownie zaczęła je przecierać.

- O, widzę, że jednak masz w sobie trochę ikry. - Przyglądała się swoim okularom. - To dobra wiadomość.

Claire milczała.

- Będzie ci teraz potrzebna - kontynuowała Edwina. - Szykuje się niezły pasztet, a z tego, co wiem, tkwisz w tym wszystkim po uszy.

- Nie rozumiem...

- O, myślę, że rozumiesz więcej, niż chciałabyś się do tego przyznać. - Panna Storch skrzywiła się, popijając herbatę. - Za mocna, za długo parzona.

- To może poproszę o wrzątek. - Claire uniosła rękę.

- Nie zwracaj sobie tym głowy. Są ważniejsze sprawy do omówienia. - Edwina westchnęła. - Widzę, że masz słabość do Eurazjatów.

- Trudno tak powiedzieć - zaprotestowała Claire. - Ja po prostu...

- To wobec tego z pewnością wiesz o Trudy Liang. - Panna Storch wpatrywała się w Claire intensywnie ponad okularami. - Była za życia jedną z najbardziej znanych Eurazjatek w Hongkongu. Pochodziła z bajecznie bogatej rodziny i dzięki temu nie podlegała wielu uprzedzeniom, jakie dotyczą mieszaińców. - Edwina Storch wygłosiła to bez odrobiny ironii. - Wiesz, o kim mówię, prawda?

- Tak - przyznała Claire. - Słyszałam o niej.

- I o całej tej historii wojennej? Trudy nie trafiła do obozu internowania, ponieważ jej matka była Portugalką, a ojciec

Chińczykiem, a ja nie trafiłam, bo okazałam się mądrzejsza, miałam matkę Finkę i potrafiłam to jakoś wykorzystać. Jeśli się w pierwszych dniach było dostatecznie przekonującym, to wiele można było działać. W istniejącej wówczas niejasnej sytuacji przepisy zmieniały się z dnia na dzień. - Poruszyła oczami, a jej spojrzenie stało się rzewne. - Oczywiście nie dałam rady wyciągnąć Mary, ale pozostając na wolności, mogłam się nią przynajmniej zająć, przynosić jej paczki i w ogóle. Nic więcej nie byłam w stanie zrobić. Wiesz co, Claire - powiedziała nagle - masz twarz świadczącą o tym, że umiesz słuchać. Ludzie muszą ci się często zwierzać. Nie uważasz, że mamy do czynienia właśnie z takim przypadkiem?

- Nie uważam - odparła powściągliwie Claire i pomyślała, że twarz Edwiny przypomina teraz wielkiego mięsistego gada. Były na niej wypisane cwany oportunizm i chciwość.

- To znaczy, że wiesz o Trudy i Willu Truesdale'u, tak?

- Słyszałam różne plotki, jak wszyscy - odparła Claire. - Ale to nie ma ze mną nic wspólnego.

- Nie ma?! - Panna Storch zarechotała. - I my mamy w to wierzyć, tak? Tych dwoje znało się jak łyse konie. Uważano powszechnie, że się pobiorą. Jeśli chcesz znać moje zdanie, to on był stroną przegraną. Mógł trafić lepiej. Ale nie, trzymał się jej, a potem wybuchła wojna i działy się różne rzeczy. - Panna Storch przerwała. - Pewnie się dziwisz, dlaczego cię tu dzisiaj zaprosiłam i dlaczego cię wtedy zaprosiłam na lunch. Chciałam się dobrze przyjrzeć tobie i twojej twarzy. Ale to długa historia. Lepiej ty jedź, a ja będę mówiła. - Zrobiła nagle bardzo poważną minę. - Musisz być teraz inna. Musisz stanąć na wysokości zadania. I musisz mieć dużo siły. Przyszedł czas na zmiany.

W świetle późnego popołudnia drzwi do Klubu Księgarzy się otworzyły. Claire wstała, mrugając nawet w zapadającym mroku. Żegnała się z Edwiną Storch.

- Dziękuję bardzo za zaproszenie - powiedziała.

- Ależ bardzo proszę. Mam nadzieję, że nieco objaśniłam ci sprawę.

- Oczywiście - zaczęła Claire i po chwili dodała: - Nie, właściwie to nie. W gruncie rzeczy nie wiem... - Z trudem cedziła słowa.

- Nie w ten sposób, moja droga. - W głosie panny Storch była irytacja.

- Panno Storch - zwróciła się do niej szybko Claire - panno Storch, ja czuję... Jest coś, co chciałabym powiedzieć. Kiedy panią poznałam na tamtym przyjęciu ogrodowym u pani kilka tygodni temu, stwierdziła pani, że przypominam panią z czasów młodości. Chcę panią zapewnić, że to niewłaściwe odczucie. Różnimy się jak dzień i noc. - Po czym odwróciła się i nie patrząc za siebie, pospiesznie wyszła.

Słońce zachodziło i Claire nie mogła sobie wyobrazić, że zanim weszła do ciemnych pomieszczeń klubu i zaczęła słuchać jadowitych opowieści starej nienawistnej kobiety, na zewnątrz był normalny dzień.

1943

BYŁO DZIECKO

Był mężczyzna z jedenastoma palcami. Raz miał ich dziesięć, kiedy indziej jedenaście. Palec zawsze odrastał, co trwało dokładnie rok. Dobra miara czasu.

Byli dobrzy ludzie.

Byli źli ludzie.

Byli martwi ludzie.

Była kobieta, która zniknęła.

BYŁO DZIECKO.

Trudy; jej szczupła figurka w coraz to luźniejszych tuniczkach. Jej twarz coraz okrągłej sza, nakrapiana cera naznaczona piętnem ciąży. Jak to się stało, że zauważył? Doznał olśnienia, jak i wielu innych rewelacji, gdy zapadał już w sen po kolejnym weekendzie spędzonym na wolności. Drgnął, kiedy to do niego dotarło: Dziecko. Nie mógł zasnąć. Przewracał się na cienkim materacu jak szalony. Trawił go niepokój, umysł mu płonął.

Nie powiedziała mu. A on nie zauważył. Proces postępował stopniowo.

Jego myśli były jak myśli starej kobiety. Co to za świat i czy warto powoływać na niego nowego człowieka. Jak ona może mieć dziecko podczas wojny? I ta druga myśl, którą ciągle spychał, a która wracała natrętnie: Czy w takich czasach takie sprawy mają jeszcze znaczenie? A potem jeszcze jeden dzień i następny weekend.

- Zawsze wiedziałam, że w ciąży będę miała ogromny brzuch - mówi nagle Trudy. Po raz pierwszy potwierdziła swój stan. Powiedziała to odważnie przy śniadaniu, na które jedli makaron z

pieczoną wieprzowiną. Wkładała sobie do ust długie makarony jak domokrażny handlarz, nie dbając o estetykę. Gdyby mu powiedziała wcześniej, zanim sam zauważył, zachowałby się bardziej elegancko, powiedziałby, że jest jej z tym do twarzy, lecz on milczał. Była to jego małostkowa zemsta. Ale na czym? Na kim? Przecież nie na tej kobiecie. Na wojnie. Na niesprawiedliwości tego wszystkiego.

I nagle sprawa stała się oczywista - tak jak ciąża kobiety - z dnia na dzień. Powiększanie się Trudy uległo przyspieszeniu. W dalszym ciągu pozostała drobna, ale jej brzuch pęczniał, nie mieszcząc się w najluźniejszych nawet sukienkach. Cięża Trudy przypominała Willowi guz. Wstydził się tych skojarzeń.

Nigdy więcej nie powiedziała na ten temat ani słowa.

Był mężczyzna o jedenastu palcach.

Dominick. Rysy jego twarzy wyostrzył nowy spryt; ciało zwiotczało od dogadzania sobie. Trudy mówi sotto voce:

- Dominick się zmienił. Przez cały czas obcuje z tym odrażającym Victorem Chenem. Chcą namówić mojego ojca na udział w firmie w Makao, którą zakładają i która robi interesy z Japończykami. Nie chcę, żeby ojciec się w coś takiego angażował... nie jest zdrowy... ale Dommie ani myśli mnie słuchać. Przeszedł na stronę Victora. - W tonie Trudy słychać głębokie rozczarowanie. Straciła najlepszego przyjaciela. A to oznacza samotność. Will internowany. Dominick odmieniony. Nikogo więcej nie miała.

Byli dobrzy ludzie.

Kiedy Will wrócił ze swojej pierwszej przepustki, powitały go pełne podniecenia twarze głodnych wiadomości i nadziei współtowarzyszy. Rozdał między nich to, co przyniósł - strażnicy zostawili go w spokoju, bo rozeszła się wieść, że ma na wolności ważne koneksje - i poszedł do swojego pokoju.

W drzwiach pojawił się Johnnie Sandler.

- Wolisz być sam?

- Nie, jest w porządku. - Will gestem zaprosił go do środka.

- Jak ci się udał urlop? Jest tu wielu zazdrośników. Wieści roznoszą się lotem błyskawicy. Dla jednych jesteś łajdakiem, dla innych bohaterem. Zdania są podzielone.

- Johnnie... - Will się zawahał. Nie wiedział, od czego zacząć.

- Jest jeszcze na wolności ktoś, kogo znamy?

- Tak, ale... Mówią, że codziennie na ulicach umiera dwustu Chińczyków. Giną w brutalny sposób. Anonimowo. Połowa szpitali jest w dalszym ciągu zamknięta.

Johnnie wpatrywał się w jego twarz.

- Robisz wrażenie wykończonego. Czy coś się dzieje?

- Aż za dużo, przyjacielu. Aż za dużo.

- A Trudy... dobrze sobie tam radzi?

Will skinął głową.

- Ty jej nie znasz tak dobrze, prawda?

- Nie tak blisko - odparł Johnnie. - Mniej więcej tak jak ciebie.

- Co o niej myślisz? Johnnie się zawahał.

- Dziwaczne pytanie, biorąc pod uwagę to, że jest twoją dziewczyną.

- Nie, po prostu chcę wiedzieć.

- Lubilem ją. Z tego, co o niej wiedziałem. Zawsze było na jej temat dużo szumu, ale jak przyszło co do czego, w większości okazywało się, że to tylko plotki. Myślę, że jest dobrą osobą, jednakże być cały czas w centrum uwagi to bardzo trudne.

- Niesłychanie dyplomatyczna odpowiedź - skomentował Will.

Johnnie się uśmiechnął.

- A czego się spodziewałeś, stary?

- Dlaczego nikogo sobie nie znalazłeś? Zawsze było koło ciebie kilka dziewczyn, nigdy jedna, nigdy na dłużej.

- Widocznie nie trafiłem na tę, która by mnie chciała - lekkim tonem powiedział Johnnie. - Jak trochę dłużej ze mną pobędą, to uciekają, gdzie pieprz rośnie.

Przez chwilę siedzieli w milczeniu. Johnnie wyjął papierosy domowej roboty.

- Wysoka jakość, skręcane z tutejszej trawy porastającej Stanley.

- Podał Willowi papierosa.

Will potrząsnął głową.

- Co ja myślę? - Wyjął dwie paczki red sunów z torby pod łóżkiem. - Przyniosłem je dla ciebie. Są oczywiście japońskie, niemniej prawdziwe. Nie wiem, czy twoje skrupuły ci na to pozwolą.

Johnnie roześmiał się ubawiony.

- To bardzo miłe z pana strony, sir!

Palili przez chwilę, celebrując tę niewielką przyjemność, jaką była dawka nikotyny.

- Jest kilku facetów w bloku C, którzy znów próbują sklecić radio
- powiedział Johnnie. - Na razie nic interesującego nie osiągnęli, ale próbują.

- Trudy popadła w złe towarzystwo - oznajmił Will. Johnnie spojrzał na niego.

- Tego się domyślałem.

- Jest w wielkim niebezpieczeństwie, chociaż oczywiście ona tak nie uważa. Sądzi, że dobrze sobie radzi, że jest przebojowa, że trzyma z tymi, którzy mogą się okazać pomocni.

- A czego ona potrzebuje?

- Nie chodzi o to, czego ona potrzebuje. Ludzie ją proszą o różne rzeczy. Proszą o rzeczy, które mogą kompromitować innych.

- To niebezpieczne - rzekł po prostu Johnnie. - Powinna być ostrożna i ty też.

- Tak - odparł Will. - Będziemy.

- Już prawie pora na kolację. - Johnnie wstał. - Nasi wspaniali kucharze wymyślili nowe zaskakująco smaczne danie. Skóry z bananów smażone w oleju z orzeszków ziemnych. Jeśli się zamknie oczy, smakują jak grzyby. Tego nigdy nie mam dość.

- Brzmi dobrze - powiedział Will, chętnie zmieniając temat.

Byli źli ludzie.

Victor Chen i Reggie Arbogast ściskają sobie dłonie. Obaj są ubrani na sposób zachodni - w garnitury z granatowego tropiku i czerwone krawaty. Victor urządził przyjęcie dla starannie wybranych niedobitków ze Stanley po uwolnieniu obozu. Oczywiście żadnej hołoty - sami doktorzy, adwokaci i szefowie firm. Składał wyrazy współczucia z powodu krzywd, jakie wojna wyrządziła im i ich krajom, traktując ich szampanem.

Wyobraźcie sobie coś takiego: gubernator Mark Young wraca z więzienia na Malajach na miejsce upokorzeń swoich i swojego kraju. Koniec wojny. Robi się wszystko, żeby nagłośnić ten triumfalny powrót. Dakota RAF - u leci w eskorcie beaufighterów i corsaire'ów 721. Szwadronu. Uroczyste lądowanie na Kai Tak. Jazda z lotniska do Pen w eskorcie motocyklistów, a potem uroczystości. Działa, mundury, wielka pompa. Gubernator ściska dłonie przedstawicielom lokalnych władz, a oni witają go przemówieniami. A pośród tego wszystkiego nie kto inny tylko Victor Chen czyta własną mowę wysławiającą hart ducha i męstwo Hongkongu.

Ciemności i tylko mały krąg światła od lampy stojącej na biurku. Otsubo czyta dokumenty. Jego usta się poruszają. Na ławce siedzą obok siebie Trudy i Dominick. Nie rozmawiają ze sobą ani nawet na siebie nie patrzą. Czekają na sygnał od niego.

Byli martwi ludzie.

Czy to gra wyobraźni? Czy krzyk mężczyzny? Will usiadł na łóżku i nasłuchuje. Przez otwarte okno słyhać szum morza, ale nic więcej. Jakieś dziecko zapłakało przez sen. Zaspana matka je uspokaja.

Rankiem Will stwierdza, że pokój Johnniego jest pusty. Panuje w nim nieopisany bałagan, mimo że Johnnie jest porządny. Materac w połowie leży na podłodze, pościel zwisa z łóżka.

Zaprowadzili Willa do pokoju przesłuchań mieszczącego się po wschodniej stronie kompleksu.

Na podłodze leży Johnnie niedbale nakryty kocem. Oczy ma otwarte, koszulę podartą i brudną. W pokoju poza gołą żarówką jest tylko stołek. Przyprawdzili tu Willa, żeby zobaczył kolegę. To miało być ostrzeżenie, jak sądzi.

- Nie chciał mówić - powiedzieli - więc tak się skończyło.
- Bo on nic nie wiedział - odparł Will.
- To twoje zdanie.
- Naprawdę nic nie wiedział.
- A ty wiesz? - zapytali.

Dominick.

Krzyczał, błagał, próbował czarować. Dźgnęli go czubkiem bagnetu w policzek. Pokazały się kropelki krwi. Zmiażdżyli mu młotkiem mały palec. A potem pozostałe. I tydzień na dołku.

Wszystkiemu zaprzeczał. Do niczego się nie przyznawał.

Wystarczy tylko z wierzchu poskrobać, by wyszła cała prawda o człowieku.

Wan Kee Liang, ojciec Trudy.

Skonał w swojej rezydencji na Praia Grande, ciało umierało powoli, wszechobecny smród moczu, którym przesiąkła pościel, unosił się dokoła. Zwłoki znaleziono po wielu dniach.

Była kobieta, która zniknęła.

Trudy wlecze się po schodach siedziby żandarmerii na Des Voeux Road; brzuch ma wielki, lada chwila może urodzić.

Odwraca się, żeby pocałować Edwinę Storch, która jej towarzyszy. Spojrzenie ma raczej tęskne, niepotępiające. Jesteśmy skazani na powtarzanie przeszłości. Matka Trudy zniknęła. Trudy znikła.

10 maja 1943

Edwina Storch uniknęła internowania na skutek podejrzanych zabiegów - plotkują ludzie. Wykorzystała nieżyjącą matkę Finke, żeby uzyskać paszport międzynarodowy, a także zrzekła się obywatelstwa brytyjskiego. Mary Winkle została zatrzymana i wysłana do obozu Stanley, dokąd Edwina przynosiła jej paczki, kiedy tylko mogła.

Trudy zobaczyła ją na ulicy i podeszła, żeby się przywitać. Zawsze miała do Edwiny słabość mimo wersji krążących na temat jej etatu w szkole Essex. Sprawując władzę dyrektorki, przejawiała za dużo entuzjazmu, za mało nadzoru. Podobno był chłopak, który na skutek jej zbyt energicznych zabiegów wychowawczych wyładował w szpitalu, ale sprawa została starannie wyciszona. Chłopak był mieszkańcem - ojciec urzędnik angielski, matka Chinka, miejscowa kochanka mężczyzny, partnerka z wyboru, choć nieformalna. Mały nie wrócił już do szkoły.

- Ty też jesteś na wolności? - zdziwiła się Trudy.

- Tak, dzięki mojej kochanej zmarłej matce Fince.

- Każdy sposób wydaje się dobry. Chociaż właściwie wszędzie jest okropnie, prawda?

- Prawda, ale twój kuzyn Victor Chen bardzo mi pomógł. Ma w sobie jakąś magię, potrafi załatwić dosłownie wszystko.

Twarz Trudy pociemniała.

- Domyślam się, że za odpowiednią cenę. W każdym razie cieszę się, że w ogóle komuś pomógł.

- To twój kuzyn, tak?

- Niezupełnie. Jestem spokrewniona z jego żoną Melody. Ona w tej chwili przebywa w Kalifornii. Ma tam urodzić dziecko.

Wzrok Edwiny powędrował w dół ku wzdętemu brzuchowi Trudy.

- Ufam, że z tym jest wszystko w porządku... - Panna Storch zniżyła głos. - Pod warunkiem, że w ogóle tutaj wszystko będzie w porządku.

- Tak, w porządku - odparła Trudy. - Mam nadzieję, że wszystko się jakoś ułoży. Prawda?

- Ja też mam taką nadzieję - zapewniła ją Edwina.

- I że w tym naszym nowym dziwnym świecie się spotkamy. A teraz idę na lunch z Dominikiem - oznajmiła Trudy.

- To pozdrów go ode mnie - powiedziała panna Storch. - Z pewnością jakoś wszyscy sobie poradzimy.

Trudy patrzyła przez chwilę za odchodzącą Edwiną Storch z dziwnym wyrazem na swojej uroczej twarzy.

28 maja 1953

Było późne popołudnie, przez okno wpadały promienie słońca, a na łóżku Will jęczał i kręcił się w niespokojnym śnie. Włosy miał mokre od potu. Claire klasnęła w ręce, żeby sprawdzić, czy zdoła go w ten sposób obudzić, ale on obrócił się tylko na drugi bok i cicho zakwilił.

Popatrzyła na jego zroszoną potem twarz, na usta poruszające się prawie niewidocznie we śnie i po raz pierwszy w życiu zrobiło jej się go żal.

- Dotknij mnie - prosi. W jej głosie słychać rozpacz. - Znów chcę się poczuć rzeczywista.

Obejmuje ją, tuląc tak mocno, jak tylko może.

- Ty nie wiesz, co on mi kazał robić - mówi stłumionym głosem w jego ramię. - Nawet sobie nie wyobrażasz.

- No, już dobrze, już dobrze - uspokaja ją. - Nie martw się.

- Nie jest dobrze! - wykrzykuje. - Nie jest. Ty nie wiesz. Gdybyś wiedział, nigdy więcej nie chciałbyś mnie widzieć, nigdy byś mnie nie dotknął. Nie mógłbyś spojrzeć mi w oczy. - Odsuwa się od niego i wpatruje w jego twarz.

On milczy. Ona się krzywi.

- Wiedziałam - mówi. - Wiedziałam. Czego mogłam się spodziewać?

- Nie mam pojęcia, czego ode mnie oczekujesz.

- To dlatego tak bardzo cię kochałam. Nie tylko dlatego, że byłeś taki dobry i nikogo poza mną nie potrzebowałeś, a ja myślałam, że potrafię sprawić, żebyś mnie potrzebował, tylko dlatego... - zaczyna płakać. Takiej Trudy nigdy nie widział, Trudy kruchej jak babie lato, która nie dba o to, czy ktoś to widzi, czy nie. - Bo nikt mnie nigdy nie kochał. Kochali moje pieniądze albo to, jak wyglądałam czy nawet jak mówię. Albo ojciec... kochał mnie, bo musiał. Matka mnie kochała, ale uciekła. Nikt mnie nie kochał dla mnie samej ani nie uważał za coś więcej niż tylko dobrą rozrywkę na wieczór. To najgorszy banał pod słońcem. Ale ty mnie kochałeś. Lubieś osobę, którą byłam. Ja to naprawdę czułam. I traktowałam jak objawienie. Ale potem, po Otsubo i po tym, jak cię poprosiłam, żebyś mi pomógł w zdobyciu tej informacji, stwierdziłam, że się zmieniłeś. Albo że się zmieniły twoje uczucia. Już mnie nie kochałeś tak jak dawniej. W twoich oczach stałam się kimś innym. Już nie byłam tą osobą, którą obdarzałeś

bezwartkowym uczuciem. - Trudy wyciera oczy, czerwone i spuchnięte od płaczu. - Och, muszę wyglądać jak troll - mówi nagle i przez chwilę przypomina dawną siebie. - Więc kiedy to się stało... - nabiera tchu - kiedy to się stało, Will, wszystko idealnie zaskoczyło. Udawałam osobę, którą jestem przy tobie, ale wystarczyło zaledwie kilka tygodni rozłąki...

- I wojna - dodaje Will. Nie wie, skąd się biorą te słowa, skąd się wzięła ta machinalnie mówiąca osoba.

- Tak, kilkutygodniowa rozłąka i kilku dobrze uzbrojonych, groźnych Japończyków i... oto dowód... znów stałam się dawną Trudy, która dbała tylko o siebie i swój bardzo elastyczny kodeks moralny. I to było słuszne, wydawało się okropne, ale było słuszne. Nie jestem osobą, za jaką mnie uważasz. Mówiłam ci to, zanim poszedłeś na plac defiladowy, i chciałam, żebyś to dobrze zrozumiał. Zrozumiałeś? Powiedz, zrozumiałeś?

- Nie mam prawa cię rozgrzeszać. Trudy wymierza mu policzek.

Will podnosi rękę do twarzy, jak kobieta.

- Czasami mam ochotę cię zabić - mówi wolno Trudy - ciebie i twoją tak zwaną moralność.

Odwraca się do wyjścia. Will łapie ją za łokieć.

- Nawet to - ciągnie Trudy - jest takie fałszywe. Niegodne ciebie. Bądź mężczyzną i pokaż, co naprawdę do mnie czujesz. - Wpatruje się w Willa, który nie jest w stanie się poruszyć. - Tak myślałam.

Odwraca się do drzwi.

- Dziękuję ci, Will - mówi cicho, w dalszym ciągu odwrócona tyłem do niego. - Przynajmniej wiem, na czym stoję. Dzięki ci, że mnie uwolniłeś.

Zawsze była dla niego za silna. Tak ranimy tych, których kochamy.

KOSZMARY SENNE. Przywidzenia.

Mężczyźni z wypalonymi językami, ze zmiażdżonymi kolanami, z wylupionymi oczami, zwaleni na sterty przy drodze wiodącej do obozu Stanley; matki zakrywają dzieciom oczy.

Dziewczyny z pustymi twarzami, w poszarpanych sukienkach, z kawałkami krwawych powyrywanych skalpów, z posiniaczonymi nogami, oślizgłymi od męskiego nasienia.

Otwierają się jakieś drzwi - dziewczyna przywiązana do biurka, prawie niema.

Ciało zaszyte w jutę, ze skrzyżowanymi ramionami, wrzucone do morza idzie na dno prawie bez plusku.

Ah Lok metodycznymi pociągnięciami czesze przed toaletką lśniące pasma włosów Trudy, za oknem odgłos bombardowania. Trudy maluje usta, skrapia się jaśminowym zapachem.

Elegancka głowa Dominicka naprzeciwko nóg Otsubo. Napotyka wzrok Willa, w panice szeroko otwiera oczy, które, gasnąc, robią się szare. Nie umarł; po prostu zamknął oczy. Will instynktownie odskakuje do tyłu. Wie, że nie może zatrzasać drzwi, ma dosyć przytomności umysłu, żeby ukryć swoje wtargnięcie.

Dziecko przychodzi na świat w środku nocy, trafia do rąk obojętnej pielęgniarce; uśpiona matka nigdy go nie zobaczy.

Młoda kobieta, prosto z Kalifornii, jeszcze okrągła po porodzie, ma puste oczy, a ramiona pełne innego dziecka.

2 czerwca 1953

Dobre wieczorne przyjęcia zawsze lśniły swoistym blaskiem. Szybko uzupełniano drinki, była wielka obfitość jedzenia, służba uwijała się bezszelestnie, goście zaś, w poczuciu, że to oni zostali wyróżnieni zaproszeniem, a inni pominięci, bawili się doskonale.

Koronacyjne przyjęcie u Chenów świeciło takim właśnie blaskiem już wtedy, kiedy Claire i Martin zbliżali się do drzwi frontowych.

Cały podjazd był oświetlony świeczkami w małych pojemnikach osadzonych w piasku. Służba w uniformach szybko odprowadzała samochody. W tle słychać było dźwięki muzyki. Chenowie wynajęli i zainstalowali w holu kwartet smyczkowy: trzech spoconych Chińczyków w smokingach i drobna kobietka ze skrzypcami wetkniętymi pod ptasi podbródek pracowicie piłowali instrumenty, sprawiając, że muzyka bardziej kojarzyła się z mozolną pracą niż ze sztuką.

Przy drzwiach stała przypominająca zjawę hostessa w srebrzystej sukni i z kielichem szampana w ręku.

- Witajcie, witajcie - świergotała Melody. - To cudownie móc was gościć. - Dla każdego... berło. - Gestem wskazała pojemnik z berłami. - Dziś każda z nas może być królową.

- Jesteś okropna! - wychrypiała chuda jak brzytwa blondynka. - Dzień w dzień przyjęcie. Widziałam cię już... zaraz... trzy razy w tym tygodniu? W Garden Parku, na lunchu u Maisie i u tego małego Włocha w Causeway Bay. Z kim byłaś, ty flirciaro? Z jakimś bardzo przystojnym mężczyzną.

- Z kuzynem, oczywiście. - Melody mrugnęła. - Rodzina jest dla mnie najważniejsza.

- Co my za bzdury gadamy! - powiedziała blondynka i zniknęła w głębi domu.

Martin i Claire stali we dwoje, czekając.

- Claire! - wykrzyknęła Melody. - Jak to cudownie, że mogliście przyjść.

- Dziękujemy bardzo za zaproszenie - powiedział Martin. Claire widziała, że jest speszony, i nagle poczuła irytację.

- Miło cię widzieć, Melody - zwróciła się do pani domu. - Co za uroczne przyjęcie.

Martin przyniósł drinki. Living room, w którym Claire tak często bywała, zmienił się teraz, ożył, wypełnił ludźmi. Wszyscy rozmawiali, śmiali się, nachylali ku sobie konfidencko.

- Nie znam tu żywego ducha - poskarżył się Martin. - Ciekawe, dlaczego zaprosili nauczycielkę muzyki z mężem.

- Martin! - obruszyła się Claire. - Nie musisz czuć się w ten sposób.

Ale Martin miał rację. Pozostali goście znali się między sobą i nie byli otwarci na nowych przybyszów. Stali więc z Claire w kącie, całkowicie ignorowani przez innych, uśmiechając się i popijając drinki.

Po pewnym czasie Martin dał za wygraną i poszedł do ogrodu podziwiać kwiaty i widok portu. Claire stała przez chwilę samotnie, a następnie podeszła do kominka oglądać fotografie.

W dalszym ciągu było tam zdjęcie Trudy w kostiumie kąpielowym, śmiejącej się do kamery. Niedaleko Claire czteroosobowa grupa - panie w kapeluszach z piórami, panowie w jedwabnych garniturach - rozmawiała o swoim ostatnim wyjeździe do Londynu. Claire przysłuchiwała się ich rozmowie, bawiąc się drinkiem.

- Było okropnie. A jaka beznadziejna służba... zwłaszcza w porównaniu z Dalekim Wschodem. Nie wyobrażacie sobie, co potrafią podać na obiad: jakieś zimne ohydztwa, i nawet nie próbują się z tego tłumaczyć. W Anglii idea służby została zamordowana. Koszmar, koszmar i jeszcze raz koszmar. Tu jest znacznie lepiej, tu ludzie są dumni ze swojej pracy.

- A Poppy przebywa teraz w Londynie, prawda? Nie zdziwiłabym się, gdyby w tej chwili była w Opactwie Westminsterskim.

- Och, ona jest okropna. Nie wątpię, że zrobiła wszystko, żeby się tam wkręcić. Przypuszczam, że kiedy wróci, będziemy musieli tych opowieści wysłuchać.

Claire odchrząknęła. Jedna z kobiet, ruda, obfitych kształtów, spojrziała przez ramię, nie przerywając perory.

Ze swojego miejsca Claire widziała dwóch stojących do niej przodem mężczyzn i dwie odwrócone tyłem kobiety. Wszyscy byli Anglikami. Spodziewała się, że Chenowie zaproszą więcej miejscowych.

- Czy będzie dzisiaj Su May? - Ruda kobieta zwróciła się z tym pytaniem do młodszej od siebie blondynki z grzywką. Mężczyźni poszli po drinki.

- Nie sądzę. Podobno pokłóciły się z Melody.

- Naprawdę? Mów!

- To samo co zawsze. - Blondynka zniżyła głos. - Melody jest ostatnio niezdolna... zapominalska i opryskliwa. W czwartek robiłam lunch na rzecz Garden Club i Melody nie była w stanie mi powiedzieć, czy przyjdzie, czy nie, a potem się nie pokazała i nawet nie raczyła słowem o tym wspomnieć! Nie mam pojęcia, co się z nią ostatnio dzieje.

- Order Imperium Brytyjskiego Victora uderzył jej do głowy! - I jeszcze ciszej: - Czy to nie dziwne, że większość miejscowych to anglofile?

- Właśnie, moja droga, wystarczy się tylko rozejrzeć dokoła. Jakbyśmy byli w Mayfair!

- Ale wiesz, że zapraszanie do domu nie jest w chińskim stylu. Chyba pierwszy raz, odkąd tu przyjechałam, mam okazję być w chińskim domu.

- Victor potrafi dbać o swoje interesy. Jutro wydają drugie przyjęcie dla zupełnie innego zestawu gości, ale nie w domu, tylko w klubie, a potem gra w madzonga i w ogóle.

- Sami swoi.

- Nie wiem, jak Melody wytrzymuje z tym człowiekiem. Charles twierdzi, że to najbardziej skorumpowany facet, z jakim się zetknął w życiu.

- Wiesz co, zastanawiam się. Mówią, że opium... Kobiety umilkły na widok znajomej, która je pozdrowiła.

Poruszyły się, zatrzepotały jak ptaki i zaczęły się nawzajem cmokać.

- Lavinia!

- Maude!

- Harriet!

Claire wymknęła się dyskretnie.

Później wdała się w rozmowę z Annabel, jasną blondynką z Atlanty w stanie Georgia, przebywającą w Hongkongu z mężem Peterem, pracownikiem Ministerstwa Spraw Zagranicznych.

- Powiedz coś o sobie, kochanie - poprosiła ją Annabel. Oczywiście miała błyszczące od alkoholu, włosy w nieładzie.

- Jestem tu z mężem, który pracuje w Ministerstwie Gospodarki Wodnej - wyjaśniła Claire.

- Ach, te ministerstwa: Spraw Zagranicznych, Gospodarki Wodnej! - wrzasnęła Annabel. - Uważaj na rury!

- Hmm, tak, właśnie - odparła Claire. - Nigdy nie potrafiła rozmawiać z Amerykanami, których sposób bycia był taki swobodny, nie wiedziała, co odpowiadać na ich dziwne wykrzykniki.

- A ty, jak spędzasz czas? Masz dzieci?

- Nie, a ty?

- Ja mam czwórkę, wszystkie poniżej piątego roku życia. Co rok to prorok. Peter mówi, że mnie udusi. A ja mu na to, że przecież nie wzięły się z powietrza, no nie? Tu przynajmniej jest pod dostatkiem służby. W domu nie ma tak dobrze.

- Od dawna jesteście w Hongkongu? - zapytała grzecznie Claire.

- Od trzech lat. Tu urodziłam Jacka, Bogu dzięki przez cesarskie cięcie...

Annabel paplała i paplała, napędzana własną elokwencją, a Claire słuchała zadowolona, że może sobie po prostu stać w spokoju i że nie widać jej skrepowania.

Martin znalazł ją później, jak czekała przy drzwiach łazienki.

- Hej - zagadnął - gotowa do wyjścia? Skinęła głową.

- Będę czekał na zewnątrz.

Claire wpadła do łazienki i spryskała sobie twarz wodą. Czuła, że za chwilę coś się stanie.

A potem się dowiedziała, że ruda z blondynką, Maude i Lavinia, komentowały jej osobę.

- Kto to była ta kobieta, co tak się snuła?

- Słyszałam, jak Melody mówiła, że to nauczycielka muzyki.

- Naprawdę?

- Niebrzydka, prawda?

- Tak, tyle że to taka bezbarwna uroda jasnej blondynki. Rozlega się lekki klaps.

- Ale ty jesteś mała! - I śmiech.

- To ta cera tak działa na facetów.

- Tak, tylko że na krótko. I nie na młodych.

Przy drzwiach wybucha zamieszanie. Jedna ze służących zemdląca. Wezwano chłopaka, który ją wyniósł.

- Cholerny upał - skomentował mężczyzna w słomkowym kapeluszu.

- Jak zawsze - dodał drugi. - Nie słyszałeś?

W samym środku tej bezsensownej rozmowy nieoczekiwanie pojawił się Will. Zatrzymał się przed nimi, byli pierwszymi osobami, na jakie się natknął.

- Słyszeliście? - zapytał. Na jego twarzy malował się szok. Nie mówił głośno, ale jego słowa dotarły do wszystkich. - Reggie Arbogast się zastrzelił.

Dwaj mężczyźni gapili się na niego w osłupieniu.

- To ten, co wydawał przyjęcia na Peaku? - Claire zaczęła płakać, zanim zdołała nad sobą zapanować. W swojej naiwności dalej uważała, że szczęście można kupić za pieniądze. Kilka osób obejrzało się i zaczęło jej się przyglądać; większość była jeszcze w szoku.

Natychmiast podniósł się gwar.

- Biedna żona. I sotto voce:

- Regina? Dziwię się, że zamiast siebie, nie zastrzelił jej.

- A dzieci?

- Dzieci są w Anglii. Zostaną zawiadomione telegraficznie oczywiście. Straszna tragedia.

- Kiedy go widziałem w Fanling, robił wrażenie przygnębionego. Strzelił w golfa tylko dziewięć dołków i poszedł do klubu na drinka. Zobaczyłem go tam, zanim skończyłem swojego, i uznałem, że jest z nim jeszcze gorzej, niż było.

Will jednak pojawił się w określonym celu. Rozejrzał się dokoła i podszedł do Victora.

- Ty łobuzie - powiedział i wymierzył mu policzek. - Przez cały ten czas pozwalałeś mu wierzyć, że to jego wina, bo się załamał. - W pokoju natychmiast zaległa cisza.

Victor Chen zachwiał się do tyłu, ale nie upadł. Złapał równowagę i trzymając się za szczękę, próbował się uśmiechać.

- Masz jeszcze odwagę tu przychodzić i rzucać się na mnie? Ty... wiecznie nieobecny kierowco.

- Zamknij się, szmato.

Dokoła nich ludzie stali jak porażeni, niezdolni poruszyć się, mimo że dobre wychowanie nakazywało wyjść. Kilka osób o lepszych manierach skierowało się wolno w stronę drzwi.

- To ty za tym wszystkim stoisz. To ty pod płaszczykiem patriotycznych haseł przehandlowałeś chińskim władzom Kolekcją Korony, może nie? Było ci dokładnie obojętne, czy ktoś z tego powodu będzie cierpiał, czy nie, dopóki mogłeś się bogacić, trzymając z okupantem. A wiesz, co ten twój chiński rząd zrobił z tą kolekcją? Najprawdopodobniej kazał ją potłuc na drobne kawałki jako przejaw kultury burżuazyjnej! - Will podniósł głos.

- Chińczycy mają prawo do swojego dziedzictwa - oświadczył Victor mentorskim tonem. - Przede wszystkim te rzeczy nigdy nie powinny zostać Chińczykom odebrane.

- Ty hipokryto - ciągnął Will, jakby nie słyszał słów Victora. - Studiując historię w Cambridge, byłeś wielbicielem starej wesołej Anglii... rejsy łódkami, truskawki ze śmietaną... a potem, kiedy uznałeś to za korzystniejsze, stałeś się modelowym Chińczykiem zabiegającym o względy a to nacjonalistów, a to komunistów, w zależności od tego, kto cię chciał. Ty nawet nie wiesz, czy przychodzisz, czy odchodzisz. - Will groźnie przysunął się do Victora.

- Nie spodziewałem się, że cokolwiek zrozumiesz, Will - odparł Victor, poprawiając koszulę. - Ty w szczególności. Przyjechałeś do Hongkongu, gdzie znalazłeś sobie gromadkę koleśków i panienkę mieszańca, i to jest w porządku. Cholerni Brytyjczycy z ich wysokimi standardami moralnymi, którzy dla zysków zatruli opium połowę Chin.

- To, co mówisz, nie ma żadnego znaczenia, Victorze, już i tak jesteś przegrany.

- Zawsze lubiłeś teatr, Will - powiedział Victor. - Tak jak i Trudy. - No i zawsze byłeś sentymentalny. Takie cechy to luksus, zapewniam cię.

Will przez chwilę milczał.

- Nie jesteś tego wszystkiego wart - rzekł w końcu. - I nigdy nie będziesz wart niczego.

Nagle u boku Willa pojawiła się Melody.

- Will - zaczęła błagalnym tonem. - Nie jesteśmy dla siebie wrogami. Kochaliśmy tych samych ludzi. Wszyscy przeżywalismy podczas wojny tragedie. Czy nie potrafisz przebaczać? Ani trochę?

Spojrzała na niego, ale Will nawet nie drgnął. I wtedy z jakichś względów zwróciła się do Claire i zaczęła do niej apelować.

- Ty na pewno zrozumiesz, Claire. Życie jest tak bardzo skomplikowane, a musimy podejmować takie trudne decyzje.

Kompletnie zaskoczona Claire znalazła się w niebezpieczeństwie. Był przecież Martin; byli wszyscy. Kobiety, które wcześniej o niej mówiły, teraz gapiły się na nią z zainteresowaniem. W ich oczach jakby narodziła się na nowo; stała się osobą zasługującą na uwagę.

Została wobec wszystkich zdemaskowana jako ktoś powiązany z gospodarzami i z Willem; stała się elementem układanki. Nie była przyzwyczajona do tego, że jest w centrum uwagi. Przypomniała sobie tamtą chwilę na przyjęciu u Chenów, kiedy wszyscy na nią patrzyli, czekając na jej dowcipną ripostę, na znak, że jest jedną nich, ale tego znaku z jej strony nie było. I to uczucie, jakie jej często towarzyszyło, kiedy była z Willem: że jest kimś zupełnie innym, jakąś inną Claire, która nigdy nie miała szansy ujawnienia się, osobą o własnych poglądach, mówiącą różne ciekawe rzeczy, kimś dostrzegalnym. O tym wszystkim myślała, patrząc na morze twarzy tych, którzy czekali na jej odpowiedź.

Najpierw skinęła głową w sposób możliwie dyskretny. Potem zarumieniła się i spuściła oczy. W wyobraźni zobaczyła bladą pokrytą potem twarz Edwiny Storch. Musisz stanąć na wysokości zadania. Tak, musi, ale w inny sposób, niż sobie wyobrażała Edwina.

Podniosła wzrok.

- Melody - powiedziała - wszyscy dokonujemy wyborów, ale musimy przy nich trwać i ponieść odpowiedzialność, jeśli okażą się niewłaściwe. - Głos załamał jej się lekko, ale uwaga wszystkich była na niej skupiona.

Poczuła na sobie spojrzenie skonsternowanego Martina. Nie mogła na niego patrzeć. Skoncentrowała się na tym, co robiła.

- Nie mam pojęcia, co tu się dzieje, ale wiem jedno: Will mówi wam coś bardzo ważnego.

Chciała być wielkoduszna, chciała zrozumieć. Królowa, która właśnie tego dnia miała być koronowana, z pewnością tego po niej oczekiwała. Tak bardzo pragnęła być litościwa i dobra, i delikatnie dotknąć ramienia Melody, zapewniając ją, że wszystko będzie dobrze, wszystko się jakoś ułoży, że sama się o tym przekona.

Claire myślała o tych wszystkich rzeczach, czując ciepło życzliwości.

Twarz Melody drgnęła.

Trwało to tylko moment, ale nie uszło uwagi Claire. Ta kobieta, myślała Melody, jest nauczycielką muzyki mojej córki. Jest kimś, kogo wynajęłam, żeby uczył Locket, jak uderzać w czarne i białe klawisze instrumentu muzycznego. Jest naiwną Angielką, kimś, o czyje względy nie muszę zabiegać.

Ta myśl jednak szybko się ulotniła wskutek wrodzonej praktyczności Melody. Ale było za późno. Claire zdążyła już to zauważyć. Żar, który czuła w piersi, uderzył jej do głowy. To ona nie potrzebowała niczego od nikogo. Zwróciła się do kochanka:

- Will - zaczęła ośmielona - wiem, że ty nie...

- To nie twoja sprawa, Claire - przerwał jej, jakby jej w ogóle nie widział.

Jednakże знаła go już teraz dostatecznie dobrze.

- Wiem, ale Melody chce powiedzieć coś ważnego. - Wiedziała, że to go rozdrażni jeszcze bardziej.

- Nie zachowuj się absurdalnie. Nie masz zielonego pojęcia, o co w tym wszystkim chodzi.

- Ale...

- Wynoś się - powiedział, wskazując na drzwi.

Do pewnego stopnia takie zachowanie Willa świadczące o tym, że potrafi zapanować nad sytuacją, jej imponowało. Wreszcie się do niej przyznał. Usłyszała ciche „O Boże” wypowiedziane chyba przez jej męża. Zamknęła oczy. Nie mogła teraz patrzeć na Martina, na jego twarz, na której malowały się konsternacja i upokorzenie, musiała uporządkować swoje uczucia. Zamknęła więc oczy, czując pulsowanie krwi w głowie i ciężar spoczywających na niej spojrzeń, a potem je otworzyła, rozejrzała się po otaczającym ją morzu rozmazanych twarzy i zaczęła się zastanawiać, co robić. Cała scena przypominała puszczonego w zwolnionym tempie film, którego akcja toczyła się pod wodą. Claire zamrugła, ale w dalszym ciągu obraz był zamazany. Jedna ze służących zawołała coś z kuchni, nieświadoma rozgrywającego się w pokoju dramatu. Claire słyszała brzęk szkła zbieranego na tacę przez inną niepodejrzewającą niczego dziewczynę. Nieprzyjemnie blisko niej bzyknęła mucha i Claire zauważyła, jak ruda kobieta powolnym, bardzo powolnym ruchem, nie spuszczając z

niej oka, przeczesuje palcami włosy. Claire miała wrażenie, że wszystko to dzieje się w jakimś odległym oszklonym pokoju. W końcu wstała, wyprostowała się, zaczerpnęła głęboko tchu i zrobiła jedyne, co mogła w tej szczególnej sytuacji zrobić: po prostu wyszła. Było to z jej strony paskudne tchórzostwo - tyle jeszcze spraw pozostawało do załatwienia na później - ale jej serce było przepełnione i czułe, a poza tym nie widziała przed sobą żadnego wyboru. Minęła gapiące się kobiety i zdenerwowanych mężczyzn, podeszła prosto do drzwi i położyła rękę na gałce. Zawahała się, sama nie wiedząc dlaczego, a następnie przekreśliła gałkę - miała na zawsze zapamiętać chłód metalu w dłoni - i wyszła. Nawet nie spojrzała na Martina, nie była w stanie. Nie spojrzała też na Willa. Wyszła na zewnątrz na spotkanie nowego nieznanego życia.

3 lipca 1953

Później się dowiedziała, co było dalej. Kobiety, które właściwie nigdy jej nie uznały, dzwoniły do niej teraz albo zatrzymywały ją na ulicy, pozornie, żeby spytać, co u niej słysząc, albo żeby opowiedzieć, co się wydarzyło po jej wyjściu, ale w gruncie rzeczy po to, aby się dowiedzieć, jaki był jej związek z zaistniałą sytuacją.

- Podobno poszedł na korty tenisowe i wetknął sobie pistolet do ust. Bardzo niemiła sprawa. No, ale wiesz przecież, że miał tylko jedną rękę. Zamiast drugiej oczywiście hak. Sprytnie to załatwił. Znalazła go amah. Sama wskutek szoku trafiła do szpitala. W takich sytuacjach służba zawsze utożsamia się ze swoimi chlebodawcami.

- Biedna Regina - powiedziała Claire. Przypomniało jej się przyjęcie u Arbogastów, na którym poznała Willa, i syn z ojcem, w białych strojach tenisowych, odbijający piłkę. Usiłowała wyobrazić sobie leżącego na trawie Reggiego, z którego ust chlusta krew. - Czy ktoś wie dlaczego? Poza tym, co się słyszy?

- Podobno ostatnio nie był sobą. Obciążał siebie winą za to, że kolekcja zniknęła. Nie mógł patrzeć spokojnie na ten cały koronacyjny szum z jego patriotyczną otoczką. Źle to znosił. Przypuszczam, że w jakiś sposób czuł się też odpowiedzialny za śmierć Trudy Liang. - I po przerwie: - A ty znałaś Trudy? Albo Dominicka?

- Nie - odpowiadała Claire. - Kiedy przyjechałam, oni już nie żyli. Całkiem niedawno dowiedziałam się, kim byli.

- Dominick był okropny. Zmieniał kobiety jak rękawiczki, chociaż podobno potrafił na dwie strony, jeśli rozumiesz, co mam na myśli...

Claire czekała cierpliwie.

- A Chenowie? Byli wściekli na Willa za to, że im zrujnował przyjęcie. Nie mogę uwierzyć, kochanie, że tak po prostu wyszłaś, to było takie dramatyczne! Melody wpadła w histerię, Victor próbował zachować zimną krew, a Will, no cóż, opanował się jakoś i wyszedł wkrótce po tobie, zostawiając nas wszystkich w osłupieniu. Jeszcze nigdy czegoś podobnego nie widziałam. Co za skandal! Czy byłaś blisko tych spraw?

- Niewiele wiem na ten temat - mówiła Claire. - Uczyłam Locket, ale nie miałam z nimi zbyt bliskich stosunków. Nie znałam ich dobrze. Byli dla mnie zawsze bardzo mili.

- Och... - w słuchawce westchnienie stanowiące wyraz rozczarowania. - No cóż... oni są naprawdę kimś. - I po krótkiej przerwie: - A ty... wszystko u ciebie w porządku?

- Dziękuję, w porządku - odpowiadała Claire. Albo coś w tym rodzaju.

- A... - na to pytanie zdobywały się tylko nieliczne kobiety. - A Martin?

Claire nie odpowiadała, więc przedłużającą się niezręczną ciszę szybko wypełniały paplaniny, wyrażając nadzieję, że wkrótce się zobaczą na herbatce albo na wspólnym spacerze.

A potem odkładały słuchawkę i nigdy już więcej nie dzwoniły. Zastanawiała się później nad szczerością ich intencji.

Władze zamknęły dochodzenie w sprawie zniknięcia Kolekcji Korony. Reggie Arbogast został pośmiertnie uhonorowany pochwałą królowej za zasługi dla imperium brytyjskiego. Regina sprzedała duży dom na Peaku szanghajskiemu przedsiębiorcy, który postanowił się przenieść do Hongkongu, i wyjechała do Anglii. O Victorze Chenie oficjalnie nie wspomiano.

5 lipca 1953

Widziała go już z daleka, jak się zbliżał - chudą postać o lasce. Trudno było sobie wyobrazić, że ten człowiek to zagadka, która jeszcze dwa tygodnie temu potrafiła rozniecić w niej tak wielki ogień.

Ale kiedy podszedł i zobaczyła z bliska jego wąską, bladą twarz i rozwichrzone włosy i kiedy przemówił, poruszył w niej dawne struny.

- Claire - powiedział, całując ją w policzek. - Siadaj. - Traktował ją prawie po ojcowsku. - Poczowała się odtracona. To zawsze on nadawał ton ich spotkaniom.

Usiedli na ławce z widokiem na port. Umówili się na Peaku, żeby się nie natknąć - teraz już z innych względów - na kogoś znajomego. Wybór okazał się trafiony. Byli sami w zapadającym mroku. Wiał ciepły, miły wiatr.

- Czasem przychodziłem tu z Trudy - zaczął. - Poznaję tę samą żelazną poręcz. Mogłem jej dotknąć wtedy i mogę teraz, ale okoliczności są zupełnie inne. I ja jestem inny. Czy kiedykolwiek o tym pomyślałaś?

Istotnie, był innym człowiekiem. Jakby mu zdjęto wielki ciężar z piersi. Niemal czuła jego lekkość.

- Will...

- Co masz zamiar zrobić? - przerwał jej, jakby się w ogóle nie odzywała.

- Nie wiem - odparła. - Skontaktowałam się z rodzicami, ale najwyraźniej nie mają ochoty wziąć mnie z powrotem do siebie. Była mowa o kosztach i o emeryturze ojca. Zostałam bez pracy i bez jakichkolwiek środków, żeby ją zdobyć. Więc nie wiem - powiedziała po prostu bez żadnej aluzji do jakichkolwiek zobowiązań z jego strony.

- Rozumiem.

- A ty? - zapytała.

- Ja też nie wiem - odparł. - Pozostanie tu wydaje się niemożliwe, tak samo jak i wyjazd.

- Właśnie - zgodziła się z nim Claire.

- Dwoje ludzi, którzy nie mają co ze sobą zrobić.

- Jak uważasz... czy powinnam dalej uczyć Lockett?

- A Chenowie nic nie mówili?

- Od tamtej pory z nimi nie rozmawiałam.

- No cóż... jeżeli ci nie powiedzieli, że masz przestać, to na twoim miejscu dalej bym tam chodził. Ale ja... - uśmiechnął się - jestem perwersyjny.

- Co takiego wzięłeś wtedy z grobu w Makao? - Zastanawiała się nad tym nieraz.

- A, o to ci chodzi. Trudy miała w banku depozytowy sejf i zawsze mi mówiła, że prawo dostępu mamy Dominick i ja. Po śmierci Trudy dostałem list od jej adwokatów, że po wojnie, kiedy jej śmierć zostanie oficjalnie ogłoszona, mam prawo wziąć klucz do tego sejfu. Mówiła mi też o innym kluczu, jeszcze przed wojną, ale nigdy nie próbowałem go znaleźć. A kiedy dostałem klucz od adwokatów, nie wiedziałem, co z nim zrobić, więc go ukryłem w grobowcu Dominicka. Pomyślałem, że tam nikt nigdy nie pójdzie. Wydawało mi się to słuszne. Może trochę patetyczne, ale słuszne. Zawsze starałem się trzymać tego, co słuszne.

- I co było w tym sejfie?

- Jakieś księgi bankowe, papiery finansowe. Trudy przede wszystkim chciała, żeby trafiły do mnie dokumenty, listy, to, z czego wynikało, co zrobiła podczas wojny dla Otsubo i co zrobili inni.

- Inni, to znaczy również Victor Chen?

- Tak - odparł po prostu Will.

- I co się stało z zawartością tego sejfu?

- Porozsyłałem dokumenty do stosownych ludzi. Anonimowo.

- Ale Victor wiedział, że ty za tym stoisz?

- Wiedział, że jestem jedyną osobą, która mogła mieć dostęp do tych informacji.

- Czy z tego tytułu znalazłeś się w jakimś kłopotcie?

- Nie sądzę - odparł - ale zdarzało mi się już mylić. Siedzieli razem w dziwnej harmonii.

- Problem polega na tym - powiedział - że w pewnym sensie Victor Chen się nie mylił. Władze brytyjskie nie miały i nie mają prawa do posiadania tych bezcennych chińskich przedmiotów. Przede wszystkim Anglicy je ukradli, chociaż najprawdopodobniej zaprotestowaliby przeciwko użyciu przeze mnie tego czasownika. Jednakże sposób, w jaki Victor to rozgrywał... - Will potrząsnął głową. - Ten człowiek potrafi załatwiać sprawy tylko w jeden sposób. Ale nie zaniedbałem Trudy, w każdym razie nie tak całkowicie. Otsubo przestał podpisywać moje przepustki, kiedy się zorientował,

że nie ma ze mnie żadnego pożytku. Tylko że nie było ani takiej chwili, ani tak ważnego powodu, dla którego nie mógłbym wyjść ze Stanley. Miałem w sumie rok urlopu. Gdybym chciał, Trudy by mnie wyciągnęła. I to jest jedna z rzeczy, których najbardziej żałuję. Że to... że to nie wypaliło. Zasłużyła z mojej strony na coś więcej. A nawet nie wiem, co się z nią tak naprawdę stało. Nie wiem. Myślę, że mógłbym się tego dowiedzieć. Jest aż nazbyt wiele osób, które z rozkoszą by mi w tym pomogły. Łącznie z Victorem.

- Ale co mogłeś zrobić?

- Cokolwiek, poza tym, co robiłem. Cokolwiek, poza nonsensami, którymi się zajmowałem w obozie: tworzeniem komitetów, przeprowadzaniem kampanii na rzecz ciepłej wody czy większej liczby prześcieradeł! - W jego głosie wzbierała agresja. - Byłem tchórzem, zwykłym tchórzem. Nie zrobiłem nic, żeby jej pomóc. Kobiecie, którą kochałem. Nie zrobiłem kompletnie nic. Ukryłem się za tym, co nazywałem honorem.

- Czy Trudy kiedykolwiek... - Claire nie mogła dokończyć pytania.

- Nigdy nie powiedziała ani słowa. Nigdy nie czyniła mi wyrzutów, niczego nie żądała. Była zawsze tym, kim mówiła, że jest. Nigdy nie udawała nikogo innego. I na tym polegało jej piękno.

Will wyprostował plecy.

- Kiedy mówiłem, że nie mogę jej pomóc, zachowywała się tak, jakby mi wierzyła. Była niezwykle inteligentna... doskonale rozumiała sytuację. Jednakże nic nie powiedziała; wybaczyła mi.

Wstał, podszedł do drzewa i machinalnie oberwał liść.

Rozdarł go na pół, potem znów na pół i kawałki rozrzucił po ziemi.

- Hongkong jest zawsze tak cholernie zielony - rzekł. - Czy nie tęsknisz czasem za brakiem koloru? Nie brakuje ci angielskiej szarzyzny, odrobiny mgły?

Skinęła głową. Snuł swoją opowieść powoli, a ona postanowiła dać mu czas.

- Chwilami jej za to nienawidzę - podjął - że mnie nie zmusiła do działania. Że pozwoliła mi być tchórzem. W końcu stało się to aż okrutne.

Trudy pogardzałaby płaczącym mężczyzną, co do tego nie miał wątpliwości.

- Mam przed oczami ten obraz - powiedział wolno. - Trudy, która miota się rozpaczliwie, bez żadnego celu, niby kurczę z odciętym łebkiem. Wyczuwałem jej rozpacz. Ale nigdy nie przyszła do mnie po pomoc. Tylko ten pierwszy i jedyny raz; kiedy powiedziałem „nie”; już nigdy więcej mnie o nic nie poprosiła.

Claire sięgnęła do jego dłoni spoczywającej na gałce laski, ponieważ jednak nie wykonał najmniejszego ruchu, po prostu położyła na niej swoją dłoń.

- Nie chciała mieć nikogo, komu mogłaby zaufać. Pozostała całkowicie samotna. I to z mojej winy.

Powietrze było przesycone typową dla Hongkongu wilgocią. Claire czuła strumyczek potu spływający jej wolno wzdłuż pleców.

Siłą woli próbowała zmusić Willa, żeby na nią spojrział, przyjął do wiadomości jej obecność, to, że stanowi część tego wszystkiego, ale on patrzył w stronę portu pustym wzrokiem. Powoli dotarło do niej, że ta jego nowa lekkość to nie tylko ulga spowodowana zrzuconiem z siebie ciężaru, ale i pustka.

Widzi Trudy na stopniach Toa machającą mu na pożegnanie, podczas gdy on wsiada do samochodu, który ma go zawieźć z powrotem do obozu Stanley. Trudy ma wypisaną na twarzy tęsknotę, włosy rozświetlone od tyłu zachodzącym słońcem. Ciężarna Madonna. Posyła mu całusa i nagle do niego mruga. Will tego nie znosi - że każdą poważną chwilę potrafi obrócić w żart. Ale to jej pozwala żyć i przeżyć. Takim jest właśnie stworzeniem. Nigdy nie udawała nikogo innego. Przeciwnie, ostrzegała go przed sobą.

Podczas tamtej przepustki powiedziała mu, że Arbogast się załamał. Skinął głową.

- Tak, widziałem go potem.

- Ale wiesz... - w jej głosie zabrzmiała nuta paniki - ta informacja się nie potwierdziła. Otsubo jest wściekły. Chociaż były dowody na to, że kolekcja się tam znajdowała. W starym magazynie w Mong Kok. Tylko że ktoś już wcześniej do niej dotarł.

- A skąd Otsubo przyszło do głowy, że Arbogast może coś wiedzieć? - zapytał.

Zawahała się.

- Podejrzewam Victora - powiedziała w końcu. - Mimo że nie mam nic na potwierdzenie tego podejrzenia. Ale to jest człowiek, który nie omija żadnej okazji.

- Uważaj - przestrzegł ją.
- Wiem. - Skinęła głową. - Zresztą Otsubo i tak ma mnie już dosyć. Między nami koniec.
- Co to dla ciebie znaczy? - zapytał, starając się ukryć uczucie ulgi.

Roześmiała się.

- Podejrzewam, że nic dobrego. W dalszym ciągu jestem jego własnością, tylko że już w tej chwili nie mam tych możliwości wyprowadzania go ze złych nastrojów co dawniej.

- Może chciałabyś teraz przyjść do obozu?

- Ty znów z tym obozem! Dzikiego ptaka nie zamkniesz w klatce, mój miły! Przyzwyczaiałam się już do mrocznej, niebezpiecznej wolności i wszystkich związanych z nią upokorzeń.

- Ale mogłabyś...

- Jestem w trakcie załatwiania sobie innego... sponsora - powiedziała wolno. - Czy ściślej mówiąc, załatwiają go dla mnie. Więc się nie martw.

Nagle, zupełnie nieoczekiwanie, oczy Willa napełniły się gorącymi łzami. Poczul, że mógłby umrzeć, gdyby Trudy je zobaczyła.

- Muszę już iść - rzekł.

- Tak.

Odwrócił się, ale ona złapała go jeszcze za ramię, wpatrując się w jego twarz.

- Za każdym razem, kiedy się z tobą żegnam, zastanawiam się, czy to jest au revoir, czy adieu. Rozumiesz, co mam na myśli?

Skinął głową.

- Zyskałeś nade mną zbyt wielką władzę - rzuciła lekko. - Muszę udawać, że to wszystko nie ma większego znaczenia, że ty nie masz dla mnie znaczenia. Jak mogło do tego dojść?

Will patrzy na nią - jego miłość, jej twarz z piętnem ciąży, drobne, kruche, obrzmiałe teraz pęciny. Ta kobieta, ten wojownik, nosząca w sobie od sześciu miesięcy niechciane dziecko, widzi, że on nie jest w stanie przebaczyć jej tego ostatniego wykroczenia. Znacznie łatwiej obarczyć ją winą i wrócić do obozu, by tam odgrywać ofiarę, lizać rany. Bo do tego się to wszystko w końcu sprowadza. Nie ma w tym żadnej chwały, ale można przynajmniej przeżyć. O to w tej chwili idzie gra.

27 maja 1953

Edwina Storch powiedziała jej wszystko, spokojna, że za pośrednictwem Claire te informacje dotrą do Willa.

Claire ciągle jeszcze słyszy jej głos, widzi, jak stara kobieta nalewa herbatę w ciemnym klubie.

- Trudy podwoiła swoje wysiłki, żeby stać się dla Otsubo niezastąpioną. Wiedziała, jakim jest dla niej atutem. Znałam Otsubo, ponieważ pomagał mi w uzyskaniu przepustki, starałam się być z nim w kontakcie i iść mu na rękę w różnych drobnych sprawach. - Edwina przyglądała się Claire znad okularów. - Co oczywiście nie znaczy, że kolaborowałam z wrogiem. Po prostu uznałam, że lepiej się przysłużyć Anglii i wszystkim, jeśli będę nadażała za sytuacją. Zresztą nie było powodu izolować tego człowieka. - Edwina zdjęła okulary i ponownie je przetarła. - A kiedy Trudy rzeczywiście stała się niezbędna Otsubo... znała Hongkong jak własną kieszeń i wiedziała o wszystkich trupach w szafie... jej kuzyn Dominick, którego nigdy nie lubiłam, zaczął być zazdrosny. Tych dwoje jakby rywalizowało między sobą o względy Otsubo, a miejsce było tylko dla jednego. Dominick wydawał mi się kimś strasznym. Nie wiem, czy słyszałeś o nim cokolwiek, ale był po prostu okropny. Mały sadystyczny człowieczek, który uważał, że wszystko mu się należy od życia. Oboje pełnili funkcję przybocznych Otsubo, zawsze gotowych na zawołanie. Organizowali mu spotkania z chińskimi liderami, informowali o wszystkim, co się działo w chińskiej społeczności, a nawet w skromnym kręgu pozostających na wolności Europejczyków. Dominick zarabiał na tym, że kupował i sprzedawał artykuły pierwszej potrzeby. Kupował tanio dzięki swoim układom, a sprzedawał na rynku lokalnym po niebotycznych cenach. Bardzo niesmaczne. Zbierał też informacje, kto pomaga komu, i donosił Otsubo. Nie muszę ci mówić, że nie przysparzało mu to popularności wśród swoich, ale jednocześnie zapewniało dostatek. Dominick mniej się z tym krył niż Trudy i w końcu ludzie przestali się do niego odzywać.

- A czy pani miała jakąś pracę? Jak pani przeżyła? - przerwała jej Claire.

Edwina zesznurowała usta.

- Nigdy nie lubiłam rozwodzić się nad przykrymi stronami przeszłości.

Claire mało się na głos nie roześmiała, widziała jednak, że Edwina Storch nie jest świadoma nieprawdopodobnej ironii własnych słów.

- Jest rzeczą znaną, że podczas wojny Japończycy w Hongkongu dokładali wszelkich starań, żeby się bogacić. Co nie jest niczym dziwnym u zwycięzców, ale dużo się plotkowało na temat Kolekcji Korony zawierającej między innymi niezwykle rzadką i wprost bezcenną porcelanę. Otsubo się zorientował, że wiem co nieco na ten temat, i wezwał mnie do siebie w tej sprawie. Powiedziałam mu niewiele... tyle, co sama na ten temat wiedziałam.

Oczy Edwiny się zaiskrzyły.

- Szczerze mówiąc, wiedziałam więcej, niż się z tym zdradziłam, ale nie sądzę, żeby czas był po temu odpowiedni. - Zrobiła pauzę. - A jeśli ci powiem - podjęła po chwili - że gubernator przyleciał do Hongkongu w przeddzień wojny? - Siedziała bez ruchu, jakby była w transie. - Znalazł się w bardzo delikatnej sytuacji, z czego zdawał sobie sprawę. Zdażył zostać zaprzysiężony i obejmował pieczę nad kolonią, która, jak wynikało z większości doniesień wywiadu, miała wkrótce zostać podbita. Działal według rozkazów z Londynu, z których jeden dotyczył zabezpieczenia Kolekcji Korony znajdującej się w rezydencji gubernatora. Jego strategia... - Edwina roześmiała się, przerywając własny potok wymowy. - Ciekawa historia, nie uważasz? Politycy są tacy głupi. Nie mają za grosz zdrowego rozsądku. Jego strategia polegała na tym, że o miejscu, w które zamierzał wysłać kolekcję, żeby tam przetrwała wojnę, postanowił zawiadomić trzy różne osoby. Komunikacja z Londynem już nie była bezpieczna, więc należało pomyśleć o czymś innym. - Spojrzała na Claire. - Byłam jedną z tych trzech osób.

- To musiał być wielki zaszczyt - wyszeptała Claire. Wyobraziła sobie tę scenę: wzywają Edwinę Storch do rezydencji gubernatora, gdzie częstują ją herbatą i babeczkami. Zostaje przyjęta w kordialnej atmosferze przez człowieka obejmującego praktycznie nieznane sobie terytorium. Gubernator urządza się właśnie w nowym miejscu, poznaje służbę i ogromne stojące przed nim zadania. Edwina zachowuje się protekcyjnie, tak jak to tylko potrafi kobieta w jej wieku i z jej doświadczeniem. Jakim cudem tak długo jej się to udawało? Dlaczego nikt tego nie kwestionował?

- Wiedzieli, że jestem w Hongkongu od bardzo dawna i że wiem wiele o ludziach, historii i samym miejscu oczywiście - rozważała na głos Edwina. - A co do dwóch pozostałych osób z tej trójki, to naturalnie też odkryłam, kim były. Mieliśmy o sobie nie wiedzieć, ale tego rodzaju wiadomości rozchodzą się bardzo szybko. Gubernator był zdenerwowany i zwierzył się paru osobom, nie podając miejsca ukrycia kolekcji, tylko naszą tożsamość. W miarę jak plotka się rozprzestrzeniała, wszystko wyszło na jaw. Jedną z tych osób był Reggie Arbogast. Znasz go?

Claire skinęła głową.

- Troszkę.

- Po wojnie stał się trochę dziwny. - Edwina zacisnęła usta. Jej twarz przybrała surowy, nieprzejednany wyraz. - I ta żona, Regina, głupia geś.

- A trzecia osoba? - Claire nie była w stanie powstrzymać się przed zadaniem tego pytania.

Edwina spojrzała na nią ze zdziwieniem.

- Sądziłam, że się domyślisz. Trzecią osobą był Victor Chen.

Kwiecień 1942

Kiedy w Hongkongu pada, cały świat staje. Potop jest tak wszechogarniający, tak potężny, że miasto znika pod szarą płachtą wody, a ludzie, jak spanikowane szczury, chowają się po bramach, sklepach, restauracjach. Wewnątrz dygoczą w chłodnych podmuchach klimatyzatorów, otrzepują się z wody, zamawiają kawę czy wreszcie, czekając, aż przestanie padać, oglądają ubrania.

Trudy i Victor siedzą w Chez Sophie, małej francuskiej restauracyjce w Causeway Bay, i patrzą na lecące z nieba strugi.

- Tutaj nigdy nie jest czysto, nawet po deszczu - mówi Trudy. - Woda spłukuje brud z ulic, ale już po chwili wszystko wraca do poprzedniego stanu. Hongkong jest po prostu brudny. Zawsze był taki. Mimo to nie wyobrażam sobie życia poza nim. W tym brudnym mieście czuję się jak w domu. - Trudy pociera ręką poręcz fotela, na której czerwony plusz jest już wyświecony od częstego użycia. - Zawsze uwielbiałam tę restaurację - dodaje. - Kiedy byłam dzieckiem, ojciec zabierał mnie tu co niedziela na brunch, a ja zawsze kupowałam sobie z tej okazji nową sukienkę.

Victor chrząka.

- Co tydzień? To musiałaś być bardzo zepsuta.

- Zepsuta? - dziwi się Trudy. - Nie przejmuj się, Victorze. Ta wojna wybije mi z głowy wszelkie fanaberie.

- Obnaży każdego.

- Już obnaża, drogi kuzynie, i są tacy, co to komentują. Słyszałam na przykład, że nazywają nas kolaborantami. No bo czy nie tak mówi się o tych, którzy trzymają z najeźdźcą?

- Kolaborant to brzydkie słowo, Trudy. Na twoim miejscu używałbym go bardzo ostrożnie. - Victor popija koniak; robi się czerwony.

Rozparta w fotelu Trudy wygląda elegancko w beżowej wełnianej spódnicy i bluzce koloru kości słoniowej. Przed nią stoi do połowy opróżniona filiżanka kawy.

- Ale przecież kimś takim jesteśmy, nie uważasz, Victorze? - pyta prowokacyjnie. - Chyba tak nazywają właśnie takich ludzi jak my.

- Nie bądź naiwna - ucina Victor. - Udzielasz lekcji angielskiego i etykiety. Jesteś w gruncie rzeczy guwernantką dobrego generała, uczą go zachodniego stylu życia, którym wbrew samemu sobie jest tak

bardzo zafascynowany. A ja po prostu robię wszystko, żeby zapewnić nam gładkie przejście przez ten trudny okres, tak żeby nasi ludzie nie musieli cierpieć. Nigdy więcej nie mów takich głupstw. Świat nie jest czarno - biały. Czy powinniśmy deprecjonować siebie, izolując tych, którzy mogą nam pomóc? Nie jesteś dzieckiem, Trudy.

- Ale Otsubo jest taki...

- Nie musisz się nim przejmować, wystarczy, że go uczysz angielskiego i starasz się spełniać jego oczekiwania. - Na twarzy Victora maluje się przebiegłość. - Uważam, że powinnaś spełniać wszystkie jego życzenia, bez względu na to, jakie one są, nawet te najbardziej zawołowane.

- Otsubo to świnia - mówi cicho Trudy.

Przychodzi kelner i bezszelestnie napełnia jej filiżankę. Trudy słodzi herbatę i wlewa do niej mleko, a następnie upija łyk. Victor studiuje jej twarz.

- Zmieniłaś się - mówi. - Czy to ten Anglik? Dalej zawraca ci głowę swoimi ponadczasowymi wartościami, koniecznością właściwego postępowania, honorem i innymi bzdurami, o których Anglicy tak pięknie potrafią mówić? Ale kiedy przyjdzie do obowiązków, to zawsze znajdą powody do tego, żeby się z nich nie wywiązać. I jak to wszystko pięknie brzmi. Tę umiejętność podnieśli do rangi sztuki.

- Czy jest ktoś, kogo nie nienawidzisz? - Trudy myśli jednocześnie, że oksfordzki akcent Victora osłabia wymowę jego tyrady.

- Jesteś bardziej chińska, niż ci się wydaje. W każdym innym kraju uchodziłabyś za cudzoziemkę. Twoje miejsce jest w Hongkongu.

Zapala papierosa, nie częstując Trudy, która wie, że Victor zawsze był przeciwny jej paleniu w miejscach publicznych. Że według niego kobiety poza domem powinny być skromne i ciche.

- Papierosy staną się wkrótce walutą - stwierdza, przyglądając się rozżarzonemu czubkowi. - Wszystko się zmienia i najważniejsze w tej chwili to znaleźć w tym nowym świecie jakiś punkt zaczepienia. To tak jakby budować fundamenty na lotnych piaskach. Trzeba być elastycznym.

Trudy kładzie ręce na stoliku i nachyla się do Victora. Gdyby mogła, wyszczerzyłaby zęby i warczała.

- Mam mało czasu, Victorze. Po co chciałeś się ze mną zobaczyć?

- Chciałem się upewnić, że jesteśmy po tej samej stronie. Jako rodzina i w ogóle...

Trudy wybucha śmiechem.

- Nigdy do tej pory nie byłeś taki rodzinny. - I po chwili wahania dodaje: - To może raczej pójdę do obozu Stanley. Will twierdzi...

- Nie bądź idiotką, Trudy. Masz znacznie większe możliwości tutaj, niż siedząc w więzieniu. Bo nie ma się co oszukiwać; Stanley to nic innego jak więzienie. Dlaczego miałybyś się tam pchać?

- Ale Will...

- Nie wiedziałem, moja droga, że potrafisz być taka sentymentalna - mówi ze śmiechem Victor. - No i oczywiście jest sprawa twojego ojca.

Trudy staje się czujna.

- Co to znaczy sprawa mojego ojca?

- Nie chciałem nic mówić, ale... ale on ma kłopoty ze zdrowiem.

Twarz Trudy nieruchomieje.

- Nigdy słowem o tym przy mnie nie wspomniał.

Victor patrzy na nią jak na głupią.

- A uważasz, że powinien?

- Nie wierzę ci.

Victor macha ręką.

- Szczerze mówiąc, nie ma to dla mnie najmniejszego znaczenia.

- Po chwili reflektuje się i dodaje: - Oczywiście leży mi na sercu jego dobro, więc uznałem, że masz prawo wiedzieć.

Do restauracji wchodzi pianista i siada przy fortepianie. Zaczyna ćwiczyć. Trudy i Victor siedzą naprzeciwko siebie i żadne nie chce zrobić następnego ruchu.

- Debussy - zgaduje Trudy.

- Tak, Debussy - potwierdza Victor.

Siedzą jak dwójka szachistów, patrząc na wszystko, tylko nie na siebie nawzajem. Victor wypala papierosa aż do filtra i gasi go w kryształowej popielniczce. Pierwszy przerywa milczenie. Nie mówi wprost.

- Już w tej chwili trudno dostać playersy. Japończycy sprowadzają swoje gatunki, jak rising sun i tym podobne nędzne

tytonie. Kluczową sprawą będzie transport i dostęp do importu. Te kanały stają się coraz węższe. Wszystko zdrożeje.

Trudy unosi głowę.

- Masz na myśli takie towary jak lekarstwa?

- Oczywiście. Ale to tylko jeden przykład. Lekarstwa wysokiej jakości. Amerykańskie i brytyjskie wytwórnice farmaceutyczne z pewnością nie będą wysyłały swoich leków do krajów okupowanych. W każdym razie legalnie. Ludzie muszą być przedsiębiorczy.

- Ty zawsze byłeś przedsiębiorczy, Victorze. I niewybaczalnie niedelikatny.

Victor wyrzuca ręce do góry.

- Różnie mnie już nazywano, ale ja tylko chcę się upewnić, że rozumiesz całą sytuację. Będą wielkie braki w zaopatrzeniu. To już nie chodzi o jedwabne pończochy i dobre wino.

Trudy wstaje.

- Przepraszam cię, ale muszę sobie upudrować nos. - Z wdziękiem oddała się do toalety. Drzwi zamykają się za nią cicho.

Victor czeka, postukując paczką papierosów o stół. Po chwili wyłania się Trudy; jest odświeżona, ma na nowo pomalowane usta. Broń kobieca.

- Ludzie gotowi nas wziąć za parę zakochanych. Potajemne spotkanie w położonej na uboczu knajpce. - Uśmiecha się do niego.

- Mały romansik?

- A co, nie podobam ci się?

Victor traktuje jej przekomarzanki poważniej, niż powinien.

- Jesteś dla mnie jak siostra, Trudy. Melody zawsze cię bardzo lubiła. Wyjeżdżając, prosiła mnie, żebym się tobą opiekował.

- To ciekawe. Mnie powiedziała, żebym pojechała do Makao do ojca.

- Bo on rzeczywiście potrzebuje pomocy, kogoś, kto by po prostu się nim zajął.

- Ma przecież Leunga. - Leung był zaufanym służącym, od czterdziestu lat pracującym u jej ojca. - On się nim zajmie znacznie lepiej niż ja.

- A to nie słyszałaś? Twarz Trudy opada.

- Nie. O czym miałam słyszeć?

- Leung został zasztyletowany. Przebili mu nożem płuco. Podobno próbował przeszkodzić jakiemuś japońskiemu żołnierzowi,

który chciał zabrać twojemu ojcu roleksa. Przez jakiś czas walczył ze śmiercią, ale w końcu przegrał. - Ci żołdacy wiedzą, jak się posługiwać nożem.

- Ojciec by mi o tym powiedział - mówi Trudy. - Na pewno by się ze mną skontaktował.

- Wiesz, jak to jest z twoim ojcem - uspokaja ją Victor. - Nie chce być dla ciebie ciężarem. Ale nie martw się, zająłem się sprawą. Znalazłem kobietę z Szanghaju, która u niego mieszka, gotuje mu i w ogóle się nim opiekuje. Ojciec nie chciał cię martwić i ja nie chciałem cię martwić. Tylko dlatego o tym wspomniałem, że...

Victor robi długą pauzę. Trudy spogląda na niego i uśmiecha się blado. Wyciąga wolno rękę, żeby wziąć papierosa; częstuje się. Victor nie zdradza chęci podania jej ognia, więc sięga do torebki po zapalniczkę. Ręce jej drżą. Zaciąga się głęboko i wypuszcza dym na Victora.

- Otsubo... - mówi - uwielbia mnie i traktuje jak egzotyczny kwiat.

- Wiem - odpowiada Victor. - Powinnaś zrobić wszystko, żeby to trwało jak najdłużej.

Przez chwilę wpatruje się w nią badawczo przymrużonymi oczami, po czym odwraca się zadowolony.

- W przyszłym tygodniu urządzam garden party - oznajmia. - Będziesz hostessą. Jesteśmy rodziną, więc ludzie nie będą gadali. Przyrowadź Otsubo i powiedz mu, że może zaprosić kogo chce.

Trudy kiwa głową. Jest to ruch tak nieznaczny, że prawie niedostrzegalny.

- To chyba wszystko - stwierdza Victor. - A, jeszcze jedno, Trudy. Jeśli się na coś decydujesz, bądź w tym konsekwentna. Nie ma nic gorszego jak niezdecydowanie. Bo to może kosztować życie. Ale ty jesteś bystra dziewczyna... wiesz, o czym mówię. Życzę ci miłego dnia.

Rzuca na stół kilka banknotów i wychodzi.

27 maja 1953

Claire siedziała w bibliotece z emerytowaną dyrektorką szkoły, całkowicie oszołomiona.

- Victor Chen? - powtórzyła. - To on był jednym z tej trójki? Dlaczego po prostu nie...

- Och - odparła Edwina - nie chciał sprzedać tej informacji zbyt tanio. Co jak co, ale głowę do interesów to on ma. Władze były co do niego bardzo źle poinformowane. Nawet ja mogłam im powiedzieć, że Victor bez żadnych skrupułów sprzedałby swoją matkę, gdyby tylko cena była korzystna. Uznali, że - na wypadek gdyby wszyscy Anglicy zostali aresztowani albo zabici - byłoby dobrze, gdyby o kolekcji wiedział też ktoś z Chińczyków. Doszli do wniosku, że Victor, jako człowiek wykształcony w Anglii, będzie wobec niej lojalny. A Victor dowiedział się o mnie i o Reggie. Ale Reggie był w obozie, poza tym Victor wiedział, że słowem nie piśnie. Mnie tak dobrze nie znał. Dlatego kilkakrotnie mnie do siebie zapraszał. Nigdy nie byłam tak wystawnie goszczona i zręcznie podpytywana co do moich intencji. Nie jestem jednak taka głupia. Przez jakiś czas bawiliśmy się w kotka i myszkę, ale Victor bez przerwy miał mnie na oku.

- Czy Trudy o tym wiedziała?

- Nie sądzę. W przeciwnym razie nie zabiegałaby tak usilnie o zdobycie tej informacji. Przypuszczam, że patrzenie, jak pilnie pracuje nad uzyskaniem czegoś, co on już miał, sprawiało Victorowi przyjemność. No i Dominick też. Tych dwoje... Było na co popatrzeć. Victor obserwował ich przez jakiś czas, a potem zdecydował, że stają się zbyt wpływowi i że trzeba coś z tym zrobić. Bo to przecież on pociągał za sznurki; oni byli tylko jego marionetkami.

Edwina zrobiła pauzę.

- Może masz ochotę na babeczki? - zapytała. - Są najlepsze w całym Hongkongu. Wypieka je niejaki pan Wong, którego sama tego nauczyłam. To najlepszy angielski piekarz wśród Chińczyków w całej kolonii.

- Nie, dziękuję bardzo - odparła Claire.

Edwina posmarowała dżemem kawałek babeczki i włożyła do ust.

- Mmm - wymamrotała. - Mieszkam tu tyle lat i w dalszym ciągu nie mogę żyć bez mojej herbaty z babeczkami. No więc wracam do Trudy i Dominicka. Victor był coraz bardziej zirytowany ich zachowaniem. Zanadto rzucali się w oczy i nadmiernie demonstrowali

swoje relacje z Otsubo. Było to całkiem niestosowne. Dlatego zaczął między nimi lekko intrygować. Chciał, żeby byli bardziej pod kuratelą jego niż Japończyka. Wciągnął też Dominicka w swoje interesy, które dosłownie kwitły. Zaopatrywał mianowicie japońskie wojsko stacjonujące w Guangzhou w paliwo i podstawowe artykuły, zbijając na tym bajeczną fortunę. To, co robił przedtem Dominick, było małym piwem, i Victor mu to powiedział. Victor miał fabryki i wielkie zasoby. Powiedział też Dommiemu, że Trudy za jego plecami na własną rękę usiłuje zdobyć pewną informację, w co oczywiście Dominick uwierzył i zaczął robić rzeczy mające na celu podkopanie jej pozycji. Poinformował Otsubo, że Trudy wie, gdzie jest Kolekcja Korony, tylko nie chce mu powiedzieć. A Victor aż nadto skwapliwie go poparł.

- Czy Dominick zdawał sobie sprawę z tego, że Victor wie?

- Nie - zachnęła się Edwina. - Victor nie powiedział nikomu. Wiedziała tylko ja. Ale najdziwniejsze w tym wszystkim jest to, że...
- Jej wzrok stał się jakiś daleki. - To było naprawdę bardzo dziwne. Tak jakby Trudy wiedziała, co się święci, i nic w tej sprawie nie robiła. Już wtedy się poddała. Jakby przestało jej na czymkolwiek zależeć i tylko wykonywała mechanicznie pewne ruchy.

Otworzyły się drzwi i ktoś zajrzał do środka. Edwina Storch nawet nie podniosła głowy. Drzwi zamknęły się cicho.

- No więc Otsubo uznał, że Trudy stała się dla niego kłopotliwa, a poza tym już się nią znudził. Postawił na Dominicka. Też przecież byli kochankami. Otsubo niczego nie miał dość, był pazerny na wszystko. Jak prawdziwa świnia. Pod tym pretekstem postanowił pozbyć się Trudy. I poprosił mnie o pomoc. O dziwo, cokolwiek zrobił, nic jej nie ruszało. Była jakby nietykalna i to go doprowadzało do szału. Kiedy zaszła w ciążę, zakomunikował jej, że daje ją swojemu porucznikowi, że ma jej dość, ale ona i to przyjęła z pokorą. Robiła wszystko, co jej kazał, nie dając mu satysfakcji. Pewnie chciał, żeby cierpiała. Dlatego przekazywał ją wszystkim po kolei. A przecież Trudy była dziedziczką wielkiej fortuny, rozumiesz, od samego urodzenia miała wszystko, co najlepsze, znała wszystkich. Nie wiem, dlaczego to robiła. Po prostu przestało jej na czymkolwiek zależeć. - Po raz pierwszy Edwina robiła wrażenie zasmuconej.

- Jak Trudy umarła? - zapytała Claire.

- Dominick powiedział Otsubo, że Trudy wie, gdzie jest Kolekcja Korony. Trudy zaprzeczyła. Otsubo uznał więc, że może ja, Angielka, wzbudzę jej zaufanie, dlatego kilkakrotnie napuszczał mnie na nią tak, żebyśmy miały okazję odświeżyć naszą znajomość. Nie było to trudne; cały czas wiedział, gdzie jest Trudy, dzięki czemu regularnie natykałyśmy się na siebie.

- Czy pani nie miała żadnych skrupułów, starając się w ten sposób przysłużyć temu człowiekowi? - spytała Claire.

- Nawet najmniejszych - odparła bez namysłu Edwina. - Musisz zrozumieć, Claire, że w całej tej sprawie nie ma świętych. Otsubo był wrogiem. Ale Trudy, Dominick, Victor... wszyscy pchali mu się do łóżka, więc z mojego punktu widzenia też byli wrogami. Mieli w głowie tylko jedno: własny interes.

- Można to prawie uznać za spełnianie przez panią patriotycznego obowiązku - powiedziała cicho Claire.

- Tak - uczepiła się tej myśli Edwina. - Doszłam do wniosku, że w ten sposób najlepiej pomogę naszemu krajowi. Wiedziałam, że w pewnym momencie Victor Chen poświęci Kolekcję Korony. Była to tylko kwestia ceny. Pomyślałam, że obserwując tę sprawę, może będę mogła pomóc w wytropieniu kolekcji. Dlatego... dlatego powiedziałam Otsubo, że Trudy wie.

- Że wie co? - Claire otworzyła usta. - Ale...

Edwina zeszywniała.

- Uznałam, że to będzie najlepsze posunięcie. Należało skierować Otsubo na fałszywy trop, żeby odwrócić jego uwagę od właściwego.

- Ale przecież mówiąc to, co pani powiedziała, wydała pani praktycznie wyrok śmierci na Trudy. - Słowa wymknęły się Claire, zanim zdążyła pomyśleć.

- Jakież to dla ciebie proste - rzekła Edwina. - Jakie czarno - białe. A prawda jest taka, moja droga, że Trudy od samego początku była na przegranej pozycji. Biorąc pod uwagę jej sposób postępowania, nie przetrwałyby nawet miesiąca. Tak więc Otsubo z dwóch źródeł dowiedział się, że Trudy wie, tylko mu nie chce powiedzieć. I wtedy poprosił mnie, żebym ją przyprowadziła do jego biura. Postanowił to załatwić w nietypowy sposób. Pewnie po japońsku. Japończycy to dziwni ludzie. Trudy wiedziała, że coś się szykuje, bo przecież nieraz tam chodziła i nigdy do tej pory nie wymagała mojej eskorty, ale była bardzo grzeczna. Kiedy po nią

przyszłam, usiadłyśmy przy herbacie i miło sobie pogadałyśmy. A potem poszłyśmy razem, jednak do budynku Trudy weszła sama. Poinformowałam ją, że Otsubo jej oczekuje. I to wszystko. Już nigdy więcej nikt jej nie zobaczył.

W pokoju zrobiło się jakby zimniej. Claire skrzyżowała ręce na piersiach.

- Więc... - Ale jej myśl zawisała w powietrzu.

- Nie, moja droga - powiedziała Edwina. - Japończycy są w tych sprawach mało sentymentalni i nie zostawiają świadków. Mogli jej pozwolić urodzić dziecko, a potem... nie wiem, co potem.

- A jej kuzyn Dominick?

Edwina potrząsnęła głową.

- Co do niego, to od początku było wiadomo, że źle skończy. Siedział w tym wszystkim po uszy. Kto mógł, to go wykorzystywał. Victor wsadził go do założonej przez siebie firmy pod nazwą Zaopatrzenie Makao. Dopilnował też, żeby we wszystkich legalnych papierach było nazwisko Dominicka. W ten sposób sam mógł zachować czyste ręce. Ale to i tak nie miało znaczenia. Przypuszczam, że Dominick zrobił się zachłanny, zaczął oszukiwać i Japończycy go na tym złapali. Nie było jasne, co się z nim stało, lecz przynajmniej znalazły się zwłoki. Wypłynęły w kanale w podejrzanej części miasta. Miał obcięte wszystkie palce, z wyjątkiem jednego, jedenastego, z którym się urodził.

- Ooch - Claire wolno wypuściła powietrze przytłoczona ciężarem tych informacji. - No dobrze, a co się stało z Kolekcją Korony?

- No cóż... jedno jest pewne: nie można powiedzieć, że Victor to człowiek nieinteligentny. Czuł, że tajemnica może wyjść na jaw albo za moją sprawą, albo za sprawą Arbogasta, więc kazał przenieść kolekcję w jakieś inne miejsce. Po czym poinformował Otsubo, że Arbogast to miejsce zna. Był mistrzem manipulacji. W ten sposób zyskał sobie wdzięczność Japończyka. A Arbogast tak naprawdę nie wiedział. Stracił rękę i miał szczęście, że na tym się skończyło. No więc Arbogast się załamał, tak jakby się to przydarzyło wielu innym poddanym takiej presji. Kiedy Otsubo przysłał swoich ludzi, okazało się, że kolekcji nie ma. Arbogast przeżywał potem ciężkie chwile, ale Victorowi Chenowi włos z głowy nie spadł. Reggie nigdy się nie dowiedział, czy rzeczywiście ujawnił prawdziwe miejsce

przechowywania kolekcji, czy też nie. Myślę, że to było gorsze od tortur. - Twarz Edwiny nabrała wyrazu kontemplacyjnego. - Ciekawe, co umysł potrafi zrobić z człowiekiem. Po wojnie Arbogast nieźle sobie radził i robił wiele dla tych, którym się nie powiodło, ale nigdy nie był szczęśliwy. Miał silne poczucie, że zawiódł swój kraj, a był typem człowieka, którego ta myśl prześladowałaby już do końca życia. Tak czy owak po pewnym czasie Victor wyczuł nadchodzącą zmianę i uznał, że korzystniej będzie dla niego zwrócić kolekcję Chińczykom, zaskarbiając sobie z kolei ich względy. Dlatego załadował ją na pociąg do Chin. Jako dar lojalnego obywatela. Dowiedziałam się o tym dopiero po fakcie.

- Taki był koniec tej całej historii? I nigdy pani o niej nikomu nie powiedziała?

- Nie - odparła Edwina. - Victor aż nazbyt jasno dał mi do zrozumienia, że we własnym dobrze pojętym interesie powinnam milczeć.

Claire pomyślała o wygodnym życiu Edwiny, o jej dużej posiadłości na Nowych Terytoriach i o tym, że oficjalnie żyje z państwowej emerytury.

- Kto wiedział? - zapytała.

- Nie mam pojęcia, moja droga, Victor jest graczem, który trzyma karty przy orderach.

- A ile z tego wie Will? Edwina się uśmiechnęła.

- No cóż, będziesz musiała go zapytać.

- Ale dlaczego pani mi to wszystko powiedziała? Przecież z tą całą historią nie mam nic wspólnego?

- Bo ty... jesteś blisko Willa, prawda?

- Owszem, znam go - przyznała Claire.

- Nie bądź taka skromna - ucięła Edwina. - On cię słucha?

- Ani trochę. - Tego Claire była pewna.

- Może cię to zdziwi, ale jesteś od dłuższego czasu jedyną osobą, do której towarzystwa zniża się nasz Will. Mam wrażenie, że to człowiek, którego trzeba lekko pchnąć, żeby mu nadać właściwy kierunek działania. Kobieta wie, co należy powiedzieć. Mamy ten instynkt.

- Nie bardzo rozumiem, o czym pani mówi... - Claire z rozmysłem udawała tępą.

Edwina uderzyła dłońmi w blat stołu.

- Ten człowiek - wykrzyknęła - ten Victor Chen paraduje po Hongkongu, jakby był jego właścicielem. Zabiega o względy wszystkich ważnych osobistości. Wiesz, że został wybrany do wydania przyjęcia na cześć księżniczki Małgorzaty podczas jej wizyty w Hongkongu? A kim on jest? Jakimś spreparowanym Chińczykiem w garniturze z Savile Row! Kolaborantem. Oportunistą. - Wszystko to Edwina mówiła tak, jakby s pluwała. - Udaje lepszego od innych, nawet Anglików! To obrzydliwe. Nie mogę tego znieść.

Niedorzeczny wybuch Edwiny odbił się echem od ciężkich adamaszkowych zasłon.

- W ubiegłym tygodniu spotkał Mary w mieście i udał, że jej nie widzi. W swojej pospiesznej wspinaczce na szczyt zapomniał starych przyjaciół. Dostanie nauczkę. - Edwina spojrzała na Claire. - To wstrętny typ, który nie zasługuje nawet na drobną część tego, co posiada.

- Trudno przesądzić, kto zasługuje na dobro w życiu, a kto nie - zauważyła Claire. Czowała się, jakby próbowała uspokoić wielkie rozjuszone zwierzę.

- Wydaje mu się, że przeszłość można pogrzebać, ale ona od czasu do czasu wypływa na powierzchnię.

- A dziecko? Co się stało z dzieckiem Trudy? - zapytała Claire. - Jedynym być może w tym wszystkim niewinnym stworzeniem.

- Nie wiem. Przypuszczam, że ktoś się nim zajął. - Edwina zrobiła pauzę. - Tak. To był koniec. Często myślę o tym ostatnim popołudniu z Trudy, o tym, jaka była daleka, jaka nieobecna. Kiedy Will ją porzucił, stało się dla niej obojętne, czy będzie żyła, czy nie. Zawsze uważałam, że Will Truesdale złamał jej serce. Ale jak to możliwe? Kto by powiedział, że ta niezwykła Trudy Liang miała jakieś serce, które można było złamać?

5 lipca 1953

- A co teraz... będzie z nami? - zapytała Claire.

Siedzieli z Willem w milczeniu przez długie minuty, patrząc na wodę, na statki przepływające w ciszy przez port i mijające się gładko jak zabawkowe łódki w dziecięcej waniencie. Zaczęło lekko padać. Zadanie tego pytania wymagało od niej wielkiego wysiłku i teraz nie miała odwagi spojrzeć na Willa. Położyła dłonie na kolanach i trzymała sztywno, złożone razem.

- Nie jestem ci na nic potrzebny - powiedział wolno. - Mówiłem ci to wcześniej, a teraz stało się to prawdziwsze niż kiedykolwiek dotychczas. Teraz stanowią jedynie kłopot.

Jej pierwszą reakcją było automatyczne zaprzeczenie. Ale potem, po tym nowym oświadczeniu Willa, przysłała niepewność: zbyt długo żył ze swoimi tajemnicami i teraz, kiedy wszystko wyszło na jaw, poczuł się pusty.

- Nie jesteś mi na nic potrzebny - powtórzyła za nim jak echo.

Pomyślała o tym, jak bardzo był dla niej nieuchwytny, jak zawsze wymykał jej się z rąk. Nawet w chwilach największej intymności, nawet w łóżku, kiedy widziała nad sobą jego pełną namiętności twarz... nawet wtedy nie miała go w pełni dla siebie. Teraz wszystko stało się dla niej jasne: Will cały czas był z tą inną.

I kolejne nieproszone wspomnienie: Claire leży pod nim, a on bawi się delikatnymi złotymi kosmykami jej włosów, ale jego twarz jest dziwnie daleka. „Złoto - powiedział. - Uwielbiam włosy w kolorze metali: złota, brązu, a nawet srebra. Złoto i brąz zamienią się w końcu w srebro, prawda?”. Nigdy nie był bliższy słowa „kocham” w stosunku do niej niż wtedy. Poczowała bolesne ukłucie. Odwróciła się i ukryła twarz w poduszce. Zawsze w łóżku była bardzo nieśmiała, bała się, że powie coś, czego później będzie żałować.

- Zaslugujesz na coś lepszego. - Claire chciała coś jeszcze ratować, sama nie wiedząc co. - Mógłbyś żyć, nie żałując ciągle wszystkiego.

- Próbujesz być dobra, ale po prostu nie rozumiesz - rzekł.

- To nie jest dobroć.

Milczał.

- Zawsze mi mówisz, że mam być silna, ale ty nie jesteś silny. Kiedy się poznaliśmy, powiedziałeś, że powinnam skorzystać z okazji i stać się kimś innym, przekroczyć granice tego, co jest mi dane.

Jednak sam tego nie potrafisz. Grzebiesz się w przeszłości, jakbyś chciał być nieszczęśliwy. - Nigdy do tej pory nie widziała tak jasno jak teraz. Fala gniewu, jaka ją ogarnęła, jeszcze bardziej wyostrzyła jej widzenie. - Nie potrafisz odpuścić, chociaż toniesz! A udajesz takiego silnego! - Poczwała, że została wystrychnięta na dudka, że padła ofiarą nieporozumienia. Mężczyzna, którego pokochała, okazał się pustą skorupą. Ogarnęło ją jeszcze jedno uczucie, niepożądane... litość, która niszczy namiętność.

- Przecież ci mówiłem, że możesz odejść, że w ogóle nie musisz się mną przejmować - powiedział, teraz już też zły. Chciał po prostu, żeby mu dała święty spokój. Ale ona nie miała zamiaru odchodzić bez próby załatwienia jeszcze jednej sprawy.

- Po co ja ci byłam? - zapytała. - Zmieniłeś moje życie. Powiedziałeś, że ci się nie podobam. Więc o co chodziło? Byłeś znudzony, tak? - Te ostatnie słowa wyrzuciła z siebie jak oskarżycielską strzałę.

- Byłaś czysta. Nie taka jak inne. Miałaś swoje uprzedzenia i głupie poglądy, ale byłaś otwarta, gotowa się zmienić. Mnie samotność nie dokuczała, lecz akurat pojawiłaś się...

- A ty wzięłaś na siebie obowiązek otwierania mi oczu, byłeś tym mądrym i...

- To nie fair - zaprotestował. - To poniżej twojej godności. Nigdy nawet nie spojrzałem na inną kobietę aż do twojego pojawienia się. Ale miałem paskudne uczucie, że zdradzam Trudy, którą i tak już zdradziłem na wiele innych sposobów.

- Marnujesz sobie życie - powiedziała. Deszcz zmoczył mu włosy, które tworzyły na jego czole nastroszone kolce. Nawet nie starał się wytrzeć zalanej wodą twarzy. Wyglądał na całkowicie przegranego. I na koniec dodała z całym okrucieństwem: - Jesteś tchórzem.

Czy to możliwe, że dla tego mężczyzny zmieniła swoje życie? Wydawało jej się to teraz zupełnie niezrozumiałe.

- A ty jesteś głupia - wypalił ze złością. - I naiwna. I pomyśleć, że potrafisz tak po prostu zostawić za sobą przeszłość, jakbyś zamykała drzwi...

- Nawet nie raczysz na mnie spojrzeć! - wykrzyknęła. - Nawet tego mi żałujesz. Zawsze byłeś skąpy, wydzielając mi tak oszczędnie swoje względy. - Spojrzała po sobie. Ubrała się dziś rano starannie,

mając na uwadze wrażenie, jakie chciała wywrzeć: osoby wyciszonej, nienapastliwej, mającej poczucie pewności siebie. Co się przełożyło na granatową sukienkę do kolan z lekkiej bawełny, z krytym zapięciem z przodu i z kilkoma dekoracyjnymi plisami, dopasowaną, dość skromną. Miała świeżo umyte, zaczesane do tyłu włosy, z granatową przepaską. Siłą powstrzymała cisnące jej się na usta słowo: idiotka, idiotka. - Chciałam ci tylko powiedzieć, że wcale tak nie musi być - oznajmiła. I natychmiast w jej głowie odezwał się głos matki: „Latasz za facetem. Jak ci nie wstyd?!”. Mimo woli zrobiła się czerwona. Niemal nieświadomie pomachała ręką w powietrzu, jakby się opędzała od matki.

- Czy wiesz... - zapytał Will ze złością - czy wiesz, jak to jest, kiedy człowiek zrujnuje sobie życie przez to, że czegoś nie zrobił? - Wstał. - Nie daje ci to potem chwili spokoju.

- Dlatego się poddajesz - powiedziała, zniżając głos.

- Czasami nie masz wyboru co do tego, jak przebiega twoje życie. Proszę cię, przestań, zanim powiem więcej, czego później będę żałował.

- Żal to chyba dla ciebie nic nowego - oświadczyła. - Całe twoje życie na tym polega.

Siedzieli wściekli, a złość krążyła w nich przejrzysta jak rozpuszczalnik, który zmył ich krótką przeszłość, pozwalając wymazać ją do czysta.

Will wstał i ruszył przed siebie, a Claire nawet za nim nie zawołała.

12 lipca 1953

W następnym tygodniu Claire wybrała się do Chenów, żeby osobiście zrezygnować z pracy. Poszła o zwykłej porze lekcji i poproszono ją do salonu, gdzie samotnie siedziała Melody.

- Dobrze się czujesz? - zapytała Claire.

Chinka siedziała nieruchomo na brzegu sofy, przed nią stała filiżanka stygnącej herbaty.

- Nie - odparła. - Stało się coś okropnego. Jakieś nieporozumienie. Ludzie... ludzie się mylą.

- Obawiam się...

- Wszyscy mnie bojkotują - przerwała jej Melody, na której twarzy malowała się rozpacz. - Dzisiaj w mieście, kiedy przechodziłam przez herbaciarnię w Gloucester, zrobiło się nagle cicho jak makiem zasiał, nikt się do mnie nie odezwał, nawet Lizzie Lam, z którą chodziłam do szkoły podstawowej. Byłyśmy najlepszymi przyjaciółkami. Zaraziłam się nawet od niej ospą wietrzną! Lizzie udawała, że mnie nie widzi.

- Na pewno ci się wydawało - powiedziała Claire.

- Nie, tak było, naprawdę - wyszeptała Melody. - W naszym świecie ludzie nie mają litości. Potrafią być bardzo okrutni.

Jej hipokryzja była porażająca. Melody musiała zauważyć mieszane uczucia Claire, bo powiedziała z nutą zniecierpliwienia w głosie:

- Och, nigdy tego nie zrozumiesz... A ty? - dodała po chwili. - Twoje życie też musiało się całkowicie zmienić.

- Tak - odparła Claire. - Telegraficznie zawiadomiłam rodziców o swojej sytuacji i prawdopodobnie będę musiała wracać do domu.

- Niezły pasztet - podsumowała Melody. - Bo chyba tak to właśnie wy, Anglicy, nazywacie. Ty też w tym chyba tkwisz po uszy. Idę o zakład, że nie wyobrażałaś sobie siebie w takiej sytuacji.

- Nie - przyznała Claire. - Wszystko to jest mi całkowicie obce.

Melody skinęła głową i wstała.

- Zawołam Locket.

Claire zaczęła wyjaśniać, po co przyszła, ale Melody jej przerwała.

- Mówią, że zabrałam ją Trudy, ale to nieprawda. Trudy sama mi ją dała.

Claire otworzyła usta, ale nie wydała żadnego dźwięku. Melody kontynuowała w pośpiechu:

- Wiedziała, na co się zanosi. Wiedziała, że nie będzie żyła. I wiedziała, że w Kalifornii straciłam dziecko. Urodziło się martwe. Wróciłam wtedy do Hongkongu. Nie chciałam być w Ameryce sama, bez rodziny. Trudy zaproponowała, żebym wzięła jej dziecko. Był to dar od kuzynki dla kuzynki. Ludzie tego nie rozumieją, ale w Chinach takie rzeczy są na porządku dziennym, szczególnie w czasach wojny czy głodu. Jesteśmy krajem nawykłym do cierpienia; nasi ludzie muszą być praktyczni. Nieraz oddawano dzieci innym członkom rodziny, żeby im zapewnić lepszy los. Wy, ludzie Zachodu, tego nie rozumiecie. Ale tego właśnie chciała Trudy. Albo by chciała. Wiedziała, że Locket będzie miała u nas dobry dom. Przypuszczam też, że Victor widział w małej coś w rodzaju ubezpieczenia. Ostatecznie Locket jest pół - Japonką. W połowie jest Japonką, w jednej czwartej Chinką i w jednej czwartej Portugalką. Chociaż z wyglądu nigdy byś tego nie powiedziała. Nigdy byś nie poznała. I nie poznałaś, prawda? A my kochamy ją jak swoją. Wszystko obróciło się na dobre.

Melody zamilkła; była wyraźnie zakłopotana.

- Lekarz powiedział, że nie mogę mieć więcej dzieci, że byłoby to groźne dla mojego życia. Właściwie nie miałam wyboru. Och - zreflektowała się nagle. - Przecież ja szłam po Locket.

Claire siedziała w ciszy, jaka nagle zapadła w salonie. Słysząc było tylko głośnie tykanie zegara. Po upływie kilku bardzo długich minut pojawiła się Locket.

- Czekałam na panią w pokoju muzycznym - wyjaśniła. - Czekałam i czekałam, aż wreszcie Ling powiedziała mi, że pani jest tutaj. Pani była z mamą?

Claire spojrzała na Locket nowymi oczami. Dziecko Trudy. Dziewczynka, która nigdy nie знаła swojej prawdziwej matki, owoc gwałtu, oszustwa i rozpacz. Nic z tego nie było widać na jej szerokiej, spokojnej twarzy. Przeszłość, pochodzenie małej - jakżeż łatwo zostały pogrzebane.

- Tak, Locket - odparła - ale ja przyszłam dlatego, że chciałam ci coś powiedzieć. Chodź, usiądź tu koło mnie.

Locket usiadła.

- Może ma pani ochotę na jakieś herbatniki? - zapytała. - Bo ja jestem trochę głodna. - Wezwała służącą i powiedziała jej coś po kantońsku. Claire potrafiła już odróżniać dialekty: szanghajski, kantoński, mandaryński. W takich rodzinach jak Chenów mówiło się często we wszystkich trzech dialektach, a także po angielsku i trochę po francusku. - Napije się pani czegoś, pani Pendleton?

Nagle Claire dostrzegła w Locket miniaturę Melody - z jej swobodą obcowania ze służbą i obyciem ze sprawami domowymi. Ale potem obraz się zmienił. Służąca przyniosła herbatniki z dżemem i mleko, i Locket znów stała się dzieckiem pakującym do buzi po dwa ciasteczka naraz.

- Locket - zaczęła Claire - przyszedłam ci powiedzieć, że nie mogę dłużej uczyć cię muzyki.

- Mmm - wymamrotała dziewczynka z buzią pełną herbatników.

- I że uczenie cię było dla mnie naprawdę wielką przyjemnością, mimo że nigdy nie ćwiczyłaś tyle, ile powinnaś.

- Przepraszam, pani Pendleton.

- Ale to nie ma znaczenia. Chcę ci powiedzieć, że jesteś grzeczną dziewczynką i że potrafisz robić wiele różnych rzeczy. Jesteś poza tym bardzo miła i masz w sobie naturalne dobro. I jakąś szczególną niewinność.

Locket skinęła głową, lecz była wyraźnie speszona.

- Wiem, że nie rozumiesz, o czym mówię, ale chciałam ci powiedzieć, że jesteś dobrym człowiekiem. I staraj się to utrzymać. Ufaj swojej intuicji. Życzę ci wszystkiego najlepszego. - Claire zdawała sobie sprawę z bezsensowności tego, co robi, mimo to brnęła dalej. Rozpaczliwie chciała dać Locket coś, cokolwiek, co by jej zostało na zawsze. Jednakże tego, co by wypaliło w niej piętno na całe życie, co by ją w sposób trwały naznaczyło... tego naturalnie nie mogła powiedzieć. Takiej odpowiedzialności nie byłaby w stanie wziąć na siebie.

- Pani Pendleton - odezwała się Locket - pani tak mówi, jakbym miała zaraz umrzeć czy co?!

- Nie, ja tylko chcę, żebyś wiedziała... - Claire zawiesiła głos. - Po prostu wiedziała. I to wszystko. - Wstała i pocałowała dziewczynkę w czarne lśniące włosy. - Do widzenia.

Zostawiła Locket w salonie, z jej herbatnikami i zdziwieniem, a także z uczuciem gwałtownej rewolucji, jaka wybuchła w jej żołądku.

1953

Przychodzi do niego w snach. W snach mu przebacza.

- Zawsze szukałam świętego - mówi Trudy. Dłonie ma splecione za jego głowę, oczy wpatrzone w jego oczy. - Myślałam, że kimś takim jesteś ty.

- Przepraszam, ale nigdy nie udawałem świętego.

- Oj, chyba udawałeś. - W głosie Trudy nie ma złości. - Zawsze miałeś nad głowę aureolę. Ludzie chcieli brać z ciebie przykład. Od ciebie bije pewność siebie. Odwrotnie niż ode mnie. Ode mnie bije... niesolidność. Tyle że jestem o wiele zabawniejsza.

Dotyka jej włosów, delikatnych, lśniących pasemek bursztynu i brązu.

- Ze względu na ciebie nigdy nie zamykałem drzwi - mówi Will. - Myślałem nawet, że gdyby istniała najmniejsza choćby szansa na to, że żyjesz... w końcu dziwniejsze rzeczy się zdarzały... Nie zamykałem drzwi, bo dręczyła mnie myśl, że w końcu przyjdiesz, a mnie nie będzie w domu, więc sobie pójdiesz, a ja stracę niepowtarzalną okazję. Dlatego nigdzie się nie ruszałem. Ludzie zawsze się dziwili, dlaczego tu tkwię, dlaczego nie mogę oderwać się od przeszłości.

- Ale przecież ja bym cię znalazła - mówi Trudy swoim czystym, dźwięcznym jak dzwon głosem. - Już zapomniałeś, jaka jestem zaradna...

- Sprawiaś, że mógłbym zostać najgorszym człowiekiem na świecie - wyznaje. - Gdybym miał rodzinę, rzuciłbym ją dla ciebie. Gdybyś zapragnęła gwiazdki z nieba, ukradłbym ją dla ciebie. Gdybyś mi kazała kogoś zabić, zrobiłbym pewnie dla ciebie i to. Nie ma takiej rzeczy, której bym dla ciebie nie zrobił, i to jest właśnie najgorsze. Dlatego musiałem uciec. Musiałem uciec od ciebie, żeby samemu nie zginąć.

- No cóż... - mówi rozbawiona. - Nie wiem, czy to jest najlepsza, czy może najgorsza rzecz, jaką kiedykolwiek w życiu od kogoś usłyszałam.

Zawsze mu mówiła, że nie można na niej polegać, że w każdej chwili może go porzucić, że nie należy jej ufać, ale kiedy spojrział Trudy w oczy, wiedział, że to nieprawda.

- Lubię sobie wyobrazić, że jest już po wszystkim - ciągnie Trudy. - Do każdego posiłku będę piła szampana, będę jadła lody i kąpała się w miodzie i winie. Nie masz pojęcia, jaka będę rozrzutna!

Będę się zachowywała jak stuprocentowa dziedziczka i pozwalała sobie na wszelkie możliwe ekstrawagancje... mojej skóry będą godne jedynie mydła i zapachy z Francji, a na stoliku nocnym będę miała zawsze świeże kwiaty. Te ograniczenia mnie po prostu zabijają. Stałam się surową wojenną matroną i mam zamiar zedrzeć z siebie tę znieawidzoną maskę najszybciej, jak tylko... - Ale nie jest w stanie powiedzieć, jak się zakończy wojna.

Potrząsa nią. Ma ochotę ugryźć ją w policzek, mocno, tak żeby odrywać ciało, żeby krew ciekła mu po brodzie. Chce pożreć ją całą, żeby poczuła taki sam ból, jaki czuje on. Ból, jaki jej zadał.

Will się budzi, Trudy się oddala, przypomina mu się ta druga, ta, która żyje, ale on znów się pogrąża w przeszłości, której zew jest zbyt silny.

Wspomnienia z tamtych dni. Will siedzi na łóżku na swoim cienkim materacu, bezradny, zły, rozwścieczony niekończącą się monotonią obecnego życia, drobnymi problemami innych (czy dostali należną sobie rację, którą ktoś ukradkiem przeniósł do pustego pokoju, jeszcze nieprzydzielonego nikomu po repatriacji Amerykanów). Ach, właśnie, dzień wyjazdu Amerykanów, których rząd okazał się dużo sprawniejszy w załatwianiu wymiany jeńców wojennych. Trudne do opisanie uczucie, kiedy patrzył na odjeżdżające ciężarówki pełne radosnych, zaszarganych ludzi z kieszeniami wypchanymi korespondencją od tych, którzy pozostawali, do ich bliskich na całym świecie. Obiecywali powysyłać listy do adresatów. Ci lepsi zostawiali swoje koce, ubranie i sprzęt, a nawet pieniądze, ale niektórzy zabierali dosłownie wszystko, co do ostatniego strzępka, tak jakby po powrocie do domu i tak tego wszystkiego nie mieli wyrzucić. To ciekawe, jak mentalność człowieka zmienia się w takim miejscu. Ale kilku Amerykanów zostało: byli to księża katoliccy. Zrezygnowali z szansy powrotu do domu, żeby mieć możliwość służenia pozostającym w obozie wiernym, niezależnie od ich narodowości. Tak, są jeszcze dobrzy ludzie na świecie.

I kolejne wspomnienie, jeszcze wcześniejsze: pierwsza Gwiazdka w obozie w jakiś rok po internowaniu. Przypomina mu się na pół wyschnięta trawa na środkowym trawniku i kurz wzbijany przez dzieci, które biegały w kółko w podartych spodenkach, krzyżąc w podnieceniu - było zaskakująco ciepło jak na tę porę roku. Kobiety zastawiły stoły wodnistą lemoniadą i świątecznymi ciasteczkami

dostarczonymi przez tych, którzy byli jeszcze na wolności. Rozdano odbity na powielaczu program z piosenkami i recytacjami. Udało im się też zdobyć jakieś dekoracje, tak że rozłożyste drzewa rosnące wzdłuż ogrodzenia mogły się poszczycić lametą i innymi świecidełkami. Ze starego gramofonu płynęły kolędy, a internowani otoczyli go kręgiem, gadając, popijając z filiżanek i ukradkiem podając sobie z rąk do rąk butelkę. Bill Schott zorganizował w jakiś sposób przebranie Świętego Mikołaja i wystąpił z wyładowaną poszewką na poduszkę ku wielkiej radości dzieciarni, która wśród pisków i krzyków odbierała skarby w rodzaju kolekcji błyszczących guziczków, wypchanej suchą trawą szmacianej lalki, świątecznego kolażu z liści. Matki miały od dłuższego czasu pełne ręce roboty.

Japońscy żołnierze obserwowali to z boku z zakłopotaniem. Wcześniej rozdali dzieciom paczki ze słodyczami.

Nagle pojawiła się przed nim Regina Arbogast, z szyją owiniętą czerwonym szalem. Nie straciła fantazji.

- Wszystkiego najlepszego, Will - powiedziała.

Obok niej stał mąż. Było to przed torturami, które miały go dotknąć kilka miesięcy później. Will uniósł szklanekę do Arbogastów.

- Rok mija zbyt szybko, nie uważacie? Jaka to różnica w stosunku do ubiegłego roku.

- No i jesteśmy, gdzie jesteśmy - dodał Reggie.

- Jak tam na przepustkach, dobrze się bawisz? - zapytała Regina.

Swobodne poruszanie się Willa między obozem Stanley a światem zewnętrznym wywoływało zazdrość i spekulacje, mimo że zawsze starał się wracać z jakimiś zdobyczami, z których korzystali wszyscy.

- Bawisz to dość dziwne sformułowanie w tych okolicznościach - odparł Will.

- Trudy trzyma z obecnym reżimem... - Słowa Reginy zawisły w powietrzu jak wyzwanie.

- To pytanie czy stwierdzenie? - zapytał spokojnym tonem Will.

- A ty, siedząc tu zamknięta, co możesz na ten temat wiedzieć? - Skarcił żonę zniecierpliwiony Reggie. - Za dużo się domyślasz.

- Wszyscy tak mówią. - Regina mrugnęła. - Ale sądzę, że im mniej wiemy, tym lepiej, prawda, Will?

Reggie wznosił oczy do nieba i zrobił przeproszającą minę.

- O, popatrz, za chwilę będzie śpiewał chór. - Wziął mocno Reginę pod rękę i odprowadził w miejsce, gdzie starsze dzieci i kobiety szykowały się do występu.

Will wspomina tę rozmowę z przykrym uczuciem - jakby wszyscy grali w jakąś grę, której finałem okazała się smutna rzeczywistość.

A potem rok 1945 i warkot samolotów nad głowami, i plotki o nowym rodzaju bomby. Jakoby coś niezwykłego, śmiertelne żniwo poza wszelkim wyobrażeniem. Gigantyczny grzyb zagłady nad Japonią. Strzępy informacji szmuglowane wraz z codziennymi dostawami warzyw. Nagle szpinak dociera zawinięty w angielską gazetę.

Strażnicy są potulniejsi, trochę bardziej przyjacielscy, na więcej pozwalają. Racje żywnościowe wzrosły.

Trudy w dalszym ciągu pozostaje motywem codziennych myśli, teraz szczęśliwie przytłumionych. Brak odpowiedzi na jego listy, nikt z odwiedzających obóz Stanley jej nie widział. Jakby się zapadła pod ziemię. Jak jej matka, pomyślał Will, i natychmiast wyparł tę myśl z głowy. Podczas wojny ludzie umierają. Później miał się przekonać, że tak by pomyślał człowiek umierający.

No i wreszcie - wyzwolenie, wejście w nowy szczęśliwy świat, chociaż należało dalej mieć się na baczności przed Japończykami, ciągle jeszcze niebezpiecznymi w obliczu klęski. Zdarzały się wypadki pobić, a nawet zabójstw, ale większość stąpała ostrożnie po cienkiej linii stanowiącej granicę między zwycięzcami a zwyciężonymi.

Hongkong zaskoczył jak stary zmęczony mechanizm, wracając do życia. Autobusy i tramwaje wyjechały na swoje dawne trasy, półki sklepowe zapełniły się towarami, ceny zaczęły wracać do normy. Ludzie padali sobie na ulicach w ramiona, wymieniając uwagi na temat swojej chudości, szczęśliwi, że udało im się przeżyć i że mogli się spotkać, nawet jeśli dawniej za sobą nie przepadali. Wracała normalność, codzienna rutyna.

Otsubo został repatriowany do Japonii. Później nadeszła wiadomość, że zginął powieszony w więzieniu Sugamo. Ta informacja nikomu jednak nie przyniosła ulgi.

Pierwsze przyjęcie, z jego dziwną atmosferą: goście, początkowo onieśmieleni i wyciszeni, nieprzyzwoicie szybko odnajdywali się w

swoich dawnych rolach. Najpierw narzekali na braki w zaopatrzeniu, potem na kłopot ze znalezieniem dobrej służby i wreszcie na niedostatek wysokiej jakości win i innych rzeczy. Zapanowała amnezja, jakżeż zwodnicze placebo. Wszyscy aż nazbyt szybko zaczęli być sobą.

Jak może zniknąć kobieta? Jak może przepaść bez wieści ktoś tak żywotny?

Dla Willa zaczął się okres poszukiwań. W ustach miał pusty smak żalu. I co ciekawe: po wyzwoleniu towarzyszyło mu nieustanne uczucie pragnienia. Zdobył samochód i jeździł nim po bezludnych drogach wyspy do dawnego mieszkania Trudy, do starego domu Angeline, do domu ojca Trudy w Sai Kung - wszystko puste, splądrowane, cuchnące stęchlizną, a nawet jeszcze gorzej. Był to smutny objazd opuszczonych siedzib. Ojciec Trudy zmarł w Makao podczas wojny z nieznanymi przyczyn. Podobnie Dominick, kolejna tragiczna historia.

Bez podnoszącego na duchu sposobu bycia Trudy Will stał się ponury, zbyt poważny, zbyt mroczny. Albo szwendał się po jakichś dziwnych zakamarkach Hongkongu, albo siedział w domu, nędznej norze z jedną szklanką, jednym talerzem i wiszącą u sufitu gołą żarówką za całe wyposażenie. Przestano go gdziekolwiek zapraszać. „Zrobił się jakiś dziwny”, szeptało w mieście. A on bez Trudy po prostu nie potrafił się odnaleźć.

Popadł w całkowitą anonimowość, aż pewnego dnia zobaczył w Causeway Bay Victora i Melody Chenów wysiadających z córką z samochodu. Z córką zupełnie niepodobną do żadnego z rodziców. Słyszał coś o wyjeździe Melody do Stanów i o jakiejś tragedii, ale tylko raz, a potem już nigdy więcej. Zaczął się zastanawiać. Aż wreszcie zadzwonił do Victora z poruszającą opowieścią i prośbą o pracę. Nie miał wątpliwości, że Chen chętnie zatrudni Anglika, szczególnie do prostych przyziemnych zajęć. Obaj wiedzieli, że za tą prośbą kryje się coś więcej.

Victor ubóstwiał chwalić się nim przed nieświadomymi niczego partnerami w interesach, szczególnie przed tymi, którzy świeżo przybyli z Europy albo Ameryki. Will podjeżdżał samochodem i wysiadał, żeby otworzyć drzwi, a wtedy goście Victora szeroko otwierali oczy i wsiadali. Widać było, że robi to na nich wrażenie. Anglik zatrudniony jako kierowca, choćby nawet w takiej rodzinie jak

Chenów - było to coś niesłychanego, zwłaszcza że chodziło o człowieka należącego przed wojną do towarzystwa. Większość ludzi jednak zajęta była własnymi troskami, niejeden wyszedł z wojny ciężko poszkodowany, jak choćby holenderski bankier, który w obozie Stanley nabawił się schizofrenii i mieszkał teraz w Sheung Wan, chodząc na żebry z rattanowym koszykiem i strasząc swoimi jasnymi kiedyś włosami - dziś ciemnym z brudu kołtunem; albo córka Millerów, zaręczona z młodym Ho, z bogatej rodziny właścicieli firmy żeglugowej, która opuściła obóz zbyt zniszczona, by się nadawać do małżeństwa, i żyła teraz w Mong Kok, pracując podobno jako kelnerka w barze. Will był kolejną ofiarą wojenną, i to wcale nie najgorszą. Początkowo ludzie gadali na jego temat, ale później stał się jeszcze jednym dziwnym faktem z życia Hongkongu.

Pracował w różnych godzinach, starając się choćby w przelocie spojrzeć na Locket, ale Chenowie pilnowali, żeby do szkoły odwozili ją inni szoferzy. Mimo woli - kiedy to było możliwe - wpatrywał się w twarz dziewczynki, szukając w niej śladów... czego? Tak, Trudy oczywiście, ale jeszcze czegoś, czego nie potrafił wyartykułować nawet w myślach.

Pewnego dnia Victor wsiadł do samochodu i kazał mu jechać na Peak. W drodze pod górę wydawał się podniecony i cały czas, siedząc na tylnym siedzeniu, grzebał w jakichś dokumentach.

- Zostały popełnione błędy - powiedział nagle, niejasno. Will milczał, co sprawiło Victora w jeszcze większy niepokój.

- Czy wiesz, o czym mówię? - zapytał.

- Nie.

- W czasach wojny podejmuje się wiele decyzji i robi różne rzeczy bez stosownego zastanowienia.

- Tak jest, sir - odparł Will z szacunkiem, którego wymowa była groźniejsza niż czegokolwiek innego, co mógłby powiedzieć. Zobaczył twarz Victora w lusterku wstecznym; była pokryta perlistym potem.

- Dostałem wiadomość... - zaczął Victor.

- Tak, sir - powtórzył Will.

Po chwili wahania Victor jak gdyby wziął się w garść.

- W każdym razie wojna zmieniła nas wszystkich. Jedziemy na jednym wózku.

Will pozostał milczący.

- Rozmyśliłem się. Wracamy do domu.

Will posłusznie zawrócił. W drodze powrotnej nie zamienili ani słowa. Wkrótce potem Victor podwoił mu zarobki. Will nigdy się nie dowiedział, czego się wtedy Victor przestraszył, ale żaden z nich już do tej sprawy nie wrócił.

Will czekał, że coś się wydarzy. A tymczasem wspominał.

Trudy i Dominick złączeni w koszmarnym uścisku.

To ciekawe, jak wiele rzeczy wydaje się nieuchronnych - ze stosownego dystansu. Wyobraźmy sobie dziewczynę i chłopaka o podobnym statusie, razem, w lecie, i zobaczymy, co z tego wyniknie. Na ogół miłość. Albo dwoje przyjaciół o równych szansach i nagle jedno zyskuje przewagę - rzadko pozostają przyjaciółmi. Coś podobnego musiało spotkać Trudy i Dominick. Byli jak jedno - dopóki wszystko szło gładko. Kiedy sytuacja zmieniła się na gorsze, każde z nich odwołało się do swoich cech pierwotnych. Trudy z gruntu dobra. Dominick - zwierzę. Efekt - zdrada bez żadnych skrupułów.

A jego zdrada? Dużo gorsza. Will to wie.

- Wybaczam ci - mówi Trudy. - Rozumiem. Will czepia się tych słów. Słyszy, jak Trudy powtarza je w kółko.

Jak mógłby ją teraz zostawić?

Epilog

Kobieta siedzi na krześle przy oknie i czyta. Koło niej stoi filiżanka zimnej już herbaty. Na zewnątrz zapada zmrok i kiedy czytanie zaczyna sprawiać jej trudność, idzie zapalić światło. W pokoju nagle robi się widno.

Mieszka teraz sama w niewielkim mieszkanku, które znalazła w Wan Chai, wśród miejscowej ludności i małych targowisk. Skromne umeblowanie jej domu to żelazne łóżko z cienkim materacem, drewniana skrzynka na owoce pełniąca funkcję stolika nocnego i lampa, którą kupiła u Dodwella na świątecznej wyprzedaży. Jest także wygodny do czytania fotel. Utrzymuje się z pensji sekretarki w firmie żeglugowej. Odkryła, że można żyć oszczędnie, jak miejscowi ludzie, prawie bez pieniędzy, targując się o wszystko, od żarówek po ściereczki do naczyń. Kupuje po jednej pomarańczy albo po dwie marchewki, sama wybiera kurczaka do zabicia, i to jej wystarczy na trzy dni. Jada w stoiskach ulicznych makaron, congee, pieczone mięsa i inne dania, które jeszcze rok temu uznałaby za niejadalne. Dziś posługuje się pałeczkami na równi z najlepszymi z nich. Czasem, kiedy siedzi na stołku obok taksówkarza czy sklepikarza, słucha ich i stwierdza, że zaczyna rozumieć coś z tego, co ci ludzie mówią; słowa wyłaniają się z ogólnego szumu jak klejnoty. Na początku była dla nich ciekawostką, ale obecnie już tak bardzo im się opatrzyła, że zaczęli ją ignorować. Jej kantoński - w dalszym ciągu na poziomie podstawowym - jest coraz lepszy. Kiedy zamawia coś w daipaidong, obsługa nie powtarza już zamówienia głośno po angielsku, od razu wrzucają makaron do rosółu, żeby się gotował, traktując ją jak miejscowych.

W domu nosi czasem czarne spodnie i białe tuniki - ubiór amah - jako strój na noc, który wydaje jej się dziwnie wygodny. Są to rzeczy niedrogie, uszyte z lekkiej bawełny. Właścicielka sklepu uznała, że kobieta kupuje je dla służącej, i gestykulując rękami, zaczęła ją wypytywać o wzrost. Claire przyłożyła sztukę garderoby do siebie i skinęła głową. Pierwszego dnia w nowym miejscu poszła do fryzjera, usiadła na fotelu i kazała obciąć sobie krótko włosy.

Zna ulice miasta - Johnston, Harcourt, Connaught - i potrafi wymówić ich nazwy po kantońsku. Przypominają pajęczynę naczyń krwionośnych rozchodzących się z centrum do Repulse Bay, Peaku, Mid - Levels, miejsc, do których rzadko teraz zagląda, pełnych

Anglików i ich życia. Od czasu do czasu spotyka znajomych, którzy pytają, co u niej słychać, we wścibski, ciekawski sposób, a ona po prostu kiwa głową i mówi, że dobrze, że jakoś sobie radzi, że dobrze czuje się w mieście. Czy nie wybierasz się do domu? - pytają, a ona odpowiada, że nie, że chwilowo nie ma takich planów.

Mówi się o niej coraz mniej. Claire staje się częścią jakiejś starej historii, która wkrótce zostanie zapomniana, i to jej odpowiada.

Czasem czuje się samotna, ale chodzi do biblioteki w klubie, biorąc po trzy albo cztery książki naraz. Tyle jest rzeczy, których chciałaby się jeszcze dowiedzieć, tyle się jeszcze nauczyć. Czyta o Beethovenie, o uprawie ryżu w Chinach, czyta biografie brytyjskich premierów i cieszy się, że nigdy nie zabraknie jej książek. Jest też w klubie fortepian i kierowniczka powiedziała jej, że może sobie grać po godzinach, jeśli z nią to wcześniej uzgodni. Chodzi tam pod wieczór, kiedy upał nie jest już taki dokuczliwy, i gra mniej więcej przez godzinę, podczas gdy dokoła niej krząta się służba, sprzątając lokal. Claire pojawia się na tyle późno, żeby wszystkie znajome panie zdążyły już skończyć picie herbaty i iść szykować kolację mężom i dzieciom wypełniającym dom - odwrotnie niż u niej - wesołą paplaniną i hałasem.

O ile wie, Martin dalej przebywa w Hongkongu. Pozostawała z nim we wspólnym mieszkaniu, dopóki sobie czegoś nie znalazła. Poprosiła go o to, kiedy - szary na twarzy - wrócił z przyjęcia do domu. Nie powiedział tak, ale też nie powiedział nie. Uznała, że jest to z jego strony coś więcej niż wspaniałomyślność. Nalała whisky do dwóch szklanek i piła z nim razem w milczeniu. Do dziś ma go przed oczami, jak siedzi pochylony przy stole, popijając wolno i bawiąc się brzegiem lnianej serwetki. Podniecona Yu Ling kręciła się w pobliżu drzwi kuchennych, nasłuchując, poinformowana już o skandalu przez błyskawiczną pantoflową pocztę służby.

Martin nie miał odwagi zadawać pytań. Oczekiwał, że Claire sama wyjaśni mu sytuację, lecz ona nie mogła się jednak zdobyć na rozmowę z mężem. Przez pierwsze kilka dni jego lodowate milczenie, kiedy wracał do domu, było jej na rękę; dopiero kiedy podjął jakieś próby rozmowy i zrozumienia tego, co się stało - dopiero to okazało się dla niej trudne do zniesienia. Spała na sofie w living roomie, starając się wstawać przed Yu Ling, żeby zdążyć schować poduszkę i koce, ale zbyt często, budząc się, czuła na sobie pełne ciekawości

spojrzenie amah. W świecie Yu Ling takie sprawy załatwia się za pomocą tasaka, dlatego oboje z Martinem wydawać jej się musieli dziwnymi, całkowicie pozbawionymi ikry istotami. I wreszcie padło pytanie:

- Czy byłaś nieszczęśliwa? - Pierwsze słowa, jakie do niej skierował bezpośrednio od tamtej pory. Przyszedł z sypialni do living roomu, gdzie Claire czytała.

Co mogła powiedzieć? Odłożyła książkę i usiłowała zebrać myśli. Uznała pytanie za zbyt prozaiczne i poczuła z tego powodu do siebie niechęć.

- Chciałam się przekonać, że w życiu jest jeszcze coś więcej - odparła po prostu. Była to fanaberia, zaprzeczenie wszelkim zasadom; Claire miała tego świadomość.

- Gdzie byłaś? - brzmiało jego następne pytanie. Usiadł w jadalni przy stole, z daleka od niej. Przetarł oczy.

Wyjaśniła mu, że wyszła od Chenów i że jak zwykle było bardzo gorąco, a ona przecież nie miała samochodu. Poszła więc May Road, wyrzeźbioną w zboczu góry, wietrzną, wąską wijącą się jak wąz uliczką, która przechodziła w Garden Road, i tak doszła do centrum. Było jej już wtedy na tyle gorąco, że wstąpiła do piekarni i napiła się chłodnej herbaty. Głowę miała wypełnioną białym hałasem, podobnie jak wtedy, kiedy zemdląła przed domem Chenów. Następnie, nie wiedząc, dokąd iść, ruszyła dalej na wschód, aż znalazła się w Wan Chai, którego hałas i ruch podziały na nią uspokajająco. Cała ta aktywność dokoła niej jak gdyby wyciszyła buzujące namiętności. Rozejrzała się i pomyślała: Tutaj mogłabym żyć.

- Wydaje mi się, że po tym wszystkim, co się stało na przyjęciu, za bardzo rzucałam się w oczy, i chciałabym, przynajmniej przez jakiś czas, być niewidoczna - wyjaśniła Martinowi. - Działo się za dużo i sama nie wiem, dlaczego stałam się częścią tego wszystkiego. Przypuszczam, że musisz czuć się podobnie, i za to cię bardzo przepraszam.

Wpatrując się w nią - w tę młodą niezyciową kobietę, którą tu przywiózł z Anglii - stwierdził, że nie ma pojęcia, kim ona jest.

Dlatego wyprowadziła się najszybciej, jak tylko mogła. Spakowała rzeczy i wezwała taksówkę, kiedy był w pracy. Uściskała Yu Ling, czując w ramionach kruchą postać amah, i w tym momencie ogarnęła ją niespodziewana fala smutku spowodowana tym, że ją

porzuca, że porzuca to życie. Ale przynajmniej teraz miała pewność, że ludzie osiągają to, czego oczekują od życia. Martin na przykład nigdy nie oczekiwał, że znajdzie miłość, więc ostatecznie nic mu się takiego nie stało. Claire nie będzie jego wielkim życiowym rozczarowaniem, jego tragedią. Tragedia, jeśli przyjdzie, to skądinąd, i Claire z ulgą stwierdziła, że nie jest odpowiedzialna nawet za to, że wie, co by to mogło być. Bo sama nie wiedziała wtedy, i nie wie teraz, czego ma oczekiwać od życia. Jej życie było, i wciąż jest, dziełem w trakcie procesu tworzenia.

Claire uznała, że staje się banałem, kobietą „która przeszła na stronę miejscowych”, kimś, kto wyrzeka się swoich. Jej dawna znajoma, Amelia, odwiedziła ją kiedyś, ale nie mogła ukryć szoku na widok warunków, w jakich znalazła Claire. Pokręciła się po niewielkim mieszkanku, ofiarowała jej słoik dżemu truskawkowego i parę mydełek, i nigdy więcej się nie pokazała. Claire przypuszcza, że przez wiele tygodni musiała „sprzedawać” tę historię z powodzeniem. Ale tym się nie przejmuje w najmniejszym nawet stopniu.

W ubiegłym tygodniu wzięła niewielki woreczek kosztowności, szale i różne ozdoby, i zaniósła wszystko do lokalnego sklepu z rzeczami używanymi. Kobieta, która to od niej przyjmowała, była wyraźnie zdezorientowana: nie wiedziała, co z tymi rzeczami zrobić, tak bardzo nie pasowały do zakurzonych tanich sweterków i używanych garnków. Claire z kolei nie miała lepszego pomysłu na pozbycie się tych przedmiotów. Wychodząc, poczuła, że spadł jej kamień z serca.

Claire przerywa czytanie i wygląda przez okno. Samochody przemierzają ruchliwe ulice, czerwone taksówki wyprzedzają piętrowe tramwaje, widać kilku mężczyzn na rowerach. Niebo jest błękitne, pokreślone konturami dachów niskich budynków, z ich antenami i sznurami na białiznę. Przez otwarte okno wdziera się ostry zapach z ulicy. Scena, jakiej jeszcze dwa lata temu nie byłaby w stanie sobie wyobrazić.

Na duchu podtrzymuje ją w tym wszystkim prosta myśl: że wystarczy tylko zrobić jeden krok i wyjść na zewnątrz, by wtopić się w ulicę, włączyć w jej rytm i stać się w ten łatwy sposób częścią otaczającego świata.

Podziękowania

Chciałabym podziękować tak wielu osobom:

Mojej agentce Theresie Park, bez której wsparcia i subtelnej zachęty ta powieść mogłaby w dalszym ciągu być tylko bezładną zbieraniną notatek w moim komputerze. Była ze mną od pierwszych stron tej książki. A poza tym: Abby Koons, Julian Alexander, Richowi Greenowi, Samowi Edenborough, Nicki Kennedy i Amandzie Cardinale.

Kathryn Court, mojemu mądrymu i eleganckiemu wydawcy.

Clare Ferraro za jej niezachwiane wsparcie, jakiego udzielała mi od samego początku.

Cudownemu zespołowi z Viking: Alexis Washam, Carolyn Coleburn, Louise Braverman, Ann Day, Nancy Sheppard, Paulowi Slovakowi, Isabel Widdowson i jakże wielu innym.

Clare Smith i wspaniałej drużynie z Harper Press UK za ich entuzjizm i doradztwo.

Pat Towers, która zawsze okazywała mi uprzejmość, zwracając mi uwagę na niuansy.

Abigail Thomas, która zachęcała mnie ciastem, pozytywną oceną i dobrym słowem.

Chang - rae Lee za rady zarówno warsztatowe, jak i praktyczne, zawsze na temat.

Elaine Richardson za czas w Yaddo.

Za przyjaźń, zachętą i zrozumienie: Mimi Brown, Deborze Cincotta, Rachael Combe, Kate Gellert, Katie Rosman, Sarze Towers, Daphne Uviller.

Przeczytałam wiele książek o tym okresie drugiej wojny światowej zarówno w New York Public Library, jak i Special Collection Library Uniwersytetu w Hongkongu. Szczególnie dużo dowiedziałam się o tych czasach z fantastycznego pamiętnika Emily Hahn *China to Me* i barwnego *Prisoner of the Turnip Heads* George'a Wright - Nootha i Marka Adkina.

Spędziłam też wiele godzin, pracując w różnych salach New York Public Library, New York Society Library i Hong Kong University Library. Dziękuję bardzo za to, że są otwarte dla publiczności, używając jednocześnie miejsca do pracy pisarzom.

Mojej matce, ojcu i bratu z rodziną. Szeroko pojętej rodzinie Bae.

Moim dzieciom, które codziennie sprawiają mi radość i nadają
wszystkiemu perspektywę.

Ale przede wszystkim mojemu mężowi Joemu, który jest moim
najlepszym przyjacielem i lepszą połową a który mnie wspiera, nie
szczędząc miłości i wielkoduszności, za co jestem mu nieustannie
wdzięczna.